

Franz Kafka
Ameryka



Czytelnik

FRANZ KAFKA

AMERYKA

przełożył Juliusz Kydryński
Warszawa 1989

Palacz

Kiedy szesnastoletni Karl Rossmann, wysłany przez swych biednych rodziców do Ameryki, ponieważ uwiodła go służąca i miała z nim dziecko, wpływał do portu w Nowym Jorku na coraz wolniej poruszającym się statku, ujrzał od dawna już obserwowaną statwę Bogini Wolności w blasku słońca, które jak gdyby nagle zaświeciło jaśniej. Jej ramię z mieczem jakby dopiero co uniosło się w górę, a wokół jej postaci wiały swobodne wiatry.

„Taka wysoka!” – powiedział do siebie i choć wcale nie myślał o zejściu ze statku, został stopniowo zepchnięty aż do poręczy burty przez

wciąż wzbierający tłum tragarzy, który go mijał.

Młody człowiek, z którym podczas podróży zawarł przelotną znajomość, powiedział w przejściu:

– No, co, nie ma pan ochoty wysiadać?

– Ależ jestem gotów – odparł Karl uśmiechając się i ponieważ był silnym młodzieńcem, butnie zarzucił sobie kuferek na ramiona. Ale kiedy obejrzał się za swym znajomym, który z lekka wywijając laską oddalał się już z innymi, spostrzegł z zakłopotaniem, że zapomniał pod pokładem swego parasola. Szybko poprosił znajomego, który nie wydawał się tym zbyt uszczęśliwiony, żeby wyświadczył mu uprzejmość i zaczął chwileczkę przy jego kufierku, rozejrzał się jeszcze w sytuacji, żeby trafić tu z powrotem, i pośpiesznie odszedł. Na dole spostrzegł ku swemu ubolewaniu, że korytarz, który bardzo skróciłby mu drogę, jest po raz pierwszy zamknięty, co prawdopodobnie miało związek z wysadzeniem na ląd wszystkich pasażerów, i z trudem musiał szukać schodów, wciąż po sobie następujących, poprzez ustawicznie zakręcające korytarze, poprzez pusty pokój z opuszczonym biurkiem, dopóki właściwie zupełnie nie zabłądził, ponieważ przebywał tę drogę tylko raz lub dwa razy, i to zawsze w większym towarzystwie. Bezradny, a także dlatego, że nie spotkał nikogo i tylko bezustannie słyszał nad sobą szurgot tysięcy stóp, a z oddali, niby tchnienie, dobiegały ostatnie obroty zatrzymanych już maszyn, zaczął bez zastanowienia dobijać się do pierwszych lepszych małych drzwi, które napotkał w swoim błędzeniu.

– Przecież otwarte! – zawołano z wewnątrz i Karl otworzył drzwi z uczuciem ulgi.

– Dlaczego dobija się pan jak wariat? – spytał olbrzymi mężczyzna, ledwo spojrzawszy na Karla. Do nędznej kabiny, w której łóżko, szafa, krzesło i człowiek stali jakby stłoczeni, jak w magazynie, wpadało przez górne okienko posępne, na górze statku od dawna już zużyte światło.

– Zabłądziłem – powiedział Karl. – Podczas podróży nie zauważyłem, że to jest strasznie wielki statek.

– Tak, ma pan słusność – odparł mężczyzna z pewną dumą i nie przestawał mocować się z kuferkiem, który wciąż naciskał obydwoma rękami, nasłuchując zaskoczenia zamka. – Ale niechże pan wejdzie – mówił dalej mężczyzna – nie będzie pan przecież stał za progiem!

– Nie przeszkadzam? – spytał Karl.

– Ale gdzieżby pan przeszkadzał!

– Pan jest Niemcem? – próbował się jeszcze upewnić Karl, bo wiele słyszał o niebezpieczeństwach, jakie nowo przybyłym do Ameryki grożą zwłaszcza ze strony Irlandczyków.

– Jestem, jestem – odparł mężczyzna. Karl wahał się jeszcze. Wtedy mężczyzna znieacka chwycił za klamkę i wraz z drzwiami, które szybko zamknął, wciągnął Karla do środka.

– Nie znoszę, kiedy mi się tu zagłąda z korytarza – rzekł mężczyzna, który znów zaczął majstrować przy zamkach kufierka. – Każdy tędy przebiega i zagłąda do środka, święty by tego nie wytrzymał!

– Ale korytarz jest przecież całkiem pusty – powiedział Karl, stojąc niewygodnie przyparty do słupka podtrzymującego łóżko.

– Tak, teraz – odparł mężczyzna.

„Chodzi przecież właśnie o teraz – pomyślał Karl. – Trudno dogadać się z tym człowiekiem”.

– Niechże się pan położy na łóżku, będzie pan miał więcej miejsca – powiedział mężczyzna.

Karl wczuł się, jak potrafił, do środka i zaśmiał się głośno przy pierwszej nieudanej próbie przedostania się przez poręcz. Lecz zaledwie znalazł się na łóżku, zawołał:

– Na miłość boską, zupełnie zapomniałem o moim kufierku!

– Gdzie on jest?

– Na górze, na pokładzie, pilnuje go znajomy. Ale jakże on się nazywa?
I z ukrytej kieszeni, którą mu matka wszyła na drogę pod podszewkę surduta, wyciągnął wizytówkę: – Butterbaum. Franz Butterbaum.

– Bardzo panu potrzebny ten kuferek?

– Naturalnie.

– No, to dlaczego powierzył go pan obcemu człowiekowi?

– Zapomniałem na dole parasola i pobiegłem, żeby go przynieść, ale nie chciałem taszczyć ze sobą kufereka. A potem w dodatku zablądziłem tutaj.

– Jest pan sam? Bez towarzystwa?

– Tak, sam. – „Powinienem się może trzymać tego człowieka – przemknęło Karlowi przez głowę – gdzież znajdę lepszego przyjaciela!”

– A teraz stracił pan jeszcze kufer. O parasolu już nawet nie mówię.

I mężczyzna usiadł na krześle, jakby sprawa Karla wzbudziła w nim teraz pewne zainteresowanie.

– Ależ ja wierzę, że kuferek nie jest jeszcze stracony.

– Wiara uszczęśliwia – powiedział mężczyzna i podrapał się mocno po ciemnych, krótkich, gęstych włosach. – Na statku wraz ze zmianą portów zmieniają się także obyczaje. W Hamburgu pański Butterbaum może przypilnowałby kufra, tutaj najprawdopodobniej ani po jednym, ani po drugim nie ma już śladu.

– Wobec tego muszę zaraz zajrzeć na górę – powiedział Karl i rozglądnął się wokół, jak by się stąd wydostać.

– Niech no pan zostanie – rzekł mężczyzna i wprost brutalnie uderzając go ręką w pierś, wtrącił go z powrotem do łóżka.

– Dlaczego? – spytał Karl gniewnie.

– Bo to nie ma żadnego sensu – odparł mężczyzna. – Za chwilę ja także wychodzę, to pójdziemy razem. Albo kuferek został skradziony, wtedy nie ma rady, albo ten człowiek go zostawił, a wtedy, gdy statek

zupełnie się opróżni, tym łatwiej go znajdziemy. Tak samo jak pański parasol.

– A pan dobrze zna statek? – zapytał Karl podejrzliwie i wydało mu się, jak gdyby przekonywająca skądinąd myśl, że na pustym statku najłatwiej będzie można odnaleźć jego rzeczy, miała jakiś ukryty haczyk.

– Jestem przecież palaczem okrętowym – powiedział mężczyzna.

– Pan jest palaczem okrętowym! – zawołał Karl z radością, jakby to przechodziło wszelkie jego oczekiwania, i oparłszy się na łokciu, przyjrzał się bliżej mężczyźnie. – Właśnie naprzeciw komórki, w której spałem razem ze Słowakiem, znajdowało się okienko i można było przez nie zaglądać do maszynowni.

– Tak, tam pracowałem – powiedział palacz.

– Zawsze tak bardzo interesowałem się techniką – rzekł Karl, który trzymał się określonego toku myśli – i z pewnością zostałbym kiedyś inżynierem, gdybym nie był zmuszony wyjechać do Ameryki.

– A dlaczego musiał pan wyjechać?

Ech, co tam! – odparł Karl i machnięciem ręki odsunął od siebie całą historię. Patrzył przy tym z uśmiechem na palacza, jakby go prosił o wyrozumiałość nawet dla tego, czego nie wyznał.

– Musiał być jakiś powód – rzekł palacz i nie wiadomo było dokładnie, czy pragnął w ten sposób dopomnieć się, czy też uchronić przed wyznaniem tego powodu.

– Teraz ja także mógłbym zostać palaczem – powiedział Karl – moim rodzicom jest teraz zupełnie obojętne, czym zostaną.

– Moje miejsce będzie wolne – rzekł palacz i ostentacyjnie włożył ręce do kieszeni spodni, a nogi, tkwiące w pomiętych, niby skórzanych, stalowoszarych nogawkach, rzucił na łóżko, żeby się wyciągnąć. Karl musiał przysunąć się bliżej do ściany.

– Opuszcza pan statek?

– Tak jest, dzisiaj odmaszerowujemy.

– Dlaczego? Nie podoba się tu panu?

– No, są pewne okoliczności, nie zawsze rozstrzyga to, czy coś się komu podoba, czy nie. Zresztą ma pan słuszność, nie podoba mi się także. Pan pewnie nie myśli poważnie o tym, żeby zostać palaczem, ale właśnie dlatego najłatwiej można nim zostać. Stanowczo więc panu odradzam. Jeśli pan chciał studiować w Europie, dlaczego nie chce pan studiować tutaj? Amerykańskie uniwersytety są przecież bez porównania lepsze niż europejskie.

– To możliwe – odparł Karl – aleja nie mam prawie pieniędzy na studia. Czytałem wprawdzie o kimś, kto w dzień pracował w sklepie, a w nocy studiował, dopóki nie został doktorem i zdaje mi się burmistrzem, ale do tego trzeba wielkiej wytrwałości, prawda? Boję się, że mi jej brakuje. Poza tym nie byłem szczególnie dobrym uczniem, rozstanie ze szkołą doprawdy nie przyszło mi z trudem. A szkoły tutaj są pewnie jeszcze surowsze. Po angielsku prawie wcale nie umiem. W ogóle zdaje mi się, że mają tutaj duże uprzedzenia do cudzoziemców.

– Pan już także tego doświadczył? No, to w porządku. To z pana swój człowiek. Widzi pan, jesteśmy przecież na niemieckim statku, należy on do linii Hamburg-Ameryka, dlaczego nie ma tu tylko Niemców? Dlaczego starszy maszynista jest Rumunem? Nazywa się Schubal. To przecież nie do wiary. I ten łajdak gnębi nas, Niemców, na niemieckim statku! Niech pan nie myśli – zabrakło mu oddechu, powachlował się ręką – że skarzę się, żeby się skarżyć. Wiem, że pan nie ma żadnych wpływów i sam pan jest biednym chłopaczkiem. Ale tego już za wiele! – I wielokrotnie uderzył pięścią w stół, a uderzając nie spuszczał z niej oczu. – Służyłem przecież na tyłu statkach – i wymienił dwadzieścia nazw jedną po drugiej, jakby to było jedno słowo, Karl zupełnie się w tym pogubił – i odznaczyłem się, chwalono mnie, byłem robotnikiem cenionym przez moich kapitanów,

kilka lat pływałem nawet na pięknym handlowym żaglowcu – podniósł się, jak gdyby to było szczytowym punktem jego życia – a tutaj, na tym pudle, gdzie wszystko urządzone jest pod sznurek, gdzie nie wymaga się ani trochę sprytu, tutaj nic nie jestem wart, tutaj wciąż zawadzam temu Schubalowi, jestem leniem, zasługuję na wyrzucenie i otrzymuję zapłatę jak z łaski. Pan to rozumie? Ja nie.

– Pan nie powinien tego znosić – powiedział Karl z podnieceniem. Stracił już niemal poczucie tego, że znajduje się na niepewnym pokładzie statku, u wybrzeża nie znanej części świata, tak swojsko czuł się tutaj, na łóżku palacza. – Był pan już u kapitana? Upominał się pan już u niego o swoje prawa?

– Ach, idźże pan, idź pan stąd lepiej. Nie chcę pana tutaj. Nie słucha pan tego, co mówię, i daje mi pan rady. Jakże mógłbym iść do kapitana! – Palacz znów usiadł, znużony, i ukrył twarz w dłoniach.

„Nie mogę mu dać lepszej rady” – powiedział sobie Karl. I w ogóle uznał, że powinien był raczej pójść po swój kuferek niż udzielać tu rad, które w dodatku uważano za głupie. Kiedy ojciec oddawał mu kuferek na zawsze, spytał go żartem: „Jak długo będziesz go miał?”, a teraz ów wierny kuferek był już może naprawdę stracony. Pocieszał się tylko tym, że ojciec nie mógł się dowiedzieć o jego obecnym położeniu, nawet gdyby tego próbował. Towarzystwo okrętowe mogło powiedzieć tylko tyle, że dopłynął do Nowego Jorku. Karl jednak żałował, że prawie nie używał rzeczy z kufereka, mimo że, na przykład, od dawna już powinien zmienić koszulę. Tak więc oszczędzał w niewłaściwy sposób; teraz, kiedy akurat na początku swej kariery powinien by wystąpić czysto ubrany, będzie się musiał pokazać w brudnej koszuli. Poza tym utrata kufereka nie wydawała mu się taka straszna, gdyż ubranie, które miał na sobie, było nawet lepsze od tamtego z kufereka, które wziął właściwie tylko na wszelki wypadek i matka jeszcze tuż przed jego odjazdem musiała je łątać. Przypomniwał

sobie także, że w kuferku był jeszcze kawałek werońskiego salami, który matka zapakowała mu jako dodatkowy podarunek, lecz którego zjadł tylko małą część, ponieważ podczas podróży zupełnie nie miał apetytu i zupa, wydawana na międzypokładzie, wystarczała mu aż nadto. W tej chwili jednak chętnie miałby tę kiełbasę pod ręką, żeby ją ofiarować palaczowi. Bo takich ludzi łatwo pozyskać, jeśli im się wetknie jakiś drobiazg, o tym Karl wiedział od ojca; rozdając cygara pozyskiwał on sobie wszystkich niższych urzędników, z którymi miał do czynienia w interesach. Teraz Karl miał do ofiarowania już tylko pieniądze, lecz skoro może naprawdę stracił kuferek, nie chciał ich tymczasem ruszać. Znow wrócił myślami do kuferka i nie mógł zrozumieć, dlaczego tak uważnie pilnował go podczas podróży, że owo pilnowanie kosztowało go niemal sen, a teraz tak łatwo pozwolił sobie ten sam kuferek odebrać. Przypomniawsobnie owe pięć nocy, podczas których bez przerwy podejrzewał, że na jego kuferek czyha pewien mały Słowak, leżący o dwa miejsca w lewo od niego. Ów Słowak czatował tylko, żeby gdy Karl wreszcie ulegnie słabości i zdrzemnie się na chwilę, przyciągnąć do siebie ów kuferek długim drążkiem, którym stale w ciągu dnia bawił się lub ćwiczył. Za dnia Słowak wyglądał dość niewinnie, ale gdy tylko zapadła noc, podnosił się co pewien czas ze swego posłania i smutno spoglądał w stronę kuferka Karla. Karl dostrzegał to całkiem wyraźnie, bo zawsze tu i tam ktoś z emigranckim niepokojem zapalał światło, mimo że regulamin statku tego zabraniał, i próbował odcyfrować niezrozumiałe prospekty agencji emigracyjnych. Jeśli takie światło było w pobliżu, wówczas Karl mógł się trochę zdrzemnąć, jeśli jednak było daleko albo jeśli panowała całkowita ciemność, musiał mieć oczy szeroko otwarte. Ten wysiłek bardzo go wyczerpywał, a okazał się, być może, zupełnie niepotrzebny. Ten Butterbaum, gdybyż mógł go jeszcze kiedy spotkać!

W tym momencie na zewnątrz, w dużym oddaleniu, wśród zupełnej

dotychczas ciszy, zabrzmiały małe, krótkie uderzenia jakby dziecinnych stóp, zbliżyły się wzmagając na sile, a teraz był to już spokojny marsz ludzi. Szli widocznie gęsiego, co w tak wąskim korytarzu było naturalne; rozlegało się coś niby szczęk broni. Karl, który był już blisko tego, aby wyciągnąć się na łóżku i zapaść w sen, wolny od wszelkich trosk o kuferek i o Słowaków, przestraszył się i trącił palacza, żeby wreszcie zwrócić mu uwagę, iż czoło owego pochodu, jak się zdaje, już właśnie sięga drzwi kabiny.

– To jest kapela okrętowa – powiedział palacz. – Grali na górze, a teraz idą się pakować. Wszystko już gotowe i możemy iść. Chodź pan!

Chwycił Karla za rękę, w ostatnim momencie zdjął jeszcze ze ściany nad łóżkiem oprawiony w ramki obrazek Matki Boskiej, wetknął go do kieszeni na piersiach, wziął swój kuferek i razem z Karlem pośpiesznie opuściłabinę.

– Pójdę do biura i powiem tym panom, co o nich myślę. Nie ma już ani jednego pasażera, mogą się nie krępować.

Palacz powtarzał to na rozmaite sposoby i próbował w przejściu uderzeniem nogi w bok zdeptać szczura, przebiegającego drogę, lecz wtrącił go tylko szybciej do dziury, do której zwierzę i tak dotarłoby w porę. Był w ogóle powolny w ruchach, bo chociaż miał długie nogi, były one jednak za ciężkie.

Przechodzili przez pomieszczenie kuchenne, w którym kilka dziewcząt w brudnych fartuchach – umyślnie je plamiły – myło naczynie w wielkich kadziach. Palacz przywołał niejaką Linę, objął ramieniem jej biodra i poprowadził ją kawalek, przytulając się wciąż kokieteryjnie do jego ramienia.

– Właśnie jest wypłata, pójdziesz ze mną? – zapytał.

– Po co mam się fatygować, przynieś mi lepiej pieniądze – odparła, prześliznęła mu się pod ramieniem i uciekła. – Skąd wytrzasnąłeś takiego

przystojnego chłopca? – zawołała jeszcze, ale nie czekała na odpowiedź. Rozległ się śmiech wszystkich dziewcząt, które przerwały pracę.

Oni zaś poszli dalej i podeszli pod drzwi, mające u góry niewielkie zwieńczenie, podtrzymywane przez małe, złożone kariatydy. To urządzenie statku wyglądało na rozrzutność. Karl zauważył, że nigdy nie zaszedł w tę okolicę, która podczas podróży była prawdopodobnie zarezerwowana dla pasażerów pierwszej i drugiej klasy, podczas gdy teraz, przed wielkim sprzątnięciem statku, wyjęto oddzielające ją drzwi. Spotkali też istotnie kilku mężczyzn, którzy niesli miotły na ramionach i pozdrawiali palacza. Karla zdumiewał ów wielki ruch, o którym na swym międzypokładzie niewiele wiedział. Wzdłuż korytarzy ciągnęły się także przewody elektryczne i wciąż słychać było dźwięk małego dzwonka.

Palacz z szacunkiem zapukał do drzwi i kiedy zawołano „wejść!”, ruchem ręki polecił Karlowi, żeby mu towarzyszył bez obawy. Karl wszedł więc do środka, ale pozostał przy drzwiach. Za trzema oknami pokoju widział morskie fale, a kiedy obserwował ich wesoły ruch, biło mu serce, jak gdyby nie oglądał morza bezustannie w ciągu długich pięciu dni. Wielkie statki krzyżowały swe szlaki i tylko o tyle poddawały się uderzeniom fal, o ile pozwalał im na to ich ciężar. Kiedy człowiek mrużył oczy, wydawało mu się, że statki kołyszą się tylko z powodu swego ciężaru. Na masztach miały wąskie, lecz długie flagi, które wprawdzie pod wpływem ruchu były naprężone, mimo to jednak tu i ówdzie trzepotały. Zapewne z okrętów wojennych rozlegały się saluty armatnie, lufy dział jednego z takich okrętów, przepływającego niezbyt daleko, błyszczące lśnieniem stalowej powierzchni, były jak gdyby wygłaskane przez jego bezpieczne, gładkie, ale czasem rozkołysane posuwanie się naprzód. Małe stateczki i łodzie można było, przynajmniej stojąc przy drzwiach, oglądać tylko w oddali, jak całymi chmurami wpływały w wolne przestrzenie między wielkimi statkami. Poza tym wszystkim jednak wznosił się Nowy

Jork i patrzył na Karla stu tysiącami okien swych drapaczy chmur. Tak, w tym pokoju człowiek wiedział, gdzie jest.

Przy okrągłym stole siedziało trzech panów, jeden oficer statku w granatowym marynarskim uniformie, dwaj inni, urzędnicy władz portowych, w czarnych mundurach amerykańskich. Na stole leżał wysoki stos rozmaitych dokumentów; najpierw oficer z piórem w ręce przebiegał je oczyma, żeby następnie wręczyć tamtym dwóm, którzy bądź je czytali, bądź robili wyciągi, bądź też wkładali je do swych teczek, chyba że właśnie jeden z nich, który niemal bez przerwy cicho zgrzytał zębami, dyktował coś swemu koledze do protokołu.

Przy oknie, odwrócony plecami do drzwi, siedział za biurkiem niższy pan, manipulując wielkimi foliałami, które były ustawione przed nim rzędem na masywnej półce bibliotecznej, na wysokości jego głowy. Obok niego stała otwarta i przynajmniej na pierwszy rzut oka pusta kasa.

Przy drugim oknie nie było nikogo i przez nie miało się najlepszy widok. W pobliżu trzeciego natomiast stało dwóch panów, rozmawiających półgłosem. Jeden, oparty o okno, miał na sobie także mundur marynarski i bawił się rękojeścią szpady. Ten, z którym rozmawiał, był odwrócony do okna i coraz to jakimś ruchem odsłaniał część rzędu orderów na piersi drugiego. Był ubrany po cywilnemu i miał cienki, bambusowy kijek, który – ponieważ obie ręce trzymał oparte na biodrach – sterczał również jak szpada.

Karl nie miał czasu przyjrzeć się wszystkiemu, bo wkrótce podszedł do nich służący i zapytał palacza ze spojrzeniem, które mówiło, że jest on tu nie na miejscu, czego sobie życzy. Palacz równie cicho, jak został zapytany, odparł, że chciałby mówić z panem starszym kasjerem. Służący ze swej strony odrzucił tę prośbę ruchem ręki, mimo to, obchodząc wielkim łukiem okrągły stół, podszedł na palcach do pana z foliałami. Ów pan – widać to było wyraźnie – osłupiał wprost pod wpływem słów

służącego, zwrócił się jednak w końcu ku człowiekowi, który pragnął z nim mówić, i zaczął wymachiwać rękami, energicznie broniąc się przed palaczem, a dla pewności także przed służącym. Na to służący zwrócił się znów do palacza i powiedział takim tonem, jakby mu się z czegoś zwierzał:

– Niech pan się natychmiast stąd wynosi!

Po tej odpowiedzi palacz spojrział na Karla, jak gdyby on był jego sercem, któremu milcząco wyznaje swoją skargę. Bez dalszego namysłu Karl ruszył z miejsca, przebiegł na ukos pokój, tak że nawet lekko potracił krzesło oficera, służący ruszył naprzód pochylony, z otwartymi ramionami, jakby polował na jakiegoś robaka, lecz Karl był pierwszy przy starszym kasjerze i chwycił się mocno stołu, na wypadek gdyby służący usiłował go odciągnąć.

Naturalnie w pokoju zaraz się ożywiło. Oficer przy stole zerwał się na równe nogi, panowie z władz portowych spoglądali spokojnie, lecz uważnie, obydwaj panowie przy oknie stanęli razem, odwróceniu ku wnętrzu pokoju, służący, który uznał, że tam, gdzie ważni panowie okazują zainteresowanie, nie jest jego miejsce, wycofał się. Palacz przy drzwiach w napięciu oczekiwał chwili, kiedy jego pomoc okaże się potrzebna. Wreszcie starszy kasjer zdecydowanym ruchem odwrócił się w fotelu na prawo.

Z ukrytej kieszeni, którą bez żadnych skrępowań zdradził spojrzeniom tych ludzi, Karl wysunął swój paszport i zamiast dalszych wyjaśnień otworzył go i położył na stole. Starszy kasjer uznał widać ów paszport za rzecz drugorzędną, gdyż ujął go w dwa palce i odłożył na bok, po czym Karl, jak gdyby ta formalność została pomyślnie załatwiona, schował paszport z powrotem.

– Pozwolę sobie powiedzieć – zaczął następnie – że według mego zdania panu palaczowi dzieje się krzywda. Jest tu niejaki Schubal,

który na niego nastaje. On sam służył już ku całkowitemu zadowoleniu zwierzchnictwa na wielu statkach, które może panom kolejno wymienić, jest pilny, lubi swoją pracę i naprawdę trudno pojąć, dlaczego miałyby być nieodpowiedni właśnie na tym statku, gdzie służba nie jest przecież tak niezmiernie ciężka, jak na przykład na żaglowcach handlowych. A zatem tylko potwarz może przeszkadzać mu w awansie i pozbawiać go uznania, którego inaczej na pewno by mu nie brakowało. Powiedziałem o tej sprawie tylko ogólnie, szczegółowe zażalenia przedstawi panom on sam.

Karl zwracał się ze swym przemówieniem do wszystkich panów, w istocie też wszyscy mu się przysłuchiwali i wydawało mu się o wiele bardziej prawdopodobne, że wśród nich wszystkich znajdzie się jeden sprawiedliwy, niż żeby tym sprawiedliwym miał być właśnie starszy kasjer. Poza tym Karl chytrze przemilczał, że zna palacza od tak niedawna. A zresztą przemawiałby jeszcze o wiele lepiej, gdyby nie odwracała jego uwagi czerwona twarz pana z bambusowym kijkiem, którą, dopiero zmieniawszy miejsce, zobaczył po raz pierwszy.

– To wszystko prawda, słowo w słowo – powiedział palacz, zanim go jeszcze ktoś o to zapytał, zanim nawet na niego spojrzano.

Tym nadmiernym pośpiechem palacz popełniłby duży błąd, gdyby nie to, że pan z orderami, który, jak teraz Karlowi zaświtało, był na pewno kapitanem, najwyraźniej doszedł sam z sobą do porozumienia, że powinien go wysłuchać. Wyciągnął bowiem rękę i zawołał na palacza: – Chodź no pan tutaj! – głosem tak mocnym, że można by weń bić młotem.

Teraz wszystko zależało od zachowania się palacza, gdyż o słuszności jego sprawy Karl nie wątpił.

Na szczęście w tej sytuacji okazało się, że palacz już wiele nawędrował się po świecie. Z wzorowym spokojem wyjął ze swego kuferka paczuszkę papierów oraz notes, natychmiast – jakby to się samo przez się rozumiało – z całkowitym zlekceważeniem starszego kasjera podszedł do kapitana

i rozłożył na parapecie okna swoje dowody. Starszemu kasjerowi nie pozostało nic innego, jak samemu pofatygować się bliżej.

– Ten człowiek jest znanym piniaczem – powiedział dla wyjaśnienia – częściej bywa w kasie niż w maszynowni. Schubala, tego spokojnego człowieka, doprowadził do zupełnej rozpacz. Słuchaj no pan – zwrócił się do palacza – posuwa pan swoje natręctwo naprawdę za daleko. Jak często wyrzucano już pana z izby wypłat, na co pan całkowicie zasługiwał swymi zupełnie i bez wyjątku nieuzasadnionymi pretensjami! Jak często przybiegał pan stamtąd do głównej kasy! Jak często mówiono panu po dobroci, że Schubal jest pańskim bezpośrednim przełożonym i że, jako podwładny, tylko z nim ma się pan porozumiewać! A teraz przychodzi pan jeszcze tutaj, kiedy jest tu pan kapitan, nie wstydzi się pan naprzykrzać nawet jemu, lecz ośmiesza się pan jeszcze, przyprowadzając jako wyuczonego rzecznika pańskich niedorzecznych oskarżeń tego małego, którego w ogóle po raz pierwszy widzę na statku!

Karl gwałtem powstrzymał się, żeby nie skoczyć naprzód. Ale już znalazł się w pobliżu kapitana, który powiedział:

– Wysłuchajmy jednak tego człowieka. Ten Schubal tak czy owak staje się według mnie z biegiem czasu o wiele za samodzielny, ale nie chcę twierdzić, że świadczy to na pańską korzyść.

To ostatnie odnosiło się do palacza, było wszak rzeczą naturalną, że kapitan nie mógł natychmiast stanąć po jego stronie, ale zdawało się, że wszystko jest na właściwej drodze. Palacz rozpoczął swoje wyjaśnienia i przewyciężył się zaraz na początku, tytułując Schubala „panem”. Jakże się cieszył Karl, stojąc przy opuszczonym biurku starszego kasjera i z wielkiego zadowolenia bez przerwy naciskając wagę na listy.

– Pan Schubal jest niesprawiedliwy! Pan Schubal wyróżnia cudzoziemców! Pan Schubal usunął palacza z maszynowni i kazał mu czyścić klozety, co przecież z pewnością nie należy do palacza!

Raz zostały nawet podane w wątpliwość uzdolnienia pana Schubala, które należało jakoby uważać raczej za pozorne niż za rzeczywiste. W tym momencie Karl z całą mocą wlepił wzrok w kapitana, pragnąc dopomóc mu, jakby był jego kolegą, żeby tamten nie dał się aby – wskutek nieco niezręcznego sposobu wyrażania się palacza – przekonać na jego niekorzyść. Jednakże z potoku słów palacza nie dowiadywano się niczego określonego, a chociaż kapitan wciąż jeszcze patrzył przed siebie, a w jego oczach widoczna była decyzja, że tym razem wysłucha palacza do końca, inni panowie zaczęli się niecierpliwić i wkrótce głos palacza nie panował już niepodzielnie w pokoju, co nasuwało pewne obawy. Pan w cywilnym ubraniu pierwszy uruchomił swój bambusowy kijek i, wprawdzie po cichu, zaczął nim stukać w parkiet. Inni oczywiście spoglądali tu i ówdzie, panowie z władz portowych, którym wyraźnie się śpieszyło, sięgnęli znowu po akta i zaczęli je przeglądać, jakkolwiek wciąż jeszcze trochę duchem nieobecni, oficer okrętowy znów bliżej przysunął swój stół, a starszy kasjer, który uważał grę za wygraną, odetchnął głęboko i ironicznie. Ogólnie przejawiającemu się roztargnieniu zdawał się opierać tylko służący, który częściowo współczuł cierpieniom biednego człowieka, stojącego w obliczu wielkich panów, i poważnie kiwał głową w stronę Karla, jak gdyby chciał w ten sposób coś wyjaśnić.

Tymczasem za oknami toczyło się dalej życie portu, płaski statek towarowy z górą beczek, które musiały być w cudowny sposób spiętrzone, żeby się nie stoczyć, przepłynął mimo i sprawił, że w pokoju zrobiło się niemal ciemno; małe motorówki, którym teraz Karl, gdyby miał na to czas, mógłby dokładnie się przyjrzeć, kierowane drganiem rąk człowieka stojącego za sterem, z szumem płynęły prościutko naprzód! Osobliwe przedmioty pływające wynurzały się tu i ówdzie samodzielnie z niespokojnej wody, były po chwili zalewane ponownie i pogrążały się przed zdumionym wzrokiem; marynarze ciężko pracowali przy wiosłach

lodzi oceanicznego parowca, wypełnionych pasażerami, którzy – tak jak ich tam słoczono – siedzieli cicho i wyczekująco, chociaż wielu nie mogło się powstrzymać, żeby nie odwracać głów za zmieniającymi się widokami. Ruch bez końca, niepokój, przeniesiony z niespokojnego żywołu na bezradnych ludzi i na ich dzieło!

Wszystko dopominało się o pośpiech, o zrozumiałość, o zupełnie dokładne przedstawienie; a cóż czynił palacz? Aż się spocił od gadania – od dawna już nie potrafił przytrzymać drżącymi rękami papierów na oknie; ze wszystkich stron świata przyływały do niego skargi na Schubala, a wedle jego zdania każda z nich wystarczyłaby, żeby tego Schubala pogrzebać całkowicie; lecz wszystko, co mógł przekazać kapitanowi, było tylko chaotycznym gładzeniem. Pan z bambusowym kijkiem od dawna pogwizdywał patrząc w sufit, panowie z władz portowych trzymali już oficera przy swoim stole i nic nie sprawiało wrażenia, żeby go mieli kiedykolwiek zwolnić, starszy kasjer najwidoczniej tylko dzięki opanowaniu kapitana powstrzymywał się od interwencji, służący w postawie na baczność oczekiwał każdej chwili rozkazu kapitana w sprawie palacza.

Karl zatem nie mógł dłużej pozostać beczynny. Podszedł więc powoli do grupy, a idąc zastanawiał się szybko, jak by tu możliwie najzręczniejszabrać się do rzeczy. Był już naprawdę najwyższy czas, jeszcze chwilkę, a obydwaj gotowi wylecieć z biura. Kapitan był może nawet dobrym człowiekiem, a ponadto właśnie teraz, jak się Karlowi zdawało, mógł mieć jakiś szczególny powód, żeby okazać się sprawiedliwym zwierzchnikiem, lecz ostatecznie nie był instrumentem, na którym można by grać, aż się rozleci, a tak właśnie traktował go palacz, co prawda tylko pod wpływem bezgranicznego oburzenia.

Karl powiedział więc do palacza:

– Musi pan to opowiedzieć bardziej po prostu, jaśniej, pan kapitan nie

może ocenić słuszności tego, co pan mu w ten sposób opowiada. Czyż, zna on wszystkich maszynistów i chłopców okrętowych po nazwisku, a nawet po imieniu, żeby skoro tylko wymienia pan jakieś nazwisko, mógł od razu wiedzieć, o kogo chodzi? Niechże pan uporządkuje swoje zażalenia, niech pan zacznie od najważniejszych i przechodzi do bardziej błażych, może potem w ogóle już nie będzie potrzeba przytaczać wielu z nich. Przecież mnie pan zawsze wszystko tak jasno przedstawiał! – „Jeśli w Ameryce można ukraść kuferek, można też tu i ówdzie skłamać” – pomyślał na swoje usprawiedliwienie.

Lecz gdybyż to mogło pomóc! Czyż nie było już na to za późno? Wprawdzie palacz przerwał natychmiast, skoro usłyszał znajomy głos, lecz niemal już nie poznawał Karla, patrząc na niego oczyma zupełnie przesłoniętymi łzami, które mu wyciskała urażona ludzka godność, straszne wspomnienia i obecna nieszczęsna sytuacja. Jak mógłby – Karl w milczeniu przyznawał to, stojąc przed teraz już milczącym – jak mógłby on nagle zmienić swój sposób mówienia, skoro wydawało mu się przecież, że wyłożył już wszystko, co miał do powiedzenia, bez najmniejszego przychylnego oddźwięku, a z drugiej strony, że jeszcze w ogóle nic nie powiedział i nie może żądać od tych panów, żeby jeszcze raz wszystkiego wysłuchali. I w takiej chwili zjawia się jeszcze Karl, jego jedyny sprzymierzeniec, chce mu dać dobrą radę, lecz zamiast tego pokazuje mu, że wszystko, wszystko stracone.

„Gdybym był przyszedł wcześniej zamiast patrzeć przez okno” – pomyślał Karl, pochylił twarz przed palaczem i opuścił ręce uderzając po szwach spodni na znak, że nie ma już żadnej nadziei.

Ale palacz źle to zrozumiał, zwęszył chyba, że Karl ma przeciw niemu jakieś ukryte zarzuty, i w najlepszej intencji wyperswadowania mu ich zaczęł – dla ukoronowania swego dzieła – kłócić się z Karlem. Teraz, gdy panowie przy okrągłym stole od dawna już byli oburzeni zbędnym

hałasem, który przeszkadzał im w ważnych pracach, gdy główny kasjer uznał cierpliwość kapitana za niezrozumiałą i był skłonny do natychmiastowego wybuchu, gdy służący, znowu już całkiem wchłonięty przez sferę swych panów, mierzył palacza wściekłym spojrzeniem i kiedy wreszcie pan z bambusowym kijkiem, ku któremu nawet kapitan od czasu do czasu uprzejmie spoglądał, zupełnie już obojętny wobec palacza, a nawet ogarnięty wstrętem do niego, wyjął mały notes i, wyraźnie zajęty zupełnie innymi sprawami, wędrował wzrokiem tam i z powrotem między notesem i Karlem.

– Ależ wiem – mówił Karl, z trudem broniąc się przed potokiem słów palacza, zwróconym teraz przeciw niemu, lecz mimo całej kłótni mając dla niego jeszcze przyjacielski uśmiech. – Ma pan słuszność, ma pan słuszność, nigdy o tym nie wątpiłem.

Chętnie przytrzymałby mu rozdygotane ręce z obawy przed ciosami, a zapewne jeszcze chętniej zaciągnąłby go do jakiegoś kąta, aby mu szepnąć kilka łagodnych, uspokajających słów, których poza nim nikt by nie słyszał. Ale palacz stracił głowę z gniewu. Karl zaczął już nawet teraz czerpać pewną pociechę z myśli, że w ostateczności palacz mógłby pokonać wszystkich siedmiu obecnych mężczyzn siłą swej rozpacz. Co prawda na biurku – jak to było widać na pierwszy rzut oka – znajdował się aparat z mnóstwem guzików elektrycznych do naciskania, i ręka, która by je po prostu nacisnęła, mogła doprowadzić do rebelii na całym statku z wszystkimi jego korytarzami, pełnymi wrogich ludzi.

Wtem jednak ów tak nie zainteresowany pan z bambusowym kijkiem podszedł do Karla i zapytał, niezbyt głośno, lecz wyraźnie pomimo wrzasku palacza:

– Jak pan się właściwie nazywa?

W tym momencie, jakby ktoś czekał za drzwiami na słowa owego pana, rozległo się stukanie. Służący spojrzął na kapitana, ten skinął

głową. Służący podszedł więc do drzwi i otworzył je. Na progu stał w starym surducie z cesarskiej służby człowiek średniego wzrostu, z wyglądu nie nadający się właściwie do pracy przy maszynach; a jednak był to Schubal. Gdyby nawet Karl nie był poznał tego z oczu wszystkich obecnych wyrażających niejaki zadowolenie, co dotyczyło również samego kapitana, musiałyby ku swemu przerażeniu poznać go po wyglądzie palacza, który tak zacisnął pięści wyprężonych rąk, jakby to zaciskanie było dla niego czymś najważniejszym, czymś, czemu gotów był poświęcić wszystko, co miał w życiu. W tym tkwiła cała jego siła, także i ta, która go w ogóle utrzymywała na nogach.

A więc to był ów wróg, swobodny i świeży w świątecznym ubraniu, pod pachą trzymał księgę handlową, zawierającą prawdopodobnie listy płac i świadectwa pracy palacza, i patrzył w oczy wszystkich po kolei, odważnie, nie ukrywając, że przede wszystkim pragnie ustalić nastrój każdego z nich. Okazało się, że we wszystkich siedmiu zdobył już sobie przyjaciół, gdyż nawet jeśli kapitan miał wobec niego przedtem pewne zarzuty lub może tylko zasłaniał się nimi, to po przykrości, jaką wyrządził mu palacz, wydawało się, że Schubala za nic już nie może zganić. Z takim człowiekiem jak palacz nie sposób było postępować dość ostro, a Schubalowi można by chyba tylko to zarzucić, iż z upływem czasu nie potrafił złamać krnąbrności palacza, tak aby ten nie odważył się pojawić dziś przed kapitanem.

Można by jeszcze przyjąć, że waga konfrontacji palacza z Schubalem, nadawana jej przez wysokie forum, nie chybi pożądanego skutku także wobec ludzi, gdyż jeśliby nawet Schubal umiał się maskować, nie było powiedziane, że wytrwa w tym do końca. Krótki przebłysk jego niegodziwości powinien wystarczyć, aby stała się ona dla tych panów widoczna, o to Karl się postara. Znał już przecież mniej więcej bystrość, słabostki, humory poszczególnych panów i z tego punktu widzenia

spędzony tu przez niego czas nie był stracony. Żebyż tylko palacz trzymał się lepiej, ale on sprawiał wrażenie zupełnie niezdolnego do walki. Gdyby mu się podstawiło tego Schubala, z pewnością rozbiłby mu pięściami znieawidzoną czaszkę. Ale nie był już w stanie podejść do niego te kilka kroków. Czemuż Karl nie przewidział tego, co tak łatwo było przewidzieć, że Schubal w końcu będzie musiał nadejść, jeśli nie z własnej inicjatywy, to wezwany przez kapitana? Dlaczego idąc tutaj nie omówili z palaczem dokładnego planu walki, zamiast wchodzić, całkowicie nie przygotowani, po prostu w pierwsze lepsze drzwi – co zresztą w istocie uczynili? Czy palacz w ogóle mógł jeszcze mówić, odpowiadać tak i nie, jak to się mogło okazać potrzebne na przesłuchaniu, w krzyżowym ogniu pytań, na co zresztą zanośli się tylko w najlepszym wypadku? Stał na rozstawionych nogach, niepewnie, z głową nieco uniesioną, a powietrze przepływało mu przez otwarte usta, jak gdyby już nie miał płuc, które by je wchłaniały.

Karl za to czuł się tak silny i przytomny, jakim być może nigdy nie był w domu. Gdybyż go mogli teraz widzieć rodzice, jak w obcym kraju, wobec wybitnych osobistości, walczy w dobrej sprawie, i choć jeszcze nie doprowadził do zwycięstwa, to jednak gotów jest do ostatniego podboju! Czy zrewidowałiby swoje o nim mniemanie? Czy posadziliby go między sobą i chwalili? Czy raz, raz wreszcie spojrzeliby mu w tak im oddane oczy? Niepewne to były pytania i najniewłaściwszy moment do ich zadawania.

– Przychodzę, bo zdaje mi się, że palacz obwinia mnie o jakąś nieuczciwość. Dziewczyna z kuchni powiedziała mi, że widziała, jak szedł tutaj. Panie kapitanie i wy wszyscy panowie, na podstawie moich zapisków, a w razie potrzeby także wypowiedzi nie uprzedzonych i nie ulegających żadnym wpływom świadków, którzy czekają za drzwiami, jestem gotów odepierać każde oskarżenie.

Tak przemówił Schubal. Była to w rzeczy samej jasna, męska mowa,

a po zmianie, jaka zaszła w minach słuchaczy, mogło się wydawać, że po raz pierwszy od dłuższego czasu usłyszeli znowu ludzki głos. Zapewne nie zauważyli, że nawet ta piękna mowa miała pewne luki. Dlaczego pierwsze rzeczowe określenie, które mu się nasunęło, brzmiało: „nieuczciwość”? Czyżby od tego należało zacząć oskarżenie, nie zaś od jego narodowych uprzedzeń? Dziewczyna z kuchni widziała palacza idącego do biura, a Schubal natychmiast to zrozumiał? Czy nie poczucie winy zaostriżyło jego przytomność umysłu? I od razu przyprowadził świadków, a w dodatku nazwał ich jeszcze nie ulegającymi żadnym wpływom? Łajdactwo, czyste łajdactwo! A ci panowie znosili to cierpliwie i w dodatku uznawali jeszcze takie zachowanie się za właściwe? Dlaczego od chwili meldunku służącej aż do przybycia tutaj stracił niewątpliwie dużo czasu? Przecież nie w żadnym innym celu, jak po to, żeby palacz tak bardzo panów zmęczył i doprowadził ich niemal do utraty zdolności jasnego sądu, której Schubal przede wszystkim musiał się obawiać. Czyż on, który z pewnością już od dawna stał pod drzwiami, nie dlatego zapukał dopiero w momencie, w którym słysząc obojętne pytanie tamtego pana, mógł mieć nadzieję, że palacz został wykończony?

Wszystko było jasne i nawet sam Schubal mimo woli tak to przedstawił, ale panom trzeba to było pokazać jeszcze inaczej, jeszcze bardziej namacalnie. Potrzeba im było wstrząsu. A zatem żwawo, Karl, wykorzystaj przynajmniej czas, zanim wystąpią świadkowie i wszystko pogrążą!

Ale właśnie kapitan dał znak Schubalowi, a ten natychmiast odstąpił na bok – gdyż jego sprawa miała, jak się zdawało, pozostać na chwilę w zawieszaniu – i ze służącym, który zaraz się do niego przyłączył, rozpoczął cichą rozmowę, w ciągu której nie brakowało spojrzeń, rzucanych spode łba na palacza i na Karla, a także najbardziej przekonujących gestów. Schubal przygotowywał się w ten sposób widocznie do następnego

przemówienia.

– Zdaje się, że pan chciał zapytać o coś tego młodego człowieka, panie Jakob? – powiedział kapitan wśród ogólnej ciszy do pana z bambusowym kijkiem.

– Istotnie – odparł ten, lekkim skinieniem dziękując za uprzejmość kapitana. I raz jeszcze zapytał Karla:

– Jak pan się właściwie nazywa?

Karl, który sądził, że w interesie wielkiej, głównej sprawy leży szybkie pozbycie się tego upartego wypytywania, odpowiedział krótko, bez przedstawiania się – jak to miał w zwyczaju – za pomocą paszportu, którego najpierw musiałby być poszukać:

– Karl Rossmann.

– Ależ – rzekł ten, którego nazwano Jakobem, i uśmiechając się niemal z niedowierzaniem, w pierwszej chwili odstał w tył. Także i kapitan, starszy kasjer, oficer okrętowy, nawet służący, wyraźnie okazali niezmiernie zdumienie z powodu nazwiska Karla. Tylko panowie z władz portowych i Schubal zachowywali się obojętnie.

– Ależ – powtórzył pan Jakob i nieco sztywnym krokiem podszedł do Karla – wobec tego ja jestem twoim wujem Jakobem, a ty jesteś moim kochanym siostrzeńcem. Przeczynałem to cały czas! – powiedział do kapitana, zanim jeszcze objął i ucałował Karla, który przyjął to wszystko w milczeniu.

– Jak pan się nazywa? – spytał Karl, kiedy poczuł, że go oswobodzono z uścisku, wprawdzie bardzo uprzejmie, lecz zupełnie nieporuszony, i usiłował przewidzieć następstwa, jakie to nowe wydarzenie mogło mieć dla palacza. Tymczasem nic nie przemawiało za tym, żeby Schubal mógł z tej sprawy wyciągnąć jakieś korzyści.

– Niechże pan pojmie swoje szczęście, młody człowieku – powiedział kapitan, sądząc, że pytanie Karla uraziło godność pana Jakoba; stanął on

teraz przy oknie, widocznie po to, żeby nie pokazywać obecnym swej podnieconej twarzy, której ponadto dotykał chusteczką. – To jest senator Edward Jakob, który okazał się pańskim wujem. Czeka pana teraz, zapewne zupełnie wbrew pańskim dotychczasowym oczekiwaniom, wspinała kariera. Niech pan spróbuje to zrozumieć tak dokładnie, jak tylko uda się to panu w pierwszej chwili, i niech pan się opanuje.

– Rzeczywiście, mam w Ameryce wuja Jakoba – powiedział Karl, zwracając się do kapitana – ale, jeżeli dobrze zrozumiałem, Jakob to nazwisko pana senatora.

– Tak jest istotnie – odparł kapitan wyczekująco.

– Ale mój wuj Jakob, który jest bratem mojej matki, ma na imię Jakob, podczas gdy jego nazwisko musiałyby oczywiście brzmieć tak samo jak nazwisko mojej matki, która z domu nazywa się Bendelmayer.

– Moi panowie! – zawołał senator, który po wyjaśnieniu Karla wrócił rzeński ze swego miejsca pod oknem. Wszyscy z wyjątkiem urzędników portowych wybuchnęli śmiechem, niektórzy jakby wzruszeni, inni nieprzeniknieni.

„To, co powiedziałem, nie było przecież wcale takie śmieszne” – pomyślał Karl.

– Moi panowie – powtórzył senator – wbrew mojej i waszej woli bierzecie udział w małej scenie rodzinnej i dlatego nie mogę się powstrzymać od udzielenia wam wyjaśnień, ponieważ jak sądzę, tylko pan kapitan – po tej wzmiance nastąpił wzajemny ukłon – jest w pełni poinformowany.

„Teraz muszę rzeczywiście uważać na każde słowo” – powiedział sobie Karl i ucieszył się, ponieważ spojrzawszy w bok zauważył, że postać palacza zaczęła z powrotem nabierać życia.

– Przez wiele lat mojego pobytu w Ameryce – słowo „pobyt” źle tu zresztą brzmi w odniesieniu do amerykańskiego obywatela, którym jestem

z całej duszy – przez wiele lat żyję zatem całkowicie oddzielony od moich europejskich krewnych z powodów, które, po pierwsze, nie mają tu nic do rzeczy, a po drugie doprawdy zanadto bym się przejął ich wyłuszczeniem. Boję się nawet tej chwili, kiedy, być może, będę zmuszony wyjaśnić je mojemu kochanemu siostrzeńcowi, przy czym, niestety nie da się uniknąć szczerych słów o jego rodzicach i ich dalszych krewnych.

„To jest mój wuj, nie ma żadnej wątpliwości – powiedział sobie Karl i słuchał dalej uważnie. – Prawdopodobnie zmienił nazwisko”.

– Mój kochany siostrzeniec został teraz przez swych rodziców – użyjmy tu słowa, które określa rzecz właściwie – po prostu wyrzucony z domu, tak jak wyrzuca się za drzwi kota, kiedy sprawia kłopot. Nie chcę bynajmniej upiększać tego, co mój siostrzeniec zrobił i za co został tak ukarany, lecz jego przewinienie jest tego rodzaju, że już samo nazwanie go zawiera w sobie usprawiedliwienie.

„Z tym można się zgodzić – pomyślał Karl – ale nie chcę, żeby opowiadał wszystko. Zresztą nie może przecież tego wiedzieć. Skądże by?”

– Został on mianowicie – mówił wuj dalej i pochyliwszy się lekko, oparł się na bambusowym kijku, dzięki czemu rzeczywiście udało się mu pozbawić sprawę zbędnego patosu, który inaczej niewątpliwie by jej towarzyszył – został on uwiedziony przez służącą, Johannę Brummer, osobę mniej więcej trzydziestopięcioletnią. Wcale nie chcę użyć słowa „uwiedziony” urazić mojego siostrzeńca, ale trudno znaleźć inne odpowiednie słowo.

Karl, który już dość blisko podszedł do wuja, odwrócił się, aby z twarzy obecnych odczytać wrażenie, jakie wywarło na nich to opowiadanie. Nikt się nie roześmiał, wszyscy słuchali cierpliwie i z powagą. Ostatecznie zresztą nie ma zwyczaju śmiać się z siostrzeńca senatora przy pierwszej nadarzącej się okazji. Raczej już można by powiedzieć, że palacz,

choć bardzo lekko, uśmiechnął się do Karla, co po pierwsze, ucieszyło go, jako nowy znak życia, po drugie zaś, było usprawiedliwione, gdyż z tej sprawy, która teraz została publicznie ujawniona, Karl pragnął w jego kabinie zrobić szczególną tajemnicę.

– Otóż ta panna Brummer – ciągnął wuj – ma z moim siostrzeńcem dziecko, zdrowego chłopaka, który na chrzcie otrzymał imię Jakob, bez wątpienia z myślą o mojej skromnej osobie, która, poprzez z pewnością uboczne tylko wzmianki mojego siostrzeńca, musiała na dziewczynie wywrzeć duże wrażenie. Powiedziałbym – na szczęście. Bo kiedy rodzice, chcąc uniknąć płacenia alimentów lub innego, już ich samych dotyczącego skandalu – nie znam, co muszę podkreślić, ani tamtejszych ustaw, ani ogólnych warunków życia rodziców – kiedy więc oni, chcąc uniknąć płacenia alimentów i skandalu, wyekspediowali swego syna, a mego kochanego siostrzeńca, do Ameryki, z karygodnie niedostatecznym, jak to widać, wyposażeniem, chłopak, zdany tylko na siebie, bez zdarzających się jeszcze w Ameryce znaków i cudów, wykoleiłby się szybko w jakiejś uliczce nowojorskiego portu, gdyby owa dziewczyna w skierowanym do mnie liście, który po długim błędzeniu przedwczoraj doszedł do moich rąk, nie opowiedziała mi całej historii wraz z opisem osoby mojego siostrzeńca i – co było bardzo rozsądne – także z wymienieniem nazwy statku. Gdybym zamierzał was, moi panowie, zabawić, mógłbym odczytać pewne ustępy tego listu – tu wyciągnął z kieszeni dwa ogromne, gęsto zapisane arkusze listowego papieru i pomachał nimi. – Zrobiłby on z pewnością wrażenie, gdyż jest napisany z nieco prostoduszną przebiegłością, ale w dobrej intencji i z wielką miłością do ojca jej dziecka. Ale nie chcę ani bawić tym panów dłużej, niż to jest konieczne dla wyjaśnienia sprawy, ani też, i to właśnie w chwili powitania, ranić uczuć tkwiących może jeszcze w sercu mego siostrzeńca, który jeśli zechce, może w ciszy swego czekającego już na niego pokoju przeczytać ten list ku nauce.

Ale Karl nie żywił już żadnych uczuć dla owej dziewczyny. W zamęcie wciąż bardziej oddalającej się przeszłości siedziała ona w kuchni obok kuchennego kredensu, na którego blacie opierała łokcie. Patrzyła na niego, kiedy czasami wchodził do kuchni, żeby przynieść ojcu szklankę wody do picia lub powtórzyć jakieś polecenie matki. Czasem, siedząc w niewygodnej pozycji przy kredensie, pisała list i czerpała natchnienie z twarzy Karla. Czasem zasłaniała oczy dłońmi, a wtedy żadne słowa do niej nie docierały. Czasem klękała w swym wąskim pokoiku przy kuchni i modliła się do drewnianego krzyża; Karl obserwował ją wtedy w przejściu nieśmiało, przez szparę nieco uchylonych drzwi. Czasem biegała po kuchni, a kiedy Karl stawał na jej drodze, odskakiwała, śmiejąc się jak czarownica. Czasem, gdy Karl wszedł, zamykała drzwi od kuchni i tak długo przytrzymywała klamkę ręką dopóki nie poprosił, żeby go wypuściła. Czasem przynosiła rzeczy, których on wcale nie chciał mieć, i w milczeniu wtykała mu je do rąk. Aż raz powiedziała: „Karl”, i wśród westchnień i grymasów zaprowadziła go, wciąż jeszcze zdumionego tym nieoczekiwanym nazwaniem go po imieniu, do swego pokoiku, który zamknęła na klucz. Objęła jego szyję, niemal dusząc go w uścisku, i podczas gdy prosiła, żeby ją rozebrał, w rzeczywistości ona jego rozebrała i położyła do swego łóżka, jakby już odtąd nikomu nie chciała go oddać, lecz tylko głaskać go i opiekować się nim aż do końca świata. „Karl, o mój Karl!” – wołała, jak gdyby oglądała go i utwierdzała się w jego posiadaniu, podczas gdy on nic nie widział i czuł się nieswojo w wielkiej ilości rozgrzanej pościeli, którą ona, jak się wydawało, nagromadziła umyślnie dla niego. Potem położyła się przy nim i chciała dowiedzieć się od niego jakichś tajemnic, ale on nie miał jej nic do powiedzenia, a ona gniewała się żartem, czy też poważnie, potrząsała nim, nasłuchiwała bicia jego serca, nadstawiała mu pierś, aby i on nasłuchiwał, do czego jednak nie potrafiła go namówić, przyciskała swój nagi brzuch do jego ciała,

błądziła ręką między jego nogami tak obrzydliwie, że Karl otrząsał się, wynurzając głowę i szyję z pościeli, potem kilka razy poruszyła ku niemu brzuchem – a jemu wydało się, że ona jest częścią jego samego, i może z tego powodu ogarnęła go straszliwa potrzeba pomocy. Płacząc, powrócił wreszcie do własnego łóżka, po wielokrotnie przez nią wyrażanych życzeniach powtórnego spotkania się z nim. To było wszystko, a przecież wuj umiał zrobić z tego wielką historię. A jak się okazało, kucharka także o nim myślała i dała znać wujowi o jego przybyciu. To było ładnie z jej strony i Karl zamierzał jej się za to jeszcze kiedyś odwdziaczyć.

– A teraz – zawołał senator – chcę, abyś szczerze powiedział, czy jestem twoim wujem, czy nie.

– Jesteś moim wujem – powiedział Karl i pocałował go w rękę, za co został ucałowany w czoło. – Cieszę się bardzo, że cię spotkałem, ale mylisz się, jeśli myślisz, że moi rodzice mówią o tobie tylko źle. I niezależnie od tego twoje przemówienie zawierało kilka błędów, to znaczy, naprawdę nie wszystko było tak. Ale ty istotnie nie możesz stąd tych rzeczy tak dokładnie ocenić, a poza tym sądzę, że nie ma wielkiej szkody, jeśli ci panowie zostali trochę niedokładnie poinformowani o szczegółach sprawy, na której przecież naprawdę nie może im wiele zależeć.

– Dobrześ to powiedział – rzekł senator, zaprowadził Karla przed widocznie zainteresowanego kapitana i spytał: – Czyż nie mam wspianiałego siostrzeńca?

– Jestem szczęśliwy – odparł kapitan z ukłonem, jaki potrafią wykonać tylko ludzie wyszkoleni w wojsku – że mogłem poznać pańskiego siostrzeńca, panie senatorze. To szczególny zaszczyt dla mego statku, że stał się on miejscem takiego spotkania. Podróż na międzypokładzie była z pewnością bardzo męcząca, no, ale skąd można wiedzieć, kto tam z nami płynie, Cóż, robimy wszystko, co możliwe, żeby ludziom na międzypokładzie jak najbardziej ułatwić podróż, o wiele więcej na

przykład niż linie amerykańskie, ale wciąż jeszcze nie udało nam się uczynić im takiej podróży przyjemną.

– Nie zaszkodziła mi! – powiedział Karl.

– Nie zaszkodziła mu! – powtórzył senator śmiejąc się głośno.

– Boję się tylko, że zgubiłem kuferek... – i mówiąc to, Karl przypomniał sobie o wszystkim, co zaszło i co jeszcze zostało do zrobienia, rozglądając się wokół i ujrzał wszystkich obecnych, oniemiałych z szacunku i ze zdumienia, na swoich dawnych miejscach, z oczami wpatrzonymi w niego. Tylko po urzędnikach portowych można było poznać – o ile pozwalały na to ich surowe i zadowolone z siebie twarze – ubolewanie, że zjawili się w tak nieodpowiednim czasie, a kieszonkowy zegarek, który teraz przed nimi leżał, był dla nich zapewne ważniejszy niż wszystko, co w pokoju zaszło i mogło jeszcze zajść.

Rzecz osobliwa, że pierwszym, który po kapitanie wyraził swoje uczucia, był palacz.

– Gratuluję panu serdecznie – powiedział i potrząsnął ręką Karla, przez co chciał wyrazić też coś w rodzaju uznania. Gdy potem zamierzał z tymi samymi słowami zwrócić się do senatora, ten cofnął się, jakby palacz przekraczał swoje prawa; palacz odstąpił też natychmiast.

Pozostali jednak zorientowali się teraz, co należy uczynić, i już wywołali zamieszanie wokół Karla i senatora. Doszło więc do tego, że Karl otrzymał nowe gratulacje od Schubala, przyjął je i podziękował mu. Na ostatku przyłączyli się, w przywróconym już spokoju, urzędnicy portowi i powiedzieli dwa słowa po angielsku, co wywołało zabawne wrażenie.

Senator był w najlepszym nastroju, aby w pełni zakosztować przyjemności przypomnienia sobie i innym mniej ważnych momentów, co naturalnie zostało przez wszystkich przyjęte nie tylko cierpliwie, lecz nawet z zainteresowaniem. Zwrócił więc uwagę na to, że wspomniane

w liście kucharki najbardziej charakterystyczne znaki rozpoznawcze Karla zapisał sobie w notesie, żeby w razie potrzeby móc z nich natychmiast skorzystać. Otóż podczas nieznośnych wrzasków palacza, w żadnym innym celu, jedynie po to, żeby odwrócić myśli, wyciągnął notes i dla zabawy próbował odnaleźć związek pomiędzy bynajmniej nie detektywistycznie dokładnymi obserwacjami kucharki a wyglądem Karla.

– Iw ten sposób odnajduje się siostrzeńca! – zakończył takim tonem, jak gdyby chciał raz jeszcze przyjąć gratulacje.

– Co się teraz stanie z palaczem? – spytał Karl pomijając ostatnie opowiadanie wuja. Sądził, że w swoim nowym położeniu może wypowiadać wszystko, co myśli.

– Z palaczem stanie się to, na co zasługuje – odparł senator – i co pan kapitan uzna za słuszne. Zdaje mi się, że palacza mamy już dość i nawet bardziej niż dość, co do tego na pewno zgodzą się ze mną wszyscy obecni tu panowie.

– Ależ to nie odgrywa roli, jeśli chodzi o sprawiedliwość – powiedział Karl.

Stał między wujem i kapitanem i przypuszczał, być może pod wpływem tej pozycji, że decyzja zależy od niego.

Mimo to jednak zdawało się, że palacz już się niczego dla siebie nie spodziewa. Trzymał ręce na w pół założone za pasek od spodni, który skutek jego gwałtownych ruchów ukazał się wraz z kawałkiem wzorzystej koszuli. Palacz wcale się tym nie przejmował; wyrzucił z siebie całe cierpienie, teraz więc niech tamci zobaczą także tych parę szmat, które ma na grzbiecie, a potem mogą go przepędzić. Pomyślał sobie, że służący i Schubal, jako dwaj najniżsi rangą tutaj, powinni mu wyświadczyć tę ostatnią przysługę. Schubal odzyskałby potem spokój i nie wpadałby już w rozpacz, jak się wyraził starszy kasjer. Kapitan mógłby zatrudnić samych Rumunów, wszędzie mówiono by po rumuńsku i może

wtedy wszystko naprawdę szłoby lepiej. Żaden palacz nie wyprawiałby już hałasów w głównej kasie, a tę jego ostatnią gadaninę zachowano by raczej w przyjaznym wspomnieniu, ponieważ jak to senator wyraźnie oświadczył, dała ona pośrednio sposobność rozpoznania jego siostrzeńca. Ten siostrzeniec kilkakrotnie próbował się zresztą przedtem przysłużyć palaczowi, a więc za jego przyczynienie się do rozpoznania przez wuja już dużo wcześniej odwdzieczył mu się z nawiązką; palaczowi w ogóle nie przyszło do głowy jeszcze czegoś od niego żądać. Poza tym Karl mógł sobie być siostrzeńcem senatora, ale do kapitana było mu jeszcze daleko, a właśnie z ust kapitana musiało paść w końcu złe słowo. – I odpowiednio do swych myśli palacz próbował nawet nie patrzeć na Karla, niestety, w tym pokoju pełnym wrogów na nikim innym nie mógł spokojnie zatrzymać wzroku.

– Nie zrozum źle tego stanu rzeczy – rzekł senator do Karla. – Może chodzi tu o sprawiedliwość, ale równocześnie i o dyscyplinę. Obydwie, a zwłaszcza ta ostatnia, podlegają tutaj wyrokowi kapitana.

– Tak jest istotnie – mruknął palacz. Kto to usłyszał i zrozumiał, uśmiechnął się zdziwiony.

– My zaś ponadto już tak bardzo przeszkodziliśmy panu kapitanowi w jego urzędowych czynnościach, które z pewnością właśnie w chwili przybycia do Nowego Jorku niewiarygodnie się mnożą, że już najwyższy czas, abysmy opuścili statek i na domiar wszystkiego jakimś w najwyższym stopniu zbytecznym wmieszaniem się nie zrobili z tej błahej kłótni dwóch maszynistów jakiegoś wydarzenia. Zupełnie zresztą rozumiem twoje postępowanie, kochany siostrzeńcze, ale to właśnie daje mi prawo jak najspieszniej cię stąd zabrać.

– Każę natychmiast spuścić dla pana łódź – powiedział kapitan, ku zdumieniu Karla nie wnosząc najmniejszego sprzeciwu co do słów wuja, które przecież bez wątplenia można było uważać za jego samoupokorzenie

się. Starszy kasjer pośpiesznie rzucił się do biurka i przekazał telefonicznie rozkaz kapitana bosmanowi.

„Czas nagli – mówił sobie Karl – ale nic nie mogę zrobić nie obrażając wszystkich. Nie mogę przecież opuścić wuja teraz, kiedy mnie dopiero co odnalazł. Kapitan jest wprawdzie uprzejmy, ale też na tym koniec. Wobec dyscypliny jego uprzejmość znika i na pewno z całej duszy zgadza się ze słowami wuja. Z Schubalem nie będę rozmawiał, przykro mi nawet, że podałem mu rękę. A wszyscy inni tutaj – to plewa”.

I z takimi myślami powoli podszedł do palacza, wyciągnął jego prawą rękę zza paska i, bawiąc się nią, zatrzymał ją w swojej.

– Czemu nic nie mówisz? – spytał. – Czemu znosisz to wszystko? – Palacz zmarszczył tylko czoło, jakby szukał odpowiednich słów na to, co miał do powiedzenia. Poza tym patrzył na rękę Karla i swoją. – Nikogo nie spotkała na tym statku taka niesprawiedliwość jak ciebie, dobrze to wiem. – I Karl przesunął palec między palcami palacza, a ten błyszczącymi oczami rozglądał się naokoło, jakby przypadła mu rozkosz, której nikt nie mógł mu brać za złe. – Musisz się jednak bronić, mówić tak i nie, inaczej przecież ludzie nie będą mieli pojęcia o prawdzie. Musisz mi przyrzec, że pójdziesz za moim przykładem, bo ja sam, nie bez racji się tego obawiam, nie będę ci mógł już nic pomóc.

I teraz Karl zapłakał, całując rękę palacza i przyciskając jego popękaną i niemal martwą dłoń do swych policzków jak skarb, którego musi się wyrzec. Ale już wuj senator znalazł się u jego boku i, co prawda używając nieco siły, odciągnął go na stronę.

– Zdaje się, że palacz cię z czarował – powiedział i ponad głową Karla spojrział porozumiewawczo na kapitana. – Czułeś się opuszczony, wtedy znalazłeś palacza i teraz jesteś mu wdzięczny, co ci się bardzo chwali. Ale nie posuwaj tego, choćby ze względu na mnie, za daleko i naucz się rozumieć swoją pozycję.

Na zewnątrz powstał hałas, słycać było okrzyki i zdawało się nawet, jak gdyby kogoś brutalnie pchnięto na drzwi. Wszedł marynarz o nieco dzikim wyglądzie, przepasany dziewczęcym fartuchem.

– Tam są ludzie! – zawołał i w powietrzu rozdawał ciosy łokciem, jakby znajdował się jeszcze w tłoku. W końcu opamiętał się i chciał zasalutować kapitanowi, wtedy zobaczył fartuch, zerwał go, rzucił na podłogę i krzyknął: – To obrzydliwe, zawiązali mi fartuch.

Potem jednak stuknął obcasami i zasalutował. Ktoś próbował się rozeźmiać, ale kapitan powiedział surowo: – To nazywam, dobrym humorem. Kto tam jest?

Moi świadkowie – powiedział Schubał występując naprzód. – Uniżenie proszę wybaczyć ich niestosowne zachowanie. Kiedy ludzie mają podróż za sobą, są czasem jak szaleni.

– Niech ich pan tu natychmiast zawoła – rozkazał kapitan i obróciwszy się zaraz do senatora powiedział uprzejmie, lecz z pośpiechem:

– Niech pan będzie łaskaw, szanowny panie senatorze, i razem ze swoim siostrzeńcem uda się za tym marynarzem, który zaprowadzi pana do łodzi. Nie potrzebuję naturalnie mówić, jaką przyjemność i jaki zaszczyt sprawiło mi osobiste poznanie pana, panie senatorze. Życzyłbym sobie tylko, abym wkrótce miał sposobność podjąć z panem, panie senatorze, naszą przerwana rozmowę o stosunkach w amerykańskiej flocie i aby może potem ta rozmowa została przerwana w równie przyjemny sposób jak dzisiaj.

– Na razie wystarczy mi ten jeden siostrzeniec! – odparł senator ze śmiechem. – A teraz proszę przyjąć moje najszczerze podziękowanie za pańską uprzejmość i żegnam pana. Nie jest to zresztą wcale takie nieprawdopodobne, że – tu serdecznie przygarnął Karla – podczas naszej najbliższej podróży do Europy będziemy mogli przebywać z panem czas dłuższy.

– Cieszyłbym się z tego serdecznie – powiedział kapitan.

Obydwaj panowie uścisnęli sobie dłonie, Karl mógł tylko w milczeniu i pośpiesznie podać rękę kapitanowi, gdyż ten zajął się już grupą około piętnastu osób, które weszły pod wodzą Schubala, wprowadzie trochę speszone, lecz bardzo hałaśliwe. Marynarz poprosił senatora, żeby zechciał pójść za nim, i torował w tłumie drogę dla niego i dla Karla, tak że bez trudu przeszli wśród kłaniających się im ludzi. Zdawało się, że ci dobroduszni zresztą ludzie uważają kłótnię palacza z Schubalem za żart, który nie przestawał być śmieszny nawet w obecności kapitana. Karl zauważył wśród nich także dziewczynę kuchenną Linę, która, wesoło do niego mrugając, zawiązywała sobie rzucony przez marynarza fartuch, ponieważ był jej własnością.

Idąc dalej za marynarzem, opuścili biuro i skręcili w mały korytarz, a ten po paru krokach doprowadził ich do drzwiczek, skąd krótkie schodki wiodły do przygotowanej dla nich łodzi. Marynarze w szalupie, do której sternik zaraz wskoczył jednym susem, powstawali z miejsc i zasalutowali. Senator upominał właśnie Karla, żeby schodził ostrożnie, gdy Karl, jeszcze na najwyższym stopniu, wybuchnął gwałtownym płaczem. Senat ujął go prawą ręką pod brodę, przycisnął go mocno do siebie i głaskał lewą ręką. Tak, powoli, stopień po stopniu, zeszli na dół i ściśle z sobą połączeni weszli do łodzi, gdzie senator wyszukał dla Karla dobre miejsce na wprost siebie. Na znak senatora marynarze odbili od statku i zaczęli wiosłować z całej siły. Zaledwie oddalili się o kilka metrów, Karl dokonał nieoczekiwanego odkrycia, że znajdują się właśnie po tej stronie statku, na którą wychodzą okna głównej kasy. Wszystkie trzy okna były obsadzone przez świadków Schubala, którzy bardzo przyjaźnie pozdrawiali ich i machali rękami, nawet wuj im dziękował, a jeden z marynarzy dokonał sztuki, gdyż nie przerywając równomiernego wiosłowania, przesłał ręką pocałunek. Było naprawdę tak, jakby nie istniał już żaden palacz.

Karl objął badawczym spojrzeniem wuja, którego kolan niemal dotykał własnymi kolanami, i ogarnęła go wątpliwość, czy ten człowiek będzie mógł mu kiedykolwiek zastąpić palacza. A wuj także unikał jego wzroku i patrzył na fale, na których kołysała się ich łódź.

Wuj

W domu wuja Karl przyzwyczał się wkrótce do nowych warunków. Ale też wuj w najdrobniejszych sprawach w miły sposób usuwał wszelkie trudności i Karl nigdy nie musiał wyciągać nauki ze złych doświadczeń, co przeważnie tak zatruwa pierwsze chwile życia za granicą.

Pokój Karla znajdował się na szóstym piętrze domu, którego pięć niższych pięter i dołączone do nich jeszcze trzy pod ziemią zajmował dom handlowy wuja. Światło, które wpadało do pokoju Karla przez dwa okna i przez drzwi od balkonu, zawsze od nowa zdumiewało go, kiedy wchodził tu rano ze swojej małej sypialni. Bo gdzieżby musiał mieszkać, gdyby wysiadł na ląd jako biedny, mały imigrant? Ba, może by go w ogóle, co wuj na podstawie swej znajomości ustaw imigracyjnych uważał nawet za bardzo prawdopodobne, nie wpuszczono do Stanów Zjednoczonych, lecz odesłano do domu, nie troszcząc się o to, że nie miałby już wtedy żadnej ojczyzny. Bo nie można było tutaj liczyć na litość i to, co Karl czytał na ten temat o Ameryce, było zupełnie słuszne; zdawało się, że tylko ludzie szczęśliwi mogą tu naprawdę zażywać szczęścia pośród beztroskich twarzy swego otoczenia.

Wąski balkon ciągnął się przez całą długość pokoju. Ale to, co w rodzinnym mieście Karla byłoby zapewne najwyższym punktem, z którego rozpościerał się widok, tu pozwalało zaledwie spoglądać na ulicę, która pomiędzy dwoma rzędami domów o kanciastych zarysach biegła prosto

i dlatego jak gdyby uciekała w dal, gdzie spośród oparów wynurzały się ogromne kształty katedry. I rano jak i wieczorem, i jak pośród nocnych marzeń trwał na tej ulicy wciąż rosnący ruch, który, widziany z góry, wyglądał jak mieszanina karykaturalnych postaci ludzkich i dachów pojazdów wszelkiego rodzaju, wylewająca się z wciąż nowych źródeł i łącząca się z sobą, sponad niej unosiła się jeszcze nowa, zwielokrotniona, dzika mieszanina hałasu, kurzu i zapachów, a całość ogarniało i przenikało potężne światło, wciąż na nowo rozsiewane przez mnóstwo przedmiotów, odpływające i znów gorliwie przynoszone i jawiło się oszołomionym oczom tak materialnie, jak gdyby ponad tą ulicą co chwila z całej siły rozbijano w kawałki pokrywającą wszystko szklaną szybę.

Wuj, ostrożny we wszystkim, radził Karlowi na razie w nic się poważnie nie wdawać. Powinien raczej wszystkiego spróbować i wszystko obejrzeć, lecz nie wiązać się z niczym. Pierwsze dni Europejczyka w Ameryce można by porównać do narodzin i gdyby się nawet ktoś tutaj, niechże się tylko Karl niepotrzebnie nie obawia, przyzwyczaił wcześniej, niż jakby przyszedł z tamtego świata, to musi jednak mieć na uwadze, że pierwszy sąd oparty jest zawsze na niepewnych podstawach i że nie powinno się dopuszczać do zamącenia nim wszystkich innych przyszłych sądów, które mogą być przecież pomocne, jeżeli pragnie się żyć tutaj dalej. On sam znał nowo przybyłych, którzy na przykład, zamiast trzymać się tych dobrych zasad, całymi dniami wystawali na balkonie i patrzyli w dół na ulicę jak zagubione owce. To musi bezwarunkowo doprowadzić do zamętu! Na taką samotną bezczynność, zagapioną wśród pracowitego dnia nowojorskiego, można by zezwolić komuś podróżującemu dla przyjemności, a może nawet – choć nie bez zastrzeżeń – mu ją doradzać, ale dla kogoś, kto ma tutaj pozostać, byłaby ona zgubą, w tym wypadku można spokojnie użyć tego słowa, choćby to nawet była przesada. I rzeczywiście, wuj robił zirytowaną minę, kiedy podczas wizyt, które

składał mu zawsze tylko raz dziennie, lecz o najrozmaitszych porach, zastawał Karla na balkonie; Karl wkrótce to zauważył i dlatego odmawiał sobie – o ile tylko mógł – tej przyjemności.

Nie była to zresztą bynajmniej jego jedyna przyjemność. W pokoju stało amerykańskie biurko najlepszego gatunku, takie jakie od lat pragnął mieć jego ojciec i na najrozmaitszych licytacjach usiłował kupić za dostępną mu niską cenę, co przy jego skromnych środkach nigdy mu się nie udało. Tego biurka nie można było naturalnie porównać z owymi rzekomo amerykańskimi biurkami, które pojawiają się na europejskich licytacjach. Miało ono na przykład w swej górnej szafce sto przegródek najrozmaitszej wielkości i nawet prezydent Stanów mógłby tam dla każdego ze swych akt znaleźć odpowiednie miejsce, a ponadto z boku był regulator i kręcąc korbą można było, stosownie do upodobania i potrzeby, przestawiać i zmieniać układ owych przegródek. Cienkie boczne ścianki opuszczały się powoli i tworzyły podstawę nowych, unoszących się w górę, lub pułap wynurzającej się przegródki; już po jednym obrocie szafka nabierała zupełnie innego wyglądu i wszystko, zależnie od sposobu kręcenia korbą, zmieniało się powoli lub z szaleńczą szybkością. Był to najnowszy wynalazek, lecz bardzo żywo przypominał Karlowi kukiełkowe jasełka, które w Boże Narodzenie pokazywano zdumionym dzieciom na jarmarku; Karl także stawał tam często, zakutany w zimowe ubranie, i bez przerwy porównywał kręcenie korbą, którym zajmował się pewien starszy człowiek, z oddziaływaniem na jasełkowe postacie, z zacinającym się wkraczaniem Trzech Króli, z rozbłyskiwaniem gwiazdy i z nieśmiałym życiem w świętej stajence. I zawsze wydawało mu się, że matka stojąca za nim nie dość dokładnie śledzi wszystkie wydarzenia; przyciągał ją do siebie, dopóki nie poczuł, że dotyka jej plecami, i tak długo głośnymi okrzykami wskazywał jej ukryte zjawiska, jak zajączka, który w trawie, na przedzie scenki, na zmianę służył na dwóch

łapkach, a potem znowu gotował się do biegu, aż matka zasłaniała mu usta i prawdopodobnie z powrotem zapadała w poprzednią obojętność. Zapewne biurko nie tylko po to sfabrykowano, żeby przypominało o takich rzeczach, ale w historii wynalazków istniał chyba podobnie niewyraźny związek, jak we wspomnieniach Karla. W odróżnieniu od Karla wuj wcale nie był tym meblem zachwycony, po prostu chciał kupić dla Karla porządne biurko, ale wszystkie były teraz zaopatrzone w takie nowoczesne urządzenie, którego zaleta polegała także na tym, że można je było bez dużych kosztów przystosować do starszych biurek. W każdym razie wuj nie omieszkął poradzić Karlowi, żeby, o ile to możliwe, w ogóle nie używał regulatora; aby wzmocnić oddziaływanie tej rady, wuj twierdził, że mechanizm jest bardzo czuły, łatwo go zepsuć, a naprawa jest bardzo kosztowna. Nietrudno było pojąć, że używał tylko wykrętu, ponieważ z drugiej strony należało powiedzieć, że regulator bardzo łatwo jest nastawić, czego jednak wuj nie uczynił.

W pierwszych dniach, kiedy, co samo przez się zrozumiałe, pomiędzy Karlem i wujem odbywały się częstsze rozmowy, Karl opowiedział także, że w domu mało wprawdzie, lecz chętnie grywał na fortepianie, w czym zresztą nie wyszedł poza początki nauki, których udzielała mu matka. Karl był świadomy tego, iż jego opowiadanie jest równocześnie prośbą o fortepian, ale rozejrzał się już wystarczająco, by stwierdzić, że wuj w żadnym razie nie musi oszczędzać. Mimo to wuj nie zaraz przychylił się do jego prośby, lecz dopiero w jakiś tydzień później powiedział, w formie niemal niechętnego wyznania, że fortepian właśnie przywieziono i Karl może, jeśli zechce, dopilnować transportu. Była to wprawdzie lekka praca, lecz przy tym niewiele lżejsza niż sam transport, gdyż w domu znajdowała się osobna winda towarowa, w której bez trudu mógłby się zmieścić cały wóz meblowy, i ona właśnie uniosła także fortepian do pokoju Karla. Karl mógłby wprawdzie pojechać tą samą windą, razem

z fortepianem i z robotnikami, którzy go transportowali, ale ponieważ tuż obok była do dyspozycji winda osobowa, pojechał nią, utrzymywał się przy pomocy dźwigni stale na tej samej wysokości co tamta winda i poprzez szklane ściany cały czas patrzył na piękny instrument, będący teraz jego własnością. Kiedy go już miał w swoim pokoju i uderzył pierwsze tony, ogarnęła go tak obłądna radość, że zamiast grać dalej, zerwał się i wolał obserwować fortepian z pewnej odległości, z rękami wspartymi na biodrach. Akustyka w pokoju była także znakomita i przyczyniła się do tego, że jego początkowe, trochę niemiłe uczucie mieszkania w żelaznym domu minęło całkowicie. Istotnie, choć z zewnątrz budynek wyglądał na zbudowany z żelaza, w pokoju nie rzucała się w oczy jego żelazna konstrukcja i nikt nie potrafiłby w urzędzeniu wskazać choćby jednego drobiazgu, który by w jakikolwiek sposób zakłócał doskonałą przytulność. Karl wiele sobie początkowo obiecywał po swojej grze na fortepianie i nie wstydził się przynajmniej przed zaśnięciem myśleć o możliwości wywarcia nią bezpośredniego wpływu na swe warunki amerykańskie. Istotnie brzmiało to osobliwie, kiedy w pokoju z oknami otwartymi na wypełnione hałasem powietrze grał jakąś starą ojczystą piosenkę żołnierską, którą żołnierze, rozparci wieczorem na parapetach koszarowych okien i wyglądający na mroczny plac, śpiewali sobie od okna do okna – ale kiedy spojrzął na ulicę, była nie zmieniona i stanowiła tylko mały odcinek systemu krążenia, którego samego w sobie nie można było zatrzymać bez poznania wszystkich sił, jakie działały w całym obiegu. Wuj tolerował grę na fortepianie i nie wypowiadał się przeciwko niej, zwłaszcza że Karl, również po jego upomnieniu, rzadko pozwalał sobie na tę przyjemność; ba, wuj przyniósł nawet Karlowi nuty amerykańskich marszów i naturalnie także hymnu narodowego, ale chyba nie samą tylko radością, jaką czerpał z muzyki, można było wytłumaczyć to, że któregoś dnia zupełnie poważnie zapytał Karla, czy nie chciałby uczyć się także

gry na skrzypcach, albo na waltorni.

Pierwszym i najważniejszym zadaniem Karla była oczywiście nauka angielskiego. Młody profesor wyższej szkoły handlowej pojawiał się w pokoju Karla o siódmej rano i zastawał go już przy biurku, siedzącego nad zeszytami lub chodzącego tam i z powrotem po pokoju i uczącego się na pamięć. Karl oczywiście rozumiał, że w przyswajaniu sobie angielszczyzny nawet największy pośpiech nie będzie jeszcze dostateczny i że poza tym ma tutaj najlepszą okazję, aby wujowi sprawić niezwykłą radość szybkimi postępami. I rzeczywiście, podczas kiedy z początku przy spotkaniach z wujem jego angielszczyzna ograniczała się tylko do słów powitania i pożegnania, wkrótce udawało mu się coraz większe części rozmowy przeprowadzać po angielsku, dzięki czemu równocześnie zaczęły nasuwać się także bardziej poufne tematy. Pierwszy poemat amerykański, opis pożaru, który Karl mógł wujowi pewnego wieczoru wyrecytować, sprawił, że wuj bardzo spoważniał z zadowolenia. Stali wtedy obydwoj przy oknie w pokoju Karla, wuj wyglądał na dwór, gdzie cała jasność nieba już zniknęła, i w rytmie wierszy powoli, równomiernie uderzał w dłonie, podczas gdy Karl stał obok niego wyprostowany i z nieruchomym spojrzeniem wyrzucał z siebie trudny poemat.

Im lepsza stawała się angielszczyzna Karla, tym większą okazywał wuj chęć zbliżenia go do znajomych, i tylko zarządzał przy takich okazjach, żeby na razie profesor angielskiego trzymał się zawsze w pobliżu Karla. Pierwszym znajomym, któremu Karl pewnego przedpołudnia został przedstawiony, był szczupły, młody, niewiarygodnie gibki człowiek, którego wuj ze szczególnymi grzecznościami przyprowadził do pokoju Karla. Był to widocznie jeden z owych wielu – z punktu widzenia rodziców nieudanych – synów milionerów, których życie upływało tak, że zwykły człowiek nie mógł bez bólu obserwować choćby jednego dowolnego dnia życia takiego młodego mężczyzny. A jemu, jak gdyby

o tym wiedział lub przeczuwał to i jak gdyby lubił spotykać się z tym, jeśli było to w jego mocy, igrał wokół warg i oczu nieustający uśmiech szczęścia, które dotyczyło jego samego, jego rozmówcy i całego świata.

Z owym młodym człowiekiem, niejakiem panem Maćkiem, ustalono z całkowitym poparciem wuja, że o pół do szóstej rano będą razem jeździli konno albo w ujeżdżalni, albo na świeżym powietrzu. Wprawdzie Karl z początku wahał się, czy się na to zgodzić, ponieważ jeszcze nigdy nie siedział na koniu i chciał najpierw nauczyć się początków, ale ponieważ wuj i Mack bardzo go namawiali i przedstawiali mu jazdę konną tylko jako przyjemność i zdrowe ćwiczenie, a nie jako sztukę, w końcu przystał. Musiał teraz wstawać z łóżka już o pół do piątej, a to często sprawiało mu przykrość, gdyż wskutek stałego napięcia uwagi w ciągu dnia odczuwał brak snu, lecz przechodziło mu to wkrótce w łazience. Nad całą wanną, wzdłuż i wszerz, rozpięte było sito prysznicu – któryż jego kolega szkolny, nawet bardzo bogaty, posiadał w domu coś takiego, i to w dodatku wyłącznie dla samego siebie? – leżał więc Karl wyciągnięty w wannie, mógł w niej nawet szeroko rozłożyć ramiona, i puszczał na siebie strumienie letniej, gorącej, znowu letniej, a w końcu lodowatej wody, według własnego upodobania z części sita albo całej jego powierzchni. Leżał jakby w trochę przedłużonej rozkoszy snu i szczególnie lubił z zamkniętymi oczami podstawić twarz pod ostatnie, pojedynczo spadające krople, które potem łączyły się i spływały.

W ujeżdżalni, do której podwoził Karla wysoki automobil wuja, oczekiwał go już profesor angielskiego, podczas gdy Mack zawsze przychodził dopiero później. Ale i Karl mógłby spokojnie przychodzić później, gdyż właściwa, żwawa jazda zaczynała się dopiero wtedy, kiedy Mack się zjawiał. Czyż konie, pogrążone dotychczas w półśnie, nie stawały dęba, gdy on wchodził, czyż bicz nie trząskał głośniejszemu maneu, czyż na dookolnej galerii nie pojawiały się nagle pojedyncze

osoby, widzowie, stajenni, uczniowie jazdy konnej i kim tam oni jeszcze byli? Karl wykorzystywał jednak czas przed przyjściem Macka na to, aby przynajmniej przerobić trochę choćby najbardziej prymitywnych ćwiczeń przygotowawczych do jazdy. Był tam wysoki mężczyzna, który do najwyższych końskich grzbietów sięgał ledwie uniesioną ręką i on to udzielał Karlowi owej nauki, trwającej najwyżej kwadrans. Wyniki, jakie Karl przy tym osiągał, nie były zbyt imponujące i mógł przyswoić sobie przy tym wiele angielskich okrzyków skargi, które podczas tych lekcji bez tchu wykrzykiwał do swego profesora, opartego zawsze o futrynę drzwi i zwykle bardzo sennego. Ale prawie całe niezadowolenie z jazdy zniknęło, kiedy przybywał Mack. Wysokiego mężczyznę odprawiano i wkrótce we wciąż jeszcze na wpół ciemnej sali nie słychać było nic oprócz tętentu galopujących koni i nie widać prawie nic oprócz podniesionego ramienia Macka, którym wydawał Karlowi komendy. Po pół godzinie kończyła się ta przyjemność, która mijała jak sen. Mack bardzo się śpieszył, żegnał się z Karlem, poklepywał go czasem po policzku, kiedy był z jego jazdy szczególnie zadowolony, i zniknął, z wielkiego pośpiechu nie wychodząc nawet razem z Karlem za drzwi. Karl zabierał potem profesora z sobą do samochodu i udawali się na lekcję angielskiego, przeważnie drogą okrężną, gdyż na jazdę w tłoku wielkiej ulicy, wiodącej wprost z domu wuja do ujeżdżalni, straciliby zbyt wiele czasu. Zresztą profesor wkrótce przestał mu towarzyszyć, gdyż Karl, który robił sobie wyrzuty, że niepotrzebnie fatyguje zmęczonego człowieka do ujeżdżalni, zwłaszcza że porozumiewanie się po angielsku z Maćkiem było bardzo łatwe, poprosił wuja, żeby zwolnił profesora z tego obowiązku. Po pewnym zastanowieniu się wuj spełnił także i tę prośbę Karla.

Stosunkowo długo trwało, zanim wuj zdecydował się pozwolić Karlowi także na pobieżny wgląd w jego przedsięwzięcie, choć Karl często go o to prosił. Był to rodzaj przedsięwzięcia komisowo spedycyjnego i, o ile

Karl mógł sobie przypomnieć, w Europie takich w ogóle się nie spotykało. Interes polegał mianowicie na pośrednictwie handlowym, nie oznaczało ono jednak przekazywania towarów od producenta konsumentów czy też do kupców, lecz pośredniczenie w dostawie wszelkich towarów i surowców dla karteli fabrycznych i pomiędzy nimi. Był to zatem interes, który obejmował kupno, składowanie, transport i sprzedaż na wielką skalę i musiał utrzymywać bardzo dokładną nieustanną telefoniczną i telegraficzną łączność z klientami. Sala telegrafów była nie mniejsza, lecz większa od urzędu telegraficznego w rodzinnym mieście, który Karl kiedyś zwiedził ze znanym tam swoim szkolnym kolegą. W sali telefonów, w jakąkolwiek stronę się spojrzano, otwierały się i zamykały drzwi telefonicznych kabin i rozlegało się oszałamiające dzwonicie. Wuj otworzył najbliższe z tych drzwi i za nimi, w jaskrawym elektrycznym świetle, Karl ujrzał urzędnika obojętnego na skrzypienie drzwi, z głową opiętą stalową taśmą, która przyciskała mu do uszu słuchawki. Jego prawa ręka leżała na stolniczku, jakby była szczególnie ciężka, i tylko palce trzymające ołówek drgały z nieludzką równomiernością i szybkością. W słowach, które mówił do tuby telefonu, był bardzo oszczędny, a często widać było nawet, że może miałby swemu rozmówcy coś do zarzucenia, może chciałby się go o coś dokładniej spytać, lecz pewne słowa, które słyszał, zmuszały go, zanim mógł spełnić swój zamiar, do spuszczenia oczu i pisania. Nie musiał też nic mówić, ponieważ, jak to wuj po cichu wyjaśnił Karlowi, te same meldunki, które przyjmował, były przyjmowane równocześnie przez dwóch innych urzędników, a potem porównywane, co w największym stopniu wykluczało możliwość pomyłki. W chwili kiedy wuj i Karl wychodzili z kabiny, wśliznął się do niej praktykant i wyszedł z zapisanymi tymczasem kartkami papieru. W sali trwał nieprzerwany ruch tu i tam pędzących ludzi. Nikt nikogo nie pozdrawiał, witanie się zostało zniesione, każdy wpadał w krok idącego przed nim i patrzył w podłogę,

po której możliwie prędko pragnął posuwać się naprzód, lub przebiegał wzrokiem chyba tylko pojedyncze słowa albo cyfry na papierach, które trzymał w ręku i które trzepotały przy jego szybkim kroku.

– Naprawdę daleko zaszedłeś – powiedział Karl podczas jednej z owych przechadzek po biurze, na którego zwiedzenie trzeba było wiele dni; nawet gdyby się tylko rzuciło okiem na każdy oddział.

– A musisz wiedzieć, że wszystko to przed trzydziestu laty sam założyłem. Miałem wówczas w dzielnicy portowej mały sklep i jeśli wyładowano tam w ciągu dnia pięć skrzyń, to było dużo i szedłem do domu pękając z dumy. Dziś mam trzecie pod względem wielkości maszyny w porcie, a w tamtym sklepie jest jadalnia i skład narzędzi sześćdziesiątej piątej grupy moich tragarzy.

– To graniczy z cudem – powiedział Karl.

– Wszystko rozwija się tutaj tak szybko – odparł wuj, urywając rozmowę.

Pewnego dnia wuj przyszedł na krótko przed porą posiłku, który Karl, jak zwykle, zamierzał spożyć samotnie, i polecił mu przebrać się garaż na czarno i pójść z nim na obiad, w którym wezmą udział dwaj jego partnerzy od interesów. Podczas gdy Karl przebierał się w sąsiednim pokoju, wuj usiadł przy biurku, przejrzał ukończone właśnie angielskie wypracowanie, uderzył dłonią w stół i zawołał głośno: – Naprawdę wspaniale!

Ubieranie się bez wątpienia udało się lepiej, gdy Karl usłyszał tę pochwałę, ale też był już naprawdę dosyć pewny swej angielszczyzny.

W jadalni wuja, którą Karl pamiętał jeszcze z pierwszego wieczoru po swoim przybyciu, podniosło się na powitanie dwóch wysokich, tęgich panów, jednym z nich był niejaki Green, drugim niejaki Pollunder, jak się okazało z rozmowy przy stole. Wuj unikał bowiem wypowiedzania choćby pobieżnych uwag o swych znajomych i zawsze pozostawiał Karlowi odnalezienie w nich na podstawie własnej obserwacji czegoś potrzebnego

lub interesującego. Po posiłku, podczas którego omawiano tylko poufne sprawy handlowe, co dla Karla było dobrą lekcją wyrażen kupieckich, jemu zaś pozwolono spokojnie zająć się potrawami, jak gdyby był dzieckiem, które przede wszystkim musi najeść się do syta, pan Green nachylił się do Karla i usiłując w widoczny sposób mówić możliwie wyraźnie po angielsku, zapytał go ogólnie o pierwsze amerykańskie wrażenia. W panującej dokoła śmiertelnej ciszy Karl, zerkając parę razy na wuja odpowiedział dosyć szczegółowo i z wdzięczności usiłował przypodobać się, używając języka zabarwionego nieco z nowojorska. Przy pewnym jego wyrażeniu trzej panowie zaczęli się nawet śmiać jeden przez drugiego i Karl obawiał się już, że popełnił jakiś rażący błąd; jednakże nie, jak mu to wyjaśnił pan Pollunder, powiedział nawet coś bardzo udanego. Ten pan Pollunder w ogóle sprawiał wrażenie, jakby Karl szczególnie mu się podobał, i podczas gdy wuj i pan Green powrócili znowu do rozmów o interesach, pan Pollunder polecił Karlowi przysunąć swoje krzesło bliżej, wypytywał go najpierw o imię, pochodzenie i podróż, wreszcie zaś, żeby dać Karlowi odpocząć, pośpiesznie opowiedział mu, śmiejąc się i kaszląc, o sobie i o swojej córce, z którą mieszkał w małej wiejskiej posiadłości pod Nowym Jorkiem, gdzie zresztą mógł spędzać tylko wieczory, ponieważ był bankierem i jego zawód zatrzymywał go przez cały dzień w mieście. Karl został też zaraz serdecznie zaproszony do owej posiadłości, taki świeżo upieczony Amerykanin jak on z pewnością odczuwa czasem potrzebę wytchnienia od Nowego Jorku. Karl natychmiast poprosił wuja o zezwolenie na przyjęcie zaproszenia, a wuj udzielił go z widoczną radością, nie wymieniając jednak dokładnej daty ani nawet nie zastanawiając się nad nią, jak tego Karl i pan Pollunder oczekiwali.

Ale już następnego dnia Karl został wezwany do gabinetu wuja (miał on dziesięć rozmaitych gabinetów tylko w tym domu), gdzie zastał wuja i

pana Pollundera, dość małowównych, rozpartych w fotelach.

– Pan Pollunder – powiedział wuj, ledwie widoczny w przedwieczornym mroku zalegającym pokój – pan Pollunder przyszedł, żeby cię zabrać do swojej posiadłości, jak o tym wczoraj rozmawialiśmy.

– Nie wiedziałem, że to nastąpi już dzisiaj – odpowiedział Karl – byłbym już przygotowany.

– Skoro nie jesteś przygotowany, to może odłożmy lepiej tę wizytę na później – rzekł wuj.

– Ale cóż to za przygotowania! – zawołał pan Pollunder. – Młody człowiek jest zawsze gotów.

– Nie chodzi o niego – powiedział wuj, zwracając się do gościa – ale musiałyby bądź co bądź pójść na górę do swego pokoju, co by pana zatrzymało.

– Mamy na to dość czasu – rzekł pan Pollunder – przewidziałem także pewną zwłokę i wcześniej zakończyłem dzień pracy.

– Widzisz – powiedział wuj – jakie kłopoty powoduje już teraz twoja wizyta.

– Przykro mi – rzekł Karl. – Ale zaraz będę z powrotem. – I już chciał biec.

– Niech się pan zbyt nie śpieszy – powiedział pan Pollunder. – Nie robi mi pan żadnego kłopotu, odwrotnie, pańska wizyta sprawia mi szczerą radość.

– Opuścisz jutro swoją lekcję jazdy konnej. Czy już ją odwołałeś?

– Nie – powiedział Karl. Ta wizyta, na którą się cieszył, zaczynała mu ciążyć. – Nie wiedziałem przecież...

– I mimo to chcesz jechać? – pytał dalej wuj.

Pan Pollunder, ten uprzejmy człowiek, pośpieszył z pomocą.

– Po drodze zatrzymamy się przed ujeżdżalnią i załatwimy tę sprawę.

– Miło mi to usłyszeć – rzekł wuj. – Ale jednak Mack będzie na ciebie

czekał.

– Czeakać na mnie nie będzie – powiedział Karl. – Ale zapewne tam przyjdzie.

– A więc? – rzekł wuj, jak gdyby odpowiedź Karla nie była żadnym usprawiedliwieniem.

Pan Pollunder znowu rozstrzygnął sprawę:

– Ale Klara – była to córka pana Pollundera – także go oczekuje, i to już dzisiaj wieczorem, a ona ma chyba pierwszeństwo przed Maćkiem?

– Istotnie – powiedział wuj. – Więc biegnij już do swego pokoju. – I kilkakrotnie, jak gdyby mimo woli, uderzył ręką w poręcz fotela. Karl był już przy drzwiach, gdy wuj jeszcze zatrzymał go pytaniem: – Ale chyba wrócisz jutro rano na lekcję angielskiego?

– Co znowu? – zawołał pan Pollunder i na tyle, na ile pozwalała mu jego tusza, obrócił się w fotelu ze zdumienia. – Czy nie może pozostać przynajmniej przez jutrzejszy dzień? Przywiózłbym go z powrotem pojutrze rano.

– W żadnym razie – odpowiedział wuj. – Nie mogę dopuścić do takiego nieładu w jego nauce. Później, kiedy będzie już wiódł jakieś własne uregulowane życie zawodowe, bardzo chętnie pozwolę mu na przyjęcie tak uprzejmego i zaszczytnego zaproszenia nawet na czas dłuższy.

„Cóż to za sprzeciw!” – pomyślał Karl.

Pan Pollunder posmutniał.

– Na jeden wieczór i jedną noc, to rzeczywiście prawie nie warto.

– Takie było i moje zdanie – powiedział wuj.

– Trzeba brać, co się dostaje – rzekł pan Pollunder i już znowu się roześmiał. – Więc czekam! – zawołał do Karla, który, ponieważ wuj nic więcej nie powiedział, odszedł pośpiesznie.

Kiedy wkrótce wrócił gotowy do podróży, zastał w biurze już tylko pana Pollundera, wuj odszedł. Pan Pollunder, uszczęśliwiony, uściśnął

obie ręce Karla tak mocno, jak gdyby przez to chciał upewnić się, że Karl jednak z nim jedzie. Karl był jeszcze rozgrzany z pośpiechu i ze swej strony także potrząsnął obydwoma dłońmi pana Pollundera, cieszył się, że może pojechać na tę wycieczkę.

– Czy wuj nie gniewał się, że jadę?

– Ależ nie! Nie myślał tego wszystkiego poważnie. Po prostu pańskie wychowanie leży mu na sercu.

– Czy on sam powiedział panu, że nie myślał poważnie tego, co mówił przedtem?

– O tak – rzekł pan Pollunder cedząc słowa i dowiódł tym, że nie mógłby skłamać.

– To dziwne, jak niechętnie pozwolił mi pana odwiedzić, chociaż jest pan przecież jego przyjacielem.

Także pan Pollunder, choć tego otwarcie nie przyznał, nie potrafił znaleźć wyjaśnienia i obydwaj, jadąc automobilem pana Pollundera wśród ciepłego wieczoru, długo jeszcze o tym myśleli, choć zaraz zaczęli rozmawiać o innych rzeczach.

Siedzieli tuż przy sobie i pan Pollunder, opowiadając, trzymał dłoń Karla w swojej. Karl pragnął dowiedzieć się wiele o pannie Klarze, jakby niecierpliwiła go długa jazda i jak gdyby przy pomocy tych opowiadań mógł przybyć na miejsce wcześniej niż w rzeczywistości. Jakkolwiek nigdy jeszcze nie jechał wieczorem przez nowojorskie ulice, a po chodnikach i jezdni, co chwila zmieniając kierunek, jak wichher gnała wrzawa, niby nie powodowana przez ludzi, lecz będąca obcym żywiołem, Karl, próbując uważnie słuchać słów pana Pollundera, nie interesował się niczym, tylko ciemną kamizelką pana Pollundera, w poprzek której spokojnie zwisał ciemny łańcuszek. Z ulic, którymi publiczność w wielkiej nie ukrywanej obawie przed spóźnieniem szybkim krokiem i w pojazdach, zmuszanych do możliwie największego pośpiechu, zdążyła do teatrów, wyjechali

przez pośrednie dzielnice na przedmieście, gdzie konni policjanci wciąż kierowali ich automobil w boczne uliczki, gdyż duże były zajęte przez demonstrację strajkujących metalowców i można było dopuścić tylko najkonieczniejszy ruch samochodowy na skrzyżowaniach. Kiedy potem automobil, wyjechawszy z ciemnych, rozbrzmiewających głuchym echem uliczek, mijał jedną z tych wielkich ulic, podobnych raczej do placów, z obu stron pojawiły się w perspektywie, której końca nikt nie mógł dojrzeć, chodniki wypełnione zbitą masą poruszającą się drobnymi kroczkami, której śpiew był bardziej jednolity niż śpiew jednego ludzkiego jedynego głosu. Na chronionym pustym pasie jezdni widać było jednak tu i ówdzie policjanta na nieruchomym koniu albo ludzi niosących chorągwie lub rozpięte nad ulicą transparenty, albo jednego z przywódców robotniczych otoczonego współpracownikami i gońcami, albo wagon tramwaju elektrycznego, który nie wycofał się dość szybko i teraz stał tu, pusty i ciemny, a kierowca i konduktor siedzieli na platformie. Małe grupki ciekawych stały w dużej odległości od prawdziwych demonstrantów i nie opuszczały swych miejsc, chociaż nie zdawały sobie sprawy z istoty wydarzeń. Lecz Karl z zadowoleniem siedział oparty o ramię, którym otaczał go pan Pollunder; przekonanie, że wkrótce znajdzie się jako pożądanym gościem w oświetlonym, otoczonym murami i strzeżonym przez psy wiejskim domu, sprawiało mu przyjemność ponad wszelką miarę, a chociaż z powodu ogarniającej go senności nie wszystko, co mówił pan Pollunder, dochodziło już do niego bezbłędnie lub choćby bez przerw, jednak od czasu do czasu trzeźwiał i przecierał oczy, aby znów na chwilę upewnić się, czy pan Pollunder zauważył jego senność, gdyż tego za wszelką cenę pragnął uniknąć.

Wiejski dom pod Nowym Jorkiem

– Przyjechaliśmy – powiedział pan Pollunder właśnie w jednym z momentów nieświadomości Karla. Automobil stał przed wiejskim domem, który na modłę wiejskich domów bogatych ludzi w okolicy Nowego Jorku był zbyt obszerny i wysoki jak na wiejską siedzibę, przeznaczoną dla jednej rodziny. Ponieważ tylko dolna część domu była oświetlona, nie można było w ogóle ocenić, jak wysoko sięga on w górę. Przed nim szumiały kasztany, między którymi – ogrodzenie było już otwarte – prowadziła krótka droga do zewnętrznych schodów. Wsiadając Karl wywnioskował ze swego zmęczenia, że jazda trwała jednak dosyć długo. W ciemności kasztanowej alei usłyszał obok siebie dziewczęcy głos mówiący:

– Nareszcie jest pan Jakob.

– Nazywam się Rossmann – powiedział Karl i ujął dłoń podaną mu przez dziewczynę, której sylwetkę teraz zobaczył.

– On jest tylko siostrzeńcem Jakoba – wyjaśnił pan Pollunder – a sam nazywa się Karl Rossmann.

– To w niczym nie zmienia naszej radości, że jest u nas – powiedziała dziewczyna, która nie przywiązywała wagi do nazwiska.

Pomimo to Karl, idąc w stronę domu między panem Pollunderem a dziewczyną, zapytał jeszcze:

– Pani jest panną Klarą?

– Tak – odparła, a z domu padło już nieco światła na jej twarz, którą ku niemu nachyliła – ale nie chciałam przedstawiać się tutaj w ciemności.

„Czyżby czekała na nas przy ogrodzeniu?” – myślał Karl, który idąc stopniowo się rozbudził.

– Mamy zresztą jeszcze jednego gościa dziś wieczorem – powiedziała

Klara.

– Niemożliwe! – zawołał Pollunder gniewnie.

– Pana Greena – dokończyła Klara.

– Kiedy on przyjechał? – zapytał Karl, jakby ogarnięty jakimś przeczuciem.

– Przed chwilą. Nie słyszeliście jego samochodu przed waszym?

Karl spojrział na Pollundera, by się przekonać, jak on ocenia tę sprawę, ale Pollunder trzymał ręce w kieszeniach spodni i tylko stąpał nieco mocniej.

– Jeśli człowiek mieszka w niewielkiej odległości od Nowego Jorku, na nic mu się to nie przydaje, nie może uchronić się od natrętów. Będziemy musieli bezwarunkowo przenieść naszą siedzibę jeszcze dalej; choćbyśmy musieli jechać pół nocy, żeby się dostać do domu.

Przystanęli przy schodach.

– Ale pan Green przecież już bardzo dawno tu nie był – powiedziała Klara, która najwidoczniej zgadzała się z ojcem w zupełności, lecz mimo to pragnęła go uspokoić.

– Więc dlaczego przyjechał właśnie dziś wieczorem? – rzekł Pollunder, a jego słowa staczały się już wściekle z grubej dolnej wargi, która będąc obwisłym, ciężkim kawałem mięsa, łatwo wprawiała się w gwałtowny ruch.

– Rzeczywiście! – powiedziała Klara.

– Może wkrótce odjedzie – zauważył Karl i sam zdumiał się swoim porozumieniem z tymi ludźmi, jeszcze wczoraj zupełnie mu obcymi.

– O, nie – powiedziała Klara. – On ma dla papy jakiś wielki interes, którego omówienie prawdopodobnie długo potrwa, bo już groził mi żartem, że jeśli chcę być uprzejmą gospodynią, będę musiała przysłuchiwać się aż do rana.

– Więc jeszcze i to. Wobec tego zostanie na noc! – zawołał Pollunder,

jakby stała się rzecz najgorsza. – Naprawdę miałbym ochotę – powiedział i dzięki tej nowej myśli stał się uprzejmiejszy – naprawdę miałbym ochotę wsadzić pana, panie Rossmann, do samochodu i odwieźć z powrotem do pańskiego wuja. Dzisiejszy wieczór jest już z góry zepsuty, a kto wie, jak prędko pański pan wuj znowu nam pana odstąpi. Ale jeśli już dziś pana odwożę, nie będzie nam mógł odmówić niebawem pańskiej wizyty.

I już ujął Karla za rękę, żeby wykonać swój plan. Ale Karl nie ruszył się z miejsca, a Klara poprosiła, żeby go ojciec zostawił, gdyż przynajmniej jej i Karlowi pan Green nie będzie ani trochę przeszkadzał; w końcu także sam Pollunder zrozumiał, że jego postanowienie nie było niezłomne. Ponadto – i to rozstrzygnęło sprawę – usłyszano nagle, jak pan Green ze szczytu schodów woła w kierunku ogrodu:

– Gdzież wy się podziewacie?

– Chodźcie – powiedział Pollunder i skrzyknął ku zewnętrznym schodom. Za nim szli Karl i Klara, którzy przyglądali się teraz sobie nawzajem przy świetle.

„Jakie ona ma czerwone wargi” – mówił sobie Karl i myślał o wargach pana Pollundera i o tym, jak pięknie odmieniły się one w jego córce.

– Po kolacji – powiedziała Klara – pójdziemy zaraz, jeśli to panu odpowiada, do mojego pokoju, żebyśmy przynajmniej my pozbyli się tego pana Greena, skoro już papa musi się nim zajmować. I będzie pan potem tak uprzejmy zagrać mi coś na fortepianie, bo papa już opowiadał, jak dobrze pan to robi, a ja, niestety, zupełnie nie mam zdolności i nie dotykam mego fortepianu, chociaż właściwie bardzo kocham muzykę.

Karl zgadzał się zupełnie na propozycję Klary, choć chętnie wciągnąłby także pana Pollundera do ich towarzystwa. Wobec olbrzymiej postaci Greena – do wzrostu Pollundera Karl już się właśnie przyzwyczyił – która ukazywała im się, w miarę jak wstępowali po stopniach, tracił jednak wszelką nadzieję wyrwania w jakiś sposób pana Pollundera dziś

wieczorem temu człowiekowi.

Pan Green przywitał ich bardzo pośpiesznie, jak gdyby wiele miał do nadrobienia, ujął pana Pollundera pod ramię i popchnął Karla i Klarę przed sobą do jadalni, która, zwłaszcza dzięki kwiatom na stole, wznoszącym się sponad ułożonych pasami świeżych liści, wyglądała bardzo uroczyście, co w dwójnasób wzbudzało ubolewanie z powodu obecności niepożądanego pana Greena. Karl, czekając przy stole, dopóki inni nie usiądą, cieszył się jeszcze, że wielkie szklane drzwi wiodące do ogrodu pozostaną otwarte, gdyż wpadał przez nie do środka silny zapach jak do ogrodowej altany, gdy właśnie pan Green sapiąc poszedł je zamknąć, pochylił się aż do najniższej zasuwki, wyciągnął się aż do najwyższej, a wszystko to czynił z tak młodzieńczą zwawością, że nadbiegający lokaj nic już nie miał do roboty. Pierwsze słowa pana Greena przy stole wyraziły zdumienie, że Karl otrzymał zezwolenie wuja na tę wizytę. Podnosił do ust jedną po drugiej łyżkę zupy i wyjaśniał na prawo Klarze, a na lewo panu Pollunderowi, dlaczego tak go zdumiewa, jak bardzo wuj czuwa nad Karlem i jak to miłość wuja do Karla jest zbyt wielka, żeby można ją jeszcze nazywać miłością wujowską.

„Nie dość, że się tu niepotrzebnie wmieszał, to jeszcze wtrąca się w sprawy które dotyczą mnie i wuja” – myślał Karl i nie mógł przełknąć ani jednego łyka zupy o złocistej barwie. Potem jednak nie chciał po sobie pokazać, jak bardzo czuje się zakłopotany i zaczął wlewać w siebie zupę w milczeniu. Posiłek mijał powoli niby jakaś udręka. Tylko pan Green i może jeszcze Klara byli ożywieni i znajdowali czasem sposobność do krótkiego śmiechu. Pan Pollunder kilka razy dawał się wciągnąć do rozmowy, kiedy pan Green zaczynał mówić o interesach. Jednakże nawet z takich rozmów wkrótce się wycofywał i po pewnym czasie pan Green musiał go znów nimi zaskakiwać. Kładł zresztą nacisk na to – i wtedy właśnie Klara musiała Karlowi, który nasłuchiwał, jakby mu coś groziło,

zwrócić uwagę, że stoi przed nim pieczone i że siedzi przy kolacji – że nie miał z góry zamiaru złożyć tej nieoczekiwanej wizyty. Gdyż, jakkolwiek interes, o którym będą musieli jeszcze pomówić, jest szczególnie pilny, można było przynajmniej to, co najważniejsze, załatwić dzisiaj w mieście, a sprawy drugorzędne odłożyć na jutro lub na jeszcze później. Wobec tego jeszcze na długo przed zamknięciem biura istotnie był u pana Pollundera, ale go nie zastał, tak że zmuszony był zatelefonować do domu, iż nie wróci na noc, i przyjechać tutaj.

– A zatem ja muszę prosić o wybaczenie – powiedział Karl głośno i zanim jeszcze ktoś zdążył odpowiedzieć – bo to moja wina, że pan Pollunder opuścił dzisiaj wcześniej biuro, i bardzo mi przykro z tego powodu.

Pan Pollunder zakrył większą część twarzy serwetą, podczas gdy Klara uśmiechnęła się wprawdzie do Karla, nie był to jednak uśmiech zrozumienia, lecz taki, który miał na niego w jakiś sposób wpłynąć.

– Niepotrzebne tu żadne wybaczenie – powiedział pan Green, który ostrymi cięciami rozkrawał właśnie gołębia. – Przeciwnie, cieszę się, że mogę spędzić wieczór w tak miłym towarzystwie, zamiast samemu jeść kolację w domu, gdzie służy mi moja stara gosposia, tak stara, że już odbycie drogi od drzwi do stołu przychodzi jej z trudem, a ja mogę na długo odchylić się w tył w mym krześle, jeśli ją chcę w trakcie tej drogi obserwować. Dopiero niedawno osiągnąłem to, że służący przynosi potrawy aż do drzwi jadalni, lecz droga od drzwi do stołu należy się jej, o ile ją dobrze rozumiem.

– Mój Boże! – zawołała Klara – to się nazywa wierność!

– Tak, istnieje jeszcze wierność na świecie – powiedział pan Green i wsunął kęs do ust, w których, jak Karl przypadkiem zauważył, język z rozmachem zagarnął jadło w głąb. Zrobiło mu się niemal mdło i wstał. Pan Pollunder i Klara niemal równocześnie chwycili go za ręce.

– Musi pan jeszcze zostać przy stole – powiedziała Klara. A kiedy znowu usiadł, szepnęła mu: – Wkrótce znikniemy razem. Proszę mieć cierpliwość.

Pan Green tymczasem spokojnie zajmował się swoim jedzeniem, tak jakby naturalnym zadaniem pana Pollundera i Klary było uspokajanie Karla, kiedy on przyprawia go o mdłości.

Posiłek przeciągał się zwłaszcza wskutek dokładności, z jaką pan Green traktował każde danie, choć gotów był zawsze bez znużenia zabrać się do następnego. Naprawdę miało się wrażenie, że chce gruntownie odpocząć od swojej starej gospodyni. Od czasu do czasu chwalił pannę Klarę za sztukę prowadzenia gospodarstwa, co jej w widoczny sposób pochlebiało, Karla zaś kusiło, żeby mu dać odpawę, jakby ją atakował. Ale pan Green nie zadowalał się Klarą, lecz często, nie podnosząc głowy znad talerza, ubolewał nad uderzającym brakiem apetytu Karla. Pan Pollunder wziął apetyt Karla w obronę, chociaż on, jako gospodarz, powinien by także zachęcać Karla do jedzenia. I rzeczywiście Karl, wskutek przymusu, jaki zadawał sobie podczas całej kolacji, czuł się tak rozdrażniony, że wbrew zdrowemu rozsądkowi tłumaczył sobie słowa pana Pollundera jako niegrzeczność. I tylko z powodu tego stanu jadł raz niewłaściwie szybko i dużo, a potem znów na długi czas ze znużeniem opuszczał widelec i nóż i był najbardziej nieruchomą osobą w towarzystwie, z którą służący podający potrawy często nie wiedział, co począć.

– Już ja jutro opowiem panu senatorowi, jak pan zmartwił pannę Klarę swoim brakiem apetytu – powiedział pan Green i ograniczył się do wyrażenia żartobliwego zamiaru tych słów sposobem, w jaki manewrował sztuczkami. – Spójrz no pan tylko na dziewczynę, jaka ona smutna – ciągnął i ujął Klarę pod brodę. Pozwoliła na to i zamknęła oczy. – Ty ślicznotko – zawołał, odchylił się w tył i, purpurowy na twarzy, roześmiał się z mocą ludzi sytych. Na próżno usiłował sobie Karl wytłumaczyć zachowanie

pana Pollundera. Siedział on i wpatrywał się w stojący przed nim talerz, jak gdyby działa się na nim coś rzeczywiście ważnego. Nie przyciągnął bliżej do siebie krzesła Karla, a kiedy się odzywał, mówił do wszystkich, Karlowi zaś nie miał nic szczególnego do powiedzenia. Znosił natomiast to, że Green, ten zatwardziały nowojorski stary kawaler, z wyraźnym rozmysłem dotykał Klarę, że Karla, gościa Pollundera, obrażał lub co najmniej traktował jak dziecko i kto wie, do jakich to czynów sposobiał się i nabierał sił.

Po wstaniu od stołu – kiedy Green zauważył ogólny nastrój, pierwszy powstał i poniekąd pociągnął za sobą wszystkich – Karl sam odszedł na stronę, ku jednemu z wielkich, podzielonych wąskimi, białymi listewkami okien, które prowadziły na taras i które właściwie, jak to przy bliższym podejściu zauważył, były prawdziwymi drzwiami. Cóż pozostało z niechęci, którą początkowo pan Pollunder i jego córka odczuwali w stosunku do Greena i która wówczas Karlowi wydawała się trochę niezrozumiała? Teraz stali razem z Greenem i potakiwali mu. Dym z cygara pana Greena, podarunku Pollundera, jednego z owych grubych cygar, o jakich czasem ojciec Karla zwykł był opowiadać w domu, jak o czymś, czego sam prawdopodobnie nie widział na własne oczy, rozplątywał się po sali i niósł wpływ Greena aż do kątów i nisz, w których on osobiście nigdy by się nie znalazł. Choć Karl stał dość daleko, czuł łaskotanie tego dymu w nosie, a zachowanie się pana Greena, na którego ze swego miejsca raz tylko się obejrzał, wydawało mu się haniebne. Teraz nie uważał już za wykluczone, że wuj tylko dlatego tak długo odmawiał mu zezwolenia na tę wizytę, iż znał słaby charakter pana Pollundera i wobec tego, jeśli nawet nie przewidział dokładnie zniewagi, jaka spotka Karla podczas tej wizyty, to jednak uważał ją za możliwą. Nie podobała mu się także ta amerykańska dziewczyna, chociaż bynajmniej nie wyobrażał sobie, że będzie jeszcze piękniejsza. Karl był nawet zaskoczony pięknnością, do jakiej jej twarz

okazała się zdolna, od kiedy pan Green się nią zajął, a zwłaszcza blaskiem jej niepoohamowanie żywych oczu. Nie widział jeszcze nigdy sukni, która by tak ciasno opinała ciało, jak jej suknia, fałdki na żółtawym, delikatnym i ścisłym materiale wskazywały, jak mocno był naciągnięty. A przecież wcale na niej Karlowi nie zależało i chętnie zrezygnowałby z pójścia z nią do jej pokoju, gdyby zamiast tego mógł otworzyć drzwi, na których klamce na wszelki wypadek położył rękę, wsiaść do samochodu, albo jeśli szofer już spał, pójść na piechotę do Nowego Jorku. Jasna noc, z przychylnym księżycem w pełni, była dostępna dla każdego, a lękanie się czegośkolwiek na dworze, pod gołym niebem, wydawało się Karlowi bezsensowne. Wyobraził sobie – i po raz pierwszy poczuł się dobrze w tej sali – jakby to rano – wcześniej z trudem mógłby dojść do domu pieszo – zrobił niespodziankę wujowi. Nie był wprawdzie jeszcze nigdy w jego sypialni, nie wiedział nawet, gdzie się znajduje, ale o to się jakoś wypyta. Potem zapuka i po urzędowym „proszę” wbiegnie do pokoju i kochanego wuja, którego dotychczas widział zawsze tylko starannie ubranego i zapiętego pod samą szyję, zaskoczy w nocnej koszuli, siedzącego na łóżku, ze zdumionym wzrokiem skierowanym ku drzwiom. Wprawdzie było to samo przez się może niewiele, ale wystarczy pomyśleć, jakie mogło mieć następstwa. Może po raz pierwszy jadłby z wujem śniadanie, wuj w łóżku, on na krześle, śniadanie podane na stolyczku pomiędzy nimi, może owo wspólne śniadanie weszłoby w stały zwyczaj, może wskutek tego sposobu spożywania go mogliby, czego nawet trudno byłoby uniknąć, spotykać się częściej niż jak dotychczas zaledwie raz na dzień, a wtedy naturalnie także bardziej otwarcie ze sobą rozmawiać. Bo przecież to, że był dzisiaj wobec wuja trochę nieposłuszny albo raczej uparty, wiązało się tylko z brakiem owych szczerych rozmów. A gdyby nawet dzisiaj musiał tu zostać na noc – niestety, całkiem na to wyglądało, mimo że pozwolono mu stać tu przy oknie i pozostawiono samemu sobie – to

może ta nieszczęsna wizyta stanie się punktem zwrotnym ku lepszemu w stosunkach z wujem, może też wuj w swojej sypialni ma dziś wieczorem podobne myśli.

Nieco pocieszony, Karl odwrócił się. Przed nim stała Klara i mówiła:

– Czy naprawdę wcale się panu u nas nie podoba? Nie może pan poczuć się tu bardziej swojsko? Proszę iść ze mną, zrobię jeszcze ostatnią próbę.

Poprowadziła go w poprzek sali ku drzwiom. Przy stoliku na uboczu siedzieli obaj panowie nad lekko pieniącym się w wysokich szklankach napojem, którego Karl nie znał i którego chętnie by skosztował. Pan Green oparł łokieć na stole, całą twarzą zwrócony i pochylony możliwie najbliżej pana Pollundera; gdyby ktoś nie znał pana Pollundera, mógłby śmiało przypuszczać, że omawia z Greenem nie interes, lecz jakieś przestępstwo. Podczas gdy pan Pollunder przyjaznym spojrzeniem odprowadzał Karla do drzwi, Green, choć człowiek mimo woli podąża zwykle za wzrokiem swego rozmówcy, nawet się za Karlem nie obejrzał, a Karl odniósł wrażenie, że w tym zachowaniu się tkwi wyraz pewnego rodzaju przekonania Greena, iż każdy z nich, Karl sobie, a Green sobie, powinien spróbować wykazać się swoimi uzdolnieniami, a konieczne stosunki towarzyskie pomiędzy nimi ułożą się z czasem same, w wyniku zwycięstwa lub klęski jednego z nich.

„Jeśli on tak myśli – powiedział sobie Karl – to jest głupcem. Ja naprawdę niczego od niego nie chcę i niech on mnie także zostawi w spokoju.”

Zaledwie wyszedł na korytarz, przyszło mu na myśl, że pewno zachował się niegrzecznie, gdyż z wzrokiem wlepionym w Greena dał się przez Klarę niemal wyciągnąć z pokoju. Tym chętniej siedł teraz obok niej. Idąc przez korytarze nie wierzył z początku własnym oczom, gdy widział, że co dwadzieścia kroków stoi służący w bogatej liberii z

świecznikiem, którego grubą podstawę trzyma obydwoma rękami.

– Nowa instalacja elektryczna jest na razie założona tylko w jadalni – wyjaśniła Klara. – Dopiero niedawno kupiliśmy ten dom i kazaliśmy go całkowicie przebudować, o tyle, o ile w ogóle można przebudować stary dom, mający bardzo swoisty charakter architektoniczny.

– A więc już i w Ameryce są stare domy – powiedział Karl.

– Naturalnie – powiedziała Klara śmiejąc się i pociągnęła go dalej. – Ma pan szczególne pojęcie o Ameryce.

– Nie powinna się pani ze mnie wyśmiewać – odparł z irytacją. Ostatecznie znał już Europę i Amerykę, a ona tylko Amerykę.

W przejściu Klara wyciągniętą ręką pchnęła lekko jakieś drzwi i powiedziała nie zatrzymując się:

– Tutaj będzie pan spał.

Karl chciał naturalnie zaraz obejrzeć pokój, lecz Klara wyjaśniła niecierpliwie i niemal podniesionym głosem, że na to jest przecież dość czasu, a on ma iść z nią dalej. Szarpali się trochę po korytarzu w tę i w tamtą stronę, w końcu Karl zdecydował, że nie musi we wszystkim stosować się do Klary, wyrwał się jej i wszedł do pokoju. Niespodziewaną ciemność za oknem tłumaczyła korona drzewa, kołysząca się tam w całej okazałości. Słychać było śpiew ptaków. W samym pokoju jednak, do którego nie dotarło jeszcze światło księżyca, nie można było nic rozróżnić. Karl żałował, że nie wziął u sobą elektrycznej latarki, którą dostał od wuja w podarunku. W takim domu kieszonkowa latarka była naprawdę nieodzowna, gdyby mieli tu kilka takich latarek, można by było odesłać służących, aby poszli spać. Karl usiadł na parapecie okna i, wyglądając na dwór, nasłuchiwał odgłosów. Zdawało mu się, że spłoszony ptak przeciska się przez listowie starego drzewa. Gdzieś w oddali rozległ się gwizd nowojorskiego pociągu podmiejskiego. Poza tym było cicho.

Nie trwało to jednak długo, i po chwili pośpiesznie weszła Klara.

Z widoczną złością krzyknęła: – Cóż to znaczy? – I uderzyła dłonią po spódnicy.

Karl chciał odpowiedzieć dopiero wtedy, kiedy Klara będzie uprzejmieszka. Ale ona podeszła do niego wielkimi krokami i zawołała:

– Więc chce pan iść ze mną czy nie? – i pchnęła go w pierś – umyślnie czy tylko w podnieceniu – tak mocno, że wypadłby przez okno, gdyby w ostatnim momencie ześliznąwszy się z parapetu nie dotknął stopami podłogi.

– Byłbym wypadł – powiedział z wyrzutem.

– Szkoda że tak się nie stało. Czemu jest pan taki niegrzeczny? Wypchnę pana jeszcze raz.

I rzeczywiście objęła go ramionami twardymi jak stal dzięki uprawianiu sportów i zniosła go, początkowo tak oszołomionego, że zapomniał zwiększyć ciężar ciała bezwładem, niemal aż do okna. Ale tam Karl opamiętał się, uwolnił się szybkim zwrotem bioder i objął Klarę.

– Ach, sprawia mi pan ból – powiedziała zaraz.

Lecz Karl pomyślał teraz, że nigdy już nie będzie jej mógł puścić. Zostawił jej wprawdzie swobodę stawiania kroków w dowolnym kierunku, lecz szedł za nią i nie puszczał jej. Łatwo było zresztą obejmować ją w jej obcisłej sukni.

– Niech mnie pan puści – szepnęła przyciskając rozpaloną twarz do jego twarzy. Była tak blisko niego, że Karl musiał się wysilić, żeby ją zobaczyć.

– Niech mnie pan puści, dam panu coś ładnego.

„Czemu ona tak dyszy? – myślał Karl. – Nie może jej to boleć, przecież jej nie przyciskam”. Ale jeszcze jej nie puszczał. Lecz nagle, po chwili baczego, milczącego stania w miejscu, poczuł na ciele znów wzrastającą jej siłę, wywinęła mu się, chwyciła go dobrze wyćwiczonym górnym chwytem, odtrąciła jego nogi ustawiając stopy według jakiejś nieznaney

techniki walki i oddychając z wspaniałą regularnością popędziła go przed sobą ku ścianie. Stała tam kanapa, na której położyła Karla i powiedziała, tylko trochę się nad nim nachylając:

– Porusz się teraz, jeśli potrafisz.

– Kotka, wściekła kotka! – zdołał Karl jeszcze zawołać z mieszaniną złości i wstydu, jaka nim owładnęła. – Jesteś szalona, ty wściekła kotko!

– Uważaj na to, co mówisz – powiedziała i przesunęła jedną rękę na jego szyję, którą zaczęła dusić tak silnie, że Karl niezdolny był do niczego innego poza chwytaniem powietrza, podczas gdy ona drugą rękę przesuwiała po jego policzku, dotykała go jakby na próbę, potem podnosiła rękę, coraz wyżej unosiła ją w górę i w każdej chwili mogła wymierzyć mu policzek.

– Co by było – spytała przy tym – gdybym za karę za twoje zachowanie się wobec damy chciała odesłać cię do domu z solidnym policzkiem? Może by ci się to przydało na dalszą drogę życia, chociaż nie byłoby to miłe wspomnienie. Żal mi cię i jesteś wcale ładnym chłopcem, a gdybyś się uczył dźiu-dzitsu, prawdopodobnie byś mnie zbił. Mimo to, mimo to – kusi mnie wprost ogromnie, żeby cię spoliczkować, tak jak tu teraz leżysz. Będę tego prawdopodobnie żałowała, ale gdybym to miała zrobić, to wiedz już teraz, że zrobię to prawie wbrew mojej woli. I wtedy naturalnie nie zadowolę się jednym policzkiem, ale będę biła z prawej i z lewej strony, aż ci twarz spuchnie. A może ty jesteś człowiekiem honoru – niemal w to wierzę – i nie będziesz chciał już po tych policzkach żyć, lecz zejdziesz z tego świata. Ale dlaczego występowałeś tak przeciw mnie? Może ci się nie podobam? Czy nie warto przyjść do mojego pokoju? Uwaga! Teraz bym ci już prawie niepostrzeżenie wlepiła policzek. Więc gdybyś miał jeszcze dzisiaj ująć przed tym, zachowuj się na przyszłość delikatniej. Ja nie jestem twoim wujem, wobec którego możesz być krnąbrny. Zresztą chcę ci jeszcze zwrócić uwagę na to, abyś nie myślał,

że jeśli cię wypuszczę nie spoliczkowanego, twoje obecne położenie i prawdziwe spoliczkowanie będą z punktu widzenia honoru tym samym. Gdybyś miał tak myśleć, to mimo wszystko wolałabym cię naprawdę spoliczkować. Jak też zareaguje Mack, kiedy mu to wszystko opowiem?

Wspomniawszy Macka, puściła Karla, a w jego zamroczonych myślach Mack jawił mu się jako wybawca. Czuł jeszcze przez chwilę rękę Klary na swojej szyi, więc trochę się odwrócił i potem leżał spokojnie.

Kazała mu wstać, on nie odpowiedział i nie poruszył się. Zapaliła jakąś świecę, pokój rozjaśnił się, na suficie pojawił się niebieski zygzakowaty deseń, lecz Karl leżał z głową opartą na poduszce sofy, tak jak go ułożyła Klara, i nie przesunął jej nawet na szerokość palca. Klara chodziła po pokoju, spódnica szeleściła wokół jej nóg, prawdopodobnie zatrzymała się na dłuższą chwilę przy oknie.

– Wydąsałeś się? – dało się potem słyszeć jej pytanie.

Karl ciężko odczuwał to, że w pokoju, który pan Pollunder przeznaczył mu na tę noc, nie może zaznać wypoczynku. Oto ta dziewczyna chodzi w koło, przystaje i mówi, a on ma jej przecież tak niewypowiedziane dość. Jego jedynym pragnieniem było szybko się przespać i odejść stąd. Nie chciał nawet położyć się do łóżka, chciał tylko zostać tutaj, na kanapie. Czatował na chwilę, kiedy sobie pójdzie, żeby skoczyć za nią do drzwi, zaryglować je, a potem z powrotem rzucić się na kanapę. Miał tak wielką ochotę przeciągnąć się i ziewnąć, ale nie chciał tego robić przy Klarze. Leżał więc, patrzył w górę, czuł, że jego twarz staje się coraz bardziej nieruchoma i że krążąca nad nim mucha miga mu przed oczyma, ale nie wiedział na pewno, czy to mucha.

Klara znowu do niego podeszła, nachyliła się w kierunku jego wzroku i gdyby się nie przemógł musiałby na nią spojrzeć.

– Idę teraz – powiedziała. – Może nabierzesz później ochoty, żeby przyjść do mnie. Drzwi do mojego pokoju są czwarte, licząc od tych

drzwi, po tej samej stronie korytarza. Mijaszą więc troje następnych drzwi i te, do których potem podchodzisz, są właściwe. Nie zejdziesz już na dół do sali, lecz zostanę w moim pokoju. Porządnie mnie zmęczyłeś. Nie będę specjalnie na ciebie czekała, ale jeśli będziesz chciał przyjść, to przyjdź. Pamiętaj, że przyrzekłeś zagrać mi na fortepianie. Jeśli może cię bardzo zdenerwowałam i nie masz siły się ruszać, to zostań i wyśpij się.

Ojcu nie powiem na razie o naszej bijatyce ani słowa; mówię to na wypadek, gdyby cię to miało niepokoić.

Po czym mimo rzekomego zmęczenia dwoma skokami wybiegła z pokoju.

Karl natychmiast usiadł, to leżenie stało się już nie do zniesienia. Żeby się trochę poruszyć, podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Ależ tam panowała ciemność! Zadowolony był, gdy zamknął i zaryglował drzwi i znów stanął przy swoim stole w blasku świecy. Zdecydował się, że nie zostanie dłużej w tym domu, lecz zejdzie na dół do pana Pollundera, powie mu otwarcie, jak Klara go potraktowała – na zatajeniu swojej kłębki zupełnie mu nie zależało – i z tym zupełnie wystarczającym uzasadnieniem poprosi go o pozwolenie na wyjazd lub pójście do domu. Gdyby pan Pollunder miał coś przeciw jego natychmiastowemu powrotowi, wówczas Karl chciał go poprosić, żeby przynajmniej kazał służącemu zaprowadzić go do najbliższego hotelu. W ten sposób – jaki zaplanował sobie Karl – nie postępuje się co prawda zazwyczaj z uprzejmym gospodarzem, ale jeszcze rzadziej postępuje się z gościem w taki sposób, jak z nim postąpiła Klara. A już o pomstę do nieba wołało to, że swoją obietnicę niewspominania panu Pollunderowi o ich bójce uważała za uprzejmość. Cóż to, czy Karla zaproszono na walkę zapaśniczą, żeby miał się wstydić pokonania go przez dziewczynę, która prawdopodobnie większą część życia spędziła na nauce tych sztuczek? Może nawet pobierała naukę u Macka. Niechby mu wszystko opowiedziała; Mack był na pewno wyrozumiały, Karl wiedział

o tym, chociaż nigdy nie miał sposobności przekonać się, że tak jest. Lecz wiedział także, że gdyby Mack go uczył, robiłby jeszcze o wiele większe postępy niż Klara; a wtedy przybyłby tutaj któregoś dnia, prawdopodobnie nie zaproszony, zbadałby naturalnie najpierw teren, którego dokładna znajomość dawała Klarze znaczną przewagę, złapałby potem Klarę i wytrzeпаłby nią tę samą kanapę, na którą ona dzisiaj go rzuciła.

Teraz chodziło tylko o to, żeby odnaleźć drogę powrotną do sali, gdzie prawdopodobnie w pierwszej chwili roztargnienia położył także w nieodpowiednim miejscu swój kapelus. Świecę chciał naturalnie wziąć z sobą, ale nawet przy świetle nie było mu się łatwo zorientować. Nie wiedział nawet, na przykład, czy ten pokój położony jest na tym samym poziomie co sala. Gdy szli tutaj, Klara tak go wciąż ciągnęła za sobą, że w ogóle nie mógł się rozejrzeć. Pan Green i służący trzymający świeczniki także odwracali jego myśli; krótko mówiąc, naprawdę nie wiedział teraz nawet, czy szli przez jedną, czy przez dwie kondygnacje schodów, czy może przez żadną. Sądząc z widoku, pokój leżał dość wysoko, dlatego Karl próbował sobie wyobrazić, że przyszli tutaj schodami, ale przecież już do domu trzeba było wchodzić po schodach, dlaczego więc ta strona domu nie miałaby znajdować się wyżej? Gdybyż było można przynajmniej zobaczyć na korytarzu światło z jakichś drzwi lub usłyszeć z daleka jakiś choćby najcichszy głos!

Jego kieszonkowy zegarek, prezent od wuja, wskazywał godzinę jedenastą, Karl wziął świecę i wyszedł na korytarz. Drzwi zostawił otwarte, chciał bowiem w wypadku, gdyby jego poszukiwania okazały się bezskuteczne, móc przynajmniej odnaleźć swój pokój, a potem, w ostateczności, drzwi do pokoju Klary. Dla pewności, żeby drzwi same się nie zamknęły, zastawił je krzesłem. Na korytarzu okazała się jeszcze ta niedogodność, że w stronę Karla – poszedł naturalnie w lewo, w stronę przeciwną niż ku drzwiom Klary – ciągnął powiew, który był wprawdzie

całkiem słaby, jednak z łatwością mógł zgasić świecę, tak że Karl musiał osłaniać ją ręką, a ponadto często przystawać, aby przyduszony płomień mógł się podnieść. Było to powolne posuwanie się naprzód i droga wydawała się przez to podwójnie długa. Karl minął już duże płaszczyzny ścian zupełnie pozbawionych drzwi, nie można sobie było wyobrazić, co znajdowało się za nimi. Potem napotykał znowu drzwi jedne obok drugich, wiele z nich próbował otworzyć, były zamknięte, a pomieszczenia widocznie nie zamieszkałe. Było to niespotykane marnotrawstwo miejsca i Karl myślał o wschodnich dzielnicach nowojorskich, które wuj obiecał mu pokazać, gdzie rzekomo w jednym małym pokoju gnieździło się kilka rodzin i mieszkanie każdej z nich stanowił jeden kąt, w którym dzieci tłoczyły się wokół rodziców. A tutaj tyle pokoi stało pustych i były one tu tylko po to, żeby wydawać głuchy odgłos, kiedy stukano się do drzwi. Pan Pollunder wydał się Karlowi sprowadzony na manowce przez fałszywych przyjaciół, zadurzony w swej córce i przez to zepsuty. Wuj z pewnością oceniał go słusznie, a tylko jego zasada niewywierania wpływu na sąd Karla o ludziach winna była tej wizycie i tym wędrownkom po korytarzach. Karl chciał to jutro wujowi powiedzieć bez ogródek, gdyż zgodnie ze swoją zasadą wuj wysłuchałby także chętnie i spokojnie sądu siostrzeńca o sobie samym. Ponadto ta zasada była chyba jedyną cechą wuja, która się Karlowi nie podobała, a nawet owo niepodobanie nie było bezwarunkowe.

Nagle po jednej stronie korytarza ściana się skończyła, a jej miejsce zajęła lodowato zimna, marmurowa poręcz. Karl postawił świecę obok siebie i ostrożnie przechylił się przez balustradę. Powiało na niego ciemną pustką. Jeśli był to główny hall – w blasku świecy pojawił się kawałek sklepionego sufitu – to dlaczego nie weszli do domu przez ten hall? Do czego służyła ta wielka, wysoka sala? Stało się przecież tutaj, na górze, jak na kościelnej galerii. Karl prawie żałował, że nie może zostać w tym

domu do jutra, chętnie pozwolilby się panu Pollunderowi przy dziennym świetle wszędzie oprowadzić i o wszystkim pouczyć.

Poręcz nie była zresztą długa i Karl wkrótce znalazł się znów w zamkniętym korytarzu. Na jego nagłym zakręcie z całej siły uderzył o ścianę i tylko nieustanna troskliwość, z jaką kurczowo trzymał świecę, uchroniła ją szczęśliwie przed upadkiem i zgaśnięciem. Ponieważ korytarz się nie kończył, nigdzie nie było okna, przez które można by wyjrzieć, i ani na górze, ani na dole nic się nie poruszało, Karl pomyślał już, że chodzi wciąż w kółko, i spodziewał się, że być może natrafi znów na otwarte drzwi swego pokoju. Lecz nie natrafił ani na nie, ani na poręcz. Dotychczas Karl powstrzymywał się od głośnego wołania, gdyż nie chciał robić hałasu w obcym domu o tak późnej godzinie, teraz jednak pojął, że w tym nie oświetlonym domu nie było to żadną niestosownością, i już zamierzał głośno zawołać „halo!” w obu kierunkach korytarza, gdy w stronie, z której przyszedł, zauważył małe, zbliżające się światło. Teraz dopiero mógł ocenić długość prostego korytarza, ten dom nie był willą, lecz twierdzą. Radość Karla z powodu owego zbawczego światła była tak wielka, że zapomniał o wszelkiej ostrożności i pobiegł ku niemu. Zaraz przy pierwszych skokach zgasła świeca. Nie zważał na to, gdyż już jej nie potrzebował, naprzeciw niego szedł z latarnią stary służący, który mu wskaże właściwą drogę.

– Kim pan jest? – zapytał służący i przysunął latarnię do twarzy Karla, przez co równocześnie oświetlił własną. Jego twarz sprawiała wrażenie nieco sztywnej z powodu wielkiej białej brody, kończącej się aż na piersi jedwabistymi kędziorami. „Musi to być wierny służący, jeśli mu pozwalają nosić taką brodę” – pomyślał Karl, oglądał tę brodę wzdłuż i wszerz, nie spuszczać z niej oczu, i nie przeszkadzało mu to, że sam jest obserwowany. Odpowiedział zresztą natychmiast, że jest gościem pana Pollundera i że chciał pójść ze swego pokoju do jadalni, lecz nie może

jej znaleźć.

– Ach, tak – powiedział służący – nie założyliśmy jeszcze elektrycznego światła.

– Wiem – odparł Karl.

– Czy nie zechciałby pan zapalić swojej świecy od mojej lampy? – spytał służący.

– Owszem – rzekł Karl i uczynił to.

– Taki tutaj przeciąg na korytarzach – powiedział służący. – Świeca łatwo gaśnie, dlatego mam latarnię.

– Tak, latarnia jest o wiele praktyczniejsza – powiedział Karl.

– Pan już też zachlapał się całkiem stearyną – powiedział służący i oświetlił świecą ubranie Karla.

– Wcale tego nie zauważyłem! – zawołał Karl i zrobiło mu się bardzo przykro, bo było to czarne ubranie, o którym wuj powiedział, że jest mu w nim najlepiej ze wszystkich. Teraz sobie przypomniał, że bijatyka z Klarą też nie mogła wyjść ubranu na dobre. Służący był na tyle uczynny, że oczyścił ubranie, o ile to było możliwe w pośpiechu, Karl obracał się przed nim i pokazywał mu to tu, to tam jeszcze jakąś plamkę, którą służący posłusznie usuwał.

– Dlaczego właściwie panują tutaj takie przeciągi? – spytał Karl, kiedy poszli dalej.

– Jest tu jeszcze wiele do zbudowania – powiedział służący. – Wprawdzie przebudowę już rozpoczęto, ale postępuje ona bardzo powoli. Obecnie, jak pan może wie, strajkują także robotnicy budowlani. Z taką budową ma się wiele kłopotów. Teraz zrobiono tu kilka wielkich wyłomów, których nikt nie zamurkuje, i w całym domu są przeciągi. Gdybym nie miał uszu zatkanych watą, nie mógłbym tego wytrzymać.

– Wobec tego muszę pewnie mówić głośniej? – spytał Karl.

– Nie, pan mówi wyraźnie – powiedział służący. – Ale wracając do tej

budowy: tutaj zwłaszcza, w pobliżu kaplicy, która potem bezwarunkowo będzie musiała być odcięta od reszty domu, przeciąg jest wprost nie do wytrzymania.

– A więc ta balustrada, którą się mija w tym korytarzu, wychodzi na kaplicę?

– Tak.

– Zaraz to sobie pomyślałem – powiedział Karl.

– Bardzo warto ją zobaczyć – powiedział służący. – Gdyby nie ona, pan Mack z pewnością nigdy nie kupiłby tego domu.

– Pan Mack? – spytał Karl. – Myślałem, że dom należy do pana Pollundera?

– W samej rzeczy – odparł służący. – Ale zdanie pana Macka przeważało przy tym kupnie. Zna pan pana Macka?

– O, tak – powiedział Karl. – Ale co go łączy z panem Pollunderem?

– Jest narzeczonym panienki! – powiedział służący.

– Naprawdę nie wiedziałem – powiedział Karl i przystanął.

– To pana wprowadziło w takie zdumienie? – spytał służący.

– Chcę sobie tylko uporządkować myśli. Jeśli się nie zna stosunków, można popełniać największe błędy – odpowiedział Karl.

– Dziwi mnie tylko, że nic panu o tym nie powiedziano – rzekł służący.

– Tak, rzeczywiście – odparł Karl zawstydzony.

– Może myślano, że pan o tym wie – powiedział służący. – To przecież żadna nowina. Jesteśmy na miejscu – dodał i otworzył jakieś drzwi, poza którymi ukazały się schody, wiodące stromo do tylnych drzwi jadalni, jaskrawo oświetlonej, tak jak w chwili przybycia Karla.

Zanim Karl wszedł do jadalni, z której nie zmiennie, tak jak już dobre dwie godziny temu, dochodziły głosy pana Pollundera i pana Greena, służący powiedział:

– Jeśli pan sobie życzy, zaczekam tu i odprowadzę pana potem do

pańskiego pokoju. Zorientowanie się tutaj od razu pierwszego wieczora zawsze sprawia trudności.

– Nie wrócę już do mego pokoju – odrzekł Karl i nie wiedział, dlaczego przy tym oświadczeniu zrobiło mu się smutno.

– Nie będzie tak źle – powiedział służący uśmiechając się z lekką wyższością i poklepał Karla po ramieniu. Prawdopodobnie wytłumaczył sobie słowa Karla w ten sposób, że Karl ma zamiar spędzić całą noc w jadalni, rozmawiać z panami i pić z nimi. Karl nie chciał teraz udzielać żadnych wyjaśnień, poza tym pomyślał, że ten służący, który podobał mu się bardziej niż inni tutejsi służący, mógłby mu potem wskazać, w jakim kierunku powinien iść do Nowego Jorku, i dlatego powiedział:

– Jeśli chce pan tutaj zaczekać, jest to z pewnością duża uprzejmość z pańskiej strony i przyjmuję ją z wdzięcznością. W każdym razie za chwilę wyjdę stąd i wtedy panu powiem, co zamierzam dalej robić. Myślę, że pańska pomoc będzie mi jeszcze potrzebna.

– Dobrze – powiedział służący. Postawił latarnię na podłodze i usiadł na niskim postumencie; to, że nic na nim nie umieszczono, miało prawdopodobnie również związek z przebudową domu.

Wobec tego zaczekam tutaj. Świecę może mi pan także zostawić – rzekł jeszcze służący, gdy Karl z płonąca świecą chciał wejść do jadalni.

– Ależ jestem roztargniony! – powiedział Karl i wręczył świecę służącemu, który tylko kiwnął głową, nie wiadomo, czy uczynił to rozmyślnie, czy było to tylko następstwem głądzenia ręką brody.

Karl otworzył drzwi, które bez jego winy głośno zadźwięczały, gdyż składały się z jednej jedynej szklanej płyty, a ta wyginała się niemal, kiedy ktoś szybko otwierał drzwi i przytrzymał je tylko za klamkę. Karl przestraszony puścił drzwi, gdyż chciał właśnie wejść szczególnie cicho. Nie odwracając się, zauważył jeszcze, że służący, który widocznie wstał ze swego postumentu, zamknął za nim drzwi ostrożnie i bez hałasu.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam – powiedział Karl do obu panów, którzy zwrócili ku niemu swe wielkie, zdumione twarze. Równocześnie jednak obrzucił spojrzeniem salę, aby szybko odnaleźć swój kapelusz. Ale nigdzie nie było go widać, ze stołu wszystko uprzątnięto, być może kapelusz został również wyniesiony do kuchni, co byłoby nader nieprzyjemne.

– Gdzie pan zostawił Klarę? – zapytał pan Pollunder, któremu zresztą, jak się zdawało, ta przerwa w rozmowie nie była niemiła, gdyż zaraz usiadł inaczej w fotelu i całym ciałem obrócił się w stronę Karla. Pan Green udawał nie zainteresowanego, wyciągnął portfel, który pod względem wielkości i grubości był czymś w swoim rodzaju potwornym, i zdawało się, że w jego licznych przegródkach szuka określonego papieru, lecz podczas szukania czytał także inne papiery, które mu właśnie wpadały w ręce.

– Miałbym pewną prośbę, której proszę źle nie zrozumieć – powiedział Karl, podszedł śpiesznie do pana Pollundera i, żeby być naprawdę blisko niego, położył rękę na poręczy fotela.

– Cóż to za prośba? – zapytał pan Pollunder i spojrzał na Karla szczerym, otwartym wzrokiem. – Naturalnie jest już spełniona. – I objął Karla ramieniem, i przyciągnął go ku sobie, między kolana. Karl zniósł to chętnie, chociaż na ogół biorąc czuł się już zbyt dorosły na takie traktowanie. Lecz wypowiedzenie prośby stało się oczywiście trudniejsze.

– Jak się panu właściwie podoba u nas? – spytał pan Pollunder. – Czy nie wydaje się panu, że kiedy człowiek wydobędzie się z miasta, czuje się na wsi, że tak powiem, wyzwolony? Na ogół – i rzucił w bok na pana Greena spojrzenie, trochę przez Karla zasłonięte, którego nie można było nie zrozumieć – na ogół co wieczór od nowa doznaję tego uczucia.

„On tak mówi – myślał Karl – jak gdyby nic nie wiedział o tym wielkim domu, o nie kończących się korytarzach, kaplicy, pustych pokojach, o tej

wszędzie panującej ciemności”.

– A teraz – powiedział pan Pollunder – pańska prośba! – I przyjaźnie potrząsnął Karlem, który stał jak oniemiały.

– Proszę – powiedział Karl i choć bardzo tłumił głos, nie mógł uniknąć tego, żeby usłyszał go siedzący obok Green, a przed nim Karl tak bardzo chciał przemilczeć swą prośbę, która mogłaby może zostać zrozumiana jako obraza Pollundera – proszę, niech mnie pan puści do domu, jeszcze teraz, w nocy.

A skoro najgorsze zostało już powiedziane, wszystko inne tym szybciej samo szło za tamtym i nie uciekając się do najmniejszego kłamstwa mówił rzeczy, o których przedtem właściwie wcale nie myślał.

– Chciałbym koniecznie wrócić do domu. Chętnie tu znowu przyjadę, bo tam, gdzie jest pan, panie Pollunder, ja też przebywam z przyjemnością. Tylko dziś nie mogę tutaj zostać. Pan wie, że wuj niechętnie dał mi pozwolenie na tę wizytę. Z pewnością miał do tego, jak do wszystkiego, co robi, słuszne powody, a ja ośmieliłem się, wbrew jego mądrym stanowisku, to pozwolenie na nim po prostu wymusić. Nadużyłem jego miłości do mnie. Teraz już wszystko jedno, co on miał przeciwko tej wizycie, wiem tylko z całą pewnością, że nie było w tym nic, co mogłoby urazić pana, panie Pollunder, który jesteś najlepszym, najlepszym ze wszystkich przyjaciół wuja. Nikt nie może się z panem pod względem przyjaźni mego wuja porównać. To jest zresztą jedyne usprawiedliwienie mojego nieposłuszeństwa, ale nie wystarczające. Pan może nie orientuje się dokładnie w stosunkach pomiędzy moim wujem i mną, więc będę mówił tylko o sprawach najoczywistszych. Dopóki nie ukończę moich studiów angielskiego i nie rozejrzę się wystarczająco w praktyce handlowej, jestem całkowicie zdany na dobroć wuja, z której, co prawda, jako bliskiemu krewnemu wolno mi korzystać. Niech się panu nie zdaje, że potrafiłbym już teraz w jakikolwiek uczciwy sposób – a niech mnie pan

Bóg broni przed innymi – zarobić na chleb. Na to moje wychowanie było, niestety, zbyt niepraktyczne. Ukończyłem cztery klasy europejskiego gimnazjum, jako przeciętny uczeń, a to dla celów zarobkowych znaczy o wiele mniej niż nic, gdyż program naukowy naszych gimnazjów jest bardzo zacofany. Śmiałyby się pan, gdybym panu opowiedział, czego się nauczyłem. Jeśli studiuje się dalej, kończy się gimnazjum i idzie na uniwersytet, to prawdopodobnie później wszystko jakoś się wyrównuje i w końcu człowiek ma przyzwoite wykształcenie, z którym może się do czegoś zabrać i które daje mu podstawę do zarabiania pieniędzy. Ja, niestety, zostałem wyrwany z toku owych po sobie następujących studiów, czasem wydaje mi się, że w ogóle nic nie umiem, a zresztą wszystko, co mógłbym umieć, byłoby dla Amerykanina jeszcze za mało. Teraz wprowadza się w mojej ojczyźnie tu i ówdzie zreformowane gimnazja, gdzie uczą nowożytnych języków, a może i przedmiotów handlowych, ale kiedy wyszedłem ze szkoły podstawowej, jeszcze ich nie było. Ojciec chciał wprawdzie, żebym się uczył angielskiego, ale po pierwsze, nie mogłem wtedy przeczucić, jakie nieszczęście mnie spotka i jak angielski będzie mi potrzebny, a po drugie, musiałem dużo uczyć się w gimnazjum, tak że na inne zajęcia nie miałem wiele czasu. – Wspominam o tym wszystkim, żeby panu pokazać, jak zależny jestem od wuja i wskutek tego jak bardzo jestem też wobec niego zobowiązany. Z pewnością pan przyzna, że w takich warunkach nie mogę sobie pozwolić na zrobienie bodaj czegoś najbliższego przeciw jego woli, choćbym się jej tylko domyślał. I dlatego, żeby naprawić choćby w połowie ten błąd, który wobec niego popełniłem, muszę natychmiast wrócić do domu.

Podczas tej długiej przemowy Karla pan Pollunder słuchał uważnie, często, zwłaszcza gdy padała wzmianka o wuju, przyciskał Karla do siebie, a kilka razy poważnie i jakby wyczekująco spoglądał w stronę Greena, który w dalszym ciągu zajęty był swym portfelem. Lecz Karl,

im wyraźniej w toku swego uświadamiał sobie swój stosunek do wuja, tym bardziej stawał się niespokojny i próbował mimo woli wydostać się z objęć Pollundera. Wszystko go tutaj przytłaczało, droga do wuja poprzez szklane drzwi, schody, aleję, przez szosę, przedmieścia, do wielkiej arterii, wiodącej do domu wuja, wydawała mu się czymś silnie zespolonym, co przygotowane dla niego ciągnęło się przed nim puste i gładkie i wołało go wielkim głosem. Dobroć pana Pollundera i ohyda pana Greena zatarły się i nie chciał z tego zadymionego pokoju wynieść nic innego prócz pozwolenia na odejście. Czuł się wprawdzie wobec pana Pollundera pewny, a wobec pana Greena gotowy do walki, jednak wypełniała go nieokreślona trwoga, której przypląwy mąciły mu wzrok.

Cofnął się o krok i stał teraz w takiej samej odległości od pana Pollundera, jak od pana Greena.

– Czy nie chce mu pan czegoś powiedzieć? – zapytał pan Pollunder pana Greena i niemal błagalnie ujął jego rękę.

– Nie wiem, co miałbym mu powiedzieć – odparł pan Green, który wyciągnął w końcu z kieszeni jakiś list i położył go przed sobą na stole. – To rzeczywiście godne pochwały, że on chce wrócić do wuja, i według ludzkich przewidywań powinno by się przyjąć, że sprawi tym wujowi szczególną radość. Chyby że już przez swoje nieposłuszeństwo zanadto rozgniewał wuja, co także jest możliwe. Wtedy znów byłoby lepiej, żeby tutaj pozostał. Trudno powiedzieć coś konkretnego; co prawda obydwaj jesteśmy przyjaciółmi wuja i niełatwo byłoby ustalić stopień przyjaźni mojej i pana Pollundera, ale nie możemy zajrzeć do wnętrza wuja, a zwłaszcza nie z odległości tylu kilometrów dzielących nas od Nowego Jorku.

– Proszę pana, panie Green – powiedział Karl i przewyciężając się, zbliżył się do pana Greena. – Z pańskich słów wnoszę, że pan także sądzi, iż byłoby lepiej, żebyśmy zaraz wrócił.

– Tego bynajmniej nie powiedziałem – odparł pan Green i zagłębił się w oglądaniu listu, po którego brzegach przesuwał tam i z powrotem dwoma palcami. Wydawało się, że chce w ten sposób pokazać, iż został zapytany przez pana Pollundera i jemu też odpowiedział, podczas gdy z Karlem nie ma właściwie nic do czynienia.

Tymczasem pan Pollunder podszedł do Karla i łagodnie odciągnął go od pana Greena pod jedno z wielkich okien.

– Kochany panie Rossmann – powiedział nachylony do ucha Karla, i jakby przygotowując się do czegoś przetaił twarz chusteczką, a zatrzymawszy ją przy nosie wysiąkał go – nie sądzi pan chyba, że chcę tu pana zatrzymać wbrew pańskiej woli. Nie ma o tym mowy. Nie mogę panu co prawda dać do dyspozycji samochodu, gdyż stoi on daleko stąd, w publicznym garażu, bo nie miałem jeszcze czasu tutaj, gdzie wszystko jest dopiero w trakcie powstawania, zbudować własnego garażu. Szofer zaś nie sypia tutaj, w domu, lecz w pobliżu garażu, naprawdę sam nie wiem gdzie. Poza tym wcale nie ma obowiązku być teraz w domu, jego obowiązkiem jest tylko zajechać tutaj rano o właściwej porze. Ale to wszystko nie byłoby żadną przeszkodą w pańskim natychmiastowym powrocie do domu, gdyż jeśli pan przy tym obstaje, odprowadzę pana natychmiast do najbliższej stacji kolei miejskiej, która, co prawda, znajduje się tak daleko, że będzie pan w domu niewiele wcześniej, niż gdyby pan rano – bo jedziemy już o siódmej – zechciał pojechać ze mną moim samochodem.

– Wobec tego chciałbym pojechać raczej jednak koleją miejską – powiedział Karl. – O kolei miejskiej w ogóle nie pomyślałem. Sam pan mówi, że koleją miejską dojadę wcześniej niż rano samochodem.

– A jest to bardzo mała różnica.

– Mimo to, mimo to, panie Pollunder – powiedział Karl. – Pamiętając pańską uprzejmość zawsze chętnie tu przyjadę, przyjmując naturalnie, że

po moim dzisiejszym zachowaniu zechce mnie pan jeszcze zaprosić, i może następnym razem lepiej potrafię wyrazić, dlaczego dzisiaj każda minuta, o którą wcześniej zobaczę wuja, jest dla mnie tak ważna. – I jak gdyby otrzymał już pozwolenie na odejście, dorzucił: – Ale w żadnym razie nie może mnie pan odprowadzać. Jest to zresztą całkiem zbyteczne. Za drzwiami czeka służący, który chętnie będzie mi towarzyszył na stację. Teraz mogę jeszcze tylko poszukać mojego kapelusza.

I przy ostatnich słowach przeszedł już przez pokój, żeby jeszcze w pośpiechu po raz ostatni spróbować, czy nie uda mu się odnaleźć kapelusza.

– Czy nie mógłbym panu służyć moją czapką? – powiedział pan Green i wyciągnął czapkę z kieszeni. – Może przypadkiem będzie na pana dobra.

Karl stanął osłupiały i rzekł:

– Nie będę panu przecież zabierał pańskiej czapki. Mogę doskonale pójść z gołą głową. Niczego mi nie potrzeba.

– To nie jest moja czapka. Niech pan ją weźmie!

– Wobec tego dziękuję – powiedział Karl, żeby się już nie zatrzymywać, i wziął czapkę. Włożył ją i najpierw się roześmiał, gdyż nadawała się na niego świetnie, a potem wziął ją znowu do ręki i zaczął oglądać, ale nie mógł znaleźć nic szczególnego, czego w niej szukał; była to zupełnie nowa czapka.

– Nadaje się bardzo dobrze! – powiedział.

– A więc nadaje się! – zawołał pan Green i uderzył ręką w stół.

Karl szedł już ku drzwiom, żeby sprowadzić służącego, kiedy pan Green podniósł się, przeciągnął po obfitym posiłku i po długim wypoczynku, uderzył się w pierś i powiedział tonem na pół rady, a na pół rozkazu:

– Zanim pan odejdzie, musi pan pożegnać się z panną Klarą.

– Musi pan to zrobić – powiedział także pan Pollunder, który również

wstał. Po jego głosie można było poznać, że słowa te nie płyną z głębi jego serca, słabo uderzał rękami po szwach spodni i wciąż rozpinął i zapinał surduta, który według chwilowej mody był całkiem krótki i ledwie sięgał do bioder, w czym źle wyglądają ludzie tak tęczy jak pan Pollunder. Zresztą, kiedy tak stał obok pana Greena, odnosiło się wyraźnie wrażenie, że tusza pana Pollundera nie była oznaką zdrowia; plecy, mimo całej ich masywności, miał nieco zgarbione, brzuch miękki i opadający, prawdziwy ciężar, a twarz wydawała się blada i udręczona. A przy nim stał pan Green, może jeszcze trochę tęczy niż pan Pollunder, ale była to spoista, sama siebie podtrzymująca tusza, stopy miał zestawione po wojskowemu, głowę trzymał wyprostowaną i lekko się kołysał; zdawał się być wspaniałym gimnastykiem, gimnastykiem przodującym.

– Niech więc pan przede wszystkim pójdzie do panny Klary – ciągnął pan Green. – To z pewnością sprawi panu przyjemność i zgadza się także bardzo dobrze z moim rozkładem czas. Zanim pan stąd bowiem odejdzie, mam panu rzeczywiście do powiedzenia coś interesującego, co prawdopodobnie może być także decydujące dla pańskiego powrotu. Jestem tylko, niestety, związany wyższym rozkazem i nie mogę panu nic zdradzić przed północą. Może pan sobie wyobrazić, że mnie samemu sprawia to przykrość, ponieważ zakłóca mój nocny spoczynek, ale trzymam się otrzymanego polecenia. Teraz jest kwadrans na dwunastą, mogę więc jeszcze omówić z panem Pollunderem do końca moje interesy, przy czym pańska obecność tylko by przeszkadzała, a pan może spędzić miłą chwilkę z panną Klarą. Punktualnie o dwunastej niech się pan stawi tutaj, gdzie pan się dowie tego, co trzeba.

Czyż Karl mógł odrzucić to żądanie, które naprawdę wymagało od niego tylko odrobiny uprzejmości i wdzięczności wobec pana Pollundera, a które ponadto zakomunikował mu obojętny poza tym, brutalny człowiek, podczas gdy Pollunder, którego to dotyczyło, jak mógł powstrzymywał

słowa i spojrzenia? I cóż to było to coś interesującego, o czym miał się dowiedzieć dopiero o północy? Jeśli nie przyspieszało to jego powrotu do domu przynajmniej o trzy kwadranse, o które go opóźniało, nie interesował się tym. Ale największe wątpliwości miał co do tego, czy w ogóle powinien iść do Klary, która przecież była jego wrogiem. Gdyby przynajmniej miał przy sobie kastet, który ofiarował mu wuj jego jako przycisk na biurko! Pokój Klary mógł być rzeczywiście niebezpieczną jaskinią. Ale teraz przecież nie mógł powiedzieć tutaj nic przeciw Klarze, bo była ona córką Pollundera, a ponadto, jak niedawno usłyszał, narzeczoną Macka. Gdyby tylko odrobinę inaczej się do niego ustosunkowała, otwarcie podziwiałby ją z powodu jej związków. Rozważał jeszcze to wszystko, lecz zauważył już, że nie wymagano od niego żadnych rozważań, bo Green otworzył drzwi i powiedział do służącego, który zeskoczył z postumentu:

– Proszę zaprowadzić tego młodego człowieka do panny Klary.

„Tak wykonuje się rozkazy” – myślał Karl, kiedy służący, niemal biegnąc i stękając z powodu starczej słabości, specjalnie krótką drogą prowadził go do pokoju Klary. Gdy Karl przechodził koło swego pokoju, którego drzwi wciąż jeszcze stały otworem, chciał, może dla uspokojenia się, wejść na chwilę do środka. Ale służący na to nie pozwolił.

– Nie – powiedział. – Musi pan iść do panny Klary. Sam pan przecież słyszał.

– Zatrzymałbym się tam tylko chwilę – powiedział Karl i pomyślał o tym, żeby dla odmiany rzucić się na chwilę na kanapę, aby mu szybciej przeszedł czas do północy.

– Proszę mi nie utrudniać wypełniania rozkazu – powiedział służący.

„On, zdaje się, uważa za jakąś karę to, że muszę iść do panny Klary” – pomyślał Karl i uszedł parę kroków, ale potem znowu zatrzymał się przez upór.

– Niechże pan idzie, młody panie – powiedział służący – skoro pan

już tu jest. Wiem, że chciał pan odejść jeszcze tej nocy, ale nie wszystko układa się według życzeń, od razu panu powiedziałem, że to będzie raczej niemożliwe.

– Tak, chcę odejść i odejdę – powiedział Karl – a teraz chcę tylko pożegnać się z panną Klarą.

– Tak? – rzekł służący, a Karl widział po nim, że nie wierzy ani jednemu jego słowu. – Więc dlaczego zwleka pan z pożegnaniem, niechże pan idzie!

– Kto tam jest na korytarzu? – zabrzmiał głos Klary i ujrzeli ją, wychylającą się zza pobliskich drzwi, z wielką lampą o czerwonym abażurze w ręku. Służący pośpieszył ku niej i złożył meldunek. Karl powoli poszedł za nim.

– Późno pan przychodzi – powiedziała Klara.

Na razie jej nie odpowiadając, Karl rzekł do służącego po cichu, ale ponieważ znał już jego naturę, tonem stanowczego rozkazu:

– Zaczeka pan na mnie pod tymi drzwiami!

– Chciałam już iść spać – powiedziała Klara i postawiła lampę na stole. Jak na dole w jadalni, tak i tutaj służący ostrożnie zamknął drzwi z zewnątrz. – Minęło już wpół do dwunastej.

– Minęło już wpół do dwunastej? – powtórzył Karl pytająco, jak gdyby tym przestraszony. – Wobec tego muszę się natychmiast pożegnać – powiedział – bo punktualnie o dwunastej mam być na dole w jadalni.

– Cóż pan ma za pilne interesy! – powiedziała Klara z roztargnieniem wyglądając fałdy swego luźnego nocnego stroju. Twarz miała rozpaloną i wciąż się uśmiechała. Karl osądził, że nie zachodzi niebezpieczeństwo ponownej sprzeczki z Klarą. – Czy nie mógłby mi pan jednak trochę zagrać na fortepianie, jak mi to wczoraj papa, a dzisiaj pan sam przyrzekł?

– Ale czy nie jest już za późno? – spytał Karl. Chętnie zrobiłby jej tę przyjemność, gdyż była zupełnie inna niż przedtem, jak gdyby wstąpiła w

krąg Pollundera, a dalej Macka.

– Tak, jest późno – i wydawało się, że już jej przeszła ochota do muzyki.
– Każdy ton odbija się też echem w całym domu i jestem przekonana, że gdy pan zagra, obudzi się cała służba na poddaszu.

– Toteż dam spokój grze, mam nadzieję, że jeszcze na pewno tutaj przyjadę; a zresztą, jeśli nie sprawi to pani szczególnego trudu, proszę odwiedzić kiedyś mojego wuja, a przy okazji zajrzeć też do mojego pokoju. Mam wspaniały fortepian. Wuj mi go podarował. Wtedy zagram, jeśli pani będzie chciała, wszystkie moje kawałki, niestety, nie jest ich wiele i nie nadają się też zupełnie do tak wielkiego instrumentu, na którym powinni grać tylko wirtuozi. Ale i tę przyjemność będzie pani mogła mieć, jeśli mnie pani uprzedzi o swojej wizycie, bo wuj chce dla mnie wkrótce zaangażować sławnego nauczyciela – może pani sobie wyobrazić, jak się na to cieszę – i dla jego gry naprawdę warto będzie mi złożyć wizytę podczas lekcji. Jeśli mam być szczery, jestem zadowolony, że już za późno na grę, bo jeszcze nic nie umiem, zdziwiłaby się pani, jak tego mało. A teraz proszę pozwolić, że się pożegnám, ostatecznie czas już spać. – A ponieważ Klara patrzyła na niego życzliwie i wydało się, że nie ma do niego urazy z powodu bijatyki, dodał z uśmiechem, podając jej rękę: – W mojej ojczyźnie zwykło się mówić „Śpij dobrze i śnij słodko”.

– Niech pan zaczeka – powiedziała, nie ujmując podanej dłoni. – Może powinien pan jednak zagrać. – I zniknęła za małymi bocznymi drzwiami obok których stał fortepian.

„Cóż to znaczy? – pomyślał Karl. – Nie mogę czekać długo, chociaż jest taka miła!” – Zapukano do drzwi od korytarza i służący, który nie odważył się ich całkowicie otworzyć, szepnął przez małą szparkę:

– Proszę wybaczyć, zostałem właśnie odwołany i nie mogę dłużej czekać.

– Niech pan idzie – powiedział Karl, który teraz już ufał, że sam

odnajdzie drogę do jadalni. – Proszę mi tylko zostawić latarnię pod drzwiami. Ale, ale, która to godzina?

– Dochodzi trzy na dwunastą – powiedział służący.

– Jak powoli czas mija! – powiedział Karl. Służący chciał już zamknąć drzwi, kiedy Karl przypomniał sobie, że nie dał mu jeszcze napiwku, wyjął więc szylinga z kieszeni spodni – amerykańskim zwyczajem nosił teraz zawsze monety luzem w kieszeni spodni, natomiast banknoty w kieszeni kamizelki – i wręczył go służącemu ze słowami:

– Za pańskie dobre usługi.

Klara weszła już, trzymając ręce przy ciasno upiętych włosach, gdy Karlowi przyszło do głowy, że nie powinien był jednak odsyłać służącego, bo kto go teraz odprowadzi do stacji kolei miejskiej? No, ale pan Pollunder wyszuka pewnie jakiegoś innego służącego, może zresztą ten został tylko odwołany do jadalni, a potem będzie znów do jego dyspozycji.

– Więc jednak proszę, żeby pan trochę zagrał. Tak rzadko słyszy się tutaj muzykę, że nie chcę pominąć sposobności posłuchania jej.

– W takim razie już najwyższy czas – powiedział Karl bez dalszego namysłu i zaraz usiadł do fortepianu.

– Potrzebuje pan nut? – spytała Klara.

– Dziękuję, ja nawet nie umiem dobrze czytać nut – odpowiedział Karl i już grał. Była to piosenka, którą jak o tym Karl dobrze wiedział, powinno się grać dość powoli, żeby zwłaszcza dla obcych była bodaj zrozumiała, lecz on bębnił ją w najszybszym tempie marsza. Gdy skończył, zakłócona cisza domu powróciła, jak gdyby wciskając się pod wielkim naporem na swoje miejsce. Siedzieli jak odurzeni i nie poruszali się.

– Całkiem ładnie – powiedziała Klara, ale nie było takiej grzecznościowej formułki, która po tej grze mogłaby Karlowi pochlebić.

– Która godzina? – spytał.

– Trzy na dwunastą.

– Więc mam jeszcze chwileczkę czasu – powiedział i pomyślał sobie: „Albo – albo. Nie muszę przecież grać wszystkich dziesięciu pieśni, które umiem, ale jedną mogę zagrać możliwie dobrze”. – I zaczął swoją ulubioną pieśń żołnierską. Grał tak powoli, że rozbudzone pragnienie słuchacza sięgało już po następną nutę, którą Karl wstrzymywał i tylko z trudem wydobywał. Musiał też istotnie przy każdym dźwięku szukać najpierw oczyma potrzebnych klawiszy, ale poza tym czuł, jak w nim powstaje cierpienie, które po zakończeniu pieśni szuka innego zakończenia i nie może go znaleźć.

– Nic nie umiem – powiedział Karl po skończeniu pieśni i zobaczył, że Klara ma łzy w oczach.

Wtedy z sąsiedniego pokoju rozległy się głośne oklaski.

– Ktoś jeszcze słuha! – zawołał Karl, wstrząśnięty.

– Mack – cicho odparła Klara. I już rozległo się wołanie Macka:

– Karl Rossmann, Karl Rossmann!

Karl obydwoma nogami równocześnie przeskoczył taboret od fortepianu i otworzył drzwi. Zobaczył tam Macka, na pół leżącego, na pół siedzącego w wielkim łożu z baldachimem, z kołdrą luźno narzuconą na nogi. Jedyne baldachim z niebieskiego jedwabiu stanowił nieco dziewczęcy przepych tego prostego poza tym łóżka, kanciasto zbitego z ciężkiego drewna. Na nocnym stoliku płonęła tylko jedna świeca, lecz pościel i koszula Macka były tak białe, że padające na nie światło świecy odbijało się od nich niemal oślepiającym blaskiem; baldachim także jaśniał, przynajmniej po brzegach, swym lekko sfalowanym, niezbyt silnie napiętym jedwabiem. Ale tuż za Maćkiem łóżko i wszystko dokoła tonęło w zupełnej ciemności. Klara oparła się o filar łóżka i w jej oczach był już tylko Mack.

– Serwus – powiedział Mack i podał Karlowi rękę. – Gra pan zupełnie dobrze, dotychczas znałem tylko pańskie umiejętności jeździeckie.

– Równie źle robię jedno, jak drugie – powiedział Karl. – Gdybym wiedział, że pan słucha, z pewnością bym nie zagrał. Ale pańska... – urwał, zawahał się, czy powiedzieć „narzeczona”, skoro Mack i Klara otwarcie już sypiali ze sobą.

– Przeczuwałem to – powiedział Mack – dlatego Klara musiała zwabić pana tutaj z Nowego Jorku, inaczej nigdy bym nie usłyszał pańskiej gry. Zaledwie pan początkuje i nawet w tych pieśniach, które pan przecież ćwicył i które skomponowane są bardzo prymitywnie, zrobił pan kilka błędów, ale i tak sprawił mi pan przyjemność, nie mówiąc o tym, że nie gardzę niczyją grą. Ale czy nie zechciałby pan usiąść i jeszcze chwileczkę z nami zostać? Klara, podajże mu krzesło.

– Dziękuję – rzekł Karl, zająknąwszy się. – Nie mogę zostać, choć zrobiłbym to chętnie. Za późno dowiaduję się, że w tym domu są takie komfortowe pokoje.

– Wszystko przebudowuję w ten sposób – powiedział Mack.

W tym momencie rozległo się dwanaście uderzeń dzwonu, szybko po sobie następujących, tak że jedno wpadało w dźwięk drugiego. Karl poczuł na policzkach powiew potężnego ruchu tych dzwonów. Cóż to była za wieś, która miała takie dzwony!

– Najwyższy czas na mnie – powiedział Karl, wyciągnął ręce ku Maćkowi i Klarze nie podając ich nawet i wybiegł na korytarz. Nie znalazł tam latarni i pożałował, że zbyt szybko dał służącemu napiwek.

Chciał dotrzeć do otwartych drzwi swojego pokoju macając ścianę, lecz był zaledwie w połowie drogi, gdy ujrzał zbliżającego się pośpiesznie, rozkołysanym krokiem, pana Greena z uniesioną w górę świecą. W ręce, w której niósł świecę, trzymał także list.

– Rossmann, dlaczego pan nie przychodzi? Dlaczego każe mi pan czekać? Co pan robił u panny Klary?

„Tak wiele pytań! – pomyślał Karl. – A teraz jeszcze przyciska mnie

do ściany”. Gdyż rzeczywiście Green stanął tuż przed Karlem, który plecami oparł się o ścianę. W tym korytarzu Green nabrał już śmiesznie wielkich rozmiarów i Karl żartem zadał sobie pytanie, czy on czasem nie pożarł dobrego pana Pollundera.

– Istotnie, nie jest pan człowiekiem słownym. Obiecuje pan, że zejdzie o dwunastej, a zamiast tego łązi pan pod drzwiami panny Klary. Ja za to przyrzekłem panu o północy coś interesującego i oto jestem. – I wręczył Karlowi list. Na kopercie było napisane: „Oddać Karlowi Rossmannowi o sobiście o północy, gdziekolwiek go się spotka”.

– Ostatecznie – mówił pan Green, podczas gdy Karl otwierał list – myślę, że już to samo, iż z pańskiego powodu przyjechałem tutaj z Nowego Jorku, jest na tyle godne uznania, żeby mi pan nie kazał jeszcze biegać za sobą po korytarzach.

– Od wuja! – powiedział Karl, ledwie zajrzał do listu. – Spodziewałem się tego – rzekł, zwracając się do pana Greena.

– Czy pan się tego spodziewał, czy nie, jest mi kolosalnie obojętne. Niechże pan już czyta – powiedział Green i przysunął do Karla świecę.

Karl czytał przy jej świetle:

„Ukochany siostrzeńcze! Jak już zapewne podczas naszego, niestety o wiele za krótkiego współżycia mogłeś się przekonać, jestem na wskroś człowiekiem zasad. Jest to nie tylko dla mojego otoczenia, lecz także dla mnie bardzo niemiłe i smutne, ale moim zasadom zawdzięczam wszystko, czym jestem, i nikt nie może żądać, żebym się wyparł mej gleby, nikt, nawet Ty, mój ukochany siostrzeńcze, jakkolwiek Ty właśnie byłbyś pierwszym, gdyby mi kiedyś przyszło do głowy dopuścić do owego powszechnego ataku przeciw mnie. Wtedy najchętniej właśnie Ciebie objąłbym i unioś w górę tymi obydwoma rękami, którymi trzymam i

zapisuję ten papier. Ponieważ jednak tymczasem nic na to nie wskazuje, żeby to się kiedyś mogło stać, muszę Cię po dzisiejszym zajściu bezwarunkowo od siebie oddalić i proszę Cię usilnie, żebyś mnie sam nie odwiedzał ani też listownie czy za czymś pośrednictwem nie próbował nawiązać ze mną kontaktu. Wbrew mojej woli zdecydowałeś się dzisiaj wieczorem ode mnie odejść, pozostań zatem przy tej decyzji przez całe swoje życie; tylko wtedy będzie to męska decyzja. Na oddawcę tej wiadomości obrałem pana Greena, mego najlepszego przyjaciela, który z pewnością znajdzie dla ciebie dość łagodnych słów, jakimi ja w tej chwili naprawdę nie rozporządzam. Jest to człowiek wpływowy i choćby ze względu na mnie wesprze Cię radą i czynem w Twoich pierwszych samodzielnych krokach. Aby zrozumieć nasze rozstanie się, które teraz, przy końcu tego listu, znowu wydaje mi się niepojęte, muszę sobie wciąż na nowo powtarzać: Od Twojej rodziny, Karl, nie pochodzi nic dobrego. Gdyby pan Green zapomniał wręczyć Ci Twój kuferek i parasol, przypomnij mu o tym. Z najlepszymi życzeniami dalszej pomyślności

Twój oddany wuj Jakob”.

– Skończył pan? – spytał Green.

– Tak – powiedział Karl. – Czy przywiózł mi pan kuferek i parasol? – spytał.

– Oto on – powiedział Green i postawił obok Karla na podłodze stary kuferek podróżny, który dotychczas trzymał w lewej ręce, ukryty za plecami.

– A parasol? – pytał Karl dalej.

– Wszystko jest tutaj – powiedział Green i wyciągnął także parasol, który miał zahaczony o kieszeń spodni. – Przyniósł te rzeczy niejaki

Schubal, starszy maszynista Linii Hamburg – Ameryka; utrzymywał, że znalazł je na statku. Może mu pan przy sposobności podziękować.

– Mam teraz przynajmniej znowu moje stare rzeczy – powiedział Karl i położył parasol na kufunku.

– Pan senator kazał panu powiedzieć, żeby pan na przyszłość lepiej na nie uważał – zaznaczył pan Green, a potem spytał, widocznie z prywatnej ciekawości:

– Cóż to jest właściwie za osobliwy kuferek?

– To jest kuferek, z jakim w mojej ojczyźnie żołnierze idą do wojska – odpowiedział Karl. – To stary kuferek żołnierski mojego ojca. Jest zresztą całkiem praktyczny – dodał z uśmiechem – jeśli się go gdzieś nie zostawia przez zapomnienie.

– Ostatecznie miał pan dostateczną nauczkę – powiedział pan Green – a drugiego wuja nie ma pan chyba w Ameryce. Daję panu jeszcze bilet trzeciej klasy do San Francisco. Postanowiłem, że pan uda się w tę podróż, bo po pierwsze, będzie pan miał na wschodzie o wiele większe możliwości zarobku, a po drugie, tutaj we wszystkim, co by mogło dla pana wchodzić w rachubę, ma udział pański wuj, a bezwarunkowo należy unikać waszego spotkania. We Frisco może pan pracować zupełnie spokojnie, niech pan tylko zacznie od samego dołu i próbuje stopniowo piąć się wyżej.

Karl nie mógł dosłuchać się w tych słowach żadnej złośliwości, zła wiadomość, którą Green ukrywał w sobie przez cały wieczór, została przekazana i od tej chwili Green wydawał mu się człowiekiem nie niebezpiecznym, z którym, być może, można było mówić bardziej otwarcie niż z każdym innym. Najlepszy człowiek, bez własnej winy wybrany na zwiastuna tak tajnego i dręczącego postanowienia, musi, dopóki zatrzymuje je przy sobie, wydawać się podejrany.

– Natychmiast – powiedział Karl, oczekując potwierdzenia

doświadczonego człowieka – opuszczę ten dom, gdyż przyjęto mnie tutaj tylko jako siostrzeńca mojego wuja, podczas gdy jako człowiek obcy nie mam tu czego szukać. Czy byłby pan tak uprzejmy pokazać mi wyjście i potem wyprowadzić na drogę, którą dojdę do najbliższej gospody?

– Ale szybko – powiedział Green. – Sprawia mi pan niemało kłopotów.

Na widok wielkiego kroku, jaki Green zaraz zrobił, Karl przystanął, był to podejrzany pośpiech, chwycił więc Greena za połą surduta i powiedział, nagle zrozumiawszy prawdziwy stan rzeczy:

– Musi mi pan jeszcze jedno wyjaśnić: na kopercie listu, który miał mi pan oddać, napisane jest tylko, że powinienem go otrzymać o północy, gdziekolwiek będzie mnie można spotkać. Dlaczego więc, powołując się na ten list, zatrzymał mnie pan tutaj, kiedy kwadrans na dwunastą chciałem stąd odejść? Postąpił pan w ten sposób wbrew otrzymanemu poleceniu.

Green rozpoczął swą odpowiedź od ruchu ręki, który przesadnie ukazywał zbędność uwagi Karla, a potem powiedział:

– Czy jest może napisane na kopercie, że powinienem z pańskiego powodu zagonić się na śmierć, i czy może treść listu dowodzi, że tak należy pojąć adres? Gdybym pana nie zatrzymał, musiałbym panu właśnie o północy wręczyć ten list na drodze.

– Nie – powiedział Karl nie zmieszany – to nie jest całkiem tak. Na kopercie napisano: „oddać po północy”. Jeśli pan był zbyt zmęczony, nie mógłby pan może w ogóle iść za mną, albo ja, czemu zresztą sam pan Pollunder zaprzeczył, byłbym już o północy z powrotem u wuja, albo wreszcie pańskim obowiązkiem byłoby odwieźć mnie do wuja swoim automobilem, o którym nagle przestało się mówić, skoro tak bardzo pragnąłem wrócić. Czyż napis nie mówi całkiem wyraźnie, że północ ma być dla mnie jeszcze ostatnim terminem? I to pan ponosi winę za to, że go nie dotrzymałem.

Karl patrzył na Greena ostrym wzrokiem i dobrze widział, jak w Greenie walczyło zawstydzenie z powodu zdemaskowania go, z radością, że jego zamiar się udał. W końcu opanował się i powiedział takim tonem, jak gdyby Karlowi, który przecież już długo milczał, przerywał w środku zdania:

– Ani słowa więcej!

I razem z podjętym przez Karla kuferkim i parasolem wypchnął go na zewnątrz przez małe drzwi, które przed nim otworzył.

Karl, osłupiały, znalazł się na dworze. Przybudowane do domu schody bez poręczy wiodły w dół. Musiał tylko zejść, a potem zwrócić się nieco w prawo, w stronę alei, która prowadziła do szosy. W jasnym blasku księżycy nie można było zabłądzić. Na dole w ogrodzie usłyszał szczekanie wielu psów, które spuszczone z uwięzi biegały w ciemności wokół drzew. W panującej poza tym ciszy słychać było zupełnie wyraźnie, jak po swych wysokich skokach spadały na trawę.

Nie niepokoiony przez nie, Karl szczęśliwie wyszedł z ogrodu. Nie potrafił ustalić z pewnością, w którym kierunku leżał Nowy Jork. Jadąc tutaj, zbyt mało zwracał uwagi na szczegóły, które teraz mogłyby mu się przydać, wreszcie powiedział sobie, że nie musi koniecznie dostać się do Nowego Jorku, gdzie nikt go nie oczekuje, a jedna osoba nie oczekuje go nawet z pewnością. Obrął zatem pierwszy lepszy kierunek i ruszył w drogę.

Droga do Ramzes

W niewielkiej gospodzie, do której Karl przyszedł po krótkim marszu, a która była właściwie tylko małą, ostatnią stacją nowojorskiego ruchu wozów konnych i dlatego rzadko zatrzymywano się w niej na nocleg,

Karl zażądał najtańszego miejsca do spania, jakie można było otrzymać, gdyż uważał, że natychmiast musi zacząć oszczędzać. Stosownie do jego żądania gospodarz skinieniem, jakby to dotyczyło jego pracownika, wskazał mu schody, na których przyjęła go stara, rozczochrana kobieta, zła, że przerwano jej sen, i niemal go nie słuchając, z ustawicznymi napomnieniami, żeby szedł cicho, wprowadziła Karla do pokoju, którego drzwi, nie omieszkawszy go przedtem ofuknąć: – Pst! – za nim zamknęła.

Karl z początku nie był pewien, czy po prostu stopy są spuszczone, czy też może w pokoju w ogóle nie ma okien, tak w nim było ciemno; w końcu zauważył małe, zasłonięte okno w dachu, którego zasłonę odsunął, dzięki czemu wpadło do środka nieco światła. W pokoju znajdowały się dwa łóżka, ale oba były już zajęte: Karl ujrzał na nich dwóch młodych ludzi, którzy byli pogrążeni w głębokim śnie i wyglądali na mało godnych zaufania, przede wszystkim dlatego, że bez wyraźnego powodu spali w ubraniach; jeden miał nawet buty na nogach.

W chwili kiedy Karl odsłonił okienko, jeden ze śpiących uniósł nieco ramiona i nogi w górę, co przedstawiało taki widok, że Karl, pomimo swych trosk, zaśmiał się w duchu.

Wkrótce zrozumiał, że, niezależnie od tego, iż w pokoju nie było żadnego innego miejsca do spania, ani kanapy, ani sofy, i tak nie potrafili by usnąć, gdyż nie mógł narażać na niebezpieczeństwo swego dopiero co odzyskanego kuferka ani pieniędzy, które miał przy sobie. Nie chciał jednak także odejść stąd, gdyż wobec gospodarza i pokojowej nie miał odwagi zaraz znowu opuszczać domu. Ostatecznie nie było tu chyba bardziej niepewnie niż na szosie. Co prawda zwracało uwagę, że w całym pokoju, o ile w półświatle można to było stwierdzić, nie ma ani jednej sztuki bagażu. Być może jednak – i najprawdopodobniej – ci dwaj młodzi ludzie byli tu służącymi, którzy ze względu na gości musieli wkrótce wstać i dlatego spali w ubraniach. W takim razie spanie razem z nimi nie

było rzeczą zbyt zaszczytną, ale za to nie niebezpieczną. Dopóki jednak nie było co do tego żadnej wątpliwości, Karl nie mógł ułożyć się do snu.

Pod łóżkiem stała świeca z zapalkami, którą Karl wziął, podszedłszy cichaczem. Nie miał żadnych skrupułów co do zapalenia światła, gdyż pókój z polecenia gospodarza należał równie dobrze do niego, jak do tamtych dwóch, którzy ponadto zażyli już snu przez pół nocy, a dzięki posiadaniu łóżek byli w nieporównanie korzystniejszym położeniu niż on. Zresztą Karl zadał sobie wiele trudu, aby ostrożnie chodząc i krzątając się ich nie obudzić.

Przede wszystkim chciał zbadać zawartość kuferka, żeby rzucić okiem na swe rzeczy, które sobie już niewyraźnie przypominał i z których najwartościowsze z pewnością już były stracone... Bo skoro Schubal położył na czymś rękę, istnieje mała nadzieja otrzymania tego z powrotem w stanie nie uszkodzonym. Mógł on wprawdzie spodziewać się od wuja dużego napiwku, z drugiej strony jednak, gdyby brakowało pojedynczych przedmiotów, mógł się wymówić zrzucając winę na właściwego strażnika kuferka, pana Butterbauma.

Pierwsze spojrzenie po otwarciu kuferka przeraziło Karla. Ileż godzin podczas podróży poświęcił na utrzymanie w nim ładu i porządkowanie go wciąż od nowa, a teraz wszystko było tak wywrócone i byle jak wepchnięte, że po otwarciu zamka wieko samo odskoczyło w górę.

Wkrótce jednak Karl zorientował się ku swej radości, iż przyczyną nieporządku było tylko to, że jego ubranie, które nosił podczas podróży i na które naturalnie nie było miejsca w kuferku, wpakowano do niego dodatkowo. Nie brakowało niczego. W ukrytej kieszeni surduta znajdował się nie tylko paszport, lecz także i zabrane z domu pieniądze, tak że Karl, dołożywszy do nich te, które miał przy sobie, chwilowo był w pieniądze obficie zaopatrzony. W kuferku znajdowała się też bielizna, którą miał na sobie w chwili przyjazdu, świeżo wyprana i wyprasowana. Włożył

też natychmiast zegarek i pieniądze do wypróbowanej ukrytej kieszeni. Jedyłą nieprzyjemną rzeczą było to, że werońskie salami, którego też nie brakowało, przepoiło wszystkie rzeczy swoim zapachem. Jeśli nie da go się usunąć przy pomocy jakiegoś środka, Karl miał w perspektywie chodzenie w oparach tego zapachu jeszcze przez długie miesiące.

Przy wydobywaniu kilku przedmiotów leżących na samym spodzie – były to: kieszonkowa Biblia, papier listowy i fotografia rodziców – zsunęła się Karłowi czapka z głowy i wpadła do kuferka. W jej dawnym otoczeniu rozpoznał ją natychmiast, była to jego czapka, czapka, którą matka dała mu jako czapkę podróżną. Z ostrożności nie nosił tej czapki na statku, ponieważ wiedział, że w Ameryce nosi się powszechnie czapki, a nie kapelusze, wobec czego nie chciał jej zniszczyć jeszcze przed przyjazdem. Teraz za to posłużyła ona panu Greenowi, aby zabawić się kosztem Karła. Czy może i to także wuj mu polecił? I mimo woli wściekłym ruchem pchnął wieko kuferka, które zatrzasnęło się z hałasem.

Teraz nic już nie mogło pomóc, obydwaj śpiący obudzili się. Najpierw jeden przeciągnął się i ziewnął, zaraz po nim uczynił to drugi. W dodatku prawie cała zawartość kuferka była rozłożona na stole; jeśli to byli złodzieje, wystarczyło, by podeszli i wybrali, co zechcą. Nie tylko po to, żeby uprzedzić tę możliwość, lecz także, żeby od razu wyjaśnić sytuację, Karl ze świecą w ręku podszedł do leżących i wytłumaczył im, jakim prawem tu się znajduje. Ci zdawali się zupełnie nie oczekiwać tego tłumaczenia, gdyż zbyt jeszcze zaspani, żeby móc mówić, patrzyli tylko na niego bez zdziwienia. Obydwaj byli bardzo młodzi, lecz ciężka praca lub nędza uwydatniła przedwcześnie kości w ich twarzach, zaniedbany zarost okalał podbródki, od dawna nie strzyżone włosy mierzwiły im się na głowach, a teraz jeszcze zaspani przecierali i cisnęli kłykciami palców zapadnięte oczy.

Karl chciał wykorzystać ich chwilową słabość i dlatego powiedział:

– Nazywam się Karl Rossmann i jestem Niemcem. Ponieważ mamy wspólny pokój, proszę, żeby mi panowie powiedzieli także swoje nazwiska i narodowość. Od razu też oświadczam, że nie roszczę sobie praw do łóżka, ponieważ przyszedłem tak późno i w ogóle nie mam zamiaru spać. Poza tym niech panów nie razi moje piękne ubranie, jestem zupełnie biedny i nie mam żadnych widoków przed sobą.

Mniejszy z dwóch – ten, który miał buty na nogach – dał do zrozumienia ruchem ramion, nóg i minami, że go to wszystko zupełnie nie interesuje i że w ogóle teraz nie pora na tego rodzaju gadanie, położył się z powrotem i natychmiast zasnął; drugi, mężczyzna o śniadej cerze, także położył się z powrotem, lecz przed zaśnięciem powiedział jeszcze z niedbale wyciągniętą ręką:

– Tamten nazywa się Robinson i jest Irlandczykiem, ja nazywam się Delamarche, jestem Francuzem i proszę teraz o spokój.

Zaledwie to powiedział, potężnie zaczerpnąwszy oddechu zdmuchnął świecę Karla i z powrotem opadł na poduszkę.

„To niebezpieczeństwo jest zatem na razie zażegnane” – powiedział sobie Karl i wrócił do stołu. Jeśli nie udawali senności, to wszystko dobrze. Przykre tylko, że jeden z nich był Irlandczykiem. Karl nie wiedział już dokładnie, w jakiej książce czytał kiedyś w domu, że w Ameryce należy się strzec przed Irlandczykami. Podczas swego pobytu u wuja miał wprawdzie doskonałą sposobność, aby do głębi zbadać zagadnienie niebezpieczeństwa ze strony Irlandczyków, ale ponieważ czuł się już na zawsze dobrze usytuowany, zupełnie tego zaniedbał. Teraz chciał przynajmniej obejrzeć sobie dokładnie tego Irlandczyka przy blasku świecy, którą znowu zapalił, przy czym przekonał się, że właśnie on wyglądał znośniej niż Francuz. Miał nawet jeszcze ślady zaokrąglenia policzków i uśmiechał się we śnie całkiem przyjaźnie, o ile Karl mógł to stwierdzić z pewnego oddalenia, unosząc się na palcach.

Mimo wszystko, z mocnym postanowieniem, żeby nie usnąć, Karl usiadł na jedynym krześle w pokoju, odłożył tymczasem na później zapakowanie kuferka, gdyż miał przecież na to jeszcze całą noc, i zaczął przewracać kartki Biblii, ale jej nie czytał. Potem wziął do ręki fotografię rodziców, na której jego niski ojciec stał bardzo wyprostowany, podczas gdy matka siedziała przed nim nieco zagłębiona w fotelu. Ojciec trzymał jedną rękę na oparciu fotela, a drugą, zwiniętą w pięść, na ilustrowanej książce, która rozłożona była na stojącym obok, małym, ozdobnym stoliczku. Istniała jeszcze inna fotografia, która przedstawiała Karla razem z rodzicami. Na tej ojciec i matka surowo na niego patrzyli, podczas gdy on, z polecenia fotografa, musiał patrzeć w aparat. Ale tej fotografii nie dostał na drogę.

Tym dokładniej oglądał leżącą przed nim i z rozmaitych stron usiłował pochwycić spojrzenie ojca. Lecz ojciec, jakkolwiek Karl zmieniał jego wygląd rozmaitym ustawianiem świecy, nie chciał ożyć, jego poziomy, bujny wąż też nie był podobny do rzeczywistego, to nie było dobre zdjęcie. Matka natomiast była przedstawiona lepiej, miała usta skrzywione, jakby jej zadano cierpienie i jakby zmuszała się do uśmiechu. Karlowi wydawało się, że dla każdego, kto ogląda zdjęcie, musiało to być tak uderzające, że już w następnym momencie wydało mu się znowu, iż wrażenie to jest za silne i prawie bezsensowne. Jakże można z jednego zdjęcia czerpać tak bardzo nieodwołalne przekonanie o ukrytych uczuciach osoby sfotografowanej! I na chwilę odwrócił spojrzenie od zdjęcia. Gdy znów powrócił do niego wzrokiem, uderzyło go, iż ręka matki, zwisająca całkiem na przodzie z poręczy fotela, jest tak blisko, że można by ją ucałować. Pomyślał, czy może jednak nie byłoby dobrze napisać do rodziców, jak to istotnie oboje (a ojciec ostatnio w Hamburgu bardzo surowo) mu przykazywali. Wprawdzie owego straszliwego wieczoru, kiedy matka stojąc przy oknie zawiadomiła go o podróży do

Ameryki, przysiągł sobie nieodwołalnie, że nigdy nie napisze, ale cóż znaczyła ta przysięga niedoświadczonego młodzika tutaj, w nowych warunkach! Równie dobrze mógłby był wówczas przysiąc, że po dwóch miesiącach pobytu w Ameryce zostanie generałem amerykańskiej milicji, podczas gdy w rzeczywistości znajdował się razem z dwoma oberwańcami na poddaszu gospody pod Nowym Jorkiem, a poza tym musiał przyznać, że tutaj naprawdę jest na swoim miejscu. I z uśmiechem badał twarze rodziców, jakby można z nich było poznać, czy wciąż jeszcze pragną otrzymać jakąś wiadomość od syna.

Przy tym oglądaniu poczuł wkrótce, że jest jednak bardzo zmęczony i trudno mu będzie czuwać przez całą noc. Zdjęcie wypadło mu z rąk, potem położył twarz na zdjęciu, którego przyjemny chłód odczuł na policzku, i z miłym uczuciem zasnął.

Zbudziło go wcześniej łaskotanie pod pachą. To Francuz pozwolił sobie na takie natręctwo. Ale Irlandczyk także stał już przed stołem Karla i obydwoj patrzyli na niego z nie mniejszym zainteresowaniem, niż Karl patrzył na nich w nocy. Karl nie dziwił się, że nie obudziło go już ich wstawanie; nie sądził bynajmniej, aby w złych zamiarach poruszali się specjalnie cicho, gdyż on spał głęboko, a im ubieranie, a widocznie także i mycie, nie sprawiło wiele zachodu.

Teraz przywitali się ze sobą przyzwoicie i z pewną ceremonialnością, a Karl dowiedział się, iż obydwoj są mechanikami, którzy w Nowym Jorku już od długiego czasu nie mogli dostać pracy i z tego powodu bardzo podupadli. Na dowód tego Robinson rozchylił swój surdut i okazało się, że nie ma pod nim koszuli, co zresztą widać było już po luźno trzymającym się kołnierzyku, przymocowanym do surduta. Mieli zamiar pomaszerować do miasteczka Butterford, oddalonego o dwa dni drogi od Nowego Jorku, gdzie rzekomo łatwo było o pracę. Nie mieli nic przeciwko temu, żeby Karl poszedł razem z nimi i przyrzekli mu po

pierwsze, że będą od czasu do czasu nieść jego kuferek, a po drugie, że jeśli sami dostaną pracę, wystarają mu się o miejsce ucznia, co, jeśli tylko w ogóle praca się znajdzie, będzie całkiem łatwe. Karl jeszcze niezupewnie się zgodził, kiedy mu już po przyjacielsku poradzili, żeby zdjął piękne ubranie, które przy staraniu się o pracę będzie mu przeszkadzało. Właśnie w tym domu nadarza się dobra sposobność, aby się go pozbyć, bo pokojowa prowadzi handel ubraniami. Pomogli Karlowi, który co do ubrania także nie był jeszcze całkiem zdecydowany, zdjęć je i wyszli z nim. Gdy Karl, pozostawiony sam i trochę nieprzytomny ze snu, wkładał jeszcze powoli stare ubranie podróżne, robił sobie wyrzuty, że sprzedał ubranie, które by mu może przeszkadzało przy staraniu się o miejsce ucznia, ale przy staraniu się o jakąś lepszą posadę mogłoby się może przydać, i otworzył drzwi, żeby zawołać z powrotem tamtych dwóch, zderzył się z powracającymi, a oni położyli na stole pół dolara jako zapłatę, lecz mieli przy tym tak wesołe miny, że trudno byłoby dać się przekonać, że nie osiągnęli przy sprzedaży także własnego zysku, i to irytująco dużego.

Zresztą nie było czasu, żeby się na ten temat wypowiedzieć, bo weszła pokojowa, równie zaspana jak w nocy, i wypędziła wszystkich trzech na korytarz, oznajmiając, że musi przygotować pokój dla nowych gości. Ale naturalnie wcale nie o to chodziło, robiła to tylko przez złośliwość. Karl, który właśnie chciał uporządkować swój kuferek, musiał się przyglądać, jak kobieta chwyta jego rzeczy obydwoma rękami i z rozmachem wrzuca je do kufierka, jakby to były jakieś zwierzęta, które trzeba zmusić do posłuszeństwa. Obydwaj mechanicy zabrali się do niej, ciągnęli ją za spódnicę, poklepywali po plecach, ale jeśli mieli zamiar pomóc Karlowi, to zupełnie chybili. Kobieta, zatrzasnąwszy wieko, wetknęła Karlowi do ręki ucho kufierka, otrząsnęła się z mechaników i wygoniła wszystkich trzech z pokoju, grożąc, że jeśli nie będą posłuszni, nie dostaną kawy.

Kobieta musiała widocznie zupełnie zapomnieć, że Karl nie towarzyszył od samego początku obu mechanikom, gdyż traktowała ich wszystkich jako jedną bandę. Co prawda, mechanicy sprzedali jej ubranie Karla i dowiedli tym pewnej wspólnoty z nim.

Na korytarzu musieli długo chodzić tam i z powrotem i zwłaszcza Francuz, który trzymał Karla pod rękę, kłął bez przerwy, groził, że jeśli gospodarz odważy się pokazać, to go zboksuje, i wydawało się, że robi już do tego przygotowania, gdyż z wściekłością tarł jedną o drugą zacisnięte pięści. W końcu nadszedł niewinny chłopaczek, który musiał wspiąć się na palce, podając Francuzowi dzbanek z kawą. Niestety, był tylko jeden dzbanek, a chłopcu nie sposób było wytłumaczyć, że pożądane byłyby jeszcze szklanki. Wobec tego mógł pić tylko jeden z nich, a dwaj inni stali przed nim i czekali. Karl nie miał ochoty pić, lecz nie chciał urazić tamtych, więc gdy nadeszła jego kolej, stał beczynnym, z dzbankiem przy wargach.

Na pożegnanie Irlandczyk rzucił dzbankiem o kamienne płyty. Przez nikogo nie widziani opuścili dom i weszli w gęstą, żółtawą, poranną mgłę. Maszerowali obok siebie, na ogół w zupełnej ciszy, skrajem szosy, Karl musiał nieść swój kuferek, tamci pomogliby mu zapewne dopiero na jego prośbę; od czasu do czasu z mgły wystrzelał automobil i wszyscy trzej odwracali głowy za przeważnie olbrzymimi wozami, tak zdumiewającymi swą budową, a pojawiającymi się na tak krótko, że nie mieli nawet czasu zauważyć, że siedzieli w nich jacyś pasażerowie. Później zaczęły sunąć kolumny wozów, które dowoziły żywność do Nowego Jorku i w pięciu rzędach, zajmujących całą szerokość szosy, ciągnęły tak nieprzerwanie, że nikt nie mógłby przejść na drugą stronę jezdni. Od czasu do czasu szosa rozszerzała się tworząc plac, pośrodku którego odmierzonymi krokami chodził tam i z powrotem policjant, na podobnym do wieży podwyższeniu, aby móc objąć wzrokiem wszystko i za pomocą pałeczki

kierować ruchem, zarówno na głównej drodze, jak i włączającym się tutaj z bocznych dróg, który później, aż do następnego placu i do następnego policjanta, nie był strzeżony, lecz przez milczących i uważnych woźniców oraz szoferów z własnej woli utrzymywany w należyтым porządku. Karla najbardziej zdumiewał ogólny spokój. Gdyby nie ryki beztroskich zwierząt prowadzonych na rzeź, nie słyszałoby się zapewne nic oprócz stuku kopyt i szumu opon. Przy tym naturalnie szybkość jazdy nie zawsze była taka sama. Gdy na po szczególnych placach, wskutek zbyt wielkiego natłoku wjeżdżających z bocznych dróg, konieczne były duże zmiany w szyku pojazdów, całe szeregi zwalniały i jechały krok za krokiem, potem znów zdarzało się, że przez chwilę pędziły z szybkością błyskawicy, dopóki, jakby powstrzymane jednym jedynym hamulcem, nie uspokoiły się znowu. Przy tym z szosy nie unosiła się ani odrobina kurzu, wszystko posuwało się w najczystszyim powietrzu. Nie widać było pieszych, nie wędrowały tu do miasta pojedyncze przekupki, jak w ojczyźnie Karla, od czasu do czasu natomiast pojawiały się wielkie, płaskie automobile, na których stało około dwudziestu kobiet z koszami na plecach, więc chyba jednak przekupek, które wyciągały szyje, by dojrzeć ruch na szosie i nabrać nadziei na szybszą jazdę. Widziało się także podobne automobile, po których przechadzali się pojedynczy mężczyźni z rękami w kieszeniach. Na jednym z takich automobilów, na których widniały rozmaite napisy, Karl z cichym okrzykiem przeczytał: „Przyjmuje się robotników portowych do domu spedycyjnego Jakoba”. Wóz jechał właśnie zupełnie powoli, a stojący na jego stopniach mały, przygarbiony, żwawy mężczyzna zaprosił trzech wędrowców, żeby wsiedli. Karl schował się za mechanikami, jakby wuj mógł znajdować się na wozie i zobaczyć go. Ucieszył się, że także tamci dwaj nie przyjęli zaproszenia, jakkolwiek poniekąd uraził go ich wyniosły wyraz twarzy, z jakim to uczynili. Nie mieli powodu uważać, że są zbyt dobrzy na to, by wstąpić

na służbę do wuja. Dał im to natychmiast, choć oczywiście nie wyraźnie, do zrozumienia.

Na to Delamarche poprosił go, żeby łaskawie nie wtrącał się do spraw, których nie rozumie; ten sposób werbowania ludzi jest haniebnym oszustwem, a firma Jakob jest osławiona w całych Stanach Zjednoczonych. Karl nie odpowiedział, lecz odtąd trzymał się raczej Irlandczyka, poprosił go także, żeby mu teraz trochę poniósł kuferek, co tamten, gdy Karl wielokrotnie powtórzył swą prośbę, uczynił. Teraz zaczął uskarżać się bez przerwy na ciężar kufereka, dopóki się nie okazało, że miał tylko zamiar ulżyć mu o werońskie salami, na które już w hotelu nabrał apetytu. Karl musiał wypakować salami, a Francuz je wziął, zajął się nim przy pomocy swego noża przypominającego sztylet i prawie całe sam zjadł. Robinson dostawał tylko od czasu do czasu po kawałku, natomiast Karl, który znów musiał nieść kuferek, jeśli go nie chciał zostawić na szosie, nie dostał nic, tak jakby już z góry otrzymał swoją część. Wydawało mu się zbyt małostkowe żebrać o kawałeczek salami, ale żółć w nim wzbierała.

Cała mgła już zniknęła, w oddali załśniło wysokie pasmo gór, którego falisty grzebień zmierzał ku jeszcze dalszemu oparowi słonecznemu. Obok szosy leżały źle uprawione pola, ciągnące się wokół wielkich fabryk, które, poczerniałe od dymu, stały wśród rozległego krajobrazu. W beładnie rozrzuconych, pojedynczych blokach czynszowych drżały liczne okna od różnorodnego ruchu i oświetlenia, a na małych wątych balkonach krzątały się kobiety i dzieci, podczas gdy wokół, to je zakrywając, to odsłaniając, trzepotały i potężnie wydymały się w porannym wietrze porozwieszane i porozkładane chusty i sztuki bielizny. Gdy odrywał się wzrok od domów, wówczas widziało się latające wysoko pod niebem skowronki, a niżej znów jaskółki, krążące tuż ponad głowami jadących.

Wiele rzeczy przypominało tu Karlowi ojczyznę i nie wiedział, czy dobrze robi, opuszczając Nowy Jork i udając się w głąb kraju. W Nowym

Jorku było morze i każdej chwili istniała możliwość powrotu do ojczyzny. Toteż przystanął i powiedział do obu swoich towarzyszy, że jednak ma znów ochotę pozostać w Nowym Jorku. A kiedy Delamarche chciał go po prostu popędzić dalej, nie pozwolił mu na to i powiedział, że ma przecież prawo decydować o samym sobie. Dopiero Irlandczyk musiał pośredniczyć i wyjaśnić, że Butterford jest o wiele piękniejsze od Nowego Jorku, i obydwaj musieli Karla jeszcze bardzo prosić, zanim znów poszedł z nimi. A nawet wtedy nie byłby jeszcze poszedł, gdyby sobie nie powiedział, że może dla niego lepiej przybyć na miejsce, z którego powrót do ojczyzny nie będzie taki łatwy. Z pewnością będzie tam lepiej pracował i dorabiał się, jeśli nie będą mu przeszkadzały niepotrzebne myśli.

I teraz właśnie on ciągnął za sobą dwóch pozostałych, a oni tak bardzo cieszyli się z jego zapału, że nie dając się prosić na zmianę nieśli kuferek, a Karl zupełnie nie rozumiał, czym właściwie sprawił im taką radość. Przybyli do okolicy wznoszącej się pod górę i kiedy od czasu do czasu przystawali, mogli odwróciwszy się oglądać wciąż szerzej się rozwijającą panoramę Nowego Jorku i jego portu. Most łączący Nowy Jork z Brooklynem unosił się łagodnie ponad East River i drżał, gdy się przymrużyło oczy. Wydawało się, że nie ma na nim żadnego ruchu, a pod nim rozciągała się pusta, gładka wstęga wody. W obydwu olbrzymich miastach wszystko wydawało się puste i zbudowane bez potrzeby. Nie było niemal żadnej różnicy między dużymi i małymi domami. W niewidocznej głębi ulic życie prawdopodobnie toczyło się na swój sposób, lecz oni nie widzieli nic oprócz lekkiego oparu, który wprowadzie trwał nieruchomo, lecz wyglądał, jakby go bez trudu można było rozproszyć. Nawet w porcie, największym na świecie, panował spokój i wydawało się tylko, zapewne pod wpływem wspomnienia poprzedniego widoku z bliska, że tu i ówdzie widać statek, który przesuwa się na krótkim odcinku trasy. Ale nie można też było długo go śledzić, uchodził oczom i nie można go już

było odnaleźć.

Lecz Delamarche i Robinson widocznie widzieli o wiele więcej, pokazywali na prawo i na lewo i wyciągniętymi rękami przykrywali z daleka place i ogrody, wymieniając ich nazwy. Nie mogli pojąć, że Karl spędził w Nowym Jorku ponad dwa miesiące i nie zobaczył w mieście prawie nic oprócz jednej ulicy. I przyrzekli mu, że kiedy zarobią dosyć w Butterford, pojadą z nim do Nowego Jorku i pokażą mu wszystko, co jest warte zobaczenia, a zwłaszcza, oczywiście, miejsca, gdzie można się zabawić do utraty przytomności. I w związku z tym Robinson zaczął pełnym głosem śpiewać piosenkę, której Delamarche towarzyszył klaskaniem w dłonie, a którą Karl rozpoznał jako melodię operetkową ze swej ojczyzny; tutaj, z angielskim tekstem, podobała mu się o wiele bardziej niż kiedykolwiek przedtem w kraju. W ten sposób odbyło się pod gołym niebem małe przedstawienie, w którym wszyscy brali udział, tylko miasto w dole, które rzekomo zabawiało się przy tej melodii, zdawało się nic o nim nie wiedzieć.

Karl raz zapytał, gdzie leży dom spedycyjny Jakoba, i natychmiast ujrzał wyciągnięte wskazujące palce Delamarche'a i Robinsona, skierowane może na ten sam punkt, a może na dwa różne, oddalone od siebie o całe mile. Gdy potem poszli dalej, Karl spytał, kiedy najwcześniej mogliby z wystarczającym zarobkiem powrócić do Nowego Jorku. Delamarche powiedział, że może nawet za miesiąc, bo w Butterford podobno brak robotników i płace są wysokie. Naturalnie składaliby pieniądze do wspólnej kasy, żeby między sobą, jak między kolegami, wyrównać przypadkowe różnice w zarobkach. Wspólna kasa nie podobała się Karlowi, choć jako uczeń zarabiałby naturalnie mniej niż wyuczony robotnik. Ponadto Robinson wspomniał, że gdyby w Butterford nie było dla nich pracy, musieliby oczywiście powędrować dalej i albo znaleźć gdzieś zajęcie jako robotnicy rolni, albo pojechać do Kalifornii płukać

złoto, co wnosząc z obszernych opowiadań Robinsona, było jego najulubieńszym projektem.

– Dlaczego został pan mechanikiem, skoro pan chce iść teraz do płuczkami złota? – spytał Karl, który niechętnie słuchał o konieczności podjęcia takich dalekich, niepewnych podróży.

– Dlaczego zostałem mechanikiem? – powiedział Robinson. – No, z pewnością nie po to, żeby syn mojej matki przy tym głodował. Przy płukaniu złota doskonale się zarabia.

– Zarabiał się niegdyś – powiedział Delamarche.

– Wciąż jeszcze się zarabia – odparł Robinson i opowiedział o wielu wzbogaconych już znajomych, którzy ciągle jeszcze tam byli i naturalnie nie ruszali już palcem, lecz po starej przyjaźni jemu, a samo przez się zrozumiałe także jego kolegom, pomogliby w zdobyciu bogactwa.

– Już my zdobędziemy dla siebie pracę w Butterford – powiedział Delamarche, jakby czytał w sercu Karla, nie mówił tego jednak w sposób wzbudzający zaufanie.

W ciągu dnia zatrzymali się tylko raz w jakiejś gospodzie i zjedli przed nią pod gołym niebem – jak się Karlowi zdawało – przy żelaznym stole prawie surowe mięso, którego nożem i widelcem nie można było krajać, lecz tylko rozrywać. Chleb miał walcowaty kształt, a w każdym bochenku tkwił długi nóż. Do tego posiłku podano czarny płyn, który palił w gardle. Ale Delamarche’owi i Robinsonowi smakował, często za spełnienie się rozmaitych życzeń podnosili szklanki i stukali się nimi, przy czym przez chwilę trzymali w górze szklankę przy szklance. Przy sąsiednim stole siedzieli robotnicy w bluzach spryskanych wapnem i wszyscy pili ten sam płyn. Automobile, których przejeżdżało mnóstwo, zasypywały stoliki tumanami kurzu. Podawano sobie wokoło wielkie płachty gazet, rozmawiano z podnieceniem o strajku robotników budowlanych, często wymieniano nazwisko Mack. Karl zapytał o niego i dowiedział się, że był

to ojciec jego znajomego Macka i największy przedsiębiorca budowlany w Nowym Jorku. Strajk kosztował go miliony i zagrażał być może jego pozycji jako przedsiębiorcy. Karl nie wierzył ani słowu z tej gadaniny ludzi źle poinformowanych i niezycliwych.

Oprócz tego jedzenie psuła Karlowi także niepewność, kto za nie będzie płacił. Byłoby rzeczą naturalną, żeby każdy zapłacił swoją część, ale Delamarche a także Robinson zauważyli mimochodem, że na ostatni nocleg wydali resztę swoich pieniędzy. Nie było też widać, aby któryś z nich miał zegarek, pierścionek lub coś w tym rodzaju, co by się nadawało do sprzedania. A Karl nie mógł im przecież wypomnieć, że zarobili na sprzedaży jego ubrania, byłoby to obrazą i doprowadziłoby do rozstania się na zawsze. Lecz zdumiewające było to, że ani Delamarche, ani Robinson nie troszczyli się bynajmniej o rachunek i byli jeszcze w tak dobrym humorze, że możliwie często próbowali nawiązać znajomość z kelnerką, która dumna, ciężkim krokiem chodziła między stołami. Włosy opadały jej po obu stronach twarzy luźno na czoło i na policzki i wciąż je odgarniała, ujmując od spodu rękami. W końcu, gdy już można było oczekiwać od niej pierwszego przyjaznego słowa, podeszła do stołu, oparła się na nim obiema rękami i spytała:

– Kto płaci?

Nigdy jeszcze nie poderwały się tak szybko żadne ręce, jak teraz ręce Delamarche'a i Robinsona, które wskazywały na Karla. Karl nie przestraszył się, bo przecież przewidywał, że tak będzie, i nie widział nic złego w tym, że koledzy, od których on także oczekiwał pewnych korzyści, każą mu płacić za jakieś drobiazgi, choć byłoby przyzwoiciej omówić tę sprawę wyraźniej przed decydującym momentem. Przykre było tylko to, że musiał najpierw wydobyć pieniądze z ukrytej kieszeni. Pierwotnie miał zamiar zachować te pieniądze na czarną godzinę, tymczasem więc stać ze swymi kolegami niejako w jednym szeregu. Korzyść, jaką osiągał dzięki

tym pieniądзом, a przede wszystkim dzięki przemilczeniu ich posiadania przed kolegami, obficie równoważyło to, że oni byli w Ameryce już od dzieciństwa, że mieli wystarczające wiadomości i doświadczenie w sprawach zarobkowych, że wreszcie nie byli przyzwyczajeni do lepszych warunków życia niż obecne. Dotychczasowe zamiary, jakie Karl miał wobec swoich pieniędzy, nie musiały upaść same przez się wskutek zapłacenia przez niego rachunku, gdyż mógł ostatecznie obejść się bez tej ćwierćdolarówki, a więc położyć ją na stole i wyjaśnić, że to jest wszystko, co posiada i co gotów jest poświęcić na wspólną podróż do Butterford. Taka kwota wystarczała też w zupełności na podróż odbywaną pieszo. Teraz jednak nie wiedział, czy ma dość drobnych, a poza tym zarówno drobne, jak i złożone banknoty leżały na dnie ukrytej kieszeni, w której najłatwiej byłoby coś znaleźć, wysypując na stół całą jej zawartość. Poza tym było całkowicie zbyt ciężkie, aby koledzy mieli się w ogóle dowiedzieć o tej ukrytej kieszeni. Na szczęście wydawało się, że koledzy wciąż jeszcze interesują się bardziej kelnerką niż tym, skąd Karl weźmie pieniądze na zapłacenie rachunku. Delamarche, żądając od kelnerki wystawienia rachunku, zwabił ją pomiędzy siebie i Robinsona, a ona mogła bronić się przed natręctwem ich obu tylko w ten sposób, że jednemu lub drugiemu kładła całą dłoń na twarzy i odpychała ją od siebie. Tymczasem Karl, zgrzany z wysiłku, zbierał pod stołem w jednej ręce pieniądze, które moneta po monecie łowił i wygrzebywał z ukrytej kieszeni. W końcu, choć nie znał jeszcze dokładnie amerykańskich pieniędzy, z dużej ilości monet osądził, że ma już wystarczającą sumę, i położył ją na stole. Brzęk pieniędzy natychmiast przerwał umizgi. Ku niezadowoleniu Karla i ku ogólnemu zdumieniu okazało się, że na stole leży prawie cały dolar. Nikt wprawdzie nie spytał, dlaczego Karl nic przedtem nie mówił o tych pieniądzach, które wystarczyłyby na wygodną podróż pociągiem do Butterford, lecz Karl i tak był bardzo zakłopotany.

Kiedy już rachunek został zapłacony, powoli zgarnął pieniądze z powrotem, Delamarche wyjął mu jeszcze z ręki monetę potrzebną mu na napiwek dla kelnerki, którą objął i przycisnął do siebie, żeby jej potem, z drugiej strony, wręczyć pieniądze.

Karl był im wdzięczny, że podczas dalszego marszu nie robili żadnych uwag o pieniądzach, i myślał nawet przez pewien czas o tym, żeby przyznać się do całego majątku, w końcu jednak zaniechał tego, gdyż nie znalazł odpowiedniej sposobności. Pod wieczór przybyli do bardziej wiejskiej, urodzajnej okolicy. Dookoła widać było nie podzielone pola, które okryte pierwszą zielenią rozpościerały się na łagodnych pagórkach; bogate siedziby wiejskie ciągnęły się wzdłuż szosy i godzinami szli między złożonymi siatkami ogrodów, wielokrotnie przekraczali ten sam wolno płynący strumień i wiele razy słyszeli nad sobą pociągi, huczące na wysoko wzniesionych wiaduktach.

Słońce zniżyło się właśnie do prostej linii dalekich lasów, kiedy na jakimś wzniesieniu, pośrodku małej grupy drzew, rzucili się na trawę, żeby wypocząć po trudach. Delamarche i Robinson leżeli przeciągając się z całych sił. Karl siedział wyprostowany i patrzył na szosę, biegnącą o parę metrów niżej, po której, tak jak w ciągu całego dnia, lekko przemykały automobile jeden obok drugiego, jak gdyby wciąż wysyłano w dal dokładną ich liczbę i w innej dali oczekiwano tej samej liczby. Przez cały dzień, od najwcześniejszego rana, Karl nie zauważył, żeby jakiś automobil się zatrzymał lub jakiś pasażer wysiadł.

Robinson zaproponował, żeby tu spędzić noc, bo wszyscy byli dostatecznie zmordowani, nazajutrz zaś tym wcześniej mogliby wymaszerować; w końcu trudno by im było przed zapadnięciem zupełnej ciemności znaleźć tańszy i dogodniejszy nocleg. Delamarche zgodził się z tym i tylko Karl poczuł się w obowiązku zauważyć, że ma dość pieniędzy, aby za wszystkich zapłacić nocleg w hotelu. Delamarche powiedział,

że pieniądze będą im jeszcze potrzebne, żeby je tylko dobrze schował. Delamarche bynajmniej nie ukrywał, że liczyli już na pieniądze Karla. Robinson, ponieważ przyjęto jego pierwszą propozycję, oświadczył teraz, że przed snem, aby wzmocnić się na jutro, dobrze byłoby jednak zjeść coś pożywnego i że jeden z nich powinien przynieść jedzenie dla wszystkich z hotelu, który tuż przy szosie błyszczał napisem: „Hotel Occidental”. Karl, jako najmłodszy, a także dlatego że żaden z tamtych dwóch się nie zgłosił, nie ościągął się z załatwieniem tej sprawy i po otrzymaniu zamówienia na chleb, słoninę i piwo poszedł do hotelu.

W pobliżu musiało być jakieś duże miasto, bo już pierwsza sala hotelowa, do której Karl wszedł, wypełniona była gwarnym tłumem, a przy bufecie, ciągnącym się wzdłuż głównej i dwóch bocznych ścian, biegano bezustannie wielu kelnerów w białych fartuchach osłaniających gors, ale nie potrafili zadowolić niecierpliwych gości, gdyż wciąż słyszano się z rozmaitych miejsc przekleństwa i walenie pięścią w stół. Na Karla nikt nie zwrócił uwagi; na samej sali nie było zresztą obsługi, goście przy maleńkich stolikach, które niknęły, już kiedy usiadło przy nich trzech ludzi, przynosili sami wszystko, czego sobie życzyli, z bufetu.

Na każdym stoliku stała duża butelka z oliwą, octem lub czymś w tym rodzaju i wszystkie potrawy przynoszone z bufetu polewano przed jedzeniem z tej butelki. Jeśli Karl chciał w ogóle dostać się do bufetu, gdzie prawdopodobnie, ze względu na jego duże zamówienie, dopiero zaczęłyby się trudności, musiał przepychać się pomiędzy licznymi stołami, czego naturalnie, mimo całej ostrożności, nie dało się zrobić bez brutalnego niepokojenia gości, którzy jednakże na wszystko byli nieczuli, nawet gdy Karl raz, zresztą również popchnięty przez jakiegoś gościa, wpadł na stolik i omal go nie przewrócił. Co prawda przeprosił siedzących, najwidoczniej jednak nie zrozumieli go, on zresztą także nie rozumiał ani słowa z tego, co mu odkrzyknęli.

Przy bufecie znalazł z trudem trochę wolnego miejsca, które przez dłuższą chwilę zasłaniały mu łokcie jego sąsiadów. W ogóle opieranie się na łokciach i przyciskanie pięści do skroni wyglądało tu na powszechny zwyczaj; Karlowi przypomniało się jak to profesor łaciny, dr Krumpal, nienawidził właśnie takiej postawy i jak zawsze podchodził cicho znienacka i za pomocą nagle zjawiającej się linii żartobliwym pchnięciem strącał łokcie ze stołu.

Karl stał przyciśnięty do bufetu, gdyż ledwie tam zajął miejsce, ustawiono za nim stół i jeden z gości, którzy się usadowili, gdy tylko przechylał się trochę w tył podczas rozmowy, mocno trącał Karla w plecy swym wielkim kapeluszem. Niewielka była przy tym nadzieja na otrzymanie czegoś od kelnera, nawet wówczas gdy obydwaj tędy sąsiedzi odeszli nasyceni. Kilka razy Karl ponad stolikiem chwycił za fartuch kelnera, lecz ten, krzywiąc twarz, zawsze się wyrывał. Żadnego nie można było zatrzymać, tylko biegali i biegali. Gdyby przynajmniej w pobliżu Karla było coś odpowiedniego do jedzenia i do picia, wziąłby to sam, spytał o cenę, zostawił pieniądze i odszedł z radością. Ale właśnie przed nim stały tylko półmiski z rybami podobnymi do śledzi, których czarne łuski złotawo połyskiwały po brzegach. Mogły one być bardzo drogie i pewnie nikt by się nimi nie nasycił. Oprócz tego w zasięgu jego ręki były małe beczuleczki z rumem, ale nie chciał przynosić kolegom rumu, zauważył, że oni i tak przy każdej okazji przejawiali skłonność do najsilniej skoncentrowanego alkoholu, i nie chciał jej popierać.

Nie pozostawało zatem Karlowi nic innego, jak zmienić miejsce i rozpocząć swoje starania od nowa. Lecz teraz zrobiło się już także bardzo późno. Na zegarze w drugim końcu sali, którego wskazówki można było jeszcze natężając wzrok dostrzec poprzez dym, było już po dziewiątej. Ale gdzie indziej przy bufecie ścisk był jeszcze większy niż w poprzednim, nieco oddalonym miejscu. Poza tym, im robiło się później,

tym bardziej sala się zapełniała. Przez główne drzwi wciąż nadciągali nowi hałaśliwi goście. Tu i ówdzie samowolnie uprzętałi bufet, siadali na ładzie i przepijali do siebie, były to najlepsze miejsca, patrzyli wtedy z góry na całą salę.

Karl przepchnął się wprawdzie jeszcze dalej, ale właściwie nie miał już nadziei, że coś dostanie. Robił sobie wyrzuty, że on, nie znający tutejszych stosunków, podjął się załatwiania zakupów. Koledzy mieli pełne prawo go zwymyślać i jeszcze w dodatku pomyśleć, że tylko dlatego nic nie przyniósł, aby oszczędzić pieniędzy. Teraz znalazł się w miejscu, gdzie naokoło przy stolikach goście jedli gorące mięsne potrawy z pięknymi, żółtymi kartoflami; nie mógł pojąć, w jaki sposób ci ludzie je otrzymali.

Wtem o kilka kroków od siebie zobaczył starszą kobietę, należącą widocznie do personelu hotelowego, która śmiejąc się rozmawiała z jednym z gości. Ustawicznie przy tym manipulowała przy swojej fryzurze szpilką do włosów. Karl natychmiast postanowił przedstawić swoje zamówienie tej pani, choćby dlatego, że jako jedyna kobieta na sali była dla niego wyjątkiem w ogólnym zgiełku i gonitwie, a poza tym i z tego prostego powodu, że była jedyną pracownicą hotelu, do której można było dotrzeć, przyjmując co prawda, że już po pierwszym skierowanym do niej słowie nie odbiegnie do swoich zajęć. Ale stało się coś zupełnie przeciwnego. Karl jeszcze nawet do niej nie przemówił, trochę tylko ją obserwował, gdy ona, jak to niekiedy czyni się podczas rozmowy, rzucając wzrokiem w bok, spojrzała na Karla i przerywając rozmowę zwróciła się do niego angielszczyzną czystą, jak sama gramatyka, i spytała, czy czegoś szuka.

– Rzeczywiście – powiedział Karl – nie mogę tutaj nic dostać.

– To proszę iść za mną, mój mały – powiedziała, pożegnała się ze swym znajomym, który zdjął kapelusz, co tutaj wyglądało na wprost

niewiarygodną uprzejmość, wzięła Karla za rękę, poszła do bufetu, odsunęła na bok jakiegoś gościa, podniosła klapę w ladzie, przeszła na drugą stronę korytarza, gdzie trzeba było mieć się na baczności przed niezmordowanie biegającymi kelnerami, otworzyła ukryte w tapecie podwójne drzwi i już znaleźli się w wielkiej, chłodnej spiżarni.

„Trzeba znać mechanizm” – powiedział sobie Karl.

– A więc czego pan sobie życzy? – spytała i nachyliła się ku niemu usłużnie. Była bardzo tęga, jej ciało kołysało się, lecz twarz miała, naturalnie stosunkowo biorąc, niemal delikatną. Na widok mnóstwa wiktuałów starannie poukładanych na półkach i stołach, Karla aż kusilo, żeby zamiast swego zamówienia szybko wymyślić jakąś wykwintniejszą kolację, zwłaszcza że oczekiwał, iż przez tę wpływową panią zostanie obsłużony taniej, w końcu jednak, ponieważ nic odpowiedniego nie przyszło mu do głowy, wymienił tylko słoninę, chleb i piwo.

– Nic więcej? – spytała pani.

– Nie, dziękuję – odparł Karl. – Ale dla trzech osób.

Na jej pytanie o dwóch pozostałych opowiedział Karl w kilku słowach o swych kolegach; sprawiło mu radość, że ktoś go trochę wypytuje.

– Ależ to jest jedzenie dla więźniów – powiedziała pani i widać było, że czeka na dalsze życzenia Karla. Ale on bał się, że kobieta go obdaruje i nie będzie chciała przyjąć od niego pieniędzy, i dlatego milczał.

– A więc zaraz to będziemy mieli gotowe – powiedziała kobieta i ze zdumiewającą przy swojej tuszy ruchliwością podeszła do stołu, ukrajała długim, cienkim, przypominającym piłę nożem duży kawał słoniny, obficie poprzerastanej mięsem, wzięła z półki bochenek chleba, podniosła z podłogi trzy flaszki piwa i włożyła wszystko do lekkiego słomianego koszyka, który wręczyła Karlowi. Równocześnie wyjaśniła mu, iż przyprowadziła go tutaj dlatego, że towary z bufetu mimo szybkiego zużycia, w dymie i w licznych wyziewach zawsze tracą świeżość. Ale

dla ludzi tam, na sali, wszystko jest dostatecznie dobre; Karl nic teraz nie mówił, bo nie wiedział, czemu zawdzięcza, że potraktowano go z takim wyróżnieniem. Myślał o swoich kolegach, którzy zapewne, mimo że byli tak dobrymi znawcami Ameryki, nie dotarliby do tej szpiżarni i musieliby się zadowolić zepsutym jadem z bufetu. Tutaj nie było słycać hałasu z sali, mury musiały być bardzo grube, aby pod sklepieniem utrzymać dostateczny chłód. Karl trzymał już przez chwilę w ręce słomiany koszyk, lecz nie myślał o płaceniu ani się nie ruszał. Dopiero kiedy pani chciała jeszcze dodatkowo włożyć do koszyka flaszkę, podobną do tych, które w sali stały na stołach, podziękował, wzdrygnąwszy się.

– Daleką drogę ma pan jeszcze przed sobą? – spytała pani.

– Aż do Butterford – odpowiedział Karl.

– To jeszcze bardzo daleko – powiedziała pani.

– Jeszcze jeden dzień marszu – powiedział Karl.

– Nie dalej? – spytała pani.

– O nie – powiedział Karl.

Kobieta przesunęła na stołach kilka rzeczy na ich właściwe miejsca, wszedł kelner, rozejrzał się dookoła szukając czegoś, na to pani wskazała mu wielką salaterkę, na której leżał szeroki, posypany odrobiną pietruszki stos sardynek, a kelner w podniesionych rękach wyniósł miskę na salę.

– Właściwie, dlaczego chcecie nocować pod gołym niebem? – spytała pani. – Mamy tutaj dość miejsca. Prześpijcie się u nas, w hotelu.

Była to dla Karla bardzo kusząca propozycja, zwłaszcza że tak źle spędził poprzednią noc.

– Mam tam mój bagaż – powiedział z ociąganiem i nie całkiem bez próżności.

– Niechże go pan tu przyniesie – powiedziała pani. – To nie jest żadna przeszkoda.

– Ale moi koledzy! – powiedział Karl i natychmiast zorientował się,

że oni rzeczywiście byli przeszkodą.

– Oni naturalnie też mogą tutaj przenocować – powiedziała pani. – Przyjdźcie tylko! Nie dajcie się tak prosić!

– Moi koledzy są zresztą dzielnymi ludźmi – powiedział Karl. – Ale oni nie są czyści.

– Nie widział pan tego brudu na sali? – spytała kobieta i skrzywiła się. – Do nas naprawdę może przyjść nawet najgorszy gość. A więc zaraz każę przygotować trzy łóżka. Wprawdzie tylko na poddaszu, bo cały hotel jest zajęty, ja także przeniosłam się na poddasze, ale to w każdym razie lepiej niż pod gołym niebem.

– Nie mogę przyprowadzić moich kolegów – powiedział Karl. Wyobraził sobie, jakiego zgiełku narobiliby na korytarzach tego wspaniałego hotelu; Robinson wszystko by pobrudził, a Delamarche z pewnością naprzykrzałby się nawet tej pani.

– Nie wiem, dlaczego by to miało być niemożliwe – powiedziała kobieta. – Ale jeśli pan woli, to niech pan zostawi na dworze swoich kolegów i sam do nas przyjdzie.

Tak nie wypada, tak nie wypada – powiedział Karl. – To są moi koledzy i muszę zostać z nimi.

– Jest pan uparty – powiedziała pani i odwróciła od niego wzrok. – Człowiek dobrze panu życzy, chciałby panu pomóc, a pan broni się przed tym wszystkimi siłami.

Karl rozumiał to wszystko, ale nie widział innego wyjścia, więc jeszcze tylko powiedział:

– Serdecznie dziękuję pani za uprzejmość. – Potem przypomniał sobie, że jeszcze nie zapłacił, i spytał, ile jest winien.

– Zapłaci pan dopiero wtedy, kiedy mi pan odniesie koszyk – powiedziała pani. – Muszę go mieć najpóźniej jutro rano.

– Dobrze – powiedział Karl. A ona otworzyła drzwi, które prowadziły

wprost na dwór, i powiedziała jeszcze, podczas gdy on wychodził z ukłonem:

Dobranoc. Ale postępuje pan niesłusznie. – Odszedł już parę kroków, gdy jeszcze za nim zawołała: – Do jutra!

Zaledwie Karl znalazł się na dworze, usłyszał znowu dochodzący z sali równie silny jak przedtem hałas, z którym mieszały się teraz jeszcze dźwięki orkiestry dętej. Cieszył się, że nie musi wychodzić przez salę. Wszystkie pięć pięter hotelu były teraz oświetlone i rozjaśniały szosę przed nim na całej szerokości. Wciąż jeszcze, choć już z przerwami, przejeżdżały automobile, wynurzające się z oddali szybciej niż za dnia, obmacywały białymi promieniami swych latarni powierzchnię szosy, miały z przybladłymi światłami strefę światła hotelowego i rozbłyskując śpieszyły w daleką ciemność.

Karl zastał kolegów pogrążonych już w głębokim śnie, ale istotnie zbyt długo nie wracał. Chciał właśnie to, co przyniósł, apetycznie rozłożyć na papierkach, które znalazł w koszyku, żeby zbudzić kolegów dopiero wtedy, kiedy wszystko będzie gotowe, gdy ku swemu przerażeniu ujrzał, że jego kuferek, który zostawił zamknięty i od którego klucz nosił w kieszeni, jest otwarty, a połowa jego zawartości rozrzucana wokół na trawie.

– Wstawajcie! – zawołał. – Wy śpicie, a tymczasem byli tutaj złodzieje.

– A czy czego brakuje? – spytał Delamarche. Robinson nie był jeszcze całkiem rozbudzony, a już sięgnął po piwo.

– Nie wiem – zawołał Karl – ale kuferek jest otwarty. To wielka nieostrożność kłaść się spać i zostawić kuferek bez opieki.

Delamarche i Robinson roześmiali się, a pierwszy z nich powiedział:

– Na drugi raz nie powinien pan na tak długo odchodzić. Do hotelu jest stąd dziesięć kroków, a pan potrzebuje trzech godzin na drogę tam i z powrotem. Byliśmy głodni, pomyśleliśmy, że może pan ma w kufunku

coś do jedzenia, i tak długo łaskotaliśmy zamek, aż się otworzył. Zresztą nic tam nie było i może pan wszystko spokojnie z powrotem zapakować.

– Ach tak – powiedział Karl, wlepił wzrok w szybko opróżniający się koszyk i nasłuchiwał osobliwych dźwięków, jakie Robinson wydawał przy picciu, gdy najpierw płyn wdierał mu się daleko do gardła, potem jednak cofał się jakby ze świstem, żeby dopiero w końcu wielkim wylewem spłynąć w głąb.

– Zjedłicie już wszystko? – spytał, kiedy obydwaj na chwilę odetchnęli.

– A pan nie zjadł w hotelu? – spytał Delamarche, który sądził, że Karl domaga się swojej części.

– Jeśli chcecie jeszcze jeść, to się pośpieszcie – powiedział Karl i poszedł do swego kufierka.

– Zdaje się, że on ma kaprysy – powiedział Delamarche do Robinsona.

– Nie mam żadnych kaprysów – powiedział Karl. – Ale czy to jest w porządku, żeby pod moją nieobecność włąmywać się do kufierka i wyrzucać moje rzeczy? Wiem, że między kolegami trzeba wiele rzeczy ścierpieć, i byłem na to przygotowany, ale tego za wiele. Przenocuję w hotelu i nie pójdę do Butterford. Jedzcie szybko, muszę oddać koszyk.

– Widzisz, Robinson, jak on mówi – powiedział Delamarche. – To jest piękny sposób rozmawiania. On jest Niemcem. Wcześniej mnie przed nim ostrzegałeś, ale ja okazałem się skończonym głupcem i mimo wszystko go zabrałem. Obdarzaliśmy go zaufaniem, wlekliśmy go ze sobą przez cały dzień, straciliśmy przez to co najmniej pół dnia, a teraz – dlatego że go ktoś tam w hotelu skusił – on się żegna, po prostu żegna. Ale ponieważ jest fałszywym Niemcem, nie robi tego otwarcie, tylko wymawia się kufierkiem, a ponieważ jest Niemcem i grubianinem, nie może odejść, żeby nie obrazić naszego honoru i nie nazwać nas złodziejami, dlatego że zrobiliśmy sobie mały żart z jego kufierkiem.

Karl, który pakował swoje rzeczy, powiedział nie odwracając się:

– Niech pan mówi tak dalej i ułatwi mi odejście. Bardzo dobrze wiem, co to jest koleżeństwo. W Europie także miałem przyjaciół i nikt mi nie może zarzucić, że zachowałem się wobec niego fałszywie albo po grubiańsku. Teraz naturalnie nie mamy z sobą łączności, ale gdybym kiedyś jeszcze miał wrócić do Europy, wszyscy przyjmą mnie dobrze i uznają mnie natychmiast za swego przyjaciela. I pana, Delamarche, i pana, Robinson, was obu miałbym zdradzić, skoro wy przecież, czego nigdy nie będę ukrywał, byliście tacy uprzejmi, że zajęliście się mną i daliście mi nadzieję na uzyskanie w Butterford miejsca ucznia? Ale tu chodzi o coś innego. Wy nie macie nic i to bynajmniej nie poniża was w moich oczach, ale zazdrościcie mi mojej szczupłej własności i dlatego próbujecie mnie upokorzyć, a tego nie mogę znieść. A teraz, po tym, kiedy rozbiliście mój kuferek, nie usprawiedliwiacie się ani słowem, lecz znieważacie mnie jeszcze i znieważacie mój naród – tym samym odbieracie mi także możliwość pozostania z wami. Zresztą to wszystko nie odnosi się właściwie do pana, Robinson. Pańskiemu charakterowi mam do zarzucenia tylko to, że jest pan zbyt zależny od Delamarche.

– No, to widzimy – powiedział Delamarche, podchodząc do Karla i lekko go trącając, jakby chciał zwrócić na siebie jego uwagę – no, to widzimy, jak pan się demaskuje. Cały dzień szedł pan za mną, czepiał się pan mojego surduta, naśladował pan każdy mój krok, a poza tym siedział pan cicho jak myszka. A teraz, kiedy wyczuł pan w hotelu jakieś oparcie, zaczyna pan wygłaszać wielkie mowy. Jest pan małym, szczwanym lisem i wcale nie wiem, czy to tak spokojnie przyjmiemy. Czy nie zażądamy od pana zapłaty za to, co pan u nas w ciągu tego dnia podpatrzył. Ty, Robinson, on myśli, że my zazdrościmy mu jego dobytku. Jeden dzień pracy w Butterford – nie mówiąc już o Kalifornii – i będziemy mieli dziesięć razy więcej, niż nam pan pokazał i niż pan jeszcze może schował

pod podszewką. Więc zawsze lepiej uważać na to, co się gada!

Karl podniósł się znad kuferka i zobaczył, że teraz podchodzi też zaspary, lecz nieco podniecony piwem Robinson.

– Jeśli zostałem tu dłużej – powiedział – mógłbym przeżyć jeszcze dalsze niespodzianki. Zdaje się, że macie ochotę mnie obić.

– Wszelka cierpliwość ma swój koniec – powiedział Robinson.

– Niech pan lepiej milczy, Robinson – powiedział Karl, nie spuszczać oczu z Delamarche'a. – W duchu przyznaje mi pan słuszność, ale na zewnątrz musi pan trzymać z Delamarche'em!

– Chce go pan może przekupić? – spytał Delamarche.

– Ani myślę – powiedział Karl. – Cieszę się, że odchodzę, i nie chcę już z żadnym z was mieć nic do czynienia. Jeszcze tylko jedno chcę wam powiedzieć. Zarzuciliście mi, że mam pieniądze i że je przed wami ukryłem. Przyjmując, że to prawda, czy nie było to słuszne postępowanie wobec ludzi, których znałem dopiero od kilku godzin, i czy wasze obecne zachowanie nie świadczy o słuszności takiego postępowania?

– Stój – powiedział Delamarche do Robinsona, choć ten się wcale nie ruszał. Potem zapytał Karla: – Jeśli pan jest tak bezwstydnie szczery, to niech pan, skoro sobie tak miło tutaj razem stoimy, posunie tę szczerłość jeszcze dalej i przyzna się, dlaczego właściwie chce pan iść do hotelu?

Karl musiał cofnąć się, robiąc krok ponad kuferkiem, tak blisko Delamarche na niego następował. Ale Delamarche nie dał się tym zbić z tropu, odsunął kuferek na bok, postąpił krok naprzód, przy czym postawił stopę na białej koszuli, która leżała w trawie, i powtórzył swoje pytanie.

Jak gdyby w odpowiedzi, od strony szosy wdrapał się na górę i podszedł do nich mężczyzna z silnie świecącą kieszonkową latarką. Był to kelner z hotelu. Za ledwie ujrzał Karla, powiedział:

– Szukam pana już prawie pół godziny. Przeszukałem skarpy po obu stronach szosy. Pani Starsza Kucharka kazała panu powiedzieć, że pilnie

potrzebuje tego słomianego koszyka, który panu pożyczyła.

– Jest tutaj – powiedział Karl głosem niepewnym ze wzburzenia. Delamarche i Robinson z udaną skromnością odeszli na bok, jak to zawsze robili wobec obcych, lepiej sytuowanych ludzi. Kelner wziął koszyk i powiedział:

– Następnie pani Starsza Kucharka kazała mi pana zapytać, czy pan się nie namyślił i czy może jednak chciałby pan zanocować w hotelu. Także dwaj pozostali panowie byłiby mile widziani, jeśli zechce ich pan z sobą zabrać. Łóżka są już przygotowane. Noc jest dzisiaj ciepła, ale tutaj na zboczu jest niezupełnie bezpiecznie spać, często spotyka się żmije.

– Jeśli pani Starsza Kucharka jest tak uprzejma, przyjmę jednak jej zaproszenie – powiedział Karl i czekał na wypowiedzenie się kolegów. Ale Robinson stał otepiały, a Delamarche trzymał ręce w kieszeniach spodni i patrzył w gwiazdy. Obydwaj widocznie liczyli na to, że Karl po prostu zabierze ich ze sobą.

– W tym wypadku – powiedział kelner – polecono mi zaprowadzić pana do hotelu i zanieść pański bagaż.

– Więc proszę, niech pan zaczeka jeszcze chwilkę – powiedział Karl i pochylił się, żeby włożyć do kuferka parę rzeczy, które leżały jeszcze rozrzucone dokoła.

Nagle wyprostował się. Brakowało fotografii, leżała w kuferku na samym wierzchu i nigdzie nie mógł jej znaleźć. Wszystko było w komplecie, brakowało tylko fotografii.

– Nie mogę znaleźć fotografii – powiedział błagalnie do Delamarche.

– Jakiej fotografii? – spytał tamten.

– Fotografii moich rodziców – powiedział Karl.

– Nie widzieliśmy żadnej fotografii – powiedział Delamarche.

– Nie było tam żadnej fotografii, panie Rossmann – zaświadczył też ze swej strony Robinson.

– Ależ to niemożliwe – powiedział Karl, a jego szukające pomocy spojrzenia przyciągnęły kelnera bliżej. – Leżała na wierzchu, a teraz jej nie ma. Ach, gdybyście nie byli robili tego żartu z kuferkim!

– Wszelka pomyłka jest wykluczona – powiedział Delamarche. – W kufierku nie było żadnej fotografii.

– Była dla mnie ważniejsza od wszystkiego, co poza tym mam w kufierku – powiedział Karl do kelnera, który chodził dookoła i szukał w trawie.

– r Jest nie do zastąpienia, nie dostanę drugiej. – A kiedy kelner zaprzestał beznadziejnego szukania, powiedział jeszcze: – To było jedyne zdjęcie moich rodziców, jakie posiadałem.

Na to kelner powiedział głośno, bez ogródek:

– Może przeszukalibyśmy jeszcze kieszenie tych panów.

– Tak – powiedział Karl natychmiast – muszę znaleźć tę fotografię. Ale zanim przeszukam kieszenie, oświadczam, że ten, kto mi dobrowolnie odda fotografię, otrzyma cały pełny kuferek.

Po chwili ogólnej ciszy Karl powiedział do kelnera:

– Moi koledzy chcą zatem widocznie, żeby im przeszukać kieszenie. Ale nawet i teraz jeszcze przyrzekam cały kuferek temu, w której kieszeni fotografia się znajdzie. Nic więcej nie mogę zrobić.

Kelner zabrał się natychmiast do przeszukiwania Delamarche'a, ponieważ on wydawał mu się trudniejszy niż Robinson, którego pozostawił Karlowi. Zwrócił Karlowi uwagę na to, że obydwoh trzeba przeszukać równocześnie, żeby któryś z nich nie mógł niepostrzeżenie pozbyć się fotografii. Już przy pierwszym sięgnięciu do kieszeni Robinsona Karl znalazł swój krawat, ale nie wziął go i zawołał do kelnera:

– Wszystko, co pan znajdzie być może u Delamarche'a, niech mu pan, proszę, zostawi. Nie chcę niczego oprócz fotografii, tylko fotografii.

Przy przeszukiwaniu kieszeni na piersiach, Karl natrafił ręką na

gorącą, tłustą pierś Robinsona i uświadomił sobie, że być może popełnia wobec swych kolegów wielką niesprawiedliwość. Śpieszył się teraz, jak tylko mógł. Zresztą wszystko było na próżno, fotografia nie znalazła się ani u Robinsona, ani u Delamarche'a.

– Nie ma rady – powiedział kelner.

– Pewno podarli fotografię i rozrzucili strzępy – powiedział Karl. – Myślałem, że jesteście przyjaciółmi, ale w duchu chcielibyście mi tylko szkodzić. Zwłaszcza Delamarche, bo Robinsonowi nie przyszłoby do głowy, że fotografia ma dla mnie taką wartość.

Karl widział przed sobą tylko kelnera, którego latarka rzucała mały krąg światła, podczas gdy wszystko poza tym, wraz z Delamarche'em i Robinsonem, pogrążone było w głębokiej ciemności.

Naturalnie nie było już mowy o tym, żeby można było zabrać ich obu ze sobą do hotelu. Kelner zarzucił sobie kuferek na ramię, Karl wziął słomiany koszyk i poszli. Karl był już na szosie, kiedy wyrwawszy się z zamyslenia, przystanął z zawołał w ciemność:

– Słuchajcie no, gdyby jednak któryś z was miał jeszcze tę fotografię i przyniósł mi ją do hotelu, to zawsze jeszcze dostanie kuferek i przysięgam, że nie złożę na niego skargi!

Z góry nie nadeszła właściwie żadna odpowiedź, dało się słyszeć tylko jakieś oderwane słowo, początek okrzyku Robinsona, któremu jednak Delamarche widocznie natychmiast zatkał usta. Karl czekał jeszcze dłuższą chwilę, czy jednak na górze nie zapadnie inna decyzja. Dwa razy z pewną przerwą zawołał:

– Wciąż jeszcze tu jestem!

Ale nie odpowiedział mu niczyj głos, raz tylko po zboczach stoczył się kamień, może to był przypadek, a może nieudany rzut.

Hotel Occidental

W hotelu zaprowadzono Karla zaraz do pewnego rodzaju biura, w którym Starsza Kucharka, z notatnikiem w ręce, dyktowała list młodej maszynistce. Nadzwyczaj wyraźne dyktowanie oraz sprawne i elastyczne uderzanie w klawisze prześcigało tylko od czasu do czasu zauważalne tykanie ściennego zegara, który wskazywał już prawie pół do dwunastej.

– No, tak! – powiedziała Starsza Kucharka, zamknęła notatnik, a maszynistka zerwała się i przykryła maszynę drewnianym wiekiem, nie spuszczać oczu z Karla przy tej mechanicznej pracy. Wyglądała jeszcze jak uczennica, jej fartuch był bardzo starannie zaprasowany, na ramionach, na przykład, w fałdy, fryzurę miała dość wysoko upiętą i gdy się wzięło pod uwagę te szczegóły, budziła zdziwienie jej poważna twarz. Po ukłonieniu się najpierw Starszej Kucharce, a potem Karlowi, oddaliła się i Karl mimo woli spojrział pytająco na Starszą Kucharkę.

– Jak to ładnie, że pan jednak przyszedł – powiedziała Starsza Kucharka. – A pańscy koledzy?

– Nie przyprowadziłem ich – powiedział Karl.

– Wyruszą pewnie bardzo wcześniej – powiedziała Starsza Kucharka, jakby chciała sobie wyjaśnić tę sprawę.

„Czy ona nie myśli, że ja pójdę z nimi?” – pomyślał Karl i powiedział, żeby wykluczyć wszelką wątpliwość:

– Rozstaliśmy się w niezgodzie.

Wydawało się, że Starsza Kucharka przyjęła to jako miłą wiadomość.

– Wobec tego jest pan wolny? – spytała.

– Tak, jestem wolny – powiedział Karl i nic nie wydało mu się bardziej bezwartościowe.

– Niech pan posłucha, czy nie chciałby pan przyjąć posady tutaj, w

hotelu? – spytała Starsza Kucharka.

– Bardzo chętnie – powiedział Karl – ale ja strasznie mało umiem. Na przykład, nie piszę nawet na maszynie.

– To nie jest najważniejsze – powiedziała Starsza Kucharka. – Otrzymałby pan na razie zupełnie skromną posadę i musiałby się pan postarać, aby dzięki pilności i uwadze wspiąć się wyżej. W każdym razie myślę że byłoby lepsze i bardziej dla pana odpowiednie, gdyby pan gdzieś się ustalił, zamiast tak się włóczyć po świecie. Nie wydaje mi się pan do tego stworzony.

„Pod tym wszystkim wuj także by się podpisał” – powiedział sobie Karl i potakująco kiwnął głową. Równocześnie przypomniał sobie, że on, o którego tak się tu troszczono, jeszcze się w ogóle nie przedstawił.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział – że jeszcze się nawet nie przedstawiłem, nazywam się Karl Rossmann.

– Pan jest Niemcem, prawda?

– Tak – powiedział Karl. – Dopiero od niedawna jestem w Ameryce.

– A skąd pan pochodzi?

– Z Pragi w Czechach – powiedział Karl.

– Patrzcie no! – zawołała Starsza Kucharka po niemiecku z wyraźnym angielskim akcentem i niemal uniosła ręce w górę. – Wobec tego jesteście rodakami, nazywam się Greta Mitzelbach i pochodzę z Wiednia. A Pragę znam doskonale, pracowałam pół roku w „Złotej Gęsi” przy placu Waclawa. Pomyśleć tylko!

– Kiedy to było? – zapytał Karl.

– O, już wiele, wiele lat temu.

– Stara „Złota Gęś” – powiedział Karl – została zburzona przed dwoma laty.

– Tak, naturalnie – powiedziała Starsza Kucharka pogrążona w myślach o minionych czasach.

Lecz nagle znowu się ożywiła, chwyciła Karla za rękę i zawołała:

– Teraz, kiedy się okazało, że jest pan moim rodakiem, nie może pan stąd odejść za żadną cenę. Nie może mi pan tego zrobić. Czy miałby pan na przykład ochotę zostać chłopcem od windy? Niech pan tylko powie „tak” i już pan nim będzie. Kiedy się pan tu trochę rozejrzy, zrozumie pan, że wcale nie tak łatwo o takie posady, bo to najlepszy początek, jaki można sobie wyobrazić. Spotyka się pan z wszystkimi gośćmi, ciągle pana widzą, dają panu drobne polecenia; krótko mówiąc, co dzień ma pan możliwość dojścia do czegoś lepszego. A resztę niech pan już mnie pozostawi.

– Bardzo chętnie zostałbym chłopcem od windy – powiedział Karl po krótkiej pauzie. Byłoby wielkim nonsensem mieć jakieś zastrzeżenia co do posady windziarza ze względu na ukończone pięć klas gimnazjum. Tutaj w Ameryce miałoby się raczej powód, żeby się wstydzić pięciu klas gimnazjalnych. Zresztą chłopcy od windy zawsze się Karlowi podobali, wydawali mu się jak gdyby ozdobą hotelu.

– Czy nie jest do tego wymagana znajomość języków? – spytał jeszcze.

– Mówi pan po niemiecku i ładnie po angielsku, to zupełnie wystarczy.

– Angielskiego nauczyłem się dopiero w Ameryce w ciągu dwóch i pół miesięcy – powiedział Karl, sądził, że nie powinien przemilczeć swojej jedynej zalety.

– To już dostatecznie przemawia za panem – powiedziała Starsza Kucharka. – Kiedy sobie przypomnę, ile trudności sprawiało mi nauczenie się angielskiego! To było zresztą już trzydzieści lat temu. Właśnie wczoraj o tym rozmawiałam. Bo wczoraj były moje urodziny, skończyłam pięćdziesiąt lat. – I z uśmiechem szukała w twarzy Karla wrażenia, jakie wywarła na nim dostojność tego wieku.

– Wobec tego życzę pani wiele szczęścia – powiedział Karl.

– Tego zawsze się potrzebuje – powiedziała, potrząsnęła ręką Karla

i znów trochę posmutniała, słysząc owo stare wyrażenie ze swojej ojczyzny, która przyszła jej na myśl, kiedy rozmawiali po niemiecku. – Ale ja tu pana zatrzymuję – zawołała potem – a pan musi być na pewno bardzo zmęczony i wszystko to możemy o wiele lepiej omówić za dnia. Z radości, że spotkałam rodaka, jestem zupełnie bezmyślna. Proszę za mną, zaprowadzę pana do pańskiego pokoju.

– Mam jeszcze jedną prośbę, pani Starsza Kucharko – powiedział Karl spojrzawszy na aparat telefoniczny, który stał na stole. – Możliwe, że jutro rano, może nawet bardzo wcześnie, moi byli koledzy przyniosą fotografię, która jest mi pilnie potrzebna. Czy byłaby pani tak uprzejma i zechciała zatelefonować do portiera, żeby przysłał do mnie tych ludzi albo kazał mnie zawołać?

– Oczywiście – powiedziała Starsza Kucharka – ale czy nie wystarczyłoby, żeby on wzięł od nich tę fotografię? Cóż to jest za fotografia, jeśli wolno spytać?

– To fotografia moich rodziców – powiedział Karl. – Nie, muszę sam rozmówić się z tymi ludźmi.

Starsza Kucharka nie powiedziała już nic więcej i telefonicznie przekazała do windy portiera odpowiednie polecenie, przy czym wymieniła numer 536 jako numer pokoju Karla.

Przez drzwi położone naprzeciw drzwi wejściowych wyszli potem na korytarzyk, gdzie mały chłopiec od windy drzemał oparty o barierę wyciągu.

– Możemy obsłużyć się sami – powiedziała cicho Starsza Kucharka i kazała Karlowi wejść do windy. – Dziesięć do dwunastu godzin pracy to trochę za dużo dla takiego chłopca – mówiła, gdy już jechali w górę. – Ale to jest normalne w Ameryce. Ten mały chłopiec na przykład także dopiero pół roku temu przyjechał tu z rodzicami, jest Włochem. Teraz wygląda, jakby nie mógł wytrzymać takiej pracy, zupełnie już wychudł na twarzy,

zasypia na służbie, chociaż z natury jest bardzo chętny – ale musi jeszcze tylko pół roku popracować tutaj lub gdziekolwiek indziej w Ameryce i wszystko wytrzyma z łatwością, a za pięć lat zrobi się z niego silny mężczyzna. Mogłabym panu godzinami opowiadać o takich wypadkach. Nie myślę zresztą przy tym o panu, bo pan jest silnym młodzieńcem; ma pan siedemnaście lat, prawda?

– W przyszlým miesiącu skończę szesnaście – odpowiedział Karl.

– Dopiero szesnaście! – powiedziała Starsza Kucharka. – A więc, tylko odwagi!

Na górze zaprowadziła Karla do pokoju, który wprawdzie, będąc na poddaszu, miał ukośną ścianę, ale poza tym, oświetlony dwiema żarówkami, wydawał się bardzo miły.

– Niech pan się nie przeraża umeblowaniem – powiedziała Starsza Kucharka. – Nie jest to bowiem pokój hotelowy, lecz pokój należący do mojego mieszkania, które składa się z trzech pokoiów, tak że pan mi wcale nie będzie przeszkadzał. Zamknę drzwi łączące te pokoje, tak że będzie pan zupełnie nieskrępowany. Jutro, jako nowy pracownik hotelowy, otrzyma pan naturalnie swój własny pokoiik. Gdyby pan przyszedł ze swymi kolegami, kazałabym wam posłać we wspólnej sypialni służących, ale skoro pan jest sam, myślę, że lepiej będzie panu odpowiadało mieszkanie tutaj, mimo że pan musi spać na sofie. A teraz niech pan śpi dobrze, żeby się pan wzmocnił przed służbą. Jutro nie będzie ona jeszcze zbyt wyczerpująca.

– Serdecznie pani dziękuję za życzliwość.

– Proszę zaczekać – powiedziała, zatrzymując się u wyjścia – bo już niedługo by pana obudzono. – I podeszła do bocznych drzwi pokoju, zapukała i zawołała: – Tereso!

– Słucham, pani Starsza Kucharko – zameldował się głos małej maszynistki.

– Kiedy jutro będziesz szła mnie budzić, musisz przejść przez korytarz, tutaj w pokoju śpi gość. Jest śmiertelnie zmęczony – mówiąc to uśmiechnęła się do Karla. – Zrozumiałaś?

– Tak, pani Starsza Kucharko.

– No, to dobranoc.

– Życzę pani dobrej nocy.

– Ja – powiedziała Starsza Kucharka dla wyjaśnienia – od kilku lat niezwykle źle sypiam. Teraz mogę być zadowolona z mojego stanowiska i właściwie nie mam żadnych zmartwień. Ale następstwa moich kłopotów są powodem bezsenności. Mogę się cieszyć, jeśli zasypiam o trzeciej. Ale ponieważ już o piątej, najdalej o pół do szóstej, muszę być znowu na posterunku, muszę kazać się budzić, i to szczególnie ostrożnie, żebym się nie stała jeszcze bardziej nerwowa niż jestem. I właśnie Teresa mnie budzi. Ale teraz naprawdę wie pan już wszystko, a ja wciąż jeszcze nie odchodzę. Dobranoc!

I mimo swej otyłości niemal wymknęła się z pokoju.

Karl cieszył się na sen, gdyż dzień bardzo go wyczerpał. A do długiego, niezakłóconego snu nie mógł sobie życzyć wygodniejszego otoczenia. Pokój nie był wprawdzie przeznaczony na sypialnię, był przedtem pokojem mieszkalnym albo, ściślej mówiąc, reprezentacyjnym pokojem Starszej Kucharki, a umywalnia została przyniesiona na ten wieczór specjalnie dla niego, mimo to Karl nie czuł się intruzem, lecz jeszcze pod tym lepszą opieką. Jego kuferek postawiono tu jak należy i z pewnością od dawna już nie był bezpieczniejszy. Na niskiej szafie z zasuwanymi półkami, pokrytej grubo tkaną, wełnianą serwetą, stały rozmaite fotografie w ramkach i za szkłem; oglądając pokój, Karl przystanął przed nimi i patrzył. Były to przeważnie stare fotografie i w większości przedstawiały dziewczynki, które w niemodnych, niewygodnych sukniach, w luźno nałożonych, małych, ale wysokich kapeluszach, z prawą ręką opartą na parasolce

zwracały się ku patrzącemu, lecz unikały jego wzroku. Między zdjęciami mężczyzn szczególną uwagę Karla zwrócił młody żołnierz, który położył kępi na stoliku, stał wyprężony, ze zmierną, czarną czupryną i było w nim pełno dumnego, lecz tłumionego śmiechu. Guziki uniformu zostały na fotografii dodatkowo pozłoczone. Wszystkie te fotografie pochodziły jeszcze zapewne z Europy, można by to prawdopodobnie dokładnie odczytać na ich odwrotnej stronie, ale Karl nie chciał ich brać do ręki. Tak jak te fotografie stały tutaj, i on mógłby był postawić fotografię rodziców w swoim przyszłym pokoju.

Właśnie po gruntownym umyciu całego ciała, czego ze względu na swą sąsiadkę postarał się dokonać możliwie najciszej, wyciągnął się z przedsmakiem rozkoszy snu na kanapie, kiedy, jak mu się wydawało, usłyszał słabe pukanie do drzwi. Trudno było ustalić od razu, do których drzwi pukano, mógł to być także tylko przypadkowy odgłos. Stukanie nie powtórzyło się też zaraz i Karl już prawie zasypiał, gdy nastąpiło znowu. Ale teraz nie miał już wątpliwości, że było to pukanie do drzwi i że pochodziło z pokoju maszynistki. Karl podbiegł na palcach do drzwi i zapytał tak cicho, że nawet gdyby ktoś spał tuż obok, nie można by go zbudzić.

– Pani sobie czegoś życzy?

Natychmiast nadeszła równie cicha odpowiedź:

– Zechce pan otworzyć drzwi? Kluczek tkwi po pańskiej stronie.

– Dobrze – powiedział Karl. – Muszę się tylko najpierw ubrać.

Nastąpiła mała pauza, potem usłyszał:

– To niepotrzebne. Niech pan otworzy drzwi i położy się do łóżka, ja chwilę zaczekam.

– Dobrze – powiedział Karl i tak też zrobił – tylko zapalił jeszcze światło elektryczne. – Już leżę – powiedział potem trochę głośniej.

Wtedy z ciemnego pokoju wyszła mała maszynistka, ubrana zupełnie

tak samo, jak na dole, w biurze, widocznie przez cały ten czas nie pomyślała nawet o pójściu spać.

– Bardzo przepraszam – powiedziała i stanęła, nieco pochylona, przy posłaniu Karla – i proszę, niech mnie pan nie zdradzi. Nie będę też panu długo przeszkadzała, wiem, że pan jest śmiertelnie zmęczony.

– Nie jest tak źle – powiedział Karl – ale może jednak byłoby lepiej, gdybym się ubrał. – Musiał leżeć wyciągnięty, żeby móc się przykryć aż po szyję, bo nie miał nocnej koszuli.

– Zostanę tylko chwileczkę – powiedziała dziewczyna i sięgnęła po krzesło. – Mogę usiąść przy kanapie?

Karl skinął głową. Wtedy usiadła tak blisko kanapy, że Karl musiał odsunąć się do ściany, żeby móc na nią patrzeć. Miała okrągłą twarz o regularnych rysach, tylko czoło niezwykle wysokie, ale mogło się to również wydawać z powodu fryzury, w której nie było jej dobrze. Ubrana była bardzo czysto i starannie. W lewej ręce miała chusteczkę.

– Długo pan tutaj zostanie? – spytała.

– To nie jest jeszcze całkiem pewne – odpowiedział Karl – ale myślę, że zostanę.

– To byłoby bardzo dobrze – powiedziała i przesunęła chusteczką po twarzy – bo jestem tutaj taka samotna.

– To mnie dziwi – powiedział Karl. – Pani Starsza Kucharka jest przecież bardzo życzliwa w stosunku do pani. Wcale pani nie traktuje jak podwładną. Myślałem już, że łączy panie pokrewieństwo.

– O, nie – powiedziała. – Ja nazywam się Teresa Berchtold, pochodzę z Pomorza.

Karl także się przedstawił. Wtedy ona po raz pierwszy spojrzała mu prosto w twarz, jak gdyby przez wymienienie nazwiska stał się jej trochę bardziej obcy. Milczeli przez chwilę. Potem maszynistka powiedziała:

– Nie powinien pan myśleć, że jestem niewdzięczna. Gdyby

nie pani Starsza Kucharka, wiodłoby mi się o wiele gorzej. Byłam przedtem tutaj, w hotelu, dziewczyną kuchenną i groziło mi już wielkie niebezpieczeństwo, że zostanę zwolniona, bo nie mogłam podolać ciężkiej pracy. Tutaj stawiają duże wymagania. Przed miesiącem jedna z dziewczyn kuchennych zemdląła tylko z przepracowania i dwa tygodnie przeleżała w szpitalu. A ja nie jestem bardzo silna, wiele wycierpiałam i jestem przez to trochę zapóźniona w rozwoju; na pewno by pan nie powiedział, że mam już osiemnaście lat. Ale teraz staję się już silniejsza.

– Służba tutaj musi być naprawdę wyczerpująca – powiedział Karl. – Widziałem dopiero co na dole, jak chłopiec od windy spał stojąc.

– A przy tym chłopcom od windy dzieje się jeszcze najlepiej – powiedziała. – Oni dobrze zarabiają napiwkami i ostatecznie męczą się o wiele mniej niż ludzie w kuchni. Ale naprawdę miałam szczęście, pani Starsza Kucharka potrzebowała raz dziewczyny, żeby przygotować serwetki na bankiet, posłała na dół do nas, dziewcząt kuchennych, jest ich tutaj około pięćdziesięciu, a ja byłam właśnie pod ręką i była ze mnie bardzo zadowolona, bo na ustawianiu serwetek zawsze się znałam. I od tej pory zatrzymała mnie przy sobie, i stopniowo wyszkoliła mnie na swoją sekretarkę. Bardzo dużo się przy tym nauczyłam.

– Czy tutaj jest tak dużo do pisania? – spytał Karl.

– Ach, bardzo dużo – powiedziała. – Pan sobie pewnie tego nie potrafi wyobrazić, że dzisiaj pracowałam do pół do dwunastej, a nie był to jakiś wyjątkowy dzień. Zresztą nie piszę stale, lecz mam także wiele sprawunków do załatwiania w mieście.

– A jak się nazywa to miasto? – zapytał Karl.

– To pan nie wie? – powiedziała. – Ramzes.

– To duże miasto? – spytał Karl.

– Bardzo duże – odpowiedziała. – Niechętnie tam chodzę. Ale naprawdę nie chce pan już spać?

– Nie, nie – powiedział Karl. – Nie wiem przecież jeszcze, dlaczego pani tu przyszła.

– Bo nie mam z kim porozmawiać. Ja nie jestem skłonna do uzalania się nad sobą, ale jeśli człowiek naprawdę nikogo nie ma, to jest szczęśliwy, kiedy może się wygadać. Widziałam pana już na dole, w sali, przyszedłam właśnie po panią Starszą Kucharkę, kiedy ona prowadziła pana do spiżarni.

– To straszna sala – powiedział Karl.

– Ja już tego wcale nie zauważam – odpowiedziała. – Ale chciałam tylko powiedzieć, że pani Starsza Kucharka jest mi rzeczywiście tak przychylna, jak gdyby była moją matką. Ale pomiędzy nami jest przecież zbyt wielka różnica stanowisk żeby mogła rozmawiać z nią swobodnie. Wśród dziewcząt kuchennych miałam dawniej dobre przyjaciółki, ale od dawna ich już tu nie ma, a nowe dziewczęta znam bardzo mało. W końcu wydaje mi się czasem, że moja obecna praca wyczerpuje mnie bardziej niż poprzednia, a nie wykonuję jej nawet tak dobrze, jak tamtą, i że pani Starsza Kucharka trzyma mnie tylko z litości. Naprawdę trzeba mieć lepsze wykształcenie, żeby być sekretarką. To grzech tak mówić, ale bardzo często boję się, że oszaleję. Na miłość boską – powiedziała nagle o wiele szybciej i na chwilę chwyciła Karla za ramię, bo ręce trzymała pod kółdrą – niech pan tylko nie powie o tym ani słowa pani Starszej Kucharce, bo będę naprawdę zgubiona. To już naprawdę byłby szczyt, gdybym oprócz trudności, które sprawiają moją pracę, miała jeszcze przyczynić jej zmartwienia!

– Oczywiście nic jej nie powiem – odpowiedział Karl.

– To dobrze – powiedziała. – I niech pan tutaj zostanie. Cieszyłabym się, gdyby pan tu został i gdybyśmy mogli, jeśli to panu odpowiada, trzymać się razem. Jak tylko pana po raz pierwszy zobaczyłam, zaraz nabrałam do pana zaufania. A mimo to – niech pan pomyśli, jaka jestem

zła – bałam się także, że pani Starsza Kucharka mogłaby pana przyjąć na moje miejsce jako sekretarza, a mnie zwolnić. Dopiero kiedy siedziałam tutaj długo sama, a pan był na dole, w biurze, doszłam do wniosku, że byłoby nawet bardzo dobrze, gdyby pan przejął moją pracę, bo na pewno lepiej by się pan z niej wywiązywał. Gdyby pan nie chciał załatwić sprawunków w mieście, mogłabym tę pracę zatrzymać. Ale poza tym byłabym na pewno bardziej pożyteczna w kuchni, zwłaszcza że nabrałam już trochę sił.

– Ta sprawa jest już załatwiona – powiedział Karl. – Ja będę chłopcem od windy, a pani pozostanie sekretarką. Ale jeśli pani choćby napomknie wobec pani Starszej Kucharki o swoich planach, ja zdradzę jej to wszystko, co pani mi dzisiaj powiedziała, choć będzie mi bardzo przykro.

Ten sposób mówienia rozdrażnił Teresę tak bardzo, że rzuciła się na łóżko i jęcząc wciskała twarz w pościel.

– Nic nie zdradzę – powiedział Karl. – Ale pani też nie wolno nic powiedzieć.

Teraz nie mógł już dłużej kryć się cały pod kołdrą, pogłaskała Teresę lekko po ramieniu, nie znalazł odpowiednich słów i tylko pomyślał, że życie tutaj jest gorzkie. W końcu dziewczyna uspokoiła się przynajmniej o tyle, że wstydziła się swego płaczu, patrzyła na Karla z wdzięcznością, namawiała go, żeby jutro spał długo, i przyrzekła, że, o ile znajdzie czas, około ósmej przyjdzie na górę, żeby go zbudzić.

– Pani tak zręcznie umie budzić – powiedział Karl.

– Tak, to jedno umiem – powiedziała, przesunęła łagodnie ręką po kołdrze na pożegnanie i pobiegła do swego pokoju.

Nazajutrz Karl obstawał przy tym, żeby zaraz objąć służbę, chociaż Starsza Kucharka chciała mu dać ten dzień wolny na zwiedzenie Ramzes. Karl wyjaśnił jednak otwarcie, że do tego znajdzie jeszcze kiedyś sposobność, a teraz najważniejszą rzeczą dla niego jest, żeby

zaczął pracować, gdyż już w Europie bez żadnego pożytku przerwał pracę, mając na widoku inne cele, i zaczyna jako chłopiec od windy w wieku, w którym przynajmniej co zdolniejsi chłopcy są już bliscy tego, by naturalnym biegiem rzeczy otrzymywać ważniejsze prace. Zupełnie słusznie zaczyna jako chłopiec od windy, ale tym bardziej słuszne jest, że musi się szczególnie śpieszyć. W tych okolicznościach zwiedzanie miasta nie sprawiłoby mu żadnej przyjemności. Nie mógł się zdecydować nawet wyjść na krótko, na co namawiała go Teresa. Wciąż chodziła mu po głowie myśl, że jeśli nie będzie pilny, może się z nim w końcu stać to, co stało się z Delamarche'em i Robinsonem.

Krawiec hotelowy przymierzył mu uniform chłopca od windy, na pozór bardzo wspaniały, ozdobiony złotymi guzikami i złotym szamerunkiem; przy wkładaniu go jednak Karl trochę się wzdrygnął, gdyż zwłaszcza pod pachami spencerek był zimny, twardy, a przy tym na zawsze już wilgotny od potu innych chłopców, którzy nosili go przed Karlem. Uniform trzeba też było specjalnie dla Karla poszerzyć, zwłaszcza w piersiach, gdyż żaden z dziesięciu będących do wyboru nie nadawał się dla niego nawet w przybliżeniu. Mimo tych koniecznych poprawek i mimo że mistrz sprawiał wrażenie bardzo skrupulatnego – dostarczony uniform dwa razy wracał odrzucony przez niego z powrotem do pracowni – wszystko było załatwione w niespełna pięć minut i Karl opuścił pracownię już jako chłopiec od windy, w obcisłych spodniach i w bardzo – mimo stanowczych zapewnień mistrza, że jest przeciwnie – ciasnym spencerku, który wciąż kusił do uprawiania ćwiczeń oddechowych dla sprawdzenia, czy w ogóle można jeszcze oddychać.

Potem zameldował się u Starszego Kelnera, pod którego rozkazami miał pozostawać, smukłego, pięknego mężczyzny z wielkim nosem, mogącego mieć już około czterdziestki. Nie miał on czasu na wdanie się w najkrótszą choćby rozmowę i przywołał tylko jednego z chłopców

od windy, przypadkowo właśnie tego, którego Karl widział wczoraj. Starszy Kelner nazywał go po imieniu Giacomo, ponieważ, o czym Karl dowiedział się później, jego nazwisko, wymawiane z angielska, brzmiało nie do poznania. Ów chłopiec otrzymał teraz polecenie pokazania Karlowi tego, co jest potrzebne do służby przy windzie, był jednak tak nieśmiały i tak mu się śpieszyło, że, choć w gruncie rzeczy niewiele było do pokazania, Karl nawet i tego nie mógł się od niego dowiedzieć. Giacomo był z pewnością zły także dlatego, że z powodu Karla musiał opuścić służbę przy windzie i został przydzielony do pomocy pokojówkom, co wskutek pewnych doświadczeń, które jednak przemilczał, wydawało mu się upokarzające. Karl był rozczarowany przede wszystkim dlatego, że chłopiec od windy miał do czynienia z maszyną wyciągu tylko tyle, że po przez zwykłe naciśnięcie guzika wprowadzał ją w ruch, podczas gdy naprawy mechanizmu napędowego dokonywali wyłącznie maszyniści hotelowi, i że na przykład Giacomo, mimo półrocznej służby przy windzie, nie widział na własne oczy ani mechanizmu w piwnicy, ani maszyny wewnątrz wyciągu, chociaż – co wyraźnie powiedział – bardzo by się z tego cieszył. W ogóle była to służba monotonna, a z powodu dwunastogodzinnej pracy, na zmianę w dzień i w nocy, tak wyczerpująca, że według słów Giacomiego zupełnie nie można było jej wytrzymać, jeśli nie umiało się przez chwilę zdrzemnąć na stojąco. Karl nic na to nie powiedział, lecz rozumiał dobrze, że właśnie ta umiejętność kosztowała Giacomiego jego miejsce.

Bardzo ucieszyło Karla to, że winda, którą miał obsługiwać, przeznaczona była tylko dla najwyższych pięter, dzięki czemu nie musiał mieć do czynienia z najbardziej wymagającymi, bogatymi ludźmi. Z drugiej strony nie można się też było tutaj nauczyć tyle co gdzie indziej i dlatego, było to dobre tylko na początek.

Już po pierwszym tygodniu Karl zorientował się, że w zupełności dorósł

do tej służby. Mosiężne obicia jego windy były najlepiej wyczyszczone, żadna z trzydziestu wind nie mogła się z nią pod tym względem równać, a błyszcząłyby może jeszcze bardziej, gdyby chłopak, który obsługiwał tę samą windę, był choćby w przybliżeniu tak pilny, i gdyby nie czuł się wspierany w swym lenistwie pilnością Karla. Był to rodowity Amerykanin nazwiskiem Renell, próżny chłopak o ciemnych oczach i gładkich, nieco zapadniętych policzkach. Miał on eleganckie własne ubranie, w którym w wieczory wolne od służby, lekko wyperfumowany, śpieszył do miasta; niekiedy prosił też Karla, aby go wieczorem zastąpił, gdyż musi wyjść w sprawach rodzinnych, i nie troszczył się o to, że jego wygląd przeczył wszelkim takim wymówkom. Mimo to Karl lubił go i było mu przyjemnie, kiedy w takie wieczory przed wyjściem Renell w swoim prywatnym ubraniu zatrzymywał się przed nim na dole przy windzie i naciągając rękawiczki trochę się jeszcze usprawiedliwiał, a potem odchodził korytarzem. Zresztą Karl chciał mu tylko tymi zastępstwami wyświadczyć przysługę, co wobec starszego kolegi wydawało mu się na początku samo przez się zrozumiałe, ale nie zamierzał wprowadzać tego zwyczaju na stałe. Istotnie bowiem to wieczne jeżdżenie windą było dość męczące i nawet w późnych godzinach nie było w nim niemal przerw.

Wkrótce Karl nauczył się także krótkich, głębokich ukłonów, których wymagano od windziarzy, a napiwki chwycił w locie. Znikały one w kieszonce jego kamizelki i nikt nie poznałby z jego miny, czy były duże, czy małe. Przed paniami otwierał drzwi z pewną dodatkową galanterią i powoli wsuwał się do windy za nimi, a one w trosce o swoje suknie, kapelusze i narzutki wchodziły marudząc zwykle bardziej niż mężczyźni. Podczas jazdy Karl stał, gdyż tak było najdyskretniej, tuż przy wyjściu, zwrócony plecami do swych gości, i trzymał rękę na uchwycie drzwi, aby je w momencie przybycia na miejsce odciągnąć na bok nagle, ale tak, żeby tym jadących nie przestraszyć. Bardzo rzadko podczas jazdy

klepał go ktoś po ramieniu, żeby otrzymać jakąś informację, a wtedy Karl odwracał się szybko, jakby tego oczekiwał, i głośno udzielał odpowiedzi. Często, zwłaszcza po teatrze lub po przyjeździe niektórych pociągów pośpiesznych, robił się, pomimo wielu wind, taki tłok, że ledwie Karl wysadził gości na górze, znów musiał pędzić na dół, żeby zabrać tych, którzy już tym czekali. Mógł też przyśpieszyć zwykłą szybkość, ciągnąc za przechodzącą przez skrzynię windy drucianą linę, ale było to zabronione instrukcją obsługi i mogło być nawet niebezpieczne. Toteż Karl nigdy tego nie robił, kiedy jechał z pasażerami, lecz kiedy wysadził ich na górze, a inni czekali na dole, wtedy nie oglądał się na nic i silnymi, miarowymi chwytnymi ciągnął linę jak marynarz. Wiedział zresztą, że robili to także inni chłopcy od windy, i nie chciał tracić swoich pasażerów na rzecz kolegów. Pojedynczy goście, którzy dłuższy czas mieszkali w hotelu, co tu zresztą było w zwyczaju, okazywali czasem uśmiechem, że uważają Karla za swojego chłopca od windy, a Karl przyjmował ich uprzejmość z poważną twarzą, ale robiło mu to przyjemność. Czasem, gdy ruch był trochę mniejszy, mógł także przyjmować różne drobne polecenia, na przykład, aby przynieść jakiś zapomniany drobiazg gościowi, któremu nie chciało się wracać do pokoju; wtedy Karl sam pędził na górę windą, która w takich momentach była mu szczególnie bliska, wchodził do obcego pokoju, gdzie przeważnie leżały rozrzucone lub wisały na wieszakach dziwne przedmioty, jakich nigdy nie widział, czuł charakterystyczny zapach obcego mydła, perfum, wody do ust i nie zatrzymując się ani chwili, śpieszył z powrotem z rzeczą odnalezioną, mimo przeważnie niedokładnych wskazówek. Często żałował, że nie może przyjmować większych poleceń, gdyż do tego przeznaczeni byli inni służący lub posłańcy, którzy odbywali drogę na rowerach, a nawet na motocyklach. Karl mógł tylko przy sprzyjających okolicznościach chodzić na posyłki z pokoiów do sali jadalnej lub rozrywkowej.

Kiedy po dwunastogodzinnej pracy w kolejne trzy dni wracał o szóstej wieczorem, a w następne trzy dni o szóstej rano, był tak zmęczony, że nie zwracając na nikogo uwagi szedł prosto do łóżka. Znajdowało się ono we wspólnej sypialni chłopców od windy; pani Starsza Kucharka, której wpływy nie były może jednak tak wielkie, jak Karl sądził pierwszego wieczora, starała się wprawdzie o to, żeby mu dano własny pokoiik, i pewnie by się jej to udało, lecz kiedy Karl zobaczył, jakie to sprawia trudności i ile razy w tej sprawie Starsza Kucharka musiała telefonować do jego przełożonego, owego tak zajętego Starszego Kelnera, zrezygnował z tego i przekonał Starszą Kucharę o powadze swej decyzji, motywując ją tym, że nie chce, aby mu inni chłopcy zazdrościli przywileju, na który sam nie zasłużył.

Owa sypialnia nie była zresztą spokojnym miejscem do spania. Ponieważ każdy z lokatorów inaczej dzielił dwanaście godzin wolnego czasu na jedzenie, spanie, przyjemności i uboczne zarobki, w sypialni panował zawsze olbrzymi ruch. Jedni spali naciągnąwszy kołdrę na uszy, żeby nic nie słyszeć; kiedy mimo to któryś z nich się obudził, wówczas wrzeszczał tak wściekle na krzyczących, iż także pozostali, nawet najmocniej śpiący, nie mogli tego wytrzymać. Prawie każdy chłopiec miał fajkę, stała się ona rodzajem luksusu, Karl także ją sobie kupił i wkrótce zaczęła mu smakować. Ale podczas służby nie wolno było palić, a skutek tego był taki, że każdy palił w sypialni, dopóki na dobre nie zasnął. Każde łóżko stało więc we własnym obłoku dymu, a wszystko razem ginęło w jednej wspólnej chmurze. Jakkolwiek właściwie większość się na to zgadzała, nie można też było przeprowadzić tego, żeby w nocy światło paliło się tylko w jednym końcu sali. Gdyby przyjęto tę propozycję, wówczas ci, którzy chcieli spać, mogliby to spokojnie robić w ciemnej połowie sali – była to wielka sala o czterdziestu łóżkach – podczas gdy inni, w oświetlonej części, graliby w kości lub w karty i mogli zajmować

się wszystkim innym, do czego potrzebne jest światło. Gdyby ktoś, czyje łóżko stało w oświetlonej połowie sali, chciał iść spać, mógłby się położyć na jednym z wolnych posłań w ciemnej części, gdyż stało tam zawsze dość wolnych łóżek i nikt nie miał nic przeciwko takiemu przejściowemu korzystaniu z jego legowiska przez kogoś innego. Ale nie było ani jednej nocy, w której przestrzegano by tego podziału. Zawsze znajdowało się na przykład dwóch, którzy, kiedy już wykorzystali ciemność, aby się trochę przespać, nabierali ochoty na grę w karty w łóżkach, na położonej między nimi desce, i naturalnie zapalali odpowiednią elektryczną lampę, której ostre światło wyrывało ze snu śpiących, jeśli byli ku niemu zwrócenii. Obudzony przewracał się wprawdzie jeszcze trochę na łóżku, w końcu jednak nie miał nic lepszego do roboty niż zabrać się także do gry z równocześnie obudzonym sąsiadem, przy zapalonym świetle. I naturalnie znowu wszyscy ćmili fajki. Było wprawdzie kilku, którzy za wszelką cenę chcieli spać – Karl przeważnie należał do nich – i ci, zamiast kłaść głowę na poduszce, przykrywali ją lub owijali poduszką: lecz jak można było spać, skoro najbliższy sąsiad wstawał wśród głębokiej nocy, aby przed służbą jeszcze zabawić się trochę w mieście, kiedy mył się, głośno prychając w miednicy umieszczonej przy wezgiłowiu własnego łóżka, kiedy nie tylko z hałasem wciągał buty, lecz jeszcze tupał, aby w nich poczuć się wygodniej – prawie wszyscy mieli buty za ciasne, pomimo ich amerykańskiego fasonu – by w końcu, ponieważ brakowało mu jeszcze do ekwipunku jakiegoś drobiazgu, podnieść poduszkę śpiącego, pod którą – od dawna zresztą już nie śpiąc – kolega czekał tylko na to, żeby się na niego rzucić. No, i wszyscy byli przecież sportowcami i młodymi, przeważnie silnymi chłopakami, którzy nie chcieli pominąć żadnej sposobności do sportowych ćwiczeń. I człowiek mógł być pewny, kiedy zrywał się w nocy, wytrącony ze snu wielkim hałasem, że na podłodze przy swoim łóżku znajdzie dwóch walczących zapaśników

i stojących wokół przy jaskrawym świetle na łóżkach rzeczoznawców w koszulach i kalesonach. Raz podczas takiej nocnej walki bokserskiej jeden z walczących upadł na śpiącego Karla i pierwszą rzeczą, jaką Karl zobaczył otwartymi oczyma, była płynąca chłopcu z nosa krew, która zanim można było cokolwiek na to poradzić, załała całą pościel. Karl spędzał często niemal dwanaście godzin na próbach uzyskania paru godzin snu, choć kusiło go też bardzo, aby wziąć udział w rozrywkach kolegów; ale ciągle mu się zdawało, że wszyscy inni wyprzedzali go w życiu i że on pilniejszą pracą i wyrzeczeniami musi to wyrównać. Chociaż więc bardzo zależało mu na śnie, głównie ze względu na pracę, nie uskarżał się ani wobec Starszej Kucharki, ani wobec Teresy na warunki w sypialni, gdyż po pierwsze na ogół wszyscy chłopcy ciężko to znosili, nie skarżąc się poważnie, a po drugie udręka w sypialni była nieodzowną częścią jego pracy jako chłopca od windy, którą to pracę przyjął z wdzięcznością z rąk Starszej Kucharki.

Raz na tydzień, przy zmianie godzin służby, Karl miał wolną dobę, którą po części wykorzystywał na złożenie jednej lub dwóch wizyt Starszej Kucharce i zamienienie naprędce kilku słów z Teresą, czatując na odrobinę wolnego czasu gdzieś w kącie na korytarzu, a rzadziej w jej pokoju. Czasem towarzyszył jej do miasta za sprawunkami, które trzeba było załatwiać jak najszybciej. Biegli więc niemal, Karl z torbą Teresy w ręce, do najbliższej stacji kolei podziemnej, jazda mijała błyskawicznie, jak gdyby coś porywało pociąg bez najmniejszego oporu, już po chwili wysiadali, wybiegali na górę po schodach zamiast czekać na windę, która wydawała im się zbyt powolna, i pojawiały się przed nimi wielkie place, od których gwieździście rozbiegały się ulice. Na placach panował zgiełk, wywołany ruchem napływających ze wszystkich stron pojazdów, lecz Karl i Teresa, trzymając się blisko siebie, śpieszyli do rozmaitych biur, pralni, magazynów i sklepów, w których trzeba było załatwić trudne do

omówienia przez telefon, zresztą niezbyt odpowiedzialne zamówienia lub zażalenia. Teresa wkrótce zauważyła, że pomoc Karla jest przy tym nie do pogardzenia, a nawet często dzięki niej wiele spraw można było przyspieszyć. W jego towarzystwie nigdy nie musiała, jak bywało, wyczekiwać, aż przeciążeni zajęciami sprzedawcy ją wysłuchają. Karl podchodził do kontuaru i tak długo stukał weń palcami, dopóki to nie poskutkowało, wołał ponad murem ludzkim swoją wciąż jeszcze nieco przesadną, pośród setki głosów łatwo dosłyszalną angielszczyzną, podchodził do ludzi bez wahania, choćby się wyniośle wycofywali w głąb najdłuższych sal biurowych. Nie postępował tak z zuchwałości i cenił stawiany mu opór, lecz czuł się na pozycji pewnej, która go do tego uprawniała, hotel „Occidental” był bowiem klientem, którego nie wolno było lekceważyć, a ostatecznie Teresa, mimo swego doświadczenia w załatwianiu tych spraw, potrzebowała pomocy.

– Powinien pan zawsze ze mną chodzić – mówiła czasem, śmiejąc się, uszczęśliwiona, kiedy wracali po jakimś specjalnie udanym przedsięwzięciu.

W ciągu półtora miesiąca spędzonego w Ramzes Karl przebywał tylko trzy razy dłuższy czas, ponad parę godzin, w pokoiku Teresy. Pokoik był naturalnie mniejszy od któregokolwiek pokoju Starszej Kucharki, niewiele rzeczy, które się w nim znajdowały, skupiało się koło okna, lecz Karl, po swoich doświadczeniach z wspólnej sypialni, docenił już wartość własnego, względnie spokojnego pokoju i choć wyraźnie tego nie powiedział, to jednak Teresa zauważyła, jak bardzo mu się jej pokój podoba. Nie miała przed nim żadnych tajemnic i nie byłoby to nawet możliwe po jej wizycie pierwszego wieczora. Była nieślubnym dzieckiem, jej ojciec był majstrem budowlanym i sprowadził matkę i dziecko z Pomorza; lecz jakby wypełnił już w ten sposób swój obowiązek lub jakby oczekiwał kogo innego, nie spracowanej kobiety i słabego dziecka, które przyjął w

porcie, wkrótce po ich przybyciu bez długich wyjaśnień wywędrował do Kanady, a te, które zostawił, nie otrzymały od niego ani listu, ani żadnej innej wiadomości, czemu też częściowo nie można się było dziwić, gdyż zagubiły się zupełnie w zbiorowych kwaterach wschodnich dzielnic Nowego Jorku, tak że nie można by ich było odszukać.

Raz Teresa opowiadała – Karl stał obok niej przy oknie i patrzył na ulicę – o śmierci matki. Jak matka i ona pewnego zimowego wieczora – Teresa mogła mieć wtedy około pięciu lat – każda dźwigała tobołek, szły śpiesznie ulicami, szukając miejsca na nocleg. Jak matka najpierw prowadziła ją za rękę – szalała burza śnieżna i niełatwo było iść naprzód – aż ręka jej omdlała i matka puściła Teresę, nie oglądając się za nią, i teraz dziewczynka sama musiała z trudem czepiać się matczynej spódnicy. Teresa często potykała się i nawet upadała, lecz matka, jak gdyby ogarnięta szałem, szła nie zatrzymując się. A te śnieżne burze na długich, prostych ulicach nowojorskich! Karl nie przeżył jeszcze zimy w Nowym Jorku. Idzie się pod wiatr, a ten wiruje w koło, nie można ani na moment otworzyć oczu, wiatr wciąż rozmazuje śnieg na twarzy, biegnie się, lecz nie posuwa się naprzód, to jest coś rozpaczliwego. Dziecko jest przy tym w porównaniu z dorosłym w korzystniejszym położeniu, przebiega pod uderzeniami wiatru i wszystko to jeszcze je trochę bawi. Tak więc i Teresa zupełnie nie mogła wtedy zrozumieć matki i była teraz głęboko przekonana, że gdyby owego wieczora – była przecież jeszcze takim małym dzieckiem – zachowała się mądrzej, to matka nie umarłaby tak nędzną śmiercią. Była ona wtedy już dwa dni bez pracy, nie miała ani grosza, dzień spędziły pod gołym niebem, nie mając nic w ustach, a w węzełkach taszczyły z sobą tylko jakieś niepotrzebne szmaty, których, może przez przesąd, nie miały odwagi wyrzucić. Od następnego rana matka miała otrzymać pracę przy budowie, ale bała się, jak to Teresie cały dzień próbowała wytłumaczyć, że nie będzie mogła wykorzystać

tej szczęśliwej okazji, gdyż czuła się śmiertelnie zmęczona, już rano, ku przerażeniu przechodniów, wykaszła na ulicy wiele krwi i tęskniła jedynie do tego, żeby znaleźć się gdziekolwiek w ciepłe i wypocząć. A właśnie tego wieczora nie można było znaleźć żadnego schronienia. Jeśli gdzieś dozorca domu nie wypędzał ich od razu z bramy, w której można było jednak choć trochę odpocząć po burzy, przebiegały wąskie, lodowate korytarze, wdrapywały się na wysokie piętra, okrążały małe tarasy na dziedzińcach, pukały na chybił trafił do drzwi, najpierw bały się do kogokolwiek odezwać, a potem zebrały u każdego spotkanego, a raz czy dwa razy matka, bez tchu, przysiadła na stopniu spokojnych schodów, porywała w ramiona broniącą się niemal Teresę i całowała ją, boleśnie przyciskając jej wargi. Kiedy człowiek później wie, że były to ostatnie pocałunki, nie może pojąć, jak nawet będąc małym robaczkiem był tak ślepy, że tego nie rozumiał. W wielu pokojach, obok których przechodziły, drzwi były otwarte, żeby wypuścić zaduch, i z oparu dymu, jak gdyby spowodowanego pożarem i wypełniającego pokój, wynurzała się jakaś postać, stawała w drzwiach i albo swoją milczącą obecnością, albo krótkim słowem dawała do zrozumienia, że schronienie się w tym pokoju jest niemożliwe. Teresie wydawało się teraz, gdy patrzyła wstecz, że matka tylko w ciągu paru pierwszych godzin naprawdę szukała jakiegoś miejsca, gdyż potem, chyba po północy, do nikogo już się nie odzywała, chociaż, z małymi przerwami, aż do świtu nie przestawała iść przed siebie i chociaż w tych domach, w których ani bram, ani drzwi mieszkań nigdy się nie zamyka, wciąż panuje życie i co krok spotyka się ludzi. Nie był to naturalnie szybki marsz naprzód, lecz ostateczny wysiłek, do jakiego były zdolne, w rzeczywistości więc mogło to być po prostu wleczenie się noga za nogą. Teresa nie wiedziała też, czy od północy do piątej rano zachodziły do dwudziestu domów, czy do dwóch albo może nawet tylko do jednego. Korytarze w tych domach są przeprowadzone według chytrych

planów, tak aby jak najlepiej wykorzystała przestrzeń, lecz bez myśli o ułatwieniu orientacji w nich, jakże często chodziły na pewno tymi samymi korytarzami! Teresa niejasno wspominała, że opuszczały bramę jakiegoś domu, który wciąż przeszukiwały, ale zdawało się jej również, że na ulicy zaraz odwracały się i znów wpadały do tego samego domu. Dla dziecka było to naturalnie niepojętą udręką, kiedy raz trzymana przez matkę, to znów trzymając się jej i nie słysząc ani słowa pociechy, wyobrażała sobie, że wszystko to w całej swej niezrozumiałości ma tylko jedno wyjaśnienie, to, że matka chce od niej uciec. Dlatego Teresa, nawet wtedy, gdy matka prowadziła ją za rękę, trzymała się jej dla pewności tym mocniej drugą ręką za spódnicę i co pewien czas zanosila się głośnym płaczem. Nie chciała, żeby matka zostawiła ją tutaj, między ludźmi, którzy tupiąc wchodzili przed nimi po schodach, którzy poza nimi, jeszcze niewidoczni, wyłaniali się zza zakrętu schodów, którzy w korytarzach przed jakimiś drzwiami klócili się ze sobą i wzajemnie wpychali się do pokoju. Pijani wędrowali po domu tępo podśpiewując, a matka i Teresa szczęśliwie jeszcze prześlizgiwały się przez takie właśnie tworzące się grupy. Z pewnością późno w nocy, kiedy nikt już nie uważa ani bezwarunkowo nie upiera się przy swym prawie, mogłyby się wcisnąć przynajmniej do jednej z mijanych przez nie wspólnych sal sypialnych, wynajmowanych przez przedsiębiorców, ale Teresa tego nie rozumiała, a matka nie pragnęła już wypoczynku. Rano, z początkiem pięknego zimowego dnia, oparły się obie o ścianę domu i może trochę się zdrzemnęły, a może tylko otwartymi oczami nieprzytomnie patrzyły dokoła. Okazało się, że Teresa zgubiła swój tobolek, i matka chciała ją zbić za jej nieuwagę, ale ona nie usłyszała ani nie poczuła uderzenia. Szły potem dalej ożywiającymi się ulicami, matka pod ścianami domów, przeszły przez most, gdzie matka zmiatała ręką szron z poręczy, i dotarły w końcu, wtedy Teresa pojęła to jako rzecz naturalną, dziś tego nie rozumiała, właśnie do owej budowy,

gdzie matka na rano była zamówiona. Nie powiedziała Teresie, czy ma czekać, czy odejść, i Teresa przyjęła to jako rozkaz czekania, gdyż to najbardziej odpowiadało jej życzeniom. Usiadła więc na stosie cegieł i patrzyła, jak matka rozwiązała tobolek, wyjęła barwną szmatę i zawiązała ją na chustce, którą miała na głowie przez całą noc. Teresa była zbyt zmęczona, żeby jej przyszło do głowy pomóc matce.

Nie zameldowawszy się w baraku budowlanym, jak to było w zwyczaju, i nikogo o nic nie pytając, matka weszła na drabinę, jakby sama wiedziała, jaką pracę jej przydzielono. Teresę to zdziwiło, bo pomocnice zatrudniano zwykle na dole, przy gaszeniu wapna, podawaniu cegieł i innych nieskomplikowanych pracach. Pomyślała więc, że matka pragnie wykonywać dzisiaj lepiej płatną pracę, i zaspana uśmiechnęła się do niej. Mury budynku nie były jeszcze wysokie, doprowadzono je zaledwie do parteru, choć już wysokie żerdzie rusztowań do dalszej budowy, co prawda jeszcze nie połączone deskami, sterczały ku błękitnemu niebu. Na górze matka zręcznie ominęła murarzy, którzy kładli cegłę na cegle, i rzecz dziwna, nie zażądali od niej wytłumaczenia się; słabą dłonią trzymała się ostrożnie drewnianej łąty, służącej jako poręcz, a Teresa na dole, w swoim oszołomieniu, podziwiała jej zręczność i zdawało jej się, że matka obdarzyła ją jeszcze serdecznym spojrzeniem. Ale teraz matka natrafiła po drodze na mały stos cegieł, przed którym kończyła się poręcz, a prawdopodobnie także i przejście, ale nie zatrzymała się, szła prosto na stos cegieł, zdawało się, że zręczność ją opuściła, przewróciła stos cegieł i ponad nim spadła w dół. Wiele cegieł potoczyło się za nią i w końcu, w dobrą chwilę później, oderwała się skądś ciężka deska i runęła na nią. Ostatnim wspomnieniem Teresy o matce był widok leżącej z rozrzuconymi nogami, w kraciastej spódnicy, pochodzącej jeszcze z Pomorza, i owej surowej deski, która niemal ją przykrywała; ludzie zbiegali się teraz z wszystkich stron, a z budowy, z samej góry, jakiś człowiek gniewnie coś

krzyczał.

Zrobiło się późno, kiedy Teresa skończyła swoją historię. Opowiedziała wszystko szczegółowo, czego dotychczas nie miała w zwyczaju, i właśnie w miejscach obojętnych, jak przy opisie żerdzi rusztowania, pojedynczo sterczących ku niebu, musiała przerywać ze łzami w oczach. Teraz, po dziesięciu latach, wiedziała bardzo dokładnie o każdym drobiazgu, który wówczas się zdarzył, a ponieważ widok matki w górze na w połowie ukończonym parterze był ostatnim wspomnieniem o jej życiu, a nie umiała go swemu przyjacielowi przekazać dość dokładnie, chciała po zakończeniu opowiadania raz jeszcze do niego powrócić, ale zahała się, ukryła twarz w dłoniach i nie powiedziała już ani słowa.

W pokoju Teresy bywało jednak czasem weselej. Już podczas pierwszej wizyty Karl zauważył leżący tam podręcznik korespondencji handlowej, który Teresa na jego prośbę mu pożyczyła. Jednocześnie umówili się, że Karl będzie przerabiał zawarte w książce zadania i dawał je do przejrzania Teresie, która przestudiowała już książkę o tyle, o ile było to potrzebne do jej niewielkich prac. Karl leżał teraz całymi nocami na dole, na swoim łóżku w sypialni z watą w uszach, na zmianę we wszystkich możliwych pozycjach, czytał książkę i gryzmolił w zeszytiku zadania wiecznym piórem, które otrzymał w prezencie od Starszej Kucharki w nagrodę za to, że bardzo praktycznie ułożył i porządnie wykonał dla niej wielki spis inwentarza. Większość przeszkód ze strony innych chłopców udało mu się obrócić na dobre w ten sposób, że wciąż zasięgał ich drobnych porad z zakresu angielszczyzny, aż ich to znużyło i zostawili go w spokoju. Karl często dziwił się, jak jego koledzy zupełnie pogodzili się ze swoją terażniejszą sytuacją, jak nie czuli jej prowizorycznego charakteru – jako chłopców od windy nie zatrudniano starszych niż dwudziestolatków – nie rozumieli konieczności powzięcia decyzji co do swego przyszłego zawodu i mimo przykładu Karla nie czytali nic poza co najwyżej

detektywistycznymi powieściami, które w brudnych strzępach podawali sobie z łóżka do łóżka. Podczas spotkań Teresa poprawiała teraz jego prace z przesadną skrupulatnością, wynikały różnice zdań, Karl przytaczał jako świadka swego wielkiego nowojorskiego profesora, lecz dla Teresy znaczyło to równie mało jak gramatyczna wiedza chłopców od windy. Brała Karlowi wieczne pióro z ręki i przekreślała miejsca, o których wadliwości była przekonana, Karl zaś w takich wątpliwych przypadkach, chociaż na ogół nie było dla niego w tej sprawie większego autorytetu niż Teresa, dla dokładności przekreślał z kolei skreślenia Teresy. Czasem zresztą przychodziła Starsza Kucharka i rozstrzygała wtedy zawsze na korzyść Teresy, co jeszcze niczego nie dowodziło, bo Teresa była jej sekretarką. Równocześnie jednak doprowadzała do pojednania, gdyż zaraz gotowali herbatę, przynosili pieczywo i Karl musiał opowiadać o Europie; Starsza Kucharka często mu zresztą przerywała, wciąż pytała i dziwiła się, dzięki czemu Karl uświadomił sobie, jak wiele rzeczy uległo w stosunkowo krótkim czasie gruntownej zmianie i jak wiele zapewne także od jego wyjazdu zmieniło się i nadal stawało się inne.

Karl mógł być w Ramzes około miesiąca, gdy pewnego wieczora Renell powiedział mu w przejściu, że przed hotelem zagadnął go jakiś człowiek nazwiskiem Delamarche i wypytywał go o Karla. Renell nie miał powodu czegokolwiek przemilczać i opowiedział zgodnie z prawdą, że Karl jest chłopcem od windy, ma jednak widoki na otrzymanie dzięki protekcji Starszej Kucharki jeszcze całkiem innych stanowisk. Karl zauważył, jak ostrożnie Delamarche postępował z Renellem, którego zaprosił nawet tego wieczora na wspólną kolację.

– Nie mam już nic wspólnego z Delamarche’em – powiedział Karl – i ty także miej się przed nim na baczności!

– Ja? – powiedział Renell, przeciągnął się i szybko odszedł.

Był on najprzystojniejszym chłopcem w hotelu i wśród innych

chłopców krążyła pogłoska, choć nie znano jej autora, że pewna wytworna dama, która już od dłuższego czasu mieszkała w hotelu, co najmniej obcałowuje go w windzie. Dla każdego, kto znał tę pogłoskę, było rzeczą bardzo podniecającą jak owa pewna siebie dama, której wygląd nie pozwalał nawet dopuszczać możliwości takiego zachowania się, przechodzi obok swym spokojnym, lekkim krokiem, w delikatnych woalach, z mocno zesnurowaną talią. Mieszkała na pierwszym piętrze i winda Renella nie była tą, którą powinna się była posługiwać, ale kiedy inne były chwilowo zajęte, nie można było oczywiście takim gościom bronić wstępu do którejkolwiek windy. Zdarzało się zatem, że owa dama od czasu do czasu jeździła windą Karla i Renella i rzeczywiście zawsze tylko wtedy, kiedy Renell miał służbę. Mógł to być przypadek, ale nikt w to nie wierzył, i kiedy winda z nimi obojgiem odjeżdżała, pozostałych chłopców ogarniał z trudem tłumiony niepokój, który doprowadził już nawet do wkroczenia w to Starszego Kelnera.

Czy to dama, czy też krążąca plotka była tego przyczyną, w każdym razie Renell zmienił się, stał się jeszcze o wiele bardziej pewny siebie, czyszczenie windy pozostawił całkowicie Karlowi, który czekał już tylko na okazję gruntownego rozmówienia się z nim, a w sypialni w ogóle się już nie zjawiał. Żaden z chłopców nie wyłączył się tak całkowicie ze środowiska kolegów, gdyż na ogół wszyscy, przynajmniej w sprawach służbowych, trzymali się razem i mieli swoją organizację, uznawaną przez dyrekcję hotelu.

Wszystko to chodziło Karlowi po głowie, myślał też o Delamarche, a poza tym pełnił służbę jak zawsze. Około północy miał urozmaicenie, gdyż Teresa, która często robiła mu niespodziankę drobnymi podarunkami, przyniosła mu duże jabłko i tabliczkę czekolady. Trochę porozmawiali, w czym nie przeszkadzały im przerwy, spowodowane kursami odbywanymi przez windę. Rozmowa przeszła na Delamarche'a i Karl spostrzegł, że

właściwie uległ wpływowi Teresy, uważając go od pewnego czasu za człowieka niebezpiecznego, gdyż takie właśnie wrażenie odniosła Teresa z opowiadań Karla. Ale Karl uważał go w gruncie rzeczy tylko za obdartusa, którego zepsuło niepowodzenie i z którym dałoby się żyć w zgodzie. Lecz Teresa bardzo żywo się temu sprzeciwiała i w długich rozmowach żądała od Karla przyrzeczenia, że nie zamieni już z Delamarche'em ani słowa. Zamiast jej to przyrzec Karl kilkakrotnie przynaglił ją, żeby poszła spać, bo północ dawno już minęła, a gdy się ociągała, zagroził, że opuści swój posterunek i odprowadzi ją do pokoju. Gdy wreszcie była już gotowa odejść, powiedział:

– Czemu martwisz się niepotrzebnie, Tereso? Jeśli masz dzięki temu lepiej spać, chętnie ci przyrzekam, że będę rozmawiał z Delamarche'em tylko wtedy, kiedy nie da się tego uniknąć.

Potem odbył jeszcze wiele jazd, gdyż chłopiec z sąsiedniej windy został odwołany do jakiejś innej pracy pomocniczej i Karl musiał obsługiwać obie windy. Niektórzy goście mówili o nieporządku, a pewien pan, towarzyszący damie, dotknął Karla nawet lekko laską, żeby go skłonić do pośpiechu; było to naprawdę zbędne napomnienie. Gdybyż przynajmniej goście, którzy widzieli, że przy jednej windzie nie ma chłopca, od razu podchodzili do windy Karla; ale nie robili tego, lecz szli do sąsiedniej windy i stali tam z ręką na klamce albo nawet sami wchodzili do środka, czemu według najsurowszych paragrafów regulaminu służbowego dla chłopców od windy należało zapobiegać za wszelką cenę. Karl miał więc męczącą bieżącą, a przy tym brak mu było poczucia, że dobrze wypełnia swój obowiązek. Ponadto około trzeciej nad ranem pewien tragarz, starszy człowiek, z którym Karl był trochę zaprzyjaźniony, potrzebował od niego jakiejś pomocy, lecz Karl w żaden sposób nie mógł mu jej udzielić, gdyż właśnie przed obydwoma jego windami stali goście i trzeba było przytomności umysłu, żeby natychmiast, idąc wielkimi krokami,

zdecydować się na jedną lub drugą grupę. Tak więc Karl był szczęśliwy, gdy wrócił drugi chłopiec, i zawołał do niego parę słów z wyrzutem z powodu jego długiej nieobecności, jakkolwiek prawdopodobnie nie było w tym jego winy.

Po czwartej rano zapanowało trochę spokoju, ale też Karl pilnie go już potrzebował. Oparł się ciężko o poręcz przy windzie, powoli jadł jabłko, z którego już, po pierwszym kęsie zaczął unosić się silny aromat, i patrzył w świetlny szyb, otoczony wielkimi oknami spiżarni, za którymi wiszące kiście bananów ledwo lśniły w ciemności.

Robinson

Wtem ktoś poklepał go po ramieniu. Karl, który naturalnie myślał, że to jakiś gość, jak najszybciej schował jabłko do kieszeni prawie na tego człowieka nie patrząc, pośpieszył do windy.

– Dobry wieczór, panie Rossmann – powiedział teraz jednak ów człowiek. – To ja, Robinson.

– Ależ pan się zmienił! – powiedział Karl i pokiwał głową.

– Tak, powodzi mi się dobrze – powiedział Robinson i spojrzął na swoje ubranie, które składało się nawet z dość ładnych części, jednak tak pomieszanych, że wyglądało wprost odrażająco. Najbardziej wpadała w oczy widocznie po raz pierwszy włożona biała kamizelka z czterema małymi, czarno oblamowanymi kieszonkami, na którą też Robinson usiłował zwrócić uwagę, wypinając pierś.

– Ma pan drogie ubranie – powiedział Karl i pomyślał przelotnie o swoim pięknym, skromnym garniturze, w którym mógłby nawet wytrzymać porównanie z Renellem, a które sprzedali mu ci dwaj źli przyjaciele.

– Tak – powiedział Robinson – prawie codziennie coś sobie kupuję. Jak się panu podoba kamizelka?

– Zupełnie dobra – powiedział Karl.

– Ale to nie są prawdziwe kieszenie, to tylko tak zrobione – powiedział Robinson i chwycił Karla za rękę, żeby sam się o tym przekonał. Lecz Karl uchylił się, gdyż z ust Robinsona zalatywał nieznośny zapach wódki.

– Znowu pan dużo pije – powiedział Karl i stanął z powrotem przy poręczy.

– Nie – powiedział Robinson – niedużo. – I wbrew poprzednio wyrażanemu zadowoleniu dorzucił: – Cóż poza tym człowiek ma na świecie!

Obsługa windy przerwała rozmowę, a ledwie Karl znowu znalazł się na dole, polecono mu telefonicznie, aby przywiózł hotelowego lekarza, gdyż pewna dama na siódmym piętrze popadła w omdlenie. Jadąc windą Karl miał nadzieję, że Robinson tymczasem się oddali, gdyż nie chciał, by go z nim widziano, a w myśl ostrzeżenia Teresy nie chciał też nic słyszeć o Delamarche’u. Ale Robinson czekał jeszcze w sztywnej postawie człowieka zupełnie pijanego, a właśnie przechodził obok wyższy urzędnik hotelowy w czarnym żakiecie i w cylindrze, lecz na szczęście, jak się wydawało, nie zwrócił uwagi na Robinsona.

– Rossmann, nie chciałby pan przyjść kiedy do nas? Świetnie się nam teraz wiedzie – powiedział Robinson i kusząco spojrzął na Karla.

– Czy to pan mnie zaprasza, czy Delamarche? – zapytał Karl.

– Ja i Delamarche. Jesteśmy co do tego jednomyślni – powiedział Robinson.

– Wobec tego mówię panu i proszę, żeby pan to powtórzył Delamarche’owi: nasze rozstanie jest ostateczne, jeśli to samo przez się nie było dla was jasne. Obydwoj wyrażdźcie mi więcej przykrości niż ktokolwiek inny. Może wbiliście sobie w głowę, żeby i nadal nie

pozostawić mnie w spokoju?

– Jesteśmy przecież pańskimi kolegami – powiedział Robinson i obrzydliwe pijackie łyzy stanęły mu w oczach. – Delamarche kazał mi panu powiedzieć, że chce panu wynagrodzić wszystko, co było. Mieszkamy teraz z Bruneldą, wspaniałą śpiewaczką.

I w związku z tym już chciał zaśpiewać jakąś pieśń w wysokich tonach, ale Karl w porę na niego syknął:

– Niech pan zamilknie, i to natychmiast; pan chyba nie wie, gdzie pan się znajduje!

– Rossmann – powiedział Robinson, przestraszony teraz z powodu swego śpiewu. – Niech pan mówi co chce, ale jestem przecież pańskim kolegą. A pan ma tutaj teraz takie piękne stanowisko, czy mógłby mi pan dać trochę pieniędzy?

– Zaraz je pan znowu przepije – powiedział Karl. – Widzę nawet w pańskiej kieszeni butelkę wódki, którą pił pan na pewno, podczas gdy mnie tu nie było, bo z początku był pan jeszcze dość przytomny.

– To tylko na wzmocnienie, kiedy jestem w drodze – powiedział Robinson tonem usprawiedliwienia.

– Nie chcę, żeby pan się jeszcze bardziej upił – powiedział Karl.

– Ale pieniądze! – powiedział Robinson, szeroko otwierając oczy.

– Pewnie otrzymał pan od Delamarche'a polecenie, żeby przynieść pieniądze. Dobrze, dam panu pieniądze, ale tylko pod warunkiem, że natychmiast pan stąd odejdzie i nigdy mnie tu już nie odwiedzi. Jeśli pan zechce mi coś zakomunikować, niech pan do mnie napisze. „Karl Rossmann, chłopiec od windy, hotel »Occidental«”, to wystarczy jako adres. Ale tutaj, powtarzam, nie wolno panu mnie odwiedzać. Tutaj jestem na służbie i nie mam czasu na odwiedziny. Więc czy chce pan dostać pieniądze pod tym warunkiem? – spytał Karl i sięgnął do kieszeni, gdyż był zdecydowany poświęcić napiwki z dzisiejszej nocy. Robinson kiwnął

tylko głową w odpowiedzi i ciężko dyszał. Karl źle to sobie wytłumaczył i spytał jeszcze raz:

– Tak czy nie?

Wtedy Robinson skinieniem przywołał go do siebie i szepnął wśród czań, które były już całkiem wyraźne:

– Rossmann, jest mi bardzo niedobrze.

– Do diabła! – wyrwało się Karlowi i obiema rękami przyciągnął go do poręczy.

A z ust Robinsona już wszystko wylewało się w głąb szybu. W przerwach, na jakie mu mdłości pozwalały, bezradnie, po omacku, przysuwał się do Karla. – Jest pan naprawdę dobrym chłopcem – mówił wtedy, albo: – To już ustaje – co zresztą długo jeszcze nie było prawdą, albo: – Te psy, czego oni mi tam naleli!

Karl z niepokojem i obrzydzeniem nie mógł wytrzymać przy nim dłużej i zaczął chodzić tam i z powrotem. Tutaj, w kącie obok windy, Robinson był trochę ukryty, ale co by było, gdyby go jednak ktoś zauważył, któryś z tych nerwowych, bogatych gości, którzy tylko czekali na to, żeby złożyć zażalenie nadbiegającemu urzędnikowi hotelowemu, za co ten wściekle mścił się potem na całym personelu, albo gdyby przechodził jeden z owych wciąż zmieniających się hotelowych detektywów, których nie zna nikt poza dyrekcją i których podejrzewa się w każdym człowieku o badawczych spojrzeniach, spowodowanych może tylko krótkowzrocznością. A na dole niechby tylko ktoś z otwartej przez całą noc restauracji musiał pójść do spiżarni, niechby ze zdumieniem zauważył obrzydliwości w szybie świetlnym i spytał Karla telefonicznie, co tam, na miłość boską, dzieje się na górze. Czyż Karl mógł wówczas wyprzeć się Robinsona? A gdyby to nawet uczynił, czy Robinson, w swej głupocie i rozpacz, zamiast przeproszenia nie powołałby się właśnie na Karla? – I czyż Karl nie zostałby wtedy natychmiast zwolniony, ponieważ stałaby

się rzecz niesłychana, że chłopiec od windy, najniższy i najzbędniejszy pracownik w ogromnej hierarchii służbowej tego hotelu, dopuścił do zanieczyszczenia go przez swego przyjaciela, a gości przestraszył lub całkiem ich przepłoszył? Czy można by nadal tolerować chłopca od windy, który ma takich przyjaciół, a ponadto pozwala im odwiedzać się w godzinach służby? Czy nie wyglądałoby na to, że taki chłopiec od windy sam jest pijakiem albo czymś gorszym, bo jakież przypuszczenie byłoby bardziej oczywiste od tego, że tak długo przekarmił swych przyjaciół zapasami hotelowymi, aż ci w jakimś miejscu tego samego, pedantycznie czysto utrzymanego hotelu wyczyniali takie rzeczy, jak teraz Robinson? I dlaczego taki chłopiec miałby się ograniczać do kradzieży produktów żywnościowych, skoro możliwość kradzieży przy znanym niedbalstwie gości, szafach wszędzie stojących otworem, kosztownościach porzrzucanych na stołach, otwartych kasetkach, bezmyślnie porzuconych kluczach były przecież naprawdę niezliczone?

Karl zobaczył właśnie z daleka gości wychodzących z lokalu w piwnicy, w którym dopiero co skończyło się przedstawienie variété. Stał więc przy swej windzie i nie odważał się w ogóle odwracać do Robinsona ze strachu przed tym, co mógłby zobaczyć. Uspokoiło go trochę, że nie słyszał żadnego odgłosu stamtąd, nawet westchnienia. Obsługiwał wprawdzie swych gości i jeździł z nimi tam i z powrotem, nie potrafił jednak całkowicie ukryć roztargnienia i przy każdej jeździe w dół przygotowany był na przykrą niespodziankę.

W końcu znowu miał chwilę czasu, żeby zajrzeć do Robinsona, który skulił się w swym kąciку i przycisnął twarz do kolan. Okrągły, twardy kapelusz odsunął z czoła.

– Więc teraz niech pan już idzie – powiedział Karl cicho i stanowczo. – Oto pieniądze. Jeśli pan się pośpieszy, będę mógł panu jeszcze pokazać najkrótszą drogę.

– Nie czuję się na siłach odejść – powiedział Robinson i otarł czoło małą chusteczką. – Umrę tutaj. Nie może pan sobie wyobrazić, jak mi jest niedobrze. Delamarche zabiera mnie do wytwornych lokali, ale ja nie noszę tych wymyślnych trunków, co dzień mówię to Delamarche’owi.

– Tutaj nie może pan zostać – powiedział Karl. – Niechże się pan zastanowi, gdzie pan jest. Jeśli pana tu znajdą, zostanie pan ukarany, a ja stracę posadę. Czy chce pan tego?

– Nie mogę odejść – powiedział Robinson. – Raczej skoczę w dół – i między prętami poręczy wskazał na szyb świetlny. – Kiedy tak tutaj siedzę, mogę to jeszcze wytrzymać, ale nie mogę wstać, próbowałem już, jak pana tu nie było.

– Wobec tego sprowadzę automobil i pojedzie pan do szpitala – powiedział Karl i potrząsnął nieco nogami Robinsona, bo w każdej chwili groziło, że popadnie on w zupełną obojętność. Ale zaledwie Robinson usłyszał słowo szpital, które widocznie obudziło w nim straszne wyobrażenia, zaczął głośno płakać i wyciągnął do Karla ręce, prosząc o łaskę.

– Cicho – powiedział Karl, dał mu klapsa po rękach, pobiegł do chłopca od windy, którego zastępował w nocy, poprosił go teraz o tę samą przysługę, wrócił szybko do Robinsona, z całej siły pociągnął go, wciąż jeszcze szlochającego, w górę i szepnął:

– Robinson, jeśli pan chce, żebym się panem zajął, to niech pan zrobi wysiłek i przejdzie teraz wyprostowany bardzo krótki kawałek drogi. Zaprowadzę pana do mojego łóżka, w którym może pan zostać tak długo, aż się pan dobrze poczuje. Zdziwi się pan, jak szybko powróci pan do siebie. Ale teraz niech pan się zachowa rozsądnie, bo wszędzie na korytarzach są ludzie, a moje łóżko jest także we wspólnej sypialni. Jeśli tylko ktoś zwróci na pana uwagę, nie będę mógł już nic więcej dla pana zrobić. I oczy musi pan mieć otwarte, nie mogę pana przecież prowadzić

jak śmiertelnie chorego.

– Chcę zrobić wszystko, co pan uważa za słuszne – powiedział Robinson. – Ale pan sam nie będzie mógł mnie zaprowadzić. Nie mógłby pan jeszcze zawołać Renella?

– Renella tu nie ma – powiedział Karl.

– Ach, tak – powiedział Robinson. – Renell jest razem z Delamarchem. Oni obaj mnie po pana posłali. Już mi się wszystko miesza w głowie.

Karl korzystał z tego i innych niezrozumiałych monologów Robinsona popychając go przed sobą i doszedł z nim szczęśliwie aż do zakrętu, od którego nieco słabiej oświetlony korytarz prowadził do sypialni chłopców. Właśnie jakiś chłopiec od windy pędził ku nim i minął ich w pełnym biegu. Poza tym nie mieli dotychczas niebezpiecznych spotkań; między czwartą a piątą bowiem była najspokojniejsza pora i Karl dobrze wiedział, że jeśli nie uda mu się teraz usunąć Robinsona, to o świcie i przy rozpoczynającym się dziennym ruchu w ogóle nie ma już co o tym myśleć.

W sypialni, w drugim końcu sali, toczyła się właśnie wielka bijatyka czy jakaś inna impreza, słychać było rytmiczne klaskanie w ręce, podniecony tupot i sportowe nawoływania. W bliższej drzwiom połowie sali widać było w łózkach tylko niewielu zapamiętałych śpiochów, którzy przeważnie leżeli na wznak i gapili się w przestrzeń, podczas gdy tu i ówdzie któryś, ubrany lub rozebrany, tak jak go to zastało, wyskakiwał z łóżka, żeby sprawdzić, co się dzieje w drugim końcu sali. W ten sposób Karl mógł doprowadzić Robinsona, który tymczasem przyzwyczał się nieco do chodzenia, prawie nie zauważonego do łóżka Renella, gdyż stało ono bardzo blisko drzwi i na szczęście nie było zajęte, podczas gdy w jego własnym łóżku, jak to z daleka zobaczył, spokojnie spał jakiś zupełnie obcy chłopak. Zaledwie Robinson poczuł pod sobą łóżko, zasnął natychmiast – z jedną nogą zwisającą z posłania. Karl naciągnął mu koc

na twarz i pomyślał, że może nie martwić się o niego przynajmniej jakiś czas, gdyż Robinson na pewno nie obudzi się przed szóstą rano, a do tej pory on tu wróci i może już z Renellem znajdzie jakiś sposób usunięcia Robinsona. Inspekcja jakichś wyższych władz w sypialni zdarzała się tylko w wyjątkowych wypadkach, chłopcy od windy przeprowadzili już od lat zniesienie praktykowanej dawniej ogólnej inspekcji, zatem z tej strony także nie było się czego obawiać.

Gdy Karl dotarł z powrotem do swojej windy, przekonał się, że zarówno jego winda, jak i winda jego sąsiada jechały właśnie do góry. Z niepokojem czekał na wyjaśnienie tej zagadki. Jego winda wcześniej zjechała na dół i wyszedł z niej ów chłopiec, którego przed chwilą widział biegnącego przez korytarz.

– Gdzie byłeś, Rossmann? – zapytał chłopiec. – Dlaczego odszedłeś? Dlaczego tego nie zameldowałeś?

– Ależ powiedziałem mu przecież, żeby mnie na chwilę zastąpił – odparł Karl wskazując na chłopca z sąsiedniej windy, która właśnie nadjechała. – Przecież ja zastępowałem go także przez dwie godziny podczas największego ruchu.

– To wszystko pięknie – powiedział kolega z sąsiedniej windy – ale jednak nie wystarcza. Czy nie wiesz, że nawet najkrótszą nieobecność podczas służby trzeba zameldować w biurze Starszego Kelnera? Po to masz tutaj telefon. Ja byłbym cię chętnie zastąpił, ale wiesz przecież, że to nie takie łatwe. Właśnie przed obydwoma windami byli goście z ekspresu o czwartej trzydzieści. Nie mogłem przecież najpierw jechać twoją windą, a moich gości zostawić, żeby czekali, więc najpierw pojechałem na górę moją windą!

– No i co? – spytał Karl w napięciu, bo obydwaj chłopcy milczeli.

– No i – powiedział chłopiec z sąsiedniej windy – przechodził właśnie obok Starszy Kelner, widzi czekających przed twoją windą bez obsługi,

zółć go zalewa, pyta mnie, bo właśnie zjechałem, gdzie się podziałeś, ja nie mam pojęcia, bo nie powiedziałaś mi przecież, dokąd idziesz, więc on telefonuje do sypialni, żeby natychmiast przyszedł inny chłopak.

– Spotkałem cię jeszcze na korytarzu – powiedział zastępca Karla.

Karl skinął głową.

– Naturalnie – zapewnił drugi chłopiec – zaraz mu powiedziałem, że poprosiłeś mnie o zastępstwo, ale czy to on słucha takich usprawiedliwień? Chyba go jeszcze nie znasz. Kazał nam powiedzieć ci, że masz natychmiast pójść do biura. Więc lepiej nie zatrzymuj się i biegnij tam. Może ci to jeszcze wybaczy, nie było cię naprawdę tylko dwie minuty. Powołaj się spokojnie na to, że mnie prosiłeś o zastępstwo, o tym, że ty mnie zastępowałaś, radzę ci lepiej nie wspominać, mnie nic się nie może stać, miałem pozwolenie, ale niedobrze jest mówić o takiej rzeczy i mieszać ją do sprawy, z którą nie ma nic wspólnego.

– Po raz pierwszy zdarzyło mi się zejść z posterunku – powiedział Karl.

– Zawsze tak jest, tylko w to nie wierzą – powiedział chłopak i pobiegł do swojej windy, bo zbliżali się ludzie.

Zastępca Karla, chłopiec mniej więcej czternastoletni, który wyraźnie współczuł Karlowi, powiedział:

– W wielu wypadkach wybaczano takie rzeczy. Zwykle jednak przenoszono do innej pracy. O ile wiem, tylko jeden chłopiec został zwolniony z takiego powodu. Musisz sobie wymyślić jakieś dobre usprawiedliwienie. W żadnym razie nie mów, że ci się nagle zrobiło niedobrze, bo on cię wyśmieje. Lepiej już będzie, jeśli powiesz, że pewien gość kazał ci szybko przekazać coś innemu gościowi, a nie pamiętasz już tego pierwszego, a drugiego nie mogłeś odnaleźć.

– No – powiedział Karl – nie będzie tak źle.

Po wszystkim, co usłyszał, nie wierzył już w dobre zakończenie

sprawy. A gdyby nawet wybaczone mu owo zaniedbanie się w służbie, to przecież jeszcze tam, w sypialni, leżał Robinson jako żywy dowód jego winy, a przy zgryźliwości Starszego Kelnera należało uznać za prawdopodobne, że nie zadowolony go powierzchowne dochodzenie i że Robinson zostanie też w końcu wytropiony. Nie było wprawdzie wyraźnego zakazu przyprowadzania do sypialni obcych ludzi, ale tylko dlatego, że nie zakazuje się rzeczy, których nie można sobie nawet wyobrazić.

Gdy Karl wszedł do biura Starszego Kelnera, ten siedział właśnie przy rannej kawie, łykał ją, potem znów zaglądał do spisu, który widocznie przyniósł mu obecny tam w tej chwili Starszy Portier hotelowy. Był to wielki mężczyzna; w swoim okazałym, bogato ozdobionym uniformie – nawet na ramionach i wokół rękawów widać się złote łańcuchy i sznury – wyglądał na jeszcze bardziej barczystego niż był w rzeczywistości. Błyszczący, czarny wąs spiczasto zakończony, tak jak go noszą na Węgrzech, nie poruszał się nawet przy najszybszych ruchach głowy. Człowiek ten zresztą, z powodu ciężaru swego ubioru, w ogóle z trudem mógł się poruszać i, aby równomiernie rozłożyć ciężar ciała, nie stawał inaczej niż na rozkraczonych nogach.

Karl wszedł swobodnie i z pośpiechem, jak się do tego w hotelu przyzwyczaił, gdyż powolność i ostrożność, która u osób prywatnych oznaczała uprzejmość, u chłopców od windy uważana jest za lenistwo. Poza tym nie chciał, aby od razu w chwili wejścia dostrzeżono w nim pocucie winy. Starszy Kelner spojrzał wprawdzie przelotnie na otwierające się drzwi, ale potem natychmiast wrócił do swojej kawy i lektury, nie zwracając uwagi na Karla. Portierowi jednak może obecność Karla przeszkadzała, a może miał do przedłożenia jakąś poufną wiadomość lub prośbę, w każdym razie ze sztywno pochyloną głową co chwilę rzucał na Karla złe spojrzenia, kiedy zaś, widocznie zgodnie ze

swym zamiarem, napotykał wzrok Karla, zwracał się znów ku Starszemu Kelnerowi. Karl jednak sądził, że nie wyglądałoby dobrze, gdyby teraz, skoro już tutaj był, opuścił biuro nie otrzymawszy rozkazu Starszego Kelnera. Ale ten studiował nadal spis, coraz to odgryzając kęs ciasta, z którego od czasu do czasu, nie przerywając czytania, osypywał cukier. W pewnej chwili jedna kartka spisu upadła na podłogę, portier nie uczynił nawet próby podniesienia jej, wiedział, że i tak by mu się to nie udało, nie było to zresztą potrzebne, gdyż Karl był już na miejscu i wręczył kartkę Starszemu Kelnerowi, który wziął ją od niego takim ruchem, jak gdyby sama wleciała ku niemu z podłogi. Ta drobna przysługa Karla na nic się nie przydała, bo portier nie zaprzestał rzucać mu złych spojrzeń.

Mimo to Karl był spokojniejszy niż przedtem. Już to, że jego sprawa zdawała się mieć dla Starszego Kelnera tak małe znaczenie, można było uważać za dobry znak. Było to zresztą zrozumiałe. Naturalnie chłopiec od windy nic nie znaczy i dlatego na nic nie może sobie pozwolić, ale właśnie dlatego że nic nie znaczy, nie może też zrobić nic nadzwyczajnego. Ostatecznie Starszy Kelner sam był w młodości chłopcem od windy – co jeszcze dotychczas stanowiło dumę obecnego pokolenia chłopców od windy – on to po raz pierwszy zorganizował chłopców od windy i z pewnością także i on opuścił kiedyś bez pozwolenia swój posterunek, choć co prawda teraz nikt nie mógł go zmusić, żeby sobie o tym przypomniał, i choć nie można było nie brać pod uwagę, że właśnie jako były chłopiec od windy widział teraz swój obowiązek w chwilami bezwzględny utrzymywaniu wśród nich dyscypliny. A poza tym Karl opierał teraz swoją nadzieję na mijaniu czasu. Zegar biurowy wskazywał już kwadrans na szóstą, Renell mógł wrócić każdej chwili, może nawet już był w hotelu, bo musiał przecież zauważyć, że Robinson nie wrócił, zresztą Delamarche i Renell nie mogli przebywać daleko od hotelu „Occidental”, jak to teraz przyszło Karlowi na myśl, gdyż inaczej Robinson w swym

opłakany stan nie trafiłby tutaj. Jeśli Renell znalazł już Robinsona w swoim łóżku, co przecież musiało się stać to wszystko było dobrze. Renell bowiem, będąc chłopcem praktycznym, zwłaszcza jeśli chodziło o jego interesy, usunąłby zaraz w jakiś sposób Robinsona z hotelu, co mogło się stać tym łatwiej, że Robinson tymczasem nieco się wzmocnił, a ponadto Delamarche czekał prawdopodobnie przed hotelem, żeby go odebrać. A jeśli Robinson byłby już usunięty, wtedy Karl mógł dużo spokojniej wystąpić wobec Starszego Kelnera i może jeszcze tym razem wykręcić się naganą, choćby najsurowszą. Potem naradziliby się z Teresą, czy może powiedzieć prawdę Starszej Kucharce – on ze swej strony nie widział w tym przeszkód – a gdyby to było możliwe, cała sprawa zostałaby bez większej szkody zakończona.

Właśnie Karl uspokoił się trochę dzięki tym rozważaniom i zabierał się do dyskretnego przeliczenia napiwków otrzymanych tej nocy, ponieważ wyczuwał, że były szczególnie obfite, gdy Starszy Kelner ze słowami: – Proszę, niech pan jeszcze chwileczkę zaczeka, Feodorze – odłożył spis na stół, zerwał się sprężyć i wrzasnął na Karla tak głośno, że ten, przerażony, wlepił wzrok w wielki, czarny otwór jego ust.

– Opuściłeś bez pozwolenia swój posterunek. Wiesz, co to oznacza? To oznacza zwolnienie. Nie chcę słyszeć żadnego usprawiedliwienia, swoje kłamliwe wykręty możesz zatrzymać dla siebie, mnie w zupełności wystarcza fakt, że cię nie było. Gdybym to raz ścierpiał i wybaczył, wkrótce wszystkich czterdziestu chłopców od windy uciekałoby podczas służby, a ja mógłbym sobie moich pięć tysięcy gości sam wnosić po schodach na górę.

Karl milczał. Portier podszedł bliżej i obciągnął trochę spencerek Karla, na którym zrobiło się kilka fałd, niewątpliwie po to, aby zwrócić szczególną uwagę Starszego Kelnera na tę małą niedokładność w ubraniu Karla.

– Może ci się nagle zrobiło niedobrze? – zapytał Starszy Kelner podstępnie.

Karl spojrział na niego badawczo i odpowiedział:

– Nie.

– Więc nawet nie zrobiło ci się niedobrze? – krzyknął Starszy Kelner tym głośniejszym głosem. – Wobec tego musiałeś sobie wymyślić jakieś wspaniałe kłamstwo? Jakie masz usprawiedliwienie? Gadaj!

– Nie wiedziałem, że powinienem telefonicznie prosić o pozwolenie – powiedział Karl.

– To rzeczywiście wyborne – powiedział Starszy Kelner, złapał Karla za kołnierz spencerka i zaniósł go niemal w powietrzu przed regulamin służbowy obsługi wind, zawieszony na ścianie. Portier także podszedł za nimi do ściany.

– Tutaj, czytaj! – powiedział Starszy Kelner i wskazał na jeden z paragrafów. Karl myślał, że ma to przeczytać po cichu. Lecz Starszy Kelner zakomenderował: – Na głos!

Zamiast przeczytać głośno, Karl, w nadziei że bardziej uspokoi tym Starszego Kelnera, powiedział:

– Znam te paragrafy, otrzymałem przecież i dokładnie przeczytałem regulamin służbowy. Ale najłatwiej zapomnieć właśnie o takim przepisie, którego nigdy się nie potrzebuje. Służę już dwa miesiące i nigdy nie opuściłem mojego posterunku.

– Za to teraz go opuścisz – powiedział Starszy Kelner, podszedł do stołu, wziął znów do ręki spis, jakby zamierzał go jeszcze raz przeczytać, ale uderzył nim o stół, jak gdyby to był zużyty łańchman, i mocno zaczerwieniony zaczął chodzić wzdłuż i wszerz po pokoju. – Człowiek musi to znosić przez takiego chłystka! Takie zdenerwowanie po nocnej służbie! – wyrzucał z siebie kilkakrotnie. – Wie pan, kto właśnie chciał jechać na górę, kiedy ten chłopak umknął od windy? – zwrócił się do

portiera. I wymienił nazwisko, przy którym portier, na pewno znający i umiejący ocenić wszystkich gości, tak zadrżał, że szybko spojrzął na Karla, jak gdyby tylko jego egzystencja świadczyła o tym, że osoba nosząca owo nazwisko musiała przez pewien czas na próżno czekać przy windzie, od której chłopiec odbiegł.

– To straszne! – powiedział portier i z wolna, w bezgranicznym zaniepokojeniu, pokiwał głową w stronę Karla, który popatrzył na niego smutno i pomyślał, że teraz będzie musiał cierpieć także za niepojętność tego człowieka. – Ja też cię już zresztą znam – powiedział portier i wyciągnął swój gruby, wielki, sztywno wyprężony palec wskazujący. – Jesteś tym jedynym chłopakiem, który mi się z zasady nie kłania. Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Każdy, kto przechodzi koło łóż portiera, musi mi się kłaniać. Z resztą portierów możesz sobie postępować, jak chcesz, ale ja żądam, żeby mi się kłaniano. Postępuję wprawdzie czasem tak, jakbym na to nie zwracał uwagi, ale możesz być całkiem spokojny, wiem bardzo dokładnie, kto mi się kłania, a kto nie, ty gburze!

Odwrócił się od Karla, i dostojnym krokiem, sztywno wyprostowany, podszedł do Starszego Kelnera, lecz ten, zamiast zainteresować się sprawą portiera, kończył śniadanie i przerzucał poranną gazetę, którą właśnie służący przyniósł do pokoju.

– Panie Starszy Portierze – powiedział Karl, który wobec chwili nieuwagi Starszego Kelnera chciał przynajmniej wyjaśnić sprawę z portierem, gdyż pojmował, że zarzut portiera zapewne mu nie zaszkodzi, zaszkodzi mu natomiast na pewno jego wrogość – kłaniam się panu na pewno. Jestem przecież dopiero od niedawna w Ameryce i pochodzę z Europy, gdzie jak wiadomo, ludzie kłaniają się sobie o wiele częściej, niż to potrzebne. Naturalnie nie mogłem się jeszcze całkiem od tego odzwyczaić i jeszcze przed dwoma miesiącami w Nowym Jorku, gdzie przypadkowo obracałem się w wyższych sferach, przy każdej okazji

upominano mnie, żebym dał spokój przesadnej uprzejmości. I teraz miałbym właśnie panu się nie kłaniać! Kłaniałem się panu co dzień kilka razy. Ale naturalnie, nie za każdym razem, kiedy pana widziałem, bo przecież codziennie przechodziłem obok pana ze sto razy!

– Masz mi się za każdym razem kłaniać, za każdym razem, bez wyjątku, masz przez cały czas, kiedy do mnie mówisz, trzymać czapkę w ręce, masz zwracać się do mnie zawsze: „Panie Starszy Portierze”, a nie: „proszę pana”. I to wszystko za każdym razem!

– Za każdym razem? – powtórzył Karł cicho i pytająco. Przypomniał sobie teraz, że przez cały czas jego pobytu w hotelu portier patrzył na niego zawsze surowo i z wyrzutem, już od pierwszego rana, kiedy, niezupełnie jeszcze dostosowawszy się do swego niskiego stanowiska, zbyt śmiało indagował tego portiera szczegółowo i natarczywie, czy nie pytali o niego dwaj ludzie i czy nie zostawili dla niego jakiejś fotografii.

– Teraz widzisz, dokąd prowadzi takie zachowanie się – powiedział portier, który znów podszedł całkiem blisko do Karła i wskazał na czytającego jeszcze Starszego Kelnera, jak gdyby on był jego mścicielem. – Na swojej następnej posadzie będziesz już wiedział, że portierowi należy się kłaniać, choćby to nawet miała być jakaś nędzna spelunka.

Karł zrozumiał, że właściwie stracił już swoje miejsce, bo Starszy Kelner już mu to oznajmił, Starszy Portier powtórzył jako fakt dokonany, a zwolnienie jakiegoś chłopca od windy na pewno nie wymagało zatwierdzenia ze strony dyrekcji hotelu. Co prawda, poszło to szybciej, niż myślał, bo ostatecznie przecież już dwa miesiące pełnił służbę tak dobrze, jak umiał, a z pewnością lepiej niż niejeden inny chłopiec. Ale widocznie takich rzeczy w decydującym momencie nie brano pod uwagę w żadnej części świata, ani w Europie, ani w Ameryce, lecz rozstrzygano je tak, jak brzmiał wyrok wypowiedziany w pierwszym porywie wściekłości. Może teraz byłoby najlepiej, gdyby się zaraz pożegnał i odszedł, Starsza

Kucharka i Teresa pewnie jeszcze spały, mógłby pożegnać się z nimi listownie, żeby im przy osobistym pożegnaniu zaoszczędzić przynajmniej rozczarowania i smutku z powodu swego zachowania się, potem szybko spakować kuferek i cicho odejść.

Bo gdyby pozostał jeszcze ten jeden dzień, a rzeczywiście potrzebował nieco snu, to nie oczekiwało go nic oprócz rozdmuchania jego sprawy do rozmiarów skandalu, wyrzutów ze wszystkich stron, nieznośnego widoku łez Teresy, a pewnie nawet i Starszej Kucharki, możliwe też, że na domiar wszystkiego zostałby jeszcze ukarany. Z drugiej strony zbijało go z tropu, że stał tutaj naprzeciw dwóch wrogów i że każdemu słowu, które by wypowiedział, jeśli niejeden, to drugi z nich miałby coś do zarzucenia i tłumaczyłby je w najgorszym sensie. Dlatego milczał i zażywał tymczasem ciszy, która panowała w pokoju, gdyż Starszy Kelner wciąż jeszcze czytał gazetę, a Starszy Portier porządkował swój rozrzucony na stole spis według numeracji stronic, co przy jego wyraźnej krótkowzroczności sprawiało mu wielką trudność.

W końcu Starszy Kelner ziewając złożył gazetę, spojrzeniem rzuconym na Karla upewnił się, że ten jest wciąż jeszcze obecny, i zakręcił korbką telefonu stojącego na stole. Zawołał kilka razy: – Halo! – ale nikt się nie zgłosił.

– Nikt się nie zgłasza – powiedział do Starszego Portiera. A ten, jak się Karlowi zdawało, ze szczególnym zainteresowaniem przyglądając się kręceniu korbką telefonu, rzekł:

– Jest już trzy na szóstą. Ona na pewno już nie śpi. Niech pan mocniej dzwoni.

W tym momencie, bez ponownego wezwania, odezwała się strona przeciwna.

– Tutaj Starszy Kelner Isbary – powiedział Starszy Kelner. – Dzień dobry, pani Starsza Kucharko. Czy pani przypadkiem nie zbudziłem?

Bardzo mi przykro. Tak, tak, jest już trzy na szóstą. Ale szczerze mi przykro, że panią przestraszyłem. Powinna pani na czas snu wyłączyć telefon. Nie, nie, naprawdę, nie mam dla siebie żadnego usprawiedliwienia, zwłaszcza ze względu na błahość sprawy, o której chcę z panią pomówić. Ależ naturalnie, mam czas, proszę bardzo, zaczekam przy telefonie, jeśli to pani odpowiada.

– Widocznie podbiegła do telefonu w nocnej koszuli – powiedział Starszy Kelner z uśmiechem do Starszego Portiera, który przez cały czas z napięciem w twarzy stał nachylony nad skrzynką telefonu. – Naprawdę ją zbudziłem, zwykle budzi ją ta mała dziewczyna, która u niej pisze na maszynie, a dzisiaj wyjątkowo musiała tego zaniedbać. Przykro mi, że ją przestraszyłem, i tak jest nerwowa.

– Dlaczego ona nie rozmawia z panem?

– Poszła zobaczyć, co się stało z dziewczyną – odpowiedział Starszy Kelner już ze słuchawką przy uchu, gdyż znów rozległ się dzwonek. – Już ona się znajdzie – mówił dalej do telefonu. – Pani nie powinna się tak wszystkim przerażać. Potrzebuje pani naprawdę gruntownego wypoczynku. A więc tak, oto moje małe zapytanie. Jest tutaj chłopiec od windy, nazwiskiem... – odwrócił się pytająco do Karla, który, ponieważ pilnie uważał, mógł mu zaraz pomóc, wymieniając nazwisko – a więc nazwiskiem Karl Rossmann. Jeśli sobie dobrze przypominam, pani interesowała się nim trochę; niestety, źle odpłacił pani życzliwość, opuścił bez pozwolenia posterunek, naraził mnie przez to na wielkie nieprzyjemności, których nie sposób jeszcze przewidzieć, i dlatego właśnie go zwolniłem. Mam nadzieję, że pani nie weźmie tej sprawy tragicznie. Co pani mówi? Zwolniłem, tak, zwolniłem. Ależ mówię pani, że opuścił swój posterunek. Nie, w tym wypadku naprawdę nie mogę pani ustąpić, kochana pani Starsza Kucharko. Tu chodzi o mój autorytet, to ważna sprawa, taki chłopak demoralizuje mi całą bandę. Właśnie z chłopcami

od windy muszę diabelnie uważać. Nie, nie, tym razem nie mogę spełnić pani życzenia, choć zawsze bardzo zależy mi na tym, żeby oddać pani przysługę. A gdybym go nawet mimo wszystko tu pozostawił, już tylko w tym celu, żeby żółć się we mnie nie zastała, to z pani powodu, tak, z pani powodu, pani Starsza Kucharko, on tu nie może zostać. On korzysta z pani przychylności, na którą zupełnie nie zasługuje, a ponieważ ja znam nie tylko jego, lecz także i panią, wiem, że musiałyby to doprowadzić do najcięższych rozczarowań, których za wszelką cenę chcę pani oszczędzić. Mówię to zupełnie otwarcie, choć ten zatwardzały chłopak stoi o kilka kroków ode mnie. Zostanie zwolniony, nie, nie, pani Starsza Kucharko, zostanie całkowicie zwolniony, nie, nie, nie będzie przeniesiony do żadnej innej pracy, on jest zupełnie bezużyteczny. Zresztą wpływają także inne zażalenia na niego. Starszy Portier na przykład, no tak, oczywiście, Feodor, tak, i Feodor skarży się na niegrzeczność i bezczelność tego chłopaka. Co, to nie wystarcza? Ależ, kochana pani Starsza Kucharko, pani z powodu tego chłopaka przeczy własnemu charakterowi. Nie, tak mnie pani nie powinna molestować.

W tym momencie portier nachylił się do ucha Starszego Kelnera i coś mu szeptnął. Starszy Kelner najpierw spojrział na niego ze zdumieniem, a potem przemówił do telefonu tak szybko, że Karl z początku niezupełnie dokładnie go rozumiał i na palcach podszedł o dwa kroki bliżej.

– Kochana pani Starsza Kucharko – mówił Starszy Kelner – szczerze mówiąc, nigdy bym nie przypuszczał, że jest pani tak złą znawczynią ludzi. Dowiaduję się właśnie o tym pani anielskim chłopczyku czegoś, co zasadniczo zmieni pani mniemanie o nim, i jest mi niemal przykro, że właśnie ja muszę to pani powiedzieć. A więc ten delikatny chłopiec, którego pani nazywa wzorem przyzwoitości, nie opuszcza ani jednej nocy wolnej od służby, żeby nie pobiec do miasta, z którego wraca dopiero rano. Tak, tak, pani Starsza Kucharko, to jest stwierdzone przez świadków,

przez wiarogodnych świadków, tak. Czy pani może mi powiedzieć, skąd on bierze pieniądze na te zabawy? I jak może uważnie pełnić służbę? A może życzy pani sobie jeszcze, żebym pani opisał, co on robi w mieście? Jak najspieszniej pragnę pozbyć się tego chłopaka. I proszę, żeby pani przyjęła to jako przestrogę, jak ostrożnym powinno się być wobec takich przybłędów.

– Ależ panie Starszy Kelnerze – zawołał teraz Karl, odczuwając formalnie ulgę z powodu wielkiej pomyłki, która, jak się zdawało, zachodziła tutaj i która mogła najszybciej doprowadzić do tego, żeby wszystko się jeszcze nieoczekiwanie naprawiło – tutaj stanowczo nastąpiło nieporozumienie. Zdaje się, że pan Starszy Portier powiedział panu, że ja co noc wychodzę. Ale to jest całkowicie niezgodne z prawdą, boja co noc jestem w sypialni, wszyscy chłopcy mogą to poświadczyć. Jeśli nie śpię, uczę się korespondencji handlowej, ale ani jednej nocy nie ruszałem się z sypialni. To łatwo udowodnić. Widocznie pan Starszy Portier mylił mnie z kimś innym i teraz rozumiem także, dlaczego sądzi, że ja mu się nie kłaniam.

– Będziesz ty natychmiast cicho! – krzyknął Starszy Portier i potrząsnął pięścią, gdy inni poruszyliby zaledwie jednym palcem. – Ja miałbym cię mylić z kim innym! No, w takim razie nie mogę już być Starszym Portierem, skoro myślę ludzi. Niech pan tylko posłucha, panie Isbary, tak, wobec tego nie mogę już być Starszym Portierem, skoro myślę ludzi. W ciągu trzydziestu lat mojej służby, co prawda, nie zdarzyło mi się jeszcze, żebym kogoś pomylił z kim innym, co mogą poświadczyć setki panów Starszych Kelnerów, których mieliśmy przez ten czas, dopiero co do ciebie, nędzny chłopaku, miałbym się pomylić. Co do ciebie, z twoją zwracającą uwagę, gładką głębą. Jakaż tu jest możliwość pomyłki! Mógłbyś co noc poza moimi plecami biegać do miasta, a ja sądząc tylko po twojej twarzy stwierdziłbym, że jesteś skończonym łajdakiem.

– Przestań, Feodorze! – powiedział Starszy Kelner. Wydawało się, że jego telefoniczna rozmowa ze Starszą Kucharką została gwałtownie przerwana. – Sprawa jest całkiem prosta. Jego nocne rozrywki nie są tu bynajmniej najważniejsze. Chciałby może jeszcze przed odejściem spowodować jakieś wielkie dochodzenie w sprawie tego, co robi po nocach. Mogę sobie wyobrazić, że to by mu bardzo odpowiadało. Może trzeba by wzywać na górę wszystkich czterdziestu chłopców od windy i przesłuchiwać ich jako świadków, a oni wszyscy naturalnie także by go mylili z kimś innym, trzeba by więc powołać na świadków kolejno cały personel, praca w hotelu oczywiście na chwilę by ustała, a gdyby wreszcie mimo wszystko został wyrzucony, to miałby przynajmniej przedtem zabawę. Więc tego raczej nie zrobimy. Tę dobrą kobietę, panią Starszą Kucharkę, wystrychnął już na dudka i to wystarczy. Nic więcej nie chcę słyszeć: z powodu zaniedbania służbowego zostajesz z miejsca zwolniony z pracy. Daję ci to skierowanie do kasy, żeby ci wypłacono twój zarobek do dnia dzisiejszego. Zresztą, mówiąc między nami, wobec twojego zachowania się jest to po prostu podarunek, który daję ci tylko ze względu na panią Starszą Kucharkę.

Dzwonek telefonu przeszkodził Starszemu Kelnerowi w natychmiastowym podpisaniu kwitu.

– Ależ ci chłopcy od windy sprawiają mi dziś kłopoty! – zawołał po wysłuchaniu już pierwszych słów. – To coś niesłychanego! – wykrzyknął po chwili. Odwrócił się od telefonu do portiera hotelowego i powiedział: – Proszę cię, Feodorze, przytrzymaj no tu trochę tego chłopaka, jeszcze będziemy musieli z nim porozmawiać. – A do telefonu rzucił rozkaz: – Przyjdź natychmiast na górę!

Teraz Starszy Portier mógł się przynajmniej wyładować, co nie udało mu się podczas rozmowy. Trzymał Karla silnie za ramię, lecz wcale nie spokojnie, co ostatecznie można by znieść, lecz od czasu do czasu

rozluźniał chwyt, a potem za każdym razem coraz bardziej go wzmacniał, co przy jego wielkiej sile fizycznej zdawało się w ogóle nie mieć końca, tak że Karlowi ciemniało w oczach. Ale nie tylko trzymał Karla, lecz, jakby dostał rozkaz, żeby go równocześnie rozłożyć, podciągał go od czasu do czasu w górę i potrząsał nim, przy czym wciąż na pół pytająco mówił do Starszego Kelnera:

– Czy go teraz aby z nikim nie myślę, czy go teraz aby z nikim nie myślę!

Było to wyzwoleniem dla Karla, gdy wszedł główny chłopiec od windy, niejaki Bess, wiecznie zaspany, gruby chłopak, i gdy ściągnął na siebie uwagę Starszego Portiera. Karl był tak otepiały, że zaledwie pozdrowił Teresę, gdy ku swemu zdumieniu zobaczył, że wśliznęła się za chłopakiem do pokoju, śmiertelnie blada, nieporządnie ubrana, z luźno upiętymi włosami. Natychmiast znalazła się przy nim i szepnęła:

– Czy Starsza Kucharka już o tym wie?

– Starszy Kelner do niej telefonował – odpowiedział Karl.

– To już dobrze, to już dobrze – powiedziała szybko, z ożywieniem w oczach.

– Nie – powiedział Karl. – Ty nie wiesz, co oni mi zarzucają. Muszę odejść, Starsza Kucharka jest już także o tym przekonana. Proszę cię, nie zostawaj tutaj, idź na górę, przyjdę się potem z tobą pożegnać.

– Ależ, Rossmann, co ci przychodzi do głowy, zostaniesz u nas tak długo, jak ci się będzie podobało. Starszy Kelner robi wszystko, czego chce Starsza Kucharka, on ją przecież kocha, ostatnio się o tym dowiedziałam. Zachowaj tylko spokój.

– Proszę cię, Tereso, odejdz teraz. Nie mogę się dobrze bronić, kiedy ty tu jesteś. A muszę się bronić starannie, ponieważ posłużono się przeciw mnie kłamstwami. Ale im bardziej będę uważał i im lepiej się bronił, tym więcej jest nadziei, że tutaj zostanę. Więc, Tereso... – Niestety, z powodu

nagłego bólu nie mógł się powstrzymać, żeby po cichu nie dorzucić: – Żeby mnie tylko ten Starszy Portier puścił! Nie wiedziałem, że on jest moim wrogiem. Jakże on mnie wciąż ściska i ciągnie! – „Po cóż to mówię! – myślał równocześnie. – Żadna kobieta nie może takich rzeczy słuchać spokojnie”. – I rzeczywiście Teresa, której nie zdążył wolną ręką powstrzymać od tego, zwróciła się do Starszego Portiera:

– Panie Starszy Portierze, proszę, niech pan natychmiast puści Rossmanna, sprawia mu pan ból. Pani Starsza Kucharka przyjdzie tu zaraz osobiście, a wtedy się okaże, że stała mu się wielka krzywda. Niech go pan puści; jakąż to panu może sprawiać przyjemność, że go pan dręczy! – I chwyciła nawet Starszego Portiera za rękę.

– Rozkaz, panienko, rozkaz – powiedział Starszy Portier i przyjaźnie przyciągnął do siebie Teresą wolną ręką, podczas gdy drugą ściskał Karla nawet ze wzmożoną siłą, jakby mu chciał nie tylko sprawić ból, lecz jakby wobec ramienia, znajdującego się w jego władzy, miał na oku jakiś szczególny zamiar, którego jeszcze nie wykonał.

Teresa potrzebowała nieco czasu, żeby wywinąć się z objęcia Starszego Portiera, i właśnie chciała wstawić się za Karlem u Starszego Kelnera, który wciąż jeszcze słuchał rozwlekłego opowiadania Bessa, gdy szybkim krokiem weszła Starsza Kucharka.

– Bogu dzięki! – zawołała Teresa i przez chwilę nie słychać było w pokoju nic oprócz jej głośnych słów.

Starszy Kelner zaraz się zerwał i odsunął Bessa na bok.

– A więc przychodzi pani osobiście, pani Starsza Kucharko? Z powodu takiej drobnostki? Wprawdzie po naszej rozmowie telefonicznej mogłem się tego spodziewać, lecz właściwie w to nie wierzyłem. A tymczasem sprawa pani protegowanego wciąż się pogarsza. Obawiam się, że istotnie go nie zwolnię, lecz będę musiał kazać go zamknąć. Niech pani sama posłucha.

I skinieniem przywołał Bessa.

– Chciałabym najpierw zamienić kilka słów z Rossmannem – powiedziała Starsza Kucharka i usiadła na krześle, gdyż Starszy Kelner zmusił ją do tego.

– Karl, proszę cię, podejdź bliżej – powiedziała następnie. Karl usłuchał jej, a raczej Starszy Portier go przyciągnął.

– Niechże go pan puści – powiedziała Starsza Kucharka ze złością – nie jest przecież mordercą!

Starszy Portier puścił go rzeczywiście, lecz przedtem ścisnął go jeszcze raz tak mocno, że jemu samemu z wysiłku stanęły łzy w oczach.

– Karl – powiedziała Starsza Kucharka, złożyła spokojnie ręce na kolanach i patrzyła na Karla z pochyloną głową, to już nie wyglądało jak przesłuchanie – przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że mam jeszcze do ciebie pełne zaufanie. Pan Starszy Kelner jest także człowiekiem sprawiedliwym, za to ręczę. W gruncie rzeczy obydwójce bardzo chcemy cię tu zatrzymać – spojrzała przy tym przelotnie na Starszego Kelnera, jakby go chciała prosić, żeby jej nie przerywał. Nie zrobił też tego. – Zapomnij więc o tym, co ci tu może dotychczas powiedziano. Przede wszystkim nie bierz sobie do serca tego, co być może powiedział ci pan Starszy Portier. Jest wprawdzie człowiekiem porywczym, co przy jego służbie łatwo zrozumiałe, ale także ma żonę i dzieci i wie, że chłopca, zdanego tylko na siebie samego, nie powinno się niepotrzebnie dręczyć, bo o to już postara się dostatecznie reszta świata.

W pokoju było całkiem cicho. Starszy Portier patrzył na Starszego Kelnera wzrokiem domagającym się wyjaśnień, ten patrzył na Starszą Kucharkę i kiwał głową. Chłopiec od windy Bess bezmyślnie szczyrzył zęby za plecami Starszego Kelnera. Teresa szlochała cicho z radości i cierpienia i zadawała sobie wiele trudu, żeby nikt tego nie dosłyszał.

Karl jednak, choć mogło to być źle zrozumiane, patrzył nie na Starszą

Kucharkę, która z pewnością oczekiwała jego spojrzenia, lecz przed siebie, w podłogę. Ból ramienia rozchodził się we wszystkich kierunkach, koszula przylepiała się do sińców i powinien by był właściwie zdjąć spencerek i zobaczyć, jak to wygląda. Starsza Kucharka przemówiła do niego bardzo życzliwie, ale na nieszczęście jemu wydawało się, że właśnie wskutek zachowania Starszej Kucharki musiało wyjść na jaw, że on nie zasługuje na jej życzliwość, że przez dwa miesiące niezasłużenie korzystał z dobrodziejstw Starszej Kucharki, ba, że nie zasługuje na nic innego, tylko na dostanie się w ręce Starszego Portiera.

– Mówię to dlatego – ciągnęła Starsza Kucharka – żebyś teraz powiedział całą prawdę, co zresztą, o ile cię znam, i tak byś uczynił.

– Przepraszam, czy mogę tymczasem sprowadzić lekarza, bo ten człowiek może się tymczasem wykrwawić – wmieszał się nagle chłopiec od windy Bess, bardzo uprzejmie, lecz bardzo nie w porę.

– Idź – powiedział Starszy Kelner do Bessa, który zaraz wybiegł. A potem zwrócił się do Starszej Kucharki: – Sprawa przedstawia się tak: Starszy Portier przytrzymał tutaj tego chłopaka nie dla żartu. Na dole bowiem, w sypialni chłopców, znaleziono w łóżku troskliwie przykrytego, całkiem obcego i zupełnie pijanego człowieka. Naturalnie zbudzono go i chciano go usunąć. Lecz wówczas ten człowiek podniósł wielki wrzask, powtarzając w kółko, że sypialnia należy do Karla Rossmanna, którego on jest gościem, który go tutaj przyprowadził i ukarze każdego, kto by się odważył go tknąć. Zresztą musi czekać na Karla Rossmanna także dlatego, że ten przyrzekł mu pieniądze i poszedł je przynieść. Proszę zwrócić na to uwagę, pani Starsza Kucharko: przyrzekł mu pieniądze i poszedł je przynieść. Ty także mógłbyś uważać, Rossmann – powiedział Starszy Kelner mimochodem do Karla, odwróconego właśnie do Teresy, która jak zakłęta wlepiła wzrok w Starszego Kelnera i wciąż albo odgarniała z czoła jakieś włosy, albo mimo woli robiła ten ruch. – Ale może przypomnę ci o

pewnych zobowiązaniach. Mianowicie ten człowiek na dole powiedział jeszcze, że po twoim powrocie obaj złożycie wizytę jakiejś śpiewaczce, której nazwiska zresztą nikt nie zrozumiał, bo ten człowiek wypowiadał je tylko śpiewem.

Tutaj Starszy Kelner przerwał, gdyż wyraźnie pobladła Starsza Kucharka podniosła się z krzesła, odsuwając je nieco w tył.

– Oszczędzę pani reszty – powiedział Starszy Kelner.

Nie, proszę, nie – powiedziała Starsza Kucharka i chwyciła go za rękę.
 – Niech pan opowiada dalej, chcę usłyszeć wszystko, po to tu jestem.

Starszy Portier, który wysunął się naprzód i na znak tego, że od początku wszystko przewidział, głośno bił się w piersi, został zaraz uspokojony przez Starszego Kelnera słowami: – Tak, miał pan zupełną słuszność, Feodorze! – i jak gdyby odesłany na swoje miejsce.

– Niewiele więcej jest do opowiedzenia – powiedział Starszy Kelner.
 – Jak to bywa u tych chłopców, najpierw wymiali tego człowieka, potem zaczęli się z nim wadzić, a on, ponieważ są tam zawsze dobrzy bokserzy, został po prostu pobity; nie miałem nawet odwagi spytać, z jakich i ilu miejsc krwawi, bo ci chłopcy są straszliwymi bokserami, a z pijanym naturalnie radzą sobie łatwo!

– Tak – powiedziała Starsza Kucharka i trzymając poręcz krzesła patrzyła na miejsce, które właśnie opuściła. – A więc powiedz choć jedno słowo, Rossmann, proszę cię! – powiedziała potem.

Teresa podbiegła ze swego dotychczasowego miejsca do Starszej Kucharki i uwiesiła się jej ramienia. Karl nigdy jeszcze nie widział, żeby to robiła. Starszy Kelner stał tuż za Starszą Kucharką i wyglądał powoli mały, koronkowy kołnierzyk Starszej Kucharki, który się nieco zawinął. Starszy Portier, stojący obok Karla, powiedział: – No, więc? – ale chciał w ten sposób tylko zaakcentować uderzenie, które wymierzył Karlowi w plecy.

– To prawda – powiedział Karl, wskutek uderzenia bardziej niepewnie, niż zamierzał – że przyprowadziłem tego człowieka do sypialni.

– Nie chcemy wiedzieć więcej – powiedział portier w imieniu wszystkich.

Starsza Kucharka zwróciła się oniemiała do Starszego Kelnera, a potem do Teresy.

– Nie mogłem sobie inaczej poradzić – mówił Karl dalej. – Ten człowiek jest moim dawniejszym kolegą, nie widzieliśmy się przez dwa miesiące, przyszedł tu, żeby mnie odwiedzić, ale był tak pijany, że nie mógł potem sam odejść.

Starszy Kelner, stojący obok Starszej Kucharki, powiedział półgłosem:

– Więc on przyszedł z wizytą, a potem był tak pijany, że nie mógł odejść.

Starsza Kucharka szepnęła coś przez ramię do Starszego Kelnera, który, jak się zdawało, wyraził sprzeciw z uśmiechem nie odpowiadającym sytuacji. Teresa – Karl patrzył tylko na nią – bezradnie tuliła twarz do Starszej Kucharki i nie chciała widzieć nic więcej. Jedyнным człowiekiem, wyraźnie zadowolonym z wyjaśnienia Karla, był Starszy Portier, który kilkakrotnie powtórzył:

– Zupełnie słusznie, koledze od kieliszka należy pomóc – i wzrokiem oraz gestami rąk próbował utrwalić to wyjaśnienie w pamięci wszystkich obecnych.

– Zawiniłem więc – powiedział Karl i zrobił pauzę, jak gdyby czekał na przyjazne słowo swoich sędziów, które dodałoby mu odwagi do dalszej obrony, ale takie słowo nie padło – zawiniłem więc tylko tym, że owego człowieka – nazywa się Robinson, jest Irlandczykiem – przyprowadziłem do sypialni. Wszystko, co poza tym powiedział, mówił po pijanemu i wszystko to jest nieprawdą.

– Więc nie przyrzekałeś mi pieniędzy? – zapytał Starszy Kelner.

– Owszem – powiedział Karl i zrobiło mu się przykro, że o tym zapomniał i z nierozwagi czy z roztargnienia zbyt stanowczo zapewnił o swej niewinności. – Przynależę ci pieniądze, ponieważ mnie o nie prosił. Ale nie poszedłem po nie, lecz chciałem dać ci napiwki, które otrzymałem dziś w nocy. – I na dowód tego wyciągnął z kieszeni pieniądze i pokazał leżące na otwartej dłoni drobne monety.

– Wkłasz się coraz bardziej – powiedział Starszy Kelner. – Gdybyśmy ci mieli wierzyć, musielibyśmy wciąż zapominać o tym, co powiedziałeś wcześniej. Najpierw więc tego człowieka – nie wierzę ci nawet, że się nazywa Robinson, odkąd istnieje Irlandia, jeszcze żaden Irlandczyk tak się nie nazywał – najpierw więc zaprowadziłeś tylko tego człowieka do sypialni, za co powinieneś zresztą z hukiem wylecieć, ale pieniędzy mu nie przynależę, potem znów, kiedy cię zapytałem z nienacka, okazuje się, że przynależę ci pieniądze. Ale my nie bawimy się tutaj w pytania i odpowiedzi, lecz chcemy usłyszeć, co masz na swoje usprawiedliwienie. Z początku więc nie chciałeś przynieść pieniędzy, lecz dać ci dzisiaj napiwki, ale potem okazuje się, że te pieniądze masz jeszcze przy sobie, widocznie zatem chciałeś jednak przynieść inne, za czym przemawia także twoja długa nieobecność. Ostatecznie nie byłoby w tym nic szczególnego, gdybyś chciał wyjąć dla niego pieniądze ze swego kufka; rzecz szczególna jednak, że wypierasz się tego ze wszystkich sił, podobnie jak wciąż usiłujesz przemilczeć, iż dopiero tutaj, w hotelu, spiełeś tego człowieka, co do czego nie ma najmniejszej wątpliwości, bo sam przyznałeś, że przyszedł tu o własnych siłach, ale nie mógł sam odejść, i on sam wykrzykiwał w sypialni, że jest twoim gościem. Wątpliwe pozostają więc jeszcze tylko dwie kwestie, na które, jeśli chcesz uprościć sprawę, sam możesz odpowiedzieć, lecz które ostatecznie można ustalić także bez twojej pomocy: po pierwsze, w jaki sposób zdobyłeś dostęp do szpitala, a po drugie, skąd miałeś pieniądze do rozdawania?

„Nie można się bronić, jeśli druga strona nie ma dobrej woli” – pomyślał Karl i nie odpowiedział już Starszemu Kelnerowi, jakkolwiek Teresa prawdopodobnie bardzo nad tym bolała. Wiedział, że wszystko, co mógłby powiedzieć, wyglądałoby potem zupełnie sprzecznie z tym, co miał na myśli, i że tylko od sposobu sądenia zależy ustalenie rzeczy dobrych i złych.

– Nie odpowiada – powiedziała Starsza Kucharka.

– To najrozsądniejsze, co może zrobić – powiedział Starszy Kelner.

– On jeszcze coś sobie wymyśli – powiedział Starszy Portier i okrutną przedtem ręką pogładził delikatnie swoją brodę.

– Cicho bądź – powiedziała Starsza Kucharka do Teresy, która zaczęła łkać u jej boku – widzisz, że on nie odpowiada, więc jak mogę coś dla niego zrobić? Ostatecznie, to ja nie miałam słuszności, a nie pan Starszy Kelner. Powiedz, Tereso, czy twoim zdaniem zaniedbałam uczynienia czegoś dla jego dobra?

Skąd Teresa mogła to wiedzieć i na co się zdało, że Starsza Kucharka, publicznie, wobec obu panów, prosząc małą dziewczynkę o odpowiedź na swoje pytanie, może bardzo sobie szkodziła?

– Pani Starsza Kucharko – powiedział Karl, który raz jeszcze zebrał wszystkie siły, ale tylko po to, żeby Teresie oszczędzić odpowiedzi – nie sądzę, żebym pani w jakikolwiek sposób przyniósł wstyd, i po dokładnym dochodzeniu każdy musiałby to przyznać.

– Każdy – powiedział Starszy Portier i wskazał palcem na Starszego Kelnera. – To przytyk do pana, panie Isbary.

– No, pani Starsza Kucharko – powiedział Starszy Kelner. – Jest pół do siódmej, już późno, najwyższy czas. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli zostawi mi pani ostatnie słowo w tej już i tak zbyt cierpliwie rozważanej sprawie.

Wszedł mały Giacomo, chciał podejść do Karla, ale przestraszony

ogólnie panującą ciszą zaniechał tego i czekał.

Po ostatnich słowach Karla Starsza Kucharka nie odwracała od niego wzroku i nic nie wskazywało na to, że słyszała uwagę Starszego Kelnera. Jej oczy, patrzące prosto w twarz Karla, były duże i niebieskie, ale nieco zmęczone przez wiek i trudy. Kiedy tak stała, lekko kołysząc przed sobą krzesło, można by oczekiwać, że za chwilę powie: „No Karl, zastanowiłam się i sądzę, że cała ta sprawa nie jest jeszcze należycie wyjaśniona i wymaga, jak to słusznie powiedziałaś, dokładnego zbadania. Przeprowadzimy je, czy ktoś się z tym zgadza, czy nie, bo musi stać się zadość sprawiedliwości”.

Ale zamiast tego, po małej pauzie, której nikt nie odważył się przerwać – tylko zegar, potwierdzając słowa Starszego Kelnera, wybił wpół do siódmej, a wraz z nim, o czym każdy wiedział, wybiły równocześnie wszystkie zegary w hotelu, w uszach i w przecuciach ludzi zabrzmiało to jak dwukrotne drgnięcie jednej wielkiej niecierpliwości – Starsza Kucharka powiedziała:

– Nie, Karl, nie, nie! Nie wmawiajmy sobie tego. Słuszne rzeczy wyglądają też w sposób szczególny, a twoja sprawa, muszę to wyznać, tak nie wygląda. Wolno mi i muszę to powiedzieć, muszę to wyznać, bo właśnie ja przyszłam tutaj z najlepszym nastawieniem w stosunku do ciebie. Widzisz, Teresa także milczy. (Ale ona przecież nie milczała, ona płakała.)

Starsza Kucharka urwała nagle, powziąwszy decyzję i powiedziała:

– Karl, chodź no tutaj. – A kiedy do niej podszedł – poza jego plecami Starszy Kelner i Starszy Portier nawiązali zaraz ożywioną rozmowę – objęła go lewą ręką, poszła z nim i z bezwolnie postępującą za nią Teresą w głąb pokoju, i zaczęła z nim obojgiem chodzić tam i z powrotem, przy czym mówiła:

– Możliwe, Karl, i zdaje się, że w to wierzysz, inaczej w ogóle bym

cię nie rozumiała, że dochodzenie przyznałoby ci słuszność w pewnych drobiazgach. Dlaczego nie? Być może, rzeczywiście kłaniałeś się Starszemu Portierowi. Wierzę w to nawet stanowczo, wiem też, co mam sądzić o Starszym Portierze, widzisz, sama mówię teraz z tobą otwarcie. Ale takie małe usprawiedliwienia nic ci nie pomogą. Starszy Kelner, którego znajomość ludzi nauczyłam się cenić w ciągu wielu lat i który jest najbardziej godnym zaufania człowiekiem, jakiego w ogóle znam, jasno oświadczył, że jesteś winien, i to wydaje mi się istotnie nieodparte. Może działałeś po prostu bez zastanowienia, a może nie jesteś taki, za jakiego cię uważałam. A jednak... – tutaj poniekąd sama sobie przerwała i przelotnie spojrzała za siebie na obu panów – nie mogę się jeszcze odzwyczaić od uważania cię za chłopca w gruncie rzeczy przyzwoitego.

– Pani Starsza Kucharko! Pani Starsza Kucharko! – napomniął Starszy Kelner, który pochwycił jej spojrzenie.

– Zaraz skończymy – powiedziała Starsza Kucharka i teraz zaczęła mówić szybciej:

– Słuchaj, Karl, tak, jak ja widzę tę sprawę, cieszę się, że Starszy Kelner nie chce przeprowadzać dochodzenia; bo gdyby chciał je przeprowadzić, musiałabym nie dopuścić do tego w twoim własnym interesie. Nikt nie powinien się dowiedzieć, w jaki sposób i czyni ugościłeś tego człowieka, który zresztą nie może być jednym z twoich dawniejszych kolegów, jak twierdziłeś, bo z nimi pokłóciłeś się przy pożegnaniu, tak że teraz nie podejmowałbyś żadnego z nich. Może to więc tylko być jakiś znajomy, z którym lekkomyślnie zbratałeś się w nocy w jakiejś miejskiej knajpie. Jak mogłeś ukrywać przede mną to wszystko? Jeśli w sypialni nie mogłeś wytrzymać i początkowo z tego niewinnego powodu zacząłeś chodzić na nocne hulanki, dlaczego nie powiedziałeś mi o tym ani słowa; wiesz, że chciałam ci się wystarać o oddzielny pokój i zrezygnowałam z tego dopiero na twoją prośbę. Teraz wygląda na to, że wolałeś wspólną sypialnię, bo

tam czułeś się mniej skrępowany. A pieniądze składałeś przecież w mojej kasie i co tydzień przynosiłeś mi swoje napiwki; skąd więc, na miłość boską, brałeś, chłopcze, pieniądze na rozrywki i skąd chciałeś przynieść teraz pieniądze dla swego przyjaciela? To są naturalnie takie sprawy, o jakich, przynajmniej na razie, nie mogę Starszemu Kelnerowi wspomnieć, gdyż wtedy, być może, dochodzenie byłoby nieuniknione. Musisz więc bezwarunkowo odejść z hotelu, i to jak najszybciej. Idź prosto do pensjonatu Brennera – byłeś tam już nieraz z Teresą – z tym poleceniem przyjmą cię tam bezpłatnie – i złotym ołówkiem, który wyciągnęła z kieszeni bluzki, Starsza Kucharka napisała kilka słów na wizytówce, nie przestając przy tym mówić. – twój kuferek zaraz ci tam przyślę. Tereso, pobiegnij no do garderoby chłopców od windy i spakuj jego kuferek! (Ale Teresa jeszcze się nie poruszyła, lecz tak, jak wytrzymała wszystkie dotychczasowe cierpienia, chciała też przeżyć zwrot ku lepszemu, który sprawa Karla przyjęła dzięki dobroci Starszej Kucharki).

Ktoś, nie pokazując się, uchylił nieco drzwi i zaraz zamknął je z powrotem. Musiało to być widocznie jakimś znakiem dla Giacoma, gdyż wystąpił naprzód i rzekł:

– Rossmann, mam ci coś do powiedzenia.

– Zaraz – powiedziała Starsza Kucharka i wetknęła wizytówkę do kieszeni Karla, który słuchał z pochyłą głową. – Twoje pieniądze na razie zatrzymuję, wiesz, że możesz mi je powierzyć. Zostań dziś w domu i przemyśl swoją sytuację, jutro – dziś nie mam czasu, tutaj także zatrzymałam się już o wiele za długo – przyjdę do Brennera i zobaczymy, co będzie można dalej dla ciebie zrobić. Nie opuszczę cię, o tym wiedz już dzisiaj. Nie martw się o swoją przyszłość, raczej o to, co właśnie minęło.

Poklepała go przy tym lekko po ramieniu i podeszła do Starszego Kelnera. Karl uniósł głowę i spojrzął za wysoką, okazałą kobietą, która oddalała się od niego spokojnym krokiem i w swobodnej postawie.

– No, wcale się nie cieszysz – powiedziała Teresa, która została przy nim – że wszystko skończyło się tak dobrze?

– O, tak – powiedział Karl i uśmiechnął się do niej, ale nie wiedział, dlaczego miałby się cieszyć z tego, że wydalono go jak złodzieja. Z oczu Teresy promieniowała czysta radość, jak gdyby było jej zupełnie obojętne, czy Karl popełnił jakieś przestępstwo, czy nie, czy osądzony został sprawiedliwie, czy nie, jeśli tylko pozwolono mu się wymknąć, w hańbie czy z honorem. I w ten sposób zachowywała się właśnie Teresa, która przecież w swoich własnych sprawach była tak skrupulatna, a każde niezupełnie jednoznaczne słowo Starszej Kucharki tygodniami obracała i roztrząsała w myślach. Karl umyślnie zapytał:

– Czy zaraz zapakujesz i odeślesz mój kuferek?

Mimo woli musiał potrząsnąć głową ze zdumienia, jak szybko Teresa dała się wciągnąć temu pytaniu i jak była przekonana, że w kufierku są rzeczy, które trzeba ukryć przed wszystkimi; nie spojrzała nawet na Karla, nie podała mu ręki, tylko szepnęła:

– Naturalnie, Karl, zaraz, zaraz spakuję kuferek.

I już pobiegła.

Ale teraz Giacomo nie wytrzymał dłużej i, podniecony długim czekaniem, zawołał głośno:

– Rossmann, ten człowiek tarza się na dole po korytarzu i nie daje się wyrzucić. Chcieli go odwieźć do szpitala, ale on broni się i twierdzi, że ty byś nie ścierpiał, żeby go zabrano do szpitala. Trzeba sprowadzić automobil i odesłać go do domu, a ty musiałbyś zapłacić za jazdę. Godzisz się?

– Ten człowiek ma do ciebie zaufanie – powiedział Starszy Kelner. Karl wzruszył ramionami i dał Giacomoowi pieniądze do ręki.

– Więcej nie mam – powiedział.

– Mam cię także zapytać, czy chcesz z nim jechać – spytał jeszcze

Giacomo, pobrząkując pieniędzmi.

– On z nim nie pojedzie – oświadczyła Starsza Kucharka.

– A więc, Rossmann – powiedział Starszy Kelner szybko, nawet nie czekając na wyjście Giacomina – jesteś z miejsca zwolniony.

Starszy Portier kilka razy kiwnął głową, jakby to były jego własne słowa, które Starszy Kelner tylko za nim powtórzył.

– Powodów twojego zwolnienia nie mogę nawet głośno wypowiedzieć, bo wtedy musiałbym cię kazać zamknąć.

Starszy Portier ostro i w sposób zwracający uwagę spojrział na Starszą Kucharke, bo dobrze rozumiał, że ona była przyczyną tego zbyt łagodnego postępowania.

– Idź teraz do Bessa, przebierz się, oddaj Bessowi swoją liberię i natychmiast, ale to natychmiast, opuść ten dom.

Starsza Kucharka zamknęła oczy, chciała w ten sposób uspokoić Karla. A on, kłaniając się na pożegnanie, zauważył przelotnie, że Starszy Kelner jakby po kryjomu ujął rękę Starszej Kucharki i pieścił ją. Starszy Portier ciężkim krokiem odprowadził Karla aż do drzwi, których nie pozwolił mu zamknąć, lecz sam przytrzymał je otwarte, aby móc krzyknąć jeszcze za odchodzącym:

– Za ćwierć minuty chcę widzieć, jak przechodzisz obok mojej łóżki przez główne wyjście! Zapamiętaj to sobie!

Karl śpieszył się, jak tylko mógł, żeby uniknąć przykrości przy głównym wyjściu, ale wszystko szło znacznie wolniej, niż tego pragnął. Najpierw nie można było od razu znaleźć Bessa, a teraz, w porze śniadania, wszędzie było pełno ludzi, potem okazało się, że jakiś chłopak wypożyczył sobie stare spodnie Karla i Karl musiał przeszukać wieszaki na ubrania przy wszystkich prawie łózkach, zanim je odnalazł, tak że minęło dobre pięć minut, zanim przyszedł do głównego wyjścia. Tuż przed nim szła jakaś dama w otoczeniu czterech panów. Wszyscy oni zdążyli ku

wielkiemu automobilowi, który na nich czekał i którego drzwiczki lokaj trzymał już otwarte, wolną lewą rękę wyciągnawszy sztywno, w bok, co wyglądało niezwykle uroczyście. Lecz Karl na próżno spodziewał się, że nie zauważony wyjdzie za tym wytwornym towarzystwem. Starszy Portier już go złapał za rękę i spomiędzy dwóch panów, których poprosił o wybaczenie, przyciągnął go do siebie.

– To miało być ćwierć minuty – powiedział i spojrzał na Karla z boku, jakby patrzył na źle chodzący zegar. – Chodź na tutaj – powiedział potem i zaprowadził go do dużej łoży portiera, którą Karl co prawda już od dawna miał ochotę obejrzeć, lecz do której teraz, wciągnięty przez portiera, wszedł nieufnie. Był już w drzwiach, gdy odwrócił się, spróbował odsunąć portiera i odejść.

– Nie, nie, tędy się wchodzi – powiedział Starszy Portier i odwrócił Karla.

– Przecież jestem już zwolniony – powiedział Karl, dając do zrozumienia, że nikt już w hotelu nie może mu nic rozkazywać.

– Dopóki ja cię trzymam, nie jesteś zwolniony – powiedział Starszy Portier, co zresztą rzeczywiście było prawdą.

Ostatecznie Karl także nie widział powodu, dla którego miałby się bronić przed portierem. Cóż w gruncie rzeczy mogło mu się jeszcze stać? Ponadto ściany łoży portiera składały się wyłącznie z ogromnych szyb, przez które widać było tłum ludzi, przepływających we wszystkich kierunkach przez westybul, tak dokładnie, jakby się było między nami. Tak, zdawało się, że w całej łoży portierskiej nie ma kąta, w którym można by się ukryć przed oczyma ludzi. Mimo że wszystkim tam na zewnątrz bardzo się śpieszyło, gdyż z wyciągniętą ręką, opuszczoną głową, wyłożonym wzrokiem, wysoko trzymając pakunki szukali przejścia, prawie żaden nie omieszkiał rzucić okiem na łożę portiera, gdyż za jej szybami zawsze były wywieszzone obwieszczenia i informacje,

ważne zarówno dla gości, jak i dla personelu hotelowego. Poza tym istniał jeszcze bezpośredni ruch między lożą portiera i westybulem, gdyż przy dwóch wielkich, odsuwanych oknach siedzieli dwaj Młodszy Portierzy i bezustannie udzielali informacji w najrozmaitszych sprawach. Byli to ludzie wprost przeciążeni pracą i Karl skłonny był sądzić, że Starszy Portier, jak go znał, wykręcił się w toku swej kariery od tego stanowiska. Ci dwaj informatorzy – z zewnątrz nie można było sobie tego dokładnie wyobrazić – mieli zawsze przed sobą w otworze okiennym co najmniej dziesięć twarzy. Wśród tych dziesięciu pytających, którzy wciąż się zmieniali, zdarzał się często zamęt rozmaitych języków, jakby każdego z gości przysłano z innego kraju. Wciąż kilka osób pytało równocześnie, poza tym wciąż mówiły one między sobą. Większość chciała coś z loży portiera odebrać lub coś w niej zostawić, wciąż więc widać było także niecierpliwie wymachujące ręce, sterczące z tłoku. Raz ktoś zażądał jakiejś gazety, która zniecka rozwinęła się w górze i na moment zakryła twarze innych. Temu wszystkiemu musieli sprostać tylko dwaj Młodszy Portierzy. Do wypełnienia ich zadań nie wystarczyłoby zwykłe mówienie, oni gadali jak katarynki, zwłaszcza jeden z nich, ponury człowiek z ciemną brodą, okalającą całą twarz, udzielał informacji bez chwili przerwy. Nie patrzył ani na blat stołu, gdzie ustawicznie przyjmował to, co mu podawano, ani na twarz tego czy owego z pytających, lecz wzrok miał wlepiony przed siebie, widocznie po to, żeby zaoszczędzać i zbierać siły. Zresztą broda z pewnością przeszkadzała trochę w rozumieniu jego słów i przez chwilę, kiedy Karl stał przy nim, bardzo mało mógł zrozumieć z tego, co tamten mówił, choć możliwe też, że mimo angielskiego akcentu rozmawiał po prostu w obcych językach. Oprócz tego zbijało z tropu to, że jedna wiadomość tak ząbowała się z drugą i tak w nią przechodziła, że często pytający słuchał z napięciem w twarzy, gdyż sądził, że chodzi jeszcze o jego sprawę, a dopiero po chwili orientował się, że już został załatwiony.

Trzeba się też było przyzwyczaić do tego, że Młodszy Portier nigdy nie prosił o powtórzenie pytania, nawet jeśli zostało zadane zrozumiale, a tylko trochę niewyraźnie; ledwie zauważalne potrząśnięcie głową zdradzało wtedy, że nie ma zamiaru na to pytanie odpowiedzieć, i rzeczą pytającego było zrozumieć swój błąd i sformułować pytanie dokładniej. Właśnie dlatego niektórzy ludzie spędzali przed okienkiem bardzo wiele czasu. Każdemu z Młodszych Portierów dodano do pomocy gońca, który z regału na książki i z rozmaitych pudeł przynosił biegiem wszystko, czego Młodszy Portier właśnie potrzebował. Były to w hotelu najlepiej płatne, jakkolwiek też najbardziej wyczerpujące posady dla młodych ludzi, w pewnym sensie były one jeszcze gorsze niż posady Młodszych Portierów, gdyż ci musieli tylko myśleć i mówić, podczas gdy młodzi ludzie musieli równocześnie gdy młodzi ludzie musieli równocześnie myśleć i biegać. Jeśli czasem przynieśli coś niewłaściwego, wtedy naturalnie Młodszy Portier nie mógł przerywać pracy w pośpiechu i udzielać im długich pouczeń, raczej gwałtownym ruchem po prostu strącał na podłogę to, co mu kładli na stole. Bardzo interesująca była zmiana Młodszych Portierów, która nastąpiła właśnie wkrótce po wejściu Karla. Zmiana taka musiała naturalnie, przynajmniej w ciągu dnia, następować często, gdyż z pewnością nikt nie mógłby wytrzymać w okienku dłużej niż godzinę. W porze zmiany rozbrzmiewał więc dzwon i równocześnie z bocznych drzwi wchodzili dwaj Młodzi Portierzy, na których wypadała kolej, a za każdym z nich postępował jego goniec. Stawali na razie bezczynnie przy okienku i obserwowali przez chwilę ludzi na zewnątrz, żeby ustalić, w jakim stadium znajduje się bieżące odpowiadanie na pytania. Skoro moment wydawał im się odpowiedni do włączenia, uderzali po ramieniu zwalnianego Młodszego Portiera, który, choć dotychczas nie zwracał uwagi na nic, co działo się poza jego plecami, natychmiast to rozumiał i zwalniał miejsce. Wszystko odbywało się tak szybko, że często

zaskakiwało ludzi na zewnątrz i z przerażenia na widok wynurzającej się przed nimi nowej twarzy niemal cofali się od okienka. Dwaj zwolnieni mężczyźni przeciągali się, a potem nad dwiema stojącymi w pogotowiu umywalniami oblewali wodą rozgrzane głowy. Ale zwolnieni gońcy nie mogli się jeszcze przeciągnąć, lecz musieli przez chwilę zbierać i kłaść na swoje miejsce przedmioty, zrzucone na podłogę podczas godzin ich służby.

Wszystko to Karl zaobserwował z napiętą uwagą i pojął w ciągu niewielu chwil, gdy z lekkim bólem głowy szedł cicho za Starszym Portierem, który prowadził go dalej. Widocznie Starszy Portier spostrzegł wielkie wrażenie, jakie wywarł na Karlu ten sposób udzielania informacji, bo chwycił Karla nagle za rękę i powiedział: – Widzisz, tak się tutaj pracuje. – Karl wprawdzie nie lenił się w hotelu, ale o takiej pracy nie miał najmniejszego pojęcia i niemal zupełnie zapomniawszy, że Starszy Portier jest jego wielkim wrogiem, spojrzął na niego i w milczeniu, z uznaniem, skinął głową. Lecz to znów wydało się Starszemu Portierowi przecenianiem Młodszych Portierów i być może niegrzecznością wobec jego osoby, gdyż jakby uważał Karla za głupca, krzyknął nie troszcząc się o to, że ktoś może go usłyszeć:

– Naturalnie, to tutaj jest najgłupszą pracą w całym hotelu; jeśli ktoś się temu przez godzinę przysłucha, zna mniej więcej wszystkie pytania, jakie bywają zadawane, a na resztę przecież nie trzeba odpowiadać. Gdybyś nie był bezczelny i źle wychowany, gdybyś nie kłamał, nie hulał, nie pił i nie kradł, mógłbym cię być może zatrudnić przy jednym z okienek, bo do tego potrzeba mi wyłącznie zakutych łbów.

Karl puścił mimo uszu wymyślenia dotyczące jego osoby, tak bardzo oburzony był tym, że uczciwa i ciężka praca Młodszych Portierów, zamiast cieszyć się uznaniem, była wyszydzana, i to wyszydzana przez człowieka, który, gdyby się odważył raz usiąść za takim okienkiem, na pewno po

kilku minutach musiałyby się wycofać wśród śmiechu pytających.

– Niech mnie pan puści – powiedział Karl, jego ciekawość dotycząca łoży portierskiej była już zaspokojona w nadmiarze. – Nie chcę mieć z panem nic do czynienia.

– To nie wystarczy, żeby odejść – powiedział Starszy Portier, ścisnął ramiona Karla tak, że ten zupełnie nie mógł się poruszyć i formalnie przeniósł go w drugi koniec łoży portierskiej. Czy ludzie na zewnątrz nie widzieli tych gwałtownych poczynań Starszego Portiera? Albo też, jeśli je widzieli, jak je sobie tłumaczyli, skoro nikt się nie zatrzymał, nikt przynajmniej nie zastukał w szybę, żeby Starszemu Portierowi dać do zrozumienia, że jest obserwowany i że nie może postępować z Karlem tak, jak mu się podoba?

Wkrótce jednak Karl stracił resztę nadziei na otrzymanie pomocy z westybulu, gdyż Starszy Portier pociągnął za sznur i na szybach połowy łoży portierskiej zasunęły się w lot na całej ich wysokości czarne zasłony. Wprawdzie i w tej części łoży portierskiej byli ludzie, lecz wszyscy tak zatopieni w pracy, że nie mieli uszu ani oczu na nic, co się z nią nie łączyło. Poza tym byli oni zupełnie zależni od Starszego Portiera i zamiast pomóc Karlowi, pomogliby raczej w ukryciu wszystkiego, co by Starszemu Portierowi przyszło do głowy. Było tu na przykład sześciu Młodszych Portierów przy sześciu telefonach. Układ pracy, jak można było się natychmiast zorientować, był taki, że zawsze jeden z nich tylko przyjmował telefony, podczas gdy jego sąsiad, na podstawie notatek pierwszego, telefonicznie przekazywał dalej polecenia. Były to owe najnowsze telefony, przy których kabiny telefoniczne są zbędne, gdyż dzwonki nie są głośniejsze niż ćwierkanie, można mówić w telefon szeptem, a jednak, dzięki specjalnym elektrycznym wzmacniaczom, słowa dochodzą do celu, jakby je wypowiedano grzmiącym głosem. Dlatego ledwie było słychać trzech rozmówców przy ich telefonach i

można by pomyśleć, że mruczając obserwują oni coś, co dzieje się w tubie telefonu, podczas gdy trzej inni, jak gdyby ogłuszeni nacierającym na nich, a dla otoczenia niedosłyszalnym hałasem, z głowami pochylonymi nad papierem, zapisywali to, co było ich zadaniem. Także i tutaj stał obok każdego z trzech telefonów chłopiec do pomocy; ci trzej chłopcy nie robili nic poza tym, że na zmianę wyciągali głowy słuchając swego pana, a potem z pośpiechem, jakby ich dźgnięto, wyszukiwali numery telefoniczne w ogromnych, żółtych księgach – przewracane pliki stronic robiły znacznie więcej szumu niż telefony.

Karl rzeczywiście nie mógł się powstrzymać od obserwowania tego wszystkiego, mimo że Starszy Portier, który teraz usiadł, trzymał go przed sobą jak w kleszczach.

– Uważam za swój obowiązek – powiedział Starszy Portier i potrząsnął Karlem, jakby po to, żeby ten zwrócił ku niemu twarz – w imieniu dyrekcji hotelu przynajmniej trochę nadrobić to, czego Starszy Kelner z jakichś powodów zaniedbał. Tutaj zawsze jeden z nas wyręcza drugiego. Inaczej prowadzenie tak wielkiego przedsiębiorstwa byłoby nie do pomyślenia. Powiesz pewnie, że ja nie jestem twoim bezpośrednim przełożonym; tym ładniej zatem z mojej strony, że zajmuję się tą już poniechaną sprawą. Poza tym, jako Starszy Portier, stoję w pewnym sensie ponad wszystkimi, gdyż podlegają mi przecież wszystkie wejścia do hotelu, a więc to wejście główne, trzy średnie i dziesięć bocznych, nie mówiąc już o niezliczonych drzwiczkach i wyjściach bez drzwi. Naturalnie cały personel służbowy musi mi być posłuszny. Odpowiednio do tych wielkich zaszczytów ciąży na mnie oczywiście z drugiej strony zobowiązanie wobec dyrekcji hotelu, żebym nie wypuszczał nikogo, kto byłby choć w najmniejszym stopniu podejrzany. A właśnie ty, ponieważ tak mi się podoba, wydajesz mi się podejrzany, i to mocno. – I radując się z tego powodu podniósł ręce Karla, a potem je gwałtownie opuścił, aż

boleśnie klasnęły. – Możliwe – ciągnął, bawiąc się przy tym po królewsku – że mógłbyś wyjść innym wyjściem, nie zauważony, gdyż naturalnie nie jesteś wart, abym z twego powodu wydawał specjalne zarządzenia. Ale skoro już tu jesteś, chcę się tym nacieszyć. Zresztą nie wątpiłem o tym, że przyjdiesz na rendez-vous, na które umówiliśmy się przy głównym wyjściu, bo z reguły człowiek bezczelny i nieposłuszny właśnie tam i wtedy zaprzestaje swoich występków, gdzie mu to szkodzi. Z pewnością często jeszcze przekonasz się o tym na własnej skórze.

– Niech pan nie myśli – powiedział Karl, wdychając osobliwy, ciężki zapach, bijący od Starszego Portiera, który poczuł dopiero teraz, kiedy tak długo stał tuż przy nim – niech pan nie myśli – powiedział – że jestem zupełnie w pańskiej mocy, mogę przecież krzyknąć.

– A ja mogę zatkać ci usta – powiedział Starszy Portier równie spokojnie i szybko, jakby to na pewno zrobił w razie potrzeby. – I czy naprawdę myślisz, że nawet gdyby ktoś przyszedł tutaj z twojego powodu, to znalazłby się taki, który przyznałby słuszność tobie przeciwko mnie, Starszemu Portierowi? Widzisz więc jasno głupotę swoich nadziei. Wiesz, kiedy chodziłeś w uniformie, to zasługiwałeś jeszcze trochę na uwagę, ale w tym ubraniu, które rzeczywiście możliwe jest tylko w Europie!... – I zaczął szarpać na nim w najrozmaitszych miejscach ubranie, które, przed pięcioma miesiącami jeszcze prawie nowe, teraz było znoszone, wymięte, a przede wszystkim poplamione, co w głównej mierze należało przypisać bezwzględności chłopców od windy, którzy aby według powszechnie obowiązującego rozkazu utrzymać podłogę sypialni w stanie gładkim i bez kurzu, z lenistwa nie sprząтали należycie, lecz co dzień skrapiali ją olejem, przy czym równocześnie paskudnie opryskiwali wszystkie ubrania na stojakach. Można było wprawdzie przechowywać swoje ubranie, gdzie kto miał ochotę, zawsze jednak znalazł się jakiś chłopiec, który nie miał pod ręką swojego ubrania, natomiast z łatwością wynajdywał ukryte cudze

ubranie i pożyczał je sobie. A czasem nawet był to właśnie ten, który tego dnia sprzątał salę, a zatem nie tylko opryskał, lecz oblał ubranie olejem od góry do dołu. Tylko Renell chował swoje kosztowne ubranie w jakimś ukrytym miejscu, z którego nikt nie mógł go wyciągnąć, zwłaszcza że nikt nie pożyczał obcego ubrania ze złośliwości lub ze skąpstwa, lecz po prostu z pośpiechu i z niedbalstwa brał je stamtąd, gdzie je znajdował. Ale nawet ubranie Renella miało pośrodku pleców okrągłą, czerwoną plamę od oleju i po tej plamie nawet w tym eleganckim młodym człowieku znawca rozpoznałby w mieście chłopca od windy.

I Karl przy tych wspomnieniach pomyślał sobie, że on także jako chłopiec od windy dosyć wycierpiał i że to wszystko było daremne, gdyż owa służba przy windzie nie stała się, jak się tego spodziewał, pierwszym szczeblem do lepszego stanowiska, że raczej został teraz zepchnięty jeszcze niżej, a nawet znalazł się bardzo blisko więzienia. Ponadto przytrzymał go teraz Starszy Portier, który zapewne rozmyślał nad tym, jak by tu Karla jeszcze bardziej upokorzyć. I zupełnie zapominając o tym, że Starszy Portier nie był człowiekiem, który dałby się może przekonać, Karl uderzył się wolną ręką kilka razy w czoło i zawołał:

– A gdybym się panu nawet naprawdę nie kłaniał, to jak dorosły człowiek może być tak mściwy z powodu nie oddanego ukłonu!

– Nie jestem mściwy – powiedział Starszy Portier – chcę tylko przeszukać twoje kieszenie. Jestem wprawdzie przekonany, że nic nie znajdę, bo na pewno byłeś ostrożny i stopniowo wszystko, co dzień po trochu, dawałeś do wyniesienia swojemu przyjacielowi. Ale musisz zostać przeszukany. – I już chwycił za kieszeń surduta Karla tak gwałtownie, że pękły boczne szwy. – A więc tu nie ma już nic – powiedział i przebiegł na dłoni zawartość tej kieszeni: reklamowy kalendarz hotelu, kartkę z ćwiczeniem z korespondencji handlowej, kilka guzików od surduta i od spodni, wizytówkę Starszej Kucharki, pilnik do paznokci, który raz

jakiś gość rzucił mu przy pakowaniu kufra, stare lusterko kieszonkowe, подарowane mu przez Renella z wdzięczności za dziesięć chyba zastępstw w służbie, i jeszcze kilka drobiazgów. – A więc tu nie ma nic – powtórzył Starszy Portier i rzucił wszystko pod ławkę, jakby to było samo przez się zrozumiałe, że miejsce dobytku Karla, o ile nie został skradziony, jest pod ławką.

„Ale teraz już dość tego” – powiedział sobie Karl – jego twarz musiała płonąć czerwienią – i kiedy Starszy Portier, nieuważny z chciwości, grzebał w jego drugiej kieszeni, Karl jednym ruchem wyrwał ręce z rękawów, pierwszym, jeszcze nieopanowanym skokiem pchnął dość mocno Młodszego Portiera na jego aparat, pobiegł przez parne powietrze ku drzwiom właściwie wolniej, niż zamierzał, lecz szczęśliwie znalazł się na zewnątrz, jeszcze zanim Starszy Portier w swoim ciężkim płaszczu zdążył w ogóle podnieść się z miejsca. Organizacja służby strażniczej nie była widocznie taka wzorowa, wprawdzie z kilku stron odezwały się dzwonki, ale Bóg wie, w jakim celu! Urzędnicy hotelowi chodzili co prawda wszere i wzdłuż hallu, można więc było pomyśleć, iż chcą w nie zwracający uwagi sposób uniemożliwić wyjście, gdyż w tym chodzeniu tu i tam nie można było dopatrzeć się innego sensu; w każdym razie Karl wkrótce znalazł się na dworze, musiał jednak przejść jeszcze wzdłuż hotelowego chodnika, bo nie mógł dostać się na szosę, gdyż jechał nią nieprzerwany sznur samochodów, zatrzymujących się przed głównym wejściem. Owe automobile, żeby możliwie jak najszybciej przybyć po swoich państwa, wjeżdżały niemal jeden na drugi, każdy z nich był popychany naprzód przez następny. Piesi, którym najbardziej śpieszyło się na szosę, przechodzili wprawdzie tu i ówdzie na drugą stronę przez poszczególne automobile, jak gdyby było tam publiczne przejście, i było im zupełnie wszystko jedno, czy w samochodzie siedział tylko szofer i służba, czy też najwytworniejsi ludzie. Takie zachowanie wydawało

się jednak Karlowi przesadne i trzeba było też dobrze orientować się w warunkach, żeby się na to odważyć; jakże łatwo mógł trafić na automobil, którego pasażerowie wzięliby mu to za złe, zrzuciliby go i wywołali skandal, a on, jako zbiegły, podejrzany pracownik hotelowy w samej koszuli, nie mógł się niczego bardziej obawiać. Ostatecznie rząd automobilów nie mógł tak jechać całą wieczność, a on, dopóki trzymał się blisko hotelu, był właściwie najmniej podejrzany. Istotnie Karl dotarł w końcu do miejsca, gdzie ciąg automobilów nie zatrzymał się wprawdzie, lecz skręcał ku szosie i rozluźnił się nieco. Chciał właśnie wśliznąć się w ruch uliczny, w którym swobodnie poruszali się ludzie o wiele bardziej jeszcze podejrzanie wyglądający niż on, gdy usłyszał, że ktoś w pobliżu woła go po nazwisku. Odwrócił się i zobaczył, jak dwaj dobrze mu znajomi chłopcy od windy przez niskie, małe drzwi, wyglądające jak wejście do krypty, z największym wysiłkiem wyciągali nosze, a na nich, jak Karl teraz rozpoznał, doprawdy leżał Robinson z głową, twarzą i ramionami obandażowanymi w wielu miejscach. Odpychający to był widok, kiedy podnosił ręce do oczu, żeby bandażem otrzeć łzy, płynące mu z bólu czy z powodu innego rodzaju cierpienia, albo nawet z radości, że znowu widzi Karla.

– Rossmann – zawołał z wyrzutem – dlaczego każesz mi tak długo czekać! Już od godziny bronię się, żeby mnie stąd nie odtransportowano, dopóki nie przyjdiesz. Te chłopaki – i dał jednemu z chłopców od windy kuksańca, jakby jego samego opatrunki broniły przed uderzeniami – to prawdziwe diabły. Ach, Rossmann, ta wizyta u ciebie drogo mnie kosztowała.

– Co oni ci zrobili? – spytał Karl i podszedł do noszy, które chłopcy ze śmiechem postawili, żeby wypocząć.

– Jeszcze pytasz – westchnął Robinson – a widzisz, jak wyglądam. Pomyśl, że najprawdopodobniej zostanę kaleką na całe życie. Mam

straszliwe bóle odtąd dotąd – i pokazał najpierw na głowę, a potem na palce u stóp. – Życzyłbym ci, żebyś widział, jak krwawiłem z nosa. Moja kamizelka jest zupełnie zniszczona, zostawiłem ją tam, spodnie są poszarpane, jestem w kalesonach – uchylił trochę koc, zachęcając Karla, żeby pod niego zajrzał. – Co się ze mną stanie! Będę musiał leżeć co najmniej kilka miesięcy i od razu chcę ci powiedzieć, że nie mam nikogo oprócz ciebie, kto by mnie pielęgnował. Delamarche jest na to zbyt niecierpliwy. Rossmann, Rossmannku! – I Robinson, żeby go sobie pozyskać głaskaniem, wyciągnął rękę w stronę Karla, który trochę się cofnął. – Czemuż musiałem cię odwiedzić! – powtórzył kilkakrotnie, żeby Karl nie zapomniał o tym, iż jest współwinny jego nieszczęściu, Karl wprawdzie zorientował się natychmiast, że powodem skarg Robinsona nie są jego rany, lecz straszliwe przepicie, jakie go gnębiło, gdyż ledwo zasnął w ciężkim oszołomieniu, zaraz go zbudzono i niespodzianie pobito do krwi, tak że nie mógł się jeszcze połapać w normalnym świecie. Błahość ran widać było choćby po byle jakich opatrunkach ze starych szmat, którymi chłopcy od windy omotali go całego, widocznie dla żartu. A także dwaj chłopcy przy noszach od czasu do czasu parskali śmiechem. Ale nie było to właściwe miejsce na doprowadzanie Robinsona do przytomności; przechodnie śpiesznie cisnęli się tędy, nie zwracając uwagi na grupę przy noszach, często przeskakiwali przez Robinsona prawdziwie gimnastycznym skokiem, a opłacony pieniędzmi Karla szofer wołał: – Naprzód, naprzód! – Chłopcy od windy ostatkiem sił podnieśli nosze, Robinson chwycił rękę Karla i powiedział przymilnie: – No, chodź, chodźże! – A czyż Karl w stroju, w którym się znajdował, nie byłby najbezpieczniej ukryty w mroku samochodu? Usiadł więc obok Robinsona, który oparł o niego głowę. Pozostający chłopcy od windy serdecznie uścisnęli przez okno rękę Karla, jako byłego kolegi, a samochód zawrócił ku szosie tak ostrym skrętem, że wydawało się, iż

musi bezwarunkowo nastąpić wypadek, lecz zaraz jego jazdę, już wprost przed siebie, spokojnie wchłonął wszystko obejmujący ruch.

AZYL

Ulica, na której automobil się zatrzymał, musiała być chyba jakąś odległą ulicą przedmiejską, gdyż dookoła panowała cisza, a na brzegu chodnika kucały i bawiły się dzieci. Jakiś człowiek z mnóstwem starych ubrań na ramionach nawoływał obserwując okna domów. Karl był znużony i czuł się nieswojo, kiedy wysiadł z autobusu i stanął na ciepłym i jasno oświetlonym przedpołudniowym słońcem asfalcie.

– Naprawdę tu mieszkasz? – zawołał do wnętrza autobusu.

Robinson, który podczas całej jazdy spał spokojnie, mruknął jakieś niewyraźne potwierdzenie i zdawało się, że czeka, aby Karl wyniósł go na zewnątrz.

– No, to nie mam tu nic więcej do roboty. Bądź zdrow – powiedział Karl i miał zamiar odejść ulicą, biegnącą lekko w dół.

– Ależ Karl, co ci przychodzi do głowy? – zawołał Robinson i z przejścia stanął w wozie na lekko jeszcze chwiejnych nogach.

– Muszę iść – powiedział Karl, przypatrując się szybkiemu ozdrowieniu Robinsona.

– W koszuli? – spytał tamten.

– Zarobię sobie jeszcze na surduty! – odpowiedział Karl, stanowczo kiwnął głową Robinsonowi, pożegnał go ruchem podniesionej ręki i byłby naprawdę odszedł, gdyby szofer nie zawołał:

– Chwileczkę cierpliwości, mój panie!

Okazało się, niestety, że szofer rości sobie jeszcze pretensje do dodatkowej należności, gdyż nie zapłacono mu za postój przed hotelem.

– No, tak – zawołał z samochodu Robinson, poświadczając słusność tego żądania – czekałem tam przecież na ciebie tak długo. Musisz mi jeszcze coś dać.

– Tak, naturalnie – powiedział szofer.

– Gdybym tylko miał – powiedział Karl i sięgnął ręką do kieszeni spodni, chociaż wiedział, że jest to daremne.

– Mogę liczyć tylko na pana – powiedział szofer, stanąwszy przed nim na szeroko rozstawionych nogach. – Od tego chorego człowieka nie wolno mi niczego żądać.

Od bramy zbliżył się młody chłopak z wyżartym nosem i przysłuchiwał się z odległości kilku kroków. Właśnie też na ulicy robił obchód policjant, mimo spuszczonej głowy pochwycił spojrzeniem człowieka w koszuli i przystanął.

Robinson, który także zauważył policjanta, popełnił głupstwo, bo krzyknął do niego z drugiego okna: – To nic, to nic! – jak gdyby można było odpędzić policjanta jak muchę. Dzieci, które również przypatrywały się policjantowi, teraz, gdy się zatrzymał, zwróciły także uwagę na Karla i na szofera i nadbiegły kłusem. W bramie naprzeciw stała stara kobieta i przyglądała się im tępym wzrokiem.

– Rossmann! – zawołał teraz jakiś głos z góry. Był to Delamarche, który wołał z balkonu ostatniego piętra. On sam był niezbyt wyraźnie widoczny na tle bładoniebieskiego nieba, miał na sobie szlafrok i obserwował ulicę przez teatralną lornetkę. Obok niego rozpięty był czerwony parasol słoneczny, pod którym, zdawało się, siedziała jakaś pani. – Halo! – krzyknął z największym wysiłkiem, żeby go zrozumiano. – Czy Robinson jest także tutaj?

– Tak – odpowiedział Karl, poparty drugim, znacznie głośniejszym „tak” Robinsona z samochodu.

– Halo! – odkrzyknął Delamarche. – Zaraz schodzę!

Robinson wychylił się z wozu. – To dopiero człowiek! – powiedział, i ta pochwała Delamarche’a była skierowana do Karla, do szofera, do policjanta i do każdego, kto chciał jej słuchać. W górze, na balkonie, na który patrzono jeszcze z roztargnienia, choć Delamarche już go opuścił, podniosła się teraz rzeczywiście spod słonecznego parasola tęga pani w czerwonej, luźnej sukni, wzięła lornetkę z parapetu i spoglądała przez nią na ludzi w dole, którzy stopniowo odwracali od niej wzrok. Karl w oczekiwaniu Delamarche patrzył w bramę domu i w głąb, na podwórze, przez które przechodzili nieprzerwanym niemal szeregiem robotnicy sklepowi; każdy z nich niósł na ramionach małą, ale widocznie bardzo ciężką skrzynię. Szofer podszedł do wozu i wykorzystując czas czyścił szmatą jego latarnie. Robinson obmacywał swoje kończyny, wydawało się, że jest zdziwiony niewielkimi bólami, które odczuwał mimo uważnego badania, i troskliwie, z nisko pochyloną twarzą, zaczął rozwiązywać jeden z grubych bandaży na nodze. Policjant trzymał przed sobą czarną pałeczkę i czekał spokojnie, z wielką cierpliwością, którą policjanci muszą się odznaczać bez względu na to, czy są na zwykłej służbie, czy też stoją na czatach. Chłopak z wyżartym nosem usiadł na kamieniu przy bramie i wyciągnął nogi przed siebie. Dzieci stopniowo, małymi kroczkami, zbliżyły się do Karla, bo właśnie on, choć na nie nie patrzył, wydawał im się z powodu swojej niebieskiej koszuli najważniejszy ze wszystkich.

Po czasie, który upłynął do przyjścia Delamarche, można było ocenić wielką wysokość tego domu. A Delamarche nadszedł nawet bardzo śpiesznie, w naprędcie narzuconym szlafroku. – Więc jesteście wreszcie! – zawołał z radością, ale zarazem surowo. Ponieważ stawiał wielkie kroki, co chwila ukazywała się spod szlafrocka jego kolorowa bielizna. Karl niezupełnie pojmował, dlaczego Delamarche tutaj, w mieście, przed tą ogromną czynszową kamienicą w publicznym miejscu, chodzi ubrany tak swobodnie, jakby się znajdował w swojej prywatnej willi. Podobnie

jak Robinson, także i Delamarche bardzo się zmienił. Jego ciemna, gładko ogolona, pedantycznie czysta twarz, z ostro rysującymi się mięśniami, wyglądała dumnie i wzbudzała szacunek. Zadziwił ostry błysk jego wciąż teraz trochę zmrużonych oczu. Fioletowy szlafrok był wprawdzie stary, poplamiony i zbyt obszerny, lecz z tego brzydkiego odzienia wyłaniał się u góry ogromny, ciemny krawat z grubego jedwabiu.

– No? – zwrócił się pytająco do wszystkich. Policjant przystąpił nieco bliżej i oparł się o maskę samochodu. Karl udzielił krótkiego wyjaśnienia.

– Robinson jest trochę sfatygowany, ale jeśli sobie zada trochę trudu, potrafi już wejść na górę po schodach, ten szofer chce jeszcze dopłaty do rachunku, który już uregulowałem. A teraz idę. Do widzenia.

– Nie idziesz – powiedział Delamarche.

– Ja mu to już powiedziałem – zameldował Robinson z samochodu.

– A jednak idę – powiedział Karl i zrobił parę kroków. Ale Delamarche był już przy nim i siłą przyciągnął go z powrotem.

– Powiedziałem, że zostaniesz! – zawołał.

– Ależ puśćcie mnie – powiedział Karl i gotował się, gdyby zaszła potrzeba, pięściami wywalczyć sobie wolność, choć to wobec takiego człowieka jak Delamarche miało niewielkie widoki powodzenia. Ale stał tu przecież policjant, był szofer, tu i ówdzie tą spokojną zwykle ulicą przechodziły grupy robotników; czyżby więc dopuszczono, aby Delamarche wyrządził mu krzywdę? W jakimś pokoju nie chciałyby znaleźć się z nim sam na sam, ale tutaj? Delmarche zapłacił teraz spokojnie szoferowi, który, schowawszy wśród licznych ukłonów niezasłużenie dużą kwotę, z wdzięczności podszedł do Robinsona i rozmawiał z nim widocznie o tym, jak będzie mu najwygodniej wyjść z wozu. Karl spostrzegł, że nie jest obserwowany, może Delamarche łatwiej zniósłby, gdyby odszedł w milczeniu; naturalnie byłoby najlepiej, gdyby można było uniknąć kłótni, toteż Karl szedł po prostu na jezdnię, żeby możliwie

najszybciej odejść. Dzieci ruszyły tłumnie do Delamarche'a, żeby mu zwrócić uwagę na ucieczkę Karla. Lecz on nie musiał nawet sam się w to wtrącać, gdyż policjant wyciągnął pałkę i powiedział:

– Stój! Jak się nazywasz? – zapytał, wziął pałkę pod ramię i powoli wyciągnął notes. Karl po raz pierwszy przyjrzał mu się teraz dokładniej, był to krzepki mężczyzna, miał już jednak prawie całkiem siwe włosy.

– Karl Rossmann – powiedział.

Rossmann – powtórzył policjant, zapewne tylko dlatego, że był człowiekiem spokojnym i dokładnym, lecz Karl, który teraz właściwie po raz pierwszy miał coś do czynienia z amerykańskimi władzami, dopatrywał się już w tym powtórzeniu pewnej podejrzliwości. I rzeczywiście jego sprawa nie mogła wyglądać dobrze, gdyż nawet Robinson, który był przecież tak bardzo zajęty własnymi kłopotami, prosił z wozu Delamarche'a wymownymi, żywymi gestami rąk, żeby pomógł Karlowi. Ale Delamarche opędził się od niego szybkim ruchem głowy i patrzył beczynn timerkami w swoich przesadnie dużych kieszeniach. Chłopak, siedzący na kamieniu przy drzwiach, wyjaśniał cały przebieg sprawy od jej początku kobiecie, która teraz dopiero wyszła z bramy. Dzieci stały za Karlem półkolem i w milczeniu patrzyły na policjanta.

– Pokaż dokumenty – powiedział policjant. Było to na pewno tylko formalne pytanie, bo jeśli ktoś nie ma surduta, nie będzie też miał przy sobie zbyt wielu dokumentów. Dlatego Karl milczał, żeby raczej na następne pytanie odpowiedzieć wyczerpująco i w ten sposób możliwie najbardziej zatuszować brak dokumentów.

Ale następne pytanie brzmiało:

– Więc nie masz żadnych dokumentów?

I Karl musiał odpowiedzieć: – Przy sobie – nie.

– To niedobrze – powiedział policjant, popatrzył w zamyśleniu dokoła i stuknął dwoma palcami w okładkę swego notesu. – Masz jakieś zarobki?

– zapytał wreszcie.

– Byłem chłopcem od windy – powiedział Karl.

– Byłeś chłopcem od windy, więc już nim nie jesteś, a wobec tego z czego teraz żyjesz?

– Teraz poszukam sobie nowej pracy.

– A, więc zostałeś zwolniony?

– Tak, przed godziną.

– Nagle?

– Tak – powiedział Karl i podniósł rękę, jakby w usprawiedliwieniu. Nie mógł tutaj opowiadać całej historii, a gdyby to nawet było możliwe, wydawało się, że nie ma żadnej nadziei na odwrócenie grożącej mu krzywdy przez opowiedzenie o krzywdzie wycierpianej. A skoro jego racja nie zwyciężyła ani wobec dobroci Starszej Kucharki, ani wobec rozsądku Starszego Kelnera, to z pewnością nie mógł oczekiwać uznania jej przez to towarzystwo na ulicy.

– I zwolnili cię bez surduta? – powiedział policjant.

– No, tak – powiedział Karl; a więc i w Ameryce władze miały zwyczaj pytać o to, co było widoczne. (Jakże jego ojciec przy staraniach o paszport irytował się niepotrzebnymi wypytywaniami w urzędach!) Karl miał wielką ochotę uciec, skryć się gdzieś i nie słuchać już żadnych pytań. A teraz właśnie policjant zadał to pytanie, którego Karl obawiał się najbardziej i oczekiwał z niepokojem, wskutek czego zachowywał się dotychczas zapewne bardziej nieostrożnie, niż gdyby go się nie lękał.

– W jakim hotelu byłeś zatrudniony?

Karl spuścił głowę i nie odpowiedział, na to pytanie bezwarunkowo nie chciał odpowiedzieć. Nie chciał eskortowany przez policjanta wrócić do hotelu „Occidental” i poddać się tam przesłuchaniom, do których wciągnięto by jego przyjaciół i wrogów, ani żeby Starsza Kucharka zupełnie straciła swe mocno już zachwiane dobre mniemanie o nim, kiedy

okaże się, że nie jest, jak przypuszczała, w pensjonacie Brennera, lecz znalazł się z powrotem, złapany przez policjanta, w koszuli, bez jej karty wizytowej, podczas gdy Starszy Kelner będzie kiwał głową z pełnym zrozumieniem sytuacji, a Starszy Portier mówił o ręce boskiej, która w końcu dosięgła łotra.

– On był zatrudniony w hotelu „Occidental” – powiedział Delamarche i podszedł do policjanta.

– Nie – zawołał Karl i tupnął nogą – to nieprawda! – Delamarche patrzył na niego z szyderczo ściągniętymi ustami, jakby mógł zdradzić jeszcze zupełnie inne rzeczy. Wśród dzieci nieoczekiwana irytacja Karla wywołała wielkie poruszenie i przysunęły się do Delamarche, aby z bliska dokładnie przypatrywać się Karlowi. Robinson całkiem wysunął głowę z wozu i z przejścia zachowywał się zupełnie spokojnie; jedynym jego ruchem było mruganie oczami od czasu do czasu. Chłopak w bramie klasnął w dłonie z rozbawieniem, stojąca obok niego kobieta szturchnęła go łokciem, żeby się zachowywał spokojnie. Tragarze mieli właśnie przerwę na śniadanie i zjawili się niosąc wielkie garnki czarnej kawy, którą mieszały długimi bułkami. Kilku usiadło na krawężniku, wszyscy bardzo głośno siorbali kawę.

– Pan pewno zna tego chłopaka? – spytał policjant Delamarche’a.

– Lepiej, niżbym chciał – odparł ten. – W swoim czasie zrobiłem dla niego wiele dobrego, ale on mi się za to źle odplacił, co pan z pewnością łatwo pojmie, nawet po tym krótkim przesłuchaniu, jakiemu go pan poddał.

– Tak – powiedział policjant – wygląda na zatwardziałego chłopca.

– Ma pan słuszość – powiedział Delamarche. – Ale to nie jest jeszcze jego najgorsza cecha.

– Tak? – powiedział policjant.

– Tak – odparł Delamarche, którego teraz poniosło gadulstwo, przy

tym rękami wetkniętymi w kieszenie cały swój szlafrok wprawiał w ruch.
– To dobry numer. Ja i mój przyjaciel, ten w samochodzie, znaleźliśmy go w nędzy, nie miał wtedy pojęcia o amerykańskich stosunkach, przyjechał dopiero co z Europy, gdzie go też nie potrzebowano; no, więc ciągnęliśmy go z sobą, pozwoliliśmy mu żyć razem z nami, wyjaśnialiśmy mu wszystko, chcieliśmy znaleźć mu jakąś posadę, myśleliśmy, mimo wszelkich oznak, jakie przeciw temu przemawiały, że zrobimy z niego jeszcze człowieka pożytecznego, ale on którejs nocy zniknął, po prostu odszedł, i to w okolicznościach, które lepiej przemilczę. Tak było czy nie? – spytał na koniec Delamarche i szarpnął Karla za rękaw koszuli.

– Cofnąć się, dzieci! – zawołał policjant, gdyż pchały się tak blisko, że Delamarche niemal potknął się o jedno z nich. Tymczasem także tragarze, którzy dotychczas nie doceniali przesłuchania, zwrócili na nie uwagę i stanęli zwartym pierścieniem za Karlem, który nie mógłby teraz cofnąć się nawet o krok, a ponadto bezustannie szumiały mu w uszach głosy tragarzy, którzy w angielszczyźnie całkowicie niezrozumiałej, być może przemieszanej ze słowiańskimi wyrazami, raczej hałasowali niż rozmawiali.

– Dziękuję za informacje – powiedział policjant i zasalutował przed Delamarche'em. – W każdym razie wezmę go z sobą i odstawię do hotelu „Occidental”.

Ale Delamarche powiedział:

– Czy mógłbym prosić, żeby mi pan tymczasem zostawił tego chłopaka, mam z nim jeszcze coś niecoś do załatwienia. Zobowiązuję się, że potem sam go odprowadzę do hotelu.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział policjant.

– Oto moja wizytówka – powiedział Delamarche i wręczył mu kartkę.

Policjant spojrział na nią z uznaniem, ale powiedział, uśmiechając się uprzejmie:

– Nie, to daremne.

Choć Karl dotychczas bardzo wystrzegał się Delamarche’a, teraz upatrywał w nim jedyny ratunek. Sposób, w jaki prosił on policjanta o pozostawienie mu Karla, był wprawdzie podejrzany, ale w każdym razie Delamarche’a łatwiej niż policjanta dałoby się nakłonić do tego by go nie odprowadzał do hotelu. A nawet gdyby Karl wrócił do hotelu z Delamarche’em, byłoby to o wiele lepiej, niż gdyby się tam zjawił w towarzystwie policjanta. Tymczasem jednak Karl naturalnie nie mógł dać po sobie poznać, że istotnie chce pozostać z Delamarche’em, bo wszystko byłoby stracone. I z niepokojem patrzył na rękę policjanta, którą ten każdej chwili mógł podnieść, żeby go zatrzymać.

– Muszę przecież dowiedzieć się przynajmniej, za co został nagle zwolniony – powiedział w końcu policjant, podczas gdy Delamarche ze skwaszoną miną stał z boku i końcami palców miał wizytówkę.

– Ależ on wcale nie jest zwolniony! – zawołał Robinson ku ogólnemu zdumieniu i opierając się na szoferze wychylił się z wozu najdalej, jak mógł. – Przeciwnie, ma tam dobrą posadę. Zawiaduje sypialnią i może do niej wprowadzić, kogo chce. Jest tylko ogromnie zajęty i kiedy się od niego czegoś chce, trzeba długo na niego czekać. Wciąż siedzi u Starszego Kelnera, u Starszej Kucharki i jest osobą zaufaną. W każdym razie nie jest zwolniony. Nie wiem, dlaczego to powiedział. Jak mógłby być zwolniony? Pokaleczyłem się ciężko w hotelu, więc polecono mi, żeby mnie odwiózł do domu, a ponieważ właśnie był bez surduta, więc bez surduta ze mną pojechał. Nie mogłem czekać, aż pójdzie po surdut.

– No, więc! – powiedział Delamarche rozkładając ręce i takim tonem, jakby zarzucał policjantowi brak znajomości ludzi, i zdawało się, że te jego dwa słowa nadały niepewnej wypowiedzi Robinsona bezsprzeczną jasność.

– Ale czy to prawda? – już słabiej zapytał policjant. – A jeśli to prawda,

dłaczego chłopak udaje, że został zwolniony?

– Odpowiedz – powiedział Delamarche.

Karl patrzył na policjanta, który miał zaprowadzić ład tutaj, pośród obcych, tylko o samych sobie myślących ludzi, i coś z jego zatroskania udzieliło się też Karlowi. Nie chciał kłamać i trzymał ręce mocno splecione na plecach.

W bramie pojawił się nadzorca robotników i zaklaskał w dłonie na znak, że tragarze powinni już wrócić do pracy. Ucichli, wytrząsnęli fusy z garnków od kawy i kołyszającym krokiem weszli do domu.

W ten sposób nie dojdziemy do niczego – powiedział policjant i chciał chwycić Karla za ramię. Karl mimo woli uchylił się jeszcze nieco w tył, poczuł za sobą wolne miejsce, które otwarło się wskutek odejścia tragarzy, odwrócił się i po kilku skokach ruszył biegiem. Dzieci wybuchnęły jednym zgodnym wrzaskiem i z wyciągniętymi rękami pobiegły kilka kroków za nim.

– Trzymajcie go! – zawołał policjant w długą, niemal pustą ulicę i równocześnie z wydaniem tego okrzyku ruszył za Karlem bezgłośnie biegiem zdradzającym dużą siłę i wyćwiczenie. Szczęściem dla Karla ów pościg miał miejsce w dzielnicy robotniczej. Robotnicy nie trzymają z władzami. Karl biegł środkiem jezdni, bo tam miał najmniej przeszkód i od czasu do czasu widział robotników, stojących na chodniku i obserwujących go spokojnie, podczas gdy policjant krzyczał do nich swoje: – Trzymajcie go! – i roztropnie biegnąc gładkim chodnikiem, bezustannie wyciągał pałkę w stronę Karla. Karl miał mało nadziei, a stracił ją niemal zupełnie, kiedy policjant teraz, gdy zbliżały się przecznice, na których na pewno znajdowały się patrole, wydał wprost ogłuszający gwizd. Przewagą Karla było jedynie jego lekkie ubranie, leciał lub raczej rzucał się naprzód biegnącą wciąż w dół ulicą, często tylko, oszołomiony z powodu niewyspania, robił zbyt wysokie, pochłaniające czas i

niepotrzebne skoki. Poza tym jednak policjant nie rozpraszał się myślą o swym celu, miał go wciąż przed oczami, dla Karła natomiast sam bieg był właściwie sprawą uboczną, gdyż musiał się zastanawiać, wybierając między rozmaitymi możliwościami, decydować się wciąż od nowa. Jego nieco rozpaczliwy plan polegał na razie na tym, żeby unikać bocznych ulic, ponieważ nie można było wiedzieć, co się w nich kryje, mógł nawet wbiec prosto do jakiegoś komisariatu; chciał, jak tylko będzie można, trzymać się tej ulicy o dobrej widoczności, kończącej się dopiero daleko w dole mostem, który zaraz za swym początkiem zniknął w oparze wody i słońca. Właśnie po tej decyzji chciał poderwać się do szybszego biegu, aby szczególnie szybko minąć pierwszą przecznicę, gdy niezbyt daleko od siebie dostrzegł policjanta zaczajonego pod ciemnym murem, w cieniu jakiegoś domu, i gotowego w odpowiednim momencie wyskoczyć. Teraz pozostała mu już tylko boczna ulica, a skoro w dodatku właśnie z niej ktoś całkiem spokojnie zawołał na niego po nazwisku – co prawda z początku wydało mu się to złudzeniem, bo przez cały czas szumiało mu w uszach – nie wahał się dłużej i, aby możliwie najbardziej zaskoczyć policjantów, obróciwszy się na jednej nodze, skręcił po kątem prostym na prawo w tę ulicę.

Ledwie zrobił dwa skoki – zapomniał, że zawołano go po nazwisku, teraz gwizdał już także drugi policjant, przejawiała się w tym jego niespożyta siła, dalecy przechodnie na tej bocznej ulicy, zdawało się, przyspieszyli kroku – kiedy z małych drzwi jakiegoś domu wyciągnęła się po Karła ręka i ze słowami: – Bądź cicho! – wciągnęła go do ciemnej sieni. Był to Delamarche, zupełnie bez tchu, z rozpalonymi policzkami, z włosami zlepionymi potem. Szlafrok trzymał pod pachą, był ubrany tylko w koszulę i kalesony. Natychmiast zamknął i zarygłował drzwiczki, które nie były właściwymi drzwiami domu, lecz tylko niepozornym, bocznym wejściem.

– Chwileczkę – powiedział potem, oparł się o ścianę z wysoko podniesioną głową i ciężko oddychał. Karl leżał prawie w jego ramionach i na pół przytomnie przyciskał twarz do jego piersi.

– O, tamci panowie biegną – powiedział Delamarche i nasłuchując wyciągnął palec w kierunku drzwi. Rzeczywiście dwaj policjanci przebiegali teraz obok, ich tupot rozlegał się w pustej ulicy jak uderzenia stali o kamień.

– Ale cię porządnie wzięło – powiedział Delamarche do Karla, który wciąż jeszcze łąpał oddech i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Delamarche posadził go ostrożnie na podłodze, uklęknął przy nim, kilkakrotnie przesunął mu ręką po czole i uważnie go obserwował.

– Już mi lepiej – powiedział Karl i wstał z trudem.

– No, to chodźmy – powiedział Delamarche, który włożył już szlafrok i teraz popychał przed sobą Karla, idącego z powodu osłabienia ze spuszczoną głową. Od czasu do czasu potrzasał Karlem, żeby go otrzeźwić.

– Co, jesteś zmęczony? – mówił. – Ty mogłeś biec sobie ulicami jak koń, a ja musiałem przekradać się przez te przekłete korytarze i podwórka. Ale na szczęście ja także jestem biegaczem. – Z dumą klepnął Karla po plecach. – Od czasu do czasu takie wyścigi z policją są dobrym ćwiczeniem.

– Byłem już zmęczony, kiedy zaczynałem biec – powiedział Karl.

– Dla złęgo biegu nie ma żadnego usprawiedliwienia – powiedział Delamarche. – Gdyby mnie nie było, dawno by cię już złapali.

– Ja też tak myślę – powiedział Karl. – Jestem panu bardzo zobowiązany.

– Nie wątpię – powiedział Delamarche.

Szli przez długą, wąską sień, wyłożoną ciemnymi, gładkimi kamieniami. Tu i ówdzie otwierało się na prawo lub na lewo wejście

na schody albo widok na inną, większą sień. Dorosłych prawie nie było widać, tylko dzieci bawiły się na pustych schodach. Przy poręczy stała mała dziewczynka i płakała, aż cała jej twarz lśniła od łez. Kiedy spostrzegła Delamarche'a, chwytając powietrze otwartymi ustami wbiegła po schodach odwracając się raz po raz i uspokoiła się dopiero wysoko na górze, gdy przekonała się, że nikt za nią nie idzie ani nie zamierza iść.

– Przewróciłem ją przed chwilą, kiedy biegłem – powiedział Delamarche śmiejąc się i pogroził jej pięścią, na co ona z krzykiem popędziła jeszcze wyżej.

Także i podwórka, przez które przechodzili, były prawie zupełnie opustoszałe. Tylko tu i ówdzie tragarz pchał przed sobą dwukołowe taczki, jakaś kobieta przy pompie napełniała dzbanek wodą, listonosz spokojnym krokiem przemierzał podwórze, stary człowiek z siwym wąsem siedział, założywszy nogę na nogę, przed szklanymi drzwiami i palił fajkę, przed firmą spedycyjną wyładowywano skrzynie, beczynne konie obojętnie kręciły głowami, człowiek w roboczym kitlu, z papierem w rękę, dozorował całej pracy; w jednym z biur było otwarte okno, a urzędnik siedzący przy biurku odwrócił się ku niemu i w zamyśleniu wyglądał na podwórze, przez które właśnie przechodził Karl i Delamarche.

– Nie można by sobie wymarzyć spokojniejszej okolicy – powiedział Delamarche. – Wieczorem jest tu przez parę godzin wielki hałas, ale w ciągu dnia panuje wzorowa cisza. – Karl kiwnął głową wydawało mu się, że jest tu za spokojnie. – Nie mógłbym mieszkać gdzie indziej – powiedział Delamarche – bo Brunelda nie znosi absolutnie żadnego hałasu. Znasz Bruneldę? No, to ją zobaczysz. W każdym razie radzę ci, żebyś zachowywał się możliwie najciszej.

Kiedy doszli do schodów wiodących do mieszkania Delamarche, automobil już odjechał, a chłopak z wyżartym nosem, nie dziwiąc się bynajmniej ponownemu zjawieniu się Karla, zameldował, że wniósł

Robinsona po schodach na górę. Delamarche skinął mu głową, jakby chłopak był jego służącym, który wypełnił sam przez się zrozumiałą obowiązek, i pociągnął za sobą na schody Karla, który trochę się wahał i patrzył na słoneczną ulicę.

– Zaraz będziemy na górze – powtarzał Delamarche kilka razy podczas wchodzenia po schodach, ale jego przepowiednie jakoś się nie spełniały, wciąż od nowa po jednych schodach następowały drugie, biegnące w nieznacznie tylko zmienionym kierunku. Raz Karl nawet przystanął, właściwie nie ze znużenia, lecz z bezbronności wobec tych wciąż nowych schodów.

– Mieszkanie jest położone wysoko – powiedział Delamarche, kiedy ruszyli dalej – ale to także ma swoje dobre strony. Człowiek wychodzi bardzo rzadko, siedzi cały dzień w szlafroku, urządziliśmy się bardzo przytulnie. Naturalnie nikt też nas nie odwiedza z powodu tej wysokości.

„Kto by miał ich odwiedzać?” – pomyślał Karl. W końcu na jednym z podestów ujrzeli Robinsona przed zamkniętymi drzwiami od mieszkania i oto przybyli na miejsce; schody wprawdzie jeszcze się nie skończyły, lecz w półmroku prowadziły dalej i nic nie zdawało się wskazywać na to, żeby wkrótce miały się skończyć.

– Tak sobie właśnie myślałem – powiedział Robinson cicho, jakby go jeszcze gnębiły bóle. – Delamarche go przyprowadza! Rossmann, co by się z tobą stało, gdyby nie Delamarche! – Robinson stał pod drzwiami w samej bieliźnie i usiłował tylko, o ile to było możliwe, owinać się małą kołdrą, którą mu dano w hotelu „Occidental”; nie wiadomo dlaczego nie wszedł do mieszkania zamiast ośmieszać się przed ludźmi, którzy mogli tędy przechodzić.

– Ona śpi? – spytał Delamarche.

– Nie sądzę – powiedział Robinson. – Ale wolałem poczekać, aż przyjdiesz.

Musimy najpierw zobaczyć, czy ona śpi – powiedział Delamarche i nachylił się do dziurki od klucza. Po dłuższej chwili wpatrywania się, przy czym rozmaicie wykręcał głowę, podniósł się i powiedział:

Nie widać jej dokładnie, kotara jest zaciągnięta. Siedzi na kanapie, ale może śpi.

Jest chora? – spytał Karł, bo Delamarche stał niezdecydowany, jakby prosił o radę. Lecz teraz ostrym tonem powtórzył pytanie:

– Chora?

On jej przecież nie zna – powiedział Robinson usprawiedliwiająco.

Z którychś pobliskich drzwi wyszły na korytarz dwie kobiety, stanęły wycierając ręce w fartuchy, popatrzyły na Delamarche'a i Robinsona i zdawało się, że o nich rozmawiają. Z jednych drzwi wyskoczyła jeszcze całkiem młoda dziewczyna o błyszczących, jasnych włosach i wcisnęła się między dwie kobiety, wieszając się u ich ramion.

– To są obrzydliwe baby – powiedział Delamarche cicho, ale widocznie tylko ze względu na śpiącą Bruneldę. – Wkrótce złożę na nie doniesienie w policji i będę miał z nimi spokój na długie lata. Nie patrz tam – syknął na Karła, który nie widział nic złego w przypatrywaniu się kobietom, skoro już musieli czekać na korytarzu, aż się Brunelda przebudzi. Ze złością potrząsnął głową na znak, że nie ma obowiązku przyjmować od Delamarche'a żadnych napomnień, i aby to okazać jeszcze wyraźniej, chciał podejść do kobiet, lecz wtedy Robinson chwycił go za rękaw ze słowami: – Rossmann, strzeż się! – a Delamarche, podrażniony już przez Karła, kiedy dziewczyna głośno się roześmiała, wpadł w taką wściekłość, że z wielkim rozpędem, wymachując rękami i nogami, rzucił się w stronę kobiet, które zniknęły jak zdmuchnięte, każda za swoimi drzwiami.

– Muszę tutaj często oczyszczać w ten sposób korytarze – powiedział Delamarche, gdy wrócił wolnym krokiem; wtedy przypomniał sobie o oporze Karła i dodał: – Ale od ciebie oczekuję zupełnie innego zachowania

się, inaczej możesz mieć ze mną kłopoty.

Wtem z pokoju rozległ się głos, pytający miękko, zmęczonym tonem:

– Delamarche?

– Tak – odpowiedział Delamarche i przymilnie spojrzął w kierunku drzwi. – Czy możemy wejść?

– O, tak – dało się słyszeć i Delamarche, obrzuciwszy wzrokiem dwóch czekających za nim, powoli otworzył drzwi.

Weszli w zupełną ciemność. Zasłona na drzwiach od balkonu – okna nie było w ogóle – zwisała aż do podłogi i przepuszczała mało światła, poza tym pokój przeładowany był meblami i rozwieszonymi wszędzie ubraniami, co przyczyniało się bardzo do jego zaciemnienia. Panowała tu duchota i wprost czuło się zapach kurzu, nagromadzonego po kątach, widocznie niedostępnych rękom ludzkim. Pierwszą rzeczą, jaką Karl zauważył przy wejściu, były trzy skrzynie, ustawione jedna tuż za drugą.

Na kanapie leżała kobieta, która przedtem patrzyła w dół z balkonu. Jej czerwona suknia trochę podciągnęła się z jednej strony, z drugiej zaś zwisała aż do podłogi; było widać jej nogi prawie do kolan, miała grube, białe, wełniane pończochy; była bez obuwia.

– Ależ upał, Delamarche – powiedziała, odwróciła twarz do ściany i leniwie uniosła rękę w stronę Delamarche, który ujął ją i ucałował. Karl patrzył tylko na jej podwójny podbródek, który przy obrocie głowy także się zakołysał.

– Może podnieść zasłonę? – zapytał Delamarche.

– Tylko nie to – powiedziała z zamkniętymi oczami i jakby zrozpaczona. – Wtedy będzie jeszcze gorzej.

Karl podszedł do kanapy, żeby dokładniej przyjrzeć się kobiecie, dziwił się jej skargom, bo upał wcale nie był niezwykły.

– Poczekaj, zrobię coś, żeby ci było trochę wygodniej – powiedział

Delamarche trwożliwie, odpiął jej kilka guzików przy szyi i rozchylił suknię, tak że odsłoniła szyję i nasadę piersi i ukazała żółtawy, koronkowy rąbek koszuli.

– Kto to jest? – powiedziała nagle kobieta i wskazała palcem na Karla.

– Dlaczego on się tak na mnie gapi?

– Wcześniej zaczyna być z ciebie pożytek – powiedział Delamarche i odsunął Karla na bok, uspokajając kobietę:

– To tylko ten chłopak, którego ci przyprowadziłem do posługi.

– Ależ ja nikogo nie chcę! – zawołała. – Czemu przyprowadzasz mi obcych ludzi do mieszkania?

– Przecież cały czas życzyłaś sobie kogoś do posługi – powiedział Delamarche i ukląkł przy niej; na kanapie, mimo że była bardzo szeroka, nie pozostawało obok Bruneldy ani odrobiny miejsca.

– Ach, Delamarche – powiedziała – ty mnie nie rozumiesz.

– No, to naprawdę cię nie rozumiem – powiedział Delamarche i ujął jej twarz w obie ręce. – Ale nic się przecież nie stało, jeśli sobie życzysz, to on natychmiast odejdzie.

– Skoro już tu jest, to niech zostanie – powiedziała teraz Brunelda, a Karl, wskutek znużenia, poczuł taką wdzięczność za te słowa, może nawet wypowiedziane bez szczególnej życzliwości, że wciąż prześladowany myślą o owych nie kończących się schodach, po których może zaraz znowu musiałby schodzić, przestał przez spokojnie śpiącego na swojej kółdrze Robinsona i mimo gniewnych gestów Delamarche’a powiedział:

– W każdym razie dziękuję pani za to, że pozwala mi tu pani jeszcze trochę zostać. Nie spałem już od dwudziestu czterech godzin, a przy tym pracowałem i miałem rozmaite emocje. Jestem strasznie zmęczony. W ogóle nie wiem, gdzie jestem. Ale jeśli prześpię się kilka godzin, może mnie pani bez skrupułów oddalić, chętnie odejdę.

– Możesz tu w ogóle zostać – powiedziała kobieta i dodała ironicznie:

– Miejsca, jak widzisz, mamy tu aż za dużo.

– Musisz odejść – powiedział Delamarche. – Nie będziesz potrzebny.

– Nie, niech zostanie – powiedziała kobieta, teraz znowu poważnie. A Delamarche powiedział do Karla, jakby spełniając to życzenie:

– No, to połóż się tu gdzieś.

– Może się położyć na firankach, ale musi zdjąć buta, żeby nic nie podał.

Delamarche pokazał Karlowi miejsce, o którym myślała. Pomiędzy drzwiami i trzema skrzyniami leżały, rzucone na wielki stos, najrozmaitsze firanki z okien. Gdyby się je wszystkie porządnie poukładało, ciężkie na samym dole, a ku górze coraz lżejsze i gdyby się wyciągnęło rozmaite tkwiące w nich deski i drewniane pierścienie, zrobiłoby się z tego znośne legowisko, teraz była to tylko kołysząca się, śliska masa; mimo to Karl momentalnie się na niej położył, gdyż na jakiegokolwiek przygotowania do snu był zbyt zmęczony, a także ze względu na gospodarzy musiał powstrzymać się od sprawiania im kłopotu.

Już prawie zasnął, kiedy usłyszał głośny krzyk, usiadł i zobaczył Bruneldę, siedzącą na kanapie i szeroko rozpostartymi ramionami obejmującą Delamarche, który przed nią klęczał. Karl, dla którego ten widok był przykry, położył się z powrotem i pogrzyżył się w firanki, żeby spać dalej. Wydawało mu się pewne, że nie wytrzymałby tu ani dwóch dni, ale tym potrzebniejsze było, żeby najpierw gruntownie się wyspał, a potem, w pełni przytomności, szybko i trafnie mógł coś postanowić.

Ale Brunelda zauważyła wytrzeszczone ze znużenia oczy Karla, które raz ją już przestraszyły, i zawołała: Delamarche, ja już nie mogę wytrzymać z upału, ja płonę, muszę się rozebrać, muszę się wykąpać, wyślij ich obu z pokoju, dokąd chcesz, na korytarz, na balkon, żeby ich już więcej nie widziała! We własnym mieszkaniu wciąż ktoś człowiekowi przeszkadza! Ach, gdybym była sama z tobą, Delamarche! Ach, Boże,

oni jeszcze tu są! Jak ten bezwstydnny Robinson rozkłada się tylko w białiznie w obecności damy! A ten obcy chłopak, który przed chwilą tak dziko na mnie patrzył, znowu się położył, żeby mnie zmylić! Wyrzuć ich, Delamarche, oni są mi ciężarem, oni mi leżą na piersi, jeśli teraz umrę, to przez nich.

– Natychmiast sobie pójdą, rozbieraj się – powiedział Delamarche, podszedł do Robinsona i potrząsnął nim stopą, którą mu postawił na piersi. Równocześnie zawołał do Karla:

Rossmann, wstawaj! Wynoście się obaj na balkon! I biada wam, gdybyście wrócili, zanim was zawołam! A teraz żywo, Robinson – potrząsnął przy tym silniej Robinsonem – a ty, Rossmann, uważaj, żebyś się do ciebie też nie zabrał – klasnął przy tym głośno dwa razy w rękę.

– Jak to długo trwa! – zawołała Brunelda z kanapy; siedziała szeroko rozstawiwszy nogi, żeby swemu nadmiernie otłęmu ciału zapewnić więcej miejsca; tylko z największym wysiłkiem, bardzo sapiąc i często odpoczywając, mogła pochylić się tak nisko, żeby uchwycić brzeg pończoch i ściągnąć je trochę, zupełnie ich ściągnąć nie mogła, tym musiał się zająć Delamarche, na którego teraz niecierpliwie czekała.

Zupełnie otępiały ze zmęczenia, Karl szczołgał się ze stosu i z wolna poszedł ku drzwiom od balkonu, obojętnie ciągnąc za sobą kawałek firanki, który owinął mu się dokoła nogi. W roztargnieniu powiedział nawet, przechodząc obok Bruneldy: – Życzę pani dobrej nocy – i powędrował potem na balkon, mijając Delamarche, który odsunął trochę kotarę na drzwiach. Zaraz za Karlem nadszedł Robinson, na pewno nie mniej niż on zaspany, gdyż mruczał pod nosem: – Wciąż tu kogoś maltretują! Nie pójdę na balkon, jeśli Brunelda też nie pójdzie. – Ale pomimo tego zapewnienia wyszedł bez oporu i ponieważ Karl zagłębił się już w fotelu, położył się natychmiast na posadzce.

Gdy Karl się obudził, był już wieczór, na niebie świeciły gwiazdy,

s poza wysokich domów po przeciwnej stronie ulicy wynurzał się księżyc. Dopiero po kilkakrotnym rozejrzeniu się w nieznanej okolicy, po kilku oddechach chłodnym, orzeźwiającym powietrzem, Karl uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Jakże był nieostrożny, że zlekceważywszy wszystkie rady Starszej Kucharki, wszystkie ostrzeżenia Teresy, wszystkie własne obawy, siedział tutaj spokojnie na balkonie Delamarche'a, że przespał tu nawet pół dnia, jakby poza kotarą nie znajdował się Delamarche, jego wielki wróg. Na posadzce przewracał się z boku na bok leniwy Robinson i ciągnął Karla za nogę, widocznie to on go w ten sposób obudził, bo mówił:

– Ależ ty masz sen, Rossmann! Oto beztroska młodość. Jak długo chcesz jeszcze spać? Ja bym ci na to pozwolił, ale po pierwsze jest mi tu na posadzce zbyt nudno, a po drugie jestem bardzo głodny. Proszę cię, podnieś się na chwilę, schowałem tam pod fotelem trochę jedzenia, bardzo bym je chciał wyciągnąć. Tobie też dam coś niecoś.

Karl wstał i przyglądał się, jak Robinson przyczołgał się na brzuchu i wyciągnąwszy ręce wyjął spod fotela posrebrzaną czarę, taką jakiej używa się do przechowywania kart wizytowych. Ale na tej leżało pół wianka zupełnie czerniałej kielbasy, kilka cienkich papierosów, otwarta, ale jeszcze niemal pełna i ociekająca oliwą puszka sardynek oraz mnóstwo, przeważnie rozkruszonych i zbitych w kulę, cukierków. Potem pojawił się jeszcze wielki kawał chleba i coś w rodzaju butelki od perfum, która jednak wypełniona była widocznie czymś innym niż perfumami, gdyż Robinson pokazał ją Karlowi ze szczególną satysfakcją, mlasnąwszy głośno.

– Widzisz, Rossmann – mówił, łykając sardynkę za sardynką i od czasu do czasu wycierając oliwę z rąk wełnianą chustką, zapomnianą widocznie przez Bruneldę na balkonie. – Widzisz, Rossmann, tak trzeba chować jedzenie, jeśli człowiek nie chce się zagłodzić. Słuchaj, ja tu

zostałem zupełnie odsunięty. A kiedy człowieka wciąż traktują jak psa, zaczyna w końcu myśleć, że jest nim naprawdę. Dobrze, że teraz ty tu jesteś, Rossmann, mam przynajmniej z kim porozmawiać. W kamienicy nikt ze mną nie rozmawia. Jesteśmy znienawidzeni. A wszystko przez Bruneldę. Ona jest naturalnie wspaniałą kobietą. Ty – i kiwnął na Karla, żeby mu szepnąć do ucha – widziałem ją raz nago. O! – I Robinson, na wspomnienie tej uciechy, zaczął Karla ścisnąć i uderzać po nogach, aż Karl zawołał: – Robinson, tyś zwariował! – chwycił go za rękę i odsunął.

– Z ciebie jeszcze dziecko, Rossmann – powiedział Robinson, wyciągnął spod koszuli sztylet, który nosił na sznurku na szyi, wyjął go z pochwy i pokroił twardą kielbasę. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Ale tu, u nas, jesteś u właściwego źródła. Siadajże. Nie chciałbyś czegoś zjeść? No, może nabierzesz apetytu, jak mi się będziesz przypatrywał. Pić też nie chcesz? Ty rzeczywiście niczego nie chcesz. Nie jesteś też zbyt rozmowny. Ale to wszystko jedno, z kim jestem na balkonie, byleby w ogóle ktoś tu był. Widzisz, ja bardzo często siedzę na balkonie. Bruneldę to bawi. Coraz to jej coś przychodzi do głowy, to jest jej za zimno, to za gorąco, raz chce spać, raz chce się czesać, raz chce rozpiąć stanik, raz chce go włożyć, a wtedy wysyła mnie zawsze na balkon. Ona czasem naprawdę robi to, co mówi, ale przeważnie leży jak przedtem na kanapie i nie rusza się. Dawniej często odsuwałem troszeczkę kotarę i zaglądałem do środka, ale kiedyś przy takiej okazji Delamarche – wiem na pewno, że tego nie chciał i zrobił to tylko na prośbę Bruneldy – uderzył mnie kilka razy szpicrutą w twarz – widzisz te pręgi? – I nie odważam się już zaglądać. Tak sobie leżę wtedy na balkonie i nie mam żadnej przyjemności poza jedzeniem. Przedwczoraj, kiedy wieczorem tak sam leżałem – miałem jeszcze na sobie eleganckie ubranie, które, niestety, straciłem w twoim hotelu – co za psy, żeby z kogoś zdzierać takie drogie ubranie! – więc kiedy tak sam leżałem i patrzyłem przez poręcz w dół, zrobiło mi

się bardzo smutno i rozbeczałem się. Wtedy przypadkowo, tak że tego od razu nie zauważyłem, wyszła do mnie Brunelda w czerwonej sukni – w niej jest jej najlepiej ze wszystkich – popatrzyła na mnie chwilę i w końcu powiedziała: „Robinson, dlaczego płaczesz?” Potem uniosła suknię i ręką jej otarła mi oczy. Kto wie, co by jeszcze zrobiła, gdyby jej nie zawołał Delamarche i gdyby nie musiała natychmiast wrócić do pokoju. Pomyślałem naturalnie, że teraz kolej na mnie, i zapytałem przez kotarę, czy mogę już wejść do pokoju. I jak myślisz, co powiedziała Brunelda? „Nie! – powiedziała. I: – Co ci przyszło do głowy?” – powiedziała.

– Dlaczego więc zostajesz tutaj, jeśli tak źle cię traktują? – spytał Karl.

– Wybacz, Rossmann, pytasz niezbyt mądrze – odpowiedział Robinson. – Ty także tutaj zostaniesz, nawet jeśli będą cię jeszcze gorzej traktowali. Zresztą mnie nie traktują tak źle.

– Nie – powiedział Karl. – Ja na pewno odejdę stąd, możliwe, że jeszcze dziś wieczorem. Nie zostanę z wami.

– A jak, na przykład, chcesz to urządzić, żeby odejść dziś wieczorem? – spytał Robinson, który wykroił z chleba ośrodek i starannie maczał go w oliwie od sardynek. – W jaki sposób chcesz odejść, skoro nie możemy nawet wejść do pokoju?

– Dlaczegoż nie możemy wejść?

– No, dopóki nie odezwie się dzwonek, nie wolno nam wejść – powiedział Robinson, który możliwie najszerzej otwierając usta pochłaniał przesiąknięty tłuszczem chleb, podstawiając rękę pod spływające z niego krople oliwy, aby od czasu do czasu maczać jeszcze resztę chleba w tej nadstawionej dłoni, służącej mu za rezerwuuar. – Wszystko się tu teraz zaostrzyło. Najpierw wisiała tylko cienka firanka, nic się wprawdzie przez nią nie widziało, ale wieczorem można było przynajmniej rozpoznawać cienie. To się Bruneldzie nie podobało i wtedy musiałem przerobić na kotarę jeden z jej teatralnych płaszczy i powiesić go zamiast

starej firanki. Teraz w ogóle nic już nie widać. Poza tym dawniej zawsze mogłem zapytać, czy wolno mi już wejść, i odpowiadano mi, stosownie do okoliczności, tak albo nie, ale widocznie nadużyłem tego i pytałem zbyt często. Brunelda nie mogła tego znieść – mimo swej otyłości jest bardzo słabowita, często miewa bóle głowy, a prawie zawsze artretyzm w nogach – wobec tego ustalono, że nie będę więcej pytał, tylko kiedy będę mógł wejść, nacisną dzwonek stołowy. Jest on tak głośny, że budzi mnie nawet ze snu – miałem tu kiedyś kota dla rozrywki, ale tak się przestraszył tym hałasem, że uciekł i już nie wrócił; dziś jeszcze nie było dzwonka, a kiedy się odezwie, wtedy nie tylko mogę, lecz muszę wejść – ale skoro tak długo nie dzwoni, może to potrwać jeszcze bardzo długo.

Tak – powiedział Karl – ale to, co dotyczy ciebie, nie musi dotyczyć i mnie. W ogóle takie rzeczy dotyczą tylko tego, kto na nie pozwala.

– Ależ dlaczego by to nie miało dotyczyć także i ciebie? – zawołał Robinson. – Samo przez się zrozumiałe, że to ciebie też dotyczy. Zaczekaj tu tylko spokojnie ze mną, dopóki nie usłyszymy dzwonka. Potem będziesz mógł spróbować, czy ci się uda odejść.

– Dlaczego ty właściwie stąd nie pójdziesz? Tylko dlatego, że Delamarche jest, albo raczej był, twoim przyjacielem? Czy to jest życie? Czy nie byłoby lepiej w Butterford, dokąd chcieliście iść z początku? Albo nawet w Kalifornii, gdzie masz przyjaciół?

– Tak – powiedział Robinson. – Tego nikt nie mógł przewidzieć. – I zanim zaczął opowiadać dalej, powiedział jeszcze: – Za twoje zdrowie, kochany Rossmann! – i pociągnął długi łyk z butelki od perfum. – Wtedy, kiedy nas tak podle opuściłeś, wiodło nam się bardzo źle. W pierwszych dniach nie mogliśmy dostać żadnej pracy, Delamarche zresztą nie chciał pracy, mógłby ją dostać, ale zawsze mnie wysyłał na poszukiwanie, a ja nie mam szczęścia. On się tylko wahał, ale kiedyś, był już prawie wieczór, przyniósł damską portmonetkę. Była wprawdzie bardzo piękna,

z perełek, teraz podarował ją Bruneldzie, ale w środku nie było prawie nic. Wtedy powiedział, że powinniśmy żebrać po mieszkaniach, przy tej okazji można naturalnie znaleźć niejedną użyteczną rzecz, poszliśmy więc żebrać, a ja, żeby lepiej wyglądało, miałem śpiewać pod drzwiami. A Delamarche zawsze ma szczęście, więc ledwie stanęliśmy przed drugim mieszkaniem, pewnym bardzo bogatym mieszkaniem na parterze, i zaśpiewaliśmy coś niecoś kucharce i służącemu, na schodach zjawiła się dama, do której to mieszkanie należało – właśnie Brunelda. Była może zbyt mocno zesznurowana i nie mogła wejść nawet po tych paru stopniach. Ale jakże ona pięknie wyglądała, Rossmann! Miała białą suknię i czerwony słoneczny parasol. Chciałoby się ją zjeść. Chciałoby się ją wypić. Ach, Boże, ach, Boże, jakaż ona była piękna! Taka kobieta! No, powiedz mi, jak mogą istnieć takie kobiety? Naturalnie dziewczyna i służący zaraz wybiegli naprzeciw niej i niemal wnieśli ją na górę. My staliśmy na prawo i na lewo od drzwi i salutowaliśmy, tutaj jest to przyjęte. Ona przystanąła na chwilkę, bo wciąż jeszcze brakowało jej tchu, i nie wiem, jak to się właściwie stało, byłem trochę nieprzytomny z głodu, a ona z bliska była jeszcze piękniejsza i ogromnie szeroka, i z powodu jakiegoś specjalnego gorsetu, mogę ci go potem pokazać w skrzyni, wszędzie taka twarda; krótko mówiąc, troszeczkę jej z tyłu dotknąłem, ale zupełnie lekko, wiesz, tak tylko dotknąłem. Naturalnie, nie można pozwolić, żeby żebrak dotykał bogatej damy. I to prawie nie było dotknięcie, ale, ostatecznie, jednak było. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby Delamarche natychmiast nie dał mi w twarz, i to tak, że musiałem zaraz obie ręce podnieść do policzków.

Aleście nawyprawiali! – powiedział Karl, zupełnie pochłonięty tą historią, i usiadł na posadzce. – Więc to była Brunelda?

– No, tak – powiedział Robinson. – To była Brunelda.

– Czyś ty kiedyś nie mówił, że ona jest śpiewaczką? – zapytał Karl.

– Naturalnie, że jest śpiewaczką, i to wielką śpiewaczką – odpowiedział Robinson, który obracał językiem wielką bryłę cukierków i od czasu do czasu jakiś jej kawałek, wypchnięty z ust, wpychał palcem z powrotem. – Ale wtedy, naturalnie, nie wiedzieliśmy o tym, wiedzieliśmy tylko, że jest bogatą i bardzo wytworną damą. Zachowywała się, jakby się nic nie stało, i może rzeczywiście nic nie poczuła, bo też musnąłem ją tylko końcami palców. Ale wciąż patrzyła na Delamarche, który znów – jak on to potrafi – patrzył jej prosto w oczy. Wtedy ona powiedziała: „Wejdz no na chwilkę” i wskazała parasolem na mieszkanie, do którego Delamarche miał wejść przed nią. Potem oboje weszli, a służby zamknęła za nimi drzwi. Mnie zostawili za drzwiami, a ja sobie pomyślałem, że to nie będzie trwało długo, i usiadłem na schodach, żeby poczekać na Delamarche’a wyszedł służący i wyniósł mi całą miskę zupy. „Uprzejmość Delamarche – pomyślałem sobie. Podczas gdy jadłem, służący stał przy mnie chwilkę i opowiadał mi trochę o Bruneldzie i wtedy się zorientowałem, jakie znaczenie może mieć dla nas to wizyta. Bo Brunelda była rozwódką, posiadała wielki majątek i całkowitą niezależność. Jej były mąż, fabrykant kakao, kochał ją wprawdzie nadal, ale ona w ogóle nie chciała o nim słyszeć. Bardzo często przychodził do jej mieszkania, ubrany zawsze bardzo elegancko, jak na wesele – to prawda słowo w słowo, sam go znam – ale służący, mimo największych łapówek, nie ważył się zapytać Bruneldy, czy chce go przyjąć, bo kilka razy ją pytał i zawsze rzucała mu w twarz to, co właśnie miała pod ręką. Raz rzuciła nawet wielką, pełną butelkę do nagrzewania łóżka i wybiła nią służącemu przedni ząb. Tak, Rossmann, teraz widzisz!

– Skąd ty znasz tego człowieka? – spytał Karl.

On czasem przychodzi na górę – powiedział Robinson.

– Na górę? – Karl ze zdumienia lekko uderzył ręką o posadzkę.

– Możesz się dziwić – ciągnął Robinson – ja też się dziwiłem, kiedy mi to służący opowiadał. Pomyśl tylko, kiedy Bruneldy nie było w domu,

ten człowiek kazał się służącemu prowadzić do jej pokoju i zawsze brał sobie jakiś drobiazg na pamiątkę, i zawsze zostawiał dla Bruneldy coś bardzo kosztownego i pięknego, a służącemu surowo zabraniał mówić, od kogo to jest. Ale raz – jak opowiadał służący, a ja w to wierzę – kiedy przyniósł coś wprost bezcennego z porcelany, Brunelda musiała się jakoś domyślić, rzuciła to natychmiast na podłogę, podeptała, opluła i zrobiła z tym jeszcze inne rzeczy, tak że służący, wynosząc skorupy, ledwie mógł wytrzymać z obrzydzenia.

– Cóż ten człowiek jej zrobił? – pytał Karl.

– Właśnie nie wiem – powiedział Robinson. – Ale zdaje mi się, że nic szczególnego, przynajmniej on sam tego nie wie. Już nieraz z nim o tym mówiłem. On czeka na mnie co dzień tam, na rogu ulicy, i kiedy przychodzę, muszę mu opowiadać nowiny; jeśli nie mogę przyjść, on czeka pół godziny, a potem odchodzi. To był dla mnie dobry uboczny zarobek, bo on bardzo hojnie płacił za wiadomości, ale od czasu kiedy Delamarche się o tym dowiedział, muszę mu wszystko oddawać, toteż rzadziej tam chodzę.

– Ale czego ten człowiek się spodziewa? – pytał Karl. – Czego on się spodziewa? Wie przecież, że ona go nie chce.

– Tak – westchnął Robinson, zapalił papierosa i silnie wymachując ręką, wydmuchiwał dym w powietrze. Lecz potem, zdaje się, zmienił zdanie i powiedział: – Co mnie to obchodzi? Wiem tylko, że dałby dużo pieniędzy, żeby móc leżeć tutaj na balkonie, tak jak my.

Karl wstał, przechylił się przez poręcz i spojrzał w dół na ulicę. Było już widać księżyc, lecz w głąb ulicy jego blask jeszcze nie docierał. Na ulicy, tak pusteż za dnia, było teraz, zwłaszcza przed bramami domów, mnóstwo ludzi, wszyscy poruszali się ociężale i powoli, koszule mężczyzn i jasne suknie kobiet słabo odcinały się w mroku, wszyscy mieli gołe głowy. Liczne balkony wokół nich były teraz zajęte, przy świetle pojedynczej

żarówki siedziały tam rodziny, stosownie do wielkości balkonu, albo przy małym stole, albo rzędem na krzesłach, albo przynajmniej wychylając głowy z pokoju. Mężczyźni siedzieli z szeroko rozstawionymi nogami, wyciągnąwszy stopy między prętami poręczy, i czytali gazety, które sięgały niemal do posadzki, albo grali w karty, na pozór w milczeniu, ale mocno uderzając nimi w stół, kobiety miały na kolanach coś do szycia i tylko od czasu do czasu mogły zerkać na otoczenie albo na ulicę. Jakaś delikatna blondynka na sąsiednim balkonie wciąż ziewała, przewracała przy tym oczami i podnosiła do ust sztukę bielizny, którą właśnie łątała; nawet na najmniejszych balkonach dzieci potrafiły się gonić, co dla rodziców było bardzo uciążliwe. W licznych pokojach nastawiono gramofony, które grały pieśni lub utwory orkiestralne, ale niewiele uwagi zwracano na tę muzykę, tylko od czasu do czasu ojciec rodziny dawał znak ręką i ktoś wchodził do pokoju, żeby założyć nową płytę. W niektórych oknach widać było nieruchome zakochane pary, w oknie naprzeciw Karla stała taka para, młody człowiek obejmował dziewczynę ramieniem i dłonią przyciskał jej pierś.

Czy znasz kogoś z tych ludzi? – zapytał Karl Robinsona, który wstał teraz także i ponieważ miał dreszcze, owinął się nie tylko kołdrą, ale i chustą Bruneldy.

Prawie nikogo, to jest właśnie zła strona mojej sytuacji – powiedział Robinson i przyciągnął Karla do siebie, żeby mu szepnąć do ucha: – Poza tym nie miałbym się właściwie w tej chwili na co skarżyć. Brunelda dla Delamarche’a sprzedała wszystko, co miała, i ze swymi bogactwami wprowadziła się tutaj, do tego mieszkania na przedmieściu, żeby móc mu się zupełnie poświęcić i żeby jej nikt nie przeszkadzał; zresztą i Delamarche życzył sobie tego.

– I zwolniła służbę? – zapytał Karl.

Właśnie – powiedział Robinson. – Gdzież by tu zresztą można było

pomieścić służbę? Ci służący to bardzo wymagający panowie. Jednego z nich Delamarche raz przy Bruneldzie wyrzucił po prostu z pokoju, wymierzając mu kilka policzków, jeden po drugim, ten człowiek nie znalazł się za drzwiami. Inni służący oczywiście przyłączyli się do niego i wywołali przed drzwiami wielką wrzawę, wtedy Delamarche wyszedł (ja nie byłem wtedy służącym, tylko przyjacielem domu, ale stałem razem ze służącymi) i zapytał: „Czego chcecie?” Najstarszy służący, niejaki Izydor, powiedział na to: „Pan nie ma z nami nic do gadania, my służymy pani”. Jak już prawdopodobnie zauważyłeś, oni szanowali Bruneldę. Ale Brunelda, nie zwracając na nich uwagi, podbiegła do Delamarche’a – nie była wtedy jeszcze taka tęga – wobec wszystkich objęła go, pocałowała i nazwała „najukochańszym Delamarchem”. „I odeślij stąd wreszcie te małpy” – powiedziała w końcu. Małpy – to mieli być służący; wyobraź sobie miny, jakie wtedy zrobili. Potem Brunelda włożyła rękę Delamarche do sakiewki, którą nosiła u paska, Delamarche sięgnął do środka i zaczął wypłacać służącemu; Brunelda tylko w ten sposób brała udział w wypłacie, że stała tam z otwartą sakiewką u paska. Delamarche musiał często do niej sięgać, gdyż rozdzielał pieniądze nie licząc ich i nie sprawdzając żądań. Wreszcie powiedział: „Wobec tego, że nie chcecie ze mną rozmawiać, powiem wam tylko w imieniu Bruneldy: wynoście się, i to natychmiast”. W ten sposób zostali zwolnieni, potem odbyło się jeszcze kilka procesów, Delamarche musiał nawet raz stawać w sądzie, ale o tym nie wiem nic bliższego. Tylko zaraz po odejściu służących Delamarche powiedział do Bruneldy: „Więc teraz nie masz żadnej służby?” A ona powiedziała: „Ale jest przecież Robinson”. No to Delamarche powiedział, dając mi przy tym szturchańca w plecy: „Więc dobrze, ty będziesz naszym służącym”. A Brunelda poklepała mnie po policzku. Jeśli się zdarzy sposobność, Rossmann, postaraj się, żeby cię także poklepała po policzku. Będziesz zdumiony, jakie to piękne.

– Więc zostałeś służącym Delamarche’a? – spytał Karl streszczając to, co usłyszał.

Robinson dosłuchał się w jego słowach ubolewania i odparł:

– Jestem służącym, ale tylko niewielu ludzi to zauważa. Widzisz, sam byś o tym nie wiedział, chociaż już jakiś czas u nas jesteś. Widziałeś przecież, jak byłem ubrany wtedy w nocy u was w hotelu. Miałem na sobie rzeczy najwytworniejsze z wytwornych. Czy służący tak się ubierają? Rzecz tylko w tym, że nieczęsto mogę wychodzić, muszę być zawsze pod ręką, w gospodarstwie jest wciąż coś do roboty. Jedna osoba to za mało na tak wiele pracy. Jak pewnie zauważyłeś, w pokoju stoi mnóstwo rzeczy; to, czego nie mogliśmy sprzedać przy wielkiej przeprowadzce, zabraliśmy ze sobą. Naturalnie, można to było rozdarować, ale Brunelda nic nie rozdarowuje. Pomyśl tylko, ile było pracy z wniesieniem tych wszystkich rzeczy po schodach.

– Robinson, to ty wszystko wniosłeś? – zawołał Karl.

A któż by? – powiedział Robinson. – Był tu jeszcze jeden pomocnik, leniwy łajdak; sam musiałem wykonać większą część pracy. Brunelda stała na dole przy wozie, Delamarche na górze wydawał polecenia, gdzie składać rzeczy, a ja biegałem wciąż tam i z powrotem. To trwało dwa dni, bardzo długo, prawda? Ale ty nawet nie wiesz, ile rzeczy jest tutaj w pokoju, wszystkie skrzynie są pełne, a miejsce za nimi jest zapchane aż pod sam sufit. Gdybyśmy wzięli kilku ludzi do transportu, wszystko byłoby raz dwa gotowe, ale Brunelda nikomu oprócz mnie nie chciała zaufać. To było bardzo ładnie z jej strony, ale wtedy zniszczyłem sobie zdrowie na całe życie, a co miałem oprócz mego zdrowia? Jak się tylko trochę wysiłę, kłuje mnie tutaj, i tutaj. Czy myślisz, że ci chłopcy z hotelu, te żółtodzioby – bo kimże oni są? – mogliby mnie kiedykolwiek pokonać, gdybym był zdrow? Ale nie mówię Delamarche’owi i Bruneldzie ani słowa o tym, co mi dolega, będę pracował, jak długo się da, a jak się już

nie da, to położę się i umrę, i dopiero wtedy, zbyt późno, oni zobaczą, że byłem chory, a mimo to wciąż pracowałem, i że zapracowałem się w ich służbie na śmierć. Ach, Rossmann... – powiedział w końcu i otarł oczy w rękaw koszuli Karla. Po chwili powiedział: – Nie jest ci zimno, stoisz tu tak w koszuli?

– Daj spokój. Robinson – powiedział Karl. – Wciąż tylko płaczesz. Nie wierzę, że jesteś taki chory. Wyglądasz całkiem zdrowo, ale ponieważ ciągle leżysz na tym balkonie, wymyśliłeś sobie takie różne rzeczy. Może masz czasem kłucie w piersi, ja też je miewam, to ma każdy. Gdyby wszyscy z powodu każdej drobnostki tak lamentowali, musiano by płakać na tych wszystkich balkonach.

– Ja wiem lepiej – powiedział Robinson i otarł teraz oczy ręką kłody. – Student mieszkający obok, u gospodyni, która i nam gotuje, powiedział mi ostatnio, jak odnosiłem naczynie: „Słuchaj pan, Robin son, czy pan nie jest chory?” Mnie zabroniono rozmawiać z ludźmi, więc tylko postawiłem naczynie i chciałem odejść. Wtedy on podszedł do mnie i powiedział: „Słuchaj pan, człowieku, niech pan nie przeciąga struny, pan jest chory”. „No więc, proszę, co mam robić?” – spytałem. „To pańska sprawa” – powiedział i odwrócił się. Inni siedzący tam przy stole się roześmiali, my tu mamy wszędzie wrogów i dlatego wolałem odejść.

– Więc wierzysz ludziom, którzy cię mają za głupca, a nie wierzysz tym, którzy ci dobrze życzą.

– Aleja przecież wiem, jak się czuję – powiedział Robinson i zaraz znów zaczął płakać.

– Właśnie że nie wiesz, czego ci brakuje, powinieneś poszukać sobie jakiejś przyzwoitej pracy zamiast bawić się tutaj w służącego Delamarche. Bo, jak sądzę z twoich opowiadań i z tego, co sam widziałem, tutaj to nie jest służba, tylko niewolnictwo. Tego nie może znieść żaden człowiek, w to ci wierzę. Ale ty, ponieważ jesteś przyjacielem Delamarche, myślisz,

że nie możesz go opuścić. Mylisz się, bo jeśli on nie rozumie, jak nędzne życie prowadzisz, to nie masz już wobec niego najmniejszych zobowiązań.

Więc ty naprawdę myślisz, Rossmann, że przyszedłbym znowu do siebie, gdybym porzucił tę służbę?

– Na pewno – powiedział Karl.

– Na pewno? – raz jeszcze spytał Robinson.

Całkiem na pewno – powiedział Karl z uśmiechem.

Wobec tego mógłbym od razu zacząć wypoczywać – powiedział Robinson i spojrział na Karla.

– Jak to? – spytał ten.

– No, bo ty masz tutaj przejąć moją pracę – odparł Robinson.

– Któż ci to powiedział? – spytał Karl.

– To przecież stary plan. Mówiło się o tym już od kilku dni. Zaczęło się od tego, że Brunelda mnie zbesztła, bo nie dość czysto utrzymywałem mieszkanie. Naturalnie przyrzekłem, że zaraz wszystko doprowadzę do porządku. No, ale to trudna sprawa. Nie mogę, na przykład, w moim stanie czołgać się, żeby wszędzie wytrzeć kurz, nawet na środku pokoju nie można się poruszać, cóż dopiero między meblami i zapasami? A jeśli chce się wszystko dokładnie sprzątnąć, trzeba przecież także poprzesuwać meble, i ja mam sam to robić? Poza tym musiałyby się wszystko odbywać bardzo cicho, bo przecież nie można przeszkadzać Bruneldzie, która prawie nie opuszcza pokoju. Więc wprawdzie przyrzekłem, że wszystko doprowadzę do porządku, ale naprawdę tego nie zrobiłem. Kiedy Brunelda to zauważyła, powiedziała do Delamarchei, że tak dalej być nie może i że trzeba przyjąć kogoś do pomocy. „Nie chcę, Delamarche – powiedziała – żebyś mi kiedyś robił wyrzuty, że niedobrze prowadzę gospodarstwo. Sama nie mogę się wysilać, rozumiesz to przecież, a Robinson nie wystarcza; z początku był taki rześki i tak o wszystko dbał, ale teraz ciągle jest zmęczony i przeważnie siedzi w jakimś kącie. W pokoju, tak

zapchanym przedmiotami, jak nasz, porządek sam się nie zrobi”. Wobec tego Delamarche zastanawiał się, co by tu zrobić, bo pierwszej lepszej osoby oczywiście nie można przyjąć do takiego gospodarstwa nawet na próbę, ponieważ szpiegują nas z wszystkich stron. Ale ponieważ ja jestem twoim dobrym przyjacielem i słyszałem od Renella, jak musisz się męczyć w hotelu, zaproponowałem cię. Delamarche zaraz się zgodził, chociaż ty niegdyś zachowałeś się wobec niego tak zuchwale, a ja naturalnie bardzo się ucieszyłem, że mogę ci się przydać. Bo to miejsce jest jakby dla ciebie stworzone, jesteś młody, silny i zręczny, podczas gdy ja nic już nie jestem wart. Chcę ci tylko powiedzieć, że jeszcze wcale nie zostałeś przyjęty; jeśli się nie spodobaś Bruneldzie, nie będziesz nam potrzebny. A więc postaraj się być dla niej miły, o reszcie ja już pomyślę.

A co ty będziesz robił, kiedy ja zostanę służącym? – spytał Karl; czuł się bardzo swobodnie, minął już pierwszy przestrah, spowodowany zwierzeniami Robinsona. A więc Delamarche nie miał wobec niego złych zamiarów, chciał tylko zrobić zeń służącego – gdyby miał jakieś gorsze zamiary, to gadatliwy Robinson na pewno by je zdradził – jeśli jednak sprawy tak stały, to Karl wierzył, że jeszcze dziś wieczorem będzie się mógł pożegnać. Nie można nikogo zmusić do przyjęcia jakiejś posady. I gdy przedtem Karl martwił się, czy po zwolnieniu z hotelu otrzyma dość szybko odpowiednią i może nawet korzystną posadę, która uchroni go od głodu, to teraz, w porównaniu z przeznaczoną dla niego posadą, która była mu wstrętą, każda inna wydawała mu się dobra i wolałby nawet nędzę bezrobocia, niż to zajęcie. Nie próbował jednak nawet wytłumaczyć tego Robinsonowi, zwłaszcza że ten, wyrażając jakąkolwiek opinię, był całkowicie opanowany przez nadzieję, że Karl go odciąży.

– Wobec tego – ciągnął Robinson, swobodnie gestykułując, przy czym łokcie oparł na poręczy balkonu – najpierw wytłumaczę ci wszystko i pokażę zapasy. Ty jesteś wyszkolony i z pewnością masz także piękne

pismo, więc mógłbyś zaraz zrobić spis wszystkich rzeczy, które tu mamy. Brunelda życzyła sobie tego od dawna. Jeśli jutro przed południem będzie ładna pogoda, poprosimy Bruneldę, żeby sobie usiadła na balkonie, a my tymczasem będziemy mogli spokojnie i nie przeszkadzając jej pracować w pokoju. Bo na to, Rossmann, musisz uważać przede wszystkim. Żeby tylko nie przeszkadzać Bruneldzie. Ona wszystko słyszy, możliwe, że jako śpiewaczka ma takie wrażliwe uszy. Na przykład wytaczasz beczułkę z wódką, która stoi za skrzynią, to wywołuje hałas, bo beczułka jest ciężka, a tam wszędzie leżą porozrzucane rozmaite rzeczy, tak że nie można przetoczyć jej za jednym zamachem. Brunelda leży, na przykład, spokojnie na kanapie i łapie muchy, które jej w ogóle bardzo dokuczają. Więc myślisz, że jej nic innego nie interesuje, i toczysz swoją beczułkę dalej. Ona wciąż jeszcze leży spokojnie. Ale w pewnej chwili, kiedy się tego w ogóle nie spodziewasz i kiedy sprawiasz najmniej hałasu, siada nagle, uderza obydwoma rękami w kanapę, tak że nie widać jej zza chmury kurzu – od kiedy tu jesteśmy, nie trzepałem jeszcze kanapy; nie mogłem tego zrobić, ona przecież wciąż na niej leży – i zaczyna strasznie krzyczeć, jak mężczyzna, i krzyczy tak godzinami. Sąsiedzi zabronili jej śpiewać, ale krzyku nikt jej nie może zabronić, ona musi krzyczeć, zresztą teraz zdarza się to już rzadko, ja i Delamarche zrobiliśmy się już bardzo ostrożni. To jej także bardzo szkodziło. Raz zemdląła i ja – Delamarche właśnie nie było – musiałem sprowadzić z sąsiedztwa Studenta, który spryskał ją jakimś płynem z dużej butelki, to nawet pomogło, ale ten płyn miał nieznośny zapach, czuje się go jeszcze teraz, jeśli zbliżyć nos do kanapy. Student jest na pewno naszym wrogiem, jak wszyscy tutaj, toteż musisz przed wszystkimi mieć się na baczności i z nikim się nie zadawać.

– Ty, Robinson – powiedział Karl – to jest ciężka służba. Na ładną posadę mnie poleciłeś.

– Nic się nie martw – powiedział Robinson i z zamkniętymi oczami

potrząsnął głową, aby rozwiać niepokój Karla. – Ta posada ma także zalety, których nie mogłaby ci dać żadna inna. Jesteś wciąż w pobliżu takiej damy jak Brunelda, czasem śpiesz z nią w tym samym pokoju, co już, jak możesz się domyślić, przysparza rozmaitych przyjemności. Będziesz hojnie opłacany, pieniędzy jest tutaj mnóstwo, ja, jako przyjaciel Delamarche, nie dostawałem nic; tylko kiedy wychodziłem, Brunelda zawsze mi coś dawała, a tobie będą naturalnie płacić jak każdemu innemu służącemu. Nie będziesz też rzeczywiście niczym innym. Ale najważniejsze dla ciebie jest to, że ja ci tę służbę bardzo ułatwię. Na razie, oczywiście, nic nie będę robił, żeby przyjść do siebie, ale jak tylko trochę wypocznę, możesz na mnie liczyć. Właściwe obsługiwanie Bruneldy zachowuję w ogóle dla siebie, a więc fryzowanie jej i ubieranie, o tyle, o ile nie zajmuje się tym Delamarche. Do ciebie będzie należało tylko sprzątanie pokoju, sprawunki i cięższe roboty domowe.

Nie, Robinson – powiedział Karl. – To wszystko mnie nie pociąga.

– Nie rób głupstw, Rossmann – powiedział Robinson, przysunąwszy twarz tuż do twarzy Karla. – Nie trać lekkomyślnie takiej wspaniałej sposobności. Gdziez ty dostaniesz od razu jakąś posadę? Kto cię zna? Kogo ty znasz? My, dwaj mężczyźni, którzy już wiele przeżyli i posiadają wiele doświadczenia, włóczyliśmy się tygodniami, nie mogąc dostać pracy. O to nie jest łatwo, o to jest nawet rozpaczliwie trudno.

Karl kiwnął głową i zdziwił się, jak rozsądnie Robinson potrafi mówić. Dla niego jednak te rady nie miały żadnego znaczenia, on nie mógł tu zostać, w wielkim mieście na pewno znajdzie się dla niego jakieś skromne miejsce, całą noc, o tym wiedział, wszystkie gospody były przepełnione, potrzebowano obsługi, a w tym miał już teraz wprawę. Wciągnąłby się szybko i bez robienia kłopotu do każdej pracy. Właśnie w przeciwległym domu znajdowała się na dole mała gospoda, z której dolatywała głośna muzyka. Główne wejście zasłonięte było tylko wielką, żółtawą kotarą,

która czasem, poruszona jakimś powiewem, potężnie trzepotała nad ulicą. Gdyby nie to, byłoby na ulicy z pewnością o wiele ciszej. Na większości balkonów było ciemno, tylko w oddali błyszczało jeszcze tu i ówdzie pojedyncze światło, lecz zaledwie wzrok zdążył je pochwycić, ludzie wstawali i wchodzili do mieszkania, a ten z mężczyzn, który opuszczał balkon ostatni, po krótkim spojrzeniu na ulicę wykręcał żarówkę.

„Teraz zaczyna się już noc – pomyślał Karl. – Jeśli pozostanę tu dłużej, będę już należał do nich.” Odwrócił się, aby odsunąć kotarę z drzwi do mieszkania.

– Co chcesz zrobić? – powiedział Robinson i stanął pomiędzy Karlem a kotarą.

– Chcę odejść – powiedział Karl. – Puść mnie! Puść mnie!

– Nie będziesz jej przecież przeszkadzał! – zawołał Robinson. – Co ci przyszło do głowy! – I otoczył ramieniem szyję Karla, uwiesił się na niej całym ciężarem, ścisnął nogami jego nogi i w ten sposób w jednej chwili go przewrócił. Ale Karl pośród chłopców od windy nauczył się trochę bić, toteż uderzył Robinsona pięścią pod brodę, ale słabo i bardzo go oszczędzając. Ten zadał Karlowi jeszcze szybko i bezwzględnie silny cios kolanem w brzuch, potem jednak, trzymając się obiema rękami za podbródek, zaczął tak głośno zawodzić, że z sąsiedniego balkonu jakiś człowiek, wściekle klaszcząc w dłonie, wrzasnął: – Spokój! – Karl leżał jeszcze przez chwilę, żeby przemóc ból spowodowany uderzeniem Robinsona. Zwrócił tylko twarz ku ciężkiej kotarze, która wisiała spokojnie na drzwiach nie oświetlonego widocznie pokoju. Zdawało się, że w pokoju nie ma już nikogo, może Delamarche z Bruneldą wyszli i Karl był już wolny. Robinsona, który zachowywał się naprawdę jak pies podwórzowy, pozbył się przecież zupełnie.

Wtem z oddalonego końca ulicy zabrzmiały z przerwami bębny i trąby. Pojedyncze okrzyki wielu ludzi zlały się wkrótce w jeden ogólny

wrzask. Karl odwrócił głowę i ujrzał, jak wszystkie balkony ożywiły się na nowo. Podniósł się powoli, nie mógł się zupełnie wyprostować i musiał oprzeć się ciężko na poręczy. Na dole chodnikiem maszerowali młodzi chłopcy wielkimi krokami, z wyciągniętymi ramionami, wymachiwali czapkami w podniesionych rękach i odwracali twarze do tyłu. Jezdnia była jeszcze pusta. Niektórzy nieśli na wysokich drążkach kołyszące się lampiony, otoczone żółtawym dymem. Dobosze i trębacze wkroczyli właśnie szerokimi rzędami w światło i Karl zdumiał się, że było ich tylu. Wtem usłyszał za sobą głosy, odwrócił się i zobaczył Delamarche'a, podnoszącego ciężką kotarę, a potem wychodzącą z ciemności pokoju Bruneldę, w czerwonej sukni, z koronkowym szalem na ramionach, w ciemnym czepeczku na zapewne nie ufryzowanych, tylko upiętych włosach, których luźne końce wyglądały tu i ówdzie spod nakrycia. W ręce trzymała mały rozpostarty wachlarz, ale nie poruszała nim, tylko silnie przyciskała go do siebie.

Karl przesunął się wzdłuż poręczy w bok, aby im obojgu zrobić miejsce. Na pewno nikt by go nie zmuszał do pozostania tutaj, a gdyby nawet Delamarche próbował to zrobić, Brunelda na jego prośbę natychmiast by go zwolniła. Ona nie cierpiała go przecież, jego oczy wzbudzały w niej lęk. Ale kiedy zrobił jeden krok ku drzwiom, zauważyła to natychmiast i powiedziała:

– Dokądże to, mały? – Karl zatrzymał się obezwładniony silnym wzrokiem Delamarche'a, a Brunelda przyciągnęła go ku sobie. – Nie chcesz obejrzeć sobie tego pochodu na dole? – powiedziała i przesunęła go przed siebie, do samej poręczy. – Czy wiesz, o co tu chodzi? – usłyszał Karl jej głos za sobą i bezskutecznie wykonał mimowolny ruch, aby się uwolnić spod nacisku. Smutno patrzył w dół na ulicę, jak gdyby tam tkwił powód jego smutku.

Delamarche stał z początku ze skrzyżowanymi rękami za Bruneldą,

potem pobiegł do pokoju i przyniósł Bruneldzie teatralną lornetkę. Na dole pojawiła się za muzykantami główna część pochodu. Na ramionach olbrzymiego mężczyzny siedział jakiś pan; z tej wysokości widać było tylko jego blado lśniąca łysinę, a ponad nią wysoko uniesiony cylinder, którym się bezustannie kłaniał. Wokół niego niesiono widocznie drewniane tablice, które, widziane z balkonu, wydawały się zupełnie białe; były one tak ugrupowane, że plakaty opierały się ze wszystkich stron wprost o tego pana, który wynurzał się spośród nich. Ponieważ wszystko było w ruchu, ściany plakatów wciąż się rozluźniały i wciąż ustawiały się od nowa. W dalszym zasięgu całą szerokość ulicy, choć, o ile można to było ocenić po ciemku, na jej nieznacznej długości, wypełniali jego zwolennicy, którzy zbiorowo klaskali w dłonie i śpiewem obwieszczali prawdopodobnie nazwisko tego pana, jakieś krótkie, ale niezrozumiałe nazwisko. Niektórzy, zręcznie rozmieszczeni w tłumie, nieśli automobilowe latarnie o niezwykle silnym świetle, którym powoli wdzili od góry do dołu po domach z obu stron ulicy. Na wysokości Karla to światło już nie przeszkadzało, ale na niższych balkonach widać było ludzi, którzy, znalazłszy się w jego kręgu, śpiesznie podnosili ręce do oczu.

Delamarche na prośbę Bruneldy rozpytywał ludzi na sąsiednim balkonie, co to widowisko ma znaczyć. Karl był trochę ciekawy, czy i co mu odpowiedzą. I rzeczywiście Delamarche musiał pytać trzy razy i nie dostawał odpowiedzi. Przechylił się już niebezpiecznie przez poręcz, Brunelda ze złości na sąsiadów lekko tupnęła, Karl poczuł jej kolano. W końcu zawołano coś w odpowiedzi, ale równocześnie wszyscy na tym balkonie, który był zatłoczony ludźmi, zaczęli się głośno śmiać. Na to Delamarche krzyknął do nich coś tak głośno, że gdyby w tej chwili na całej ulicy nie było takiego hałasu, wszyscy dokoła musieliby odwrócić się zdumieni. W każdym razie miało to ten sam skutek, że śmiech ustał

nienaturalnie szybko.

– Jutro odbędą się w naszej dzielnicy wybory sędziego i ten, którego tam niosą, jest kandydatem – powiedział Delamarche zupełnie spokojnie, zwracając się z powrotem do Bruneldy. – Nie! – zawołał potem i pieszczotliwie poklepał Bruneldę po plecach. – My już nawet nie wiemy, co się dzieje na świecie.

– Delamarche – powiedziała Brunelda, powracając do zachowania się sąsiadów – jak chętnie bym się przeprowadziła, gdyby to nie było takie wyczerpujące! Ale, niestety, nie mogę tego od siebie wymagać.

I pośród głębokich westchnień, niespokojna i roztargniona, skubała koszulę Karla, który możliwie dyskretnie wciąż usiłował odsunąć od siebie jej małe, tłuste rączki, co mu się zresztą udawało, gdyż Brunelda nie myślała o nim, była zajęta zupełnie innymi myślami.

Ale Karl także zapomniał wkrótce o Bruneldzie i znosił ciężar jej rąk na swoich ramionach, gdyż bardzo go zajmowały wydarzenia na ulicy. Na polecenie małej grupki gestykujących mężczyzn, którzy maszerowali tuż przed kandydatem i których rozmowy musiały mieć szczególne znaczenie, gdyż widać było, jak ze wszystkich stron nachylają się ku nim ciekawe twarze, nieoczekiwanie zatrzymano się przed gospodą. Jeden z mężczyzn odgrywających główną rolę dał podniesioną ręką znak, który odnosił się zarówno do tłumu, jak i do kandydata. Tłum zamilkł, a kandydat, który kilkakrotnie usiłował powstać na ramionach niosącego go człowieka i kilkakrotnie z powrotem siadał, wygłosił krótką mowę, podczas której wymachiwał z błyskawiczną szybkością cylindrem. Widać to było zupełnie dokładnie, gdyż podczas jego mowy wszystkie latarnie automobilowe skierowano na niego, tak że znajdował się pośrodku jaśniejszej gwiazdy.

Ale teraz wyraźnie stało się już także zainteresowanie, jakie okazywała temu wydarzeniu cała ulica. Na balkonach, obsadzonych przez

stronników kandydata, wymieniano w śpiewie jego nazwisko i rytmicznie klaskano w ręce, wyciągnięte daleko poza poręcz. Na innych balkonach, których było nawet więcej, podniósł się głośny śpiew protestacyjny, który nie wywołał zresztą jednolitego efektu, ponieważ byli to zwolennicy rozmaitych kandydatów. Natomiast wszyscy wrogowie obecnego kandydata zjednoczyli się w ogólnym gwizdaniu, a nawet nastawiono znowu wiele gramofonów. Pomędzy pojedynczymi balkonami wybuchły spory polityczne, których namiętność wzmagala jeszcze nocna pora. Mężczyźni byli już przeważnie w nocnych koszulach i narzuconych na nie płaszczach, kobiety otuliły się w wielkie, ciemne chusty, dzieci, na które nikt nie zwracał uwagi, niebezpiecznie wspinały się na bariery balkonów, coraz więcej ich wychodziło z ciemnych pokoiów, w których już przedtem spały. Tu i ówdzie szczególnie podnieceni mężczyźni rzucali jakimiś przedmiotami w swoich przeciwników, niekiedy trafiały one w cel, ale przeważnie spadały na ulicę, gdzie często wywoływały wycie wściekłości. Kiedy dla przywódców na dole hałas stawał się zbyt głośny, wydawali doboszom i trębaczom polecenie i grzmiący, grany ze wszystkich sił i nie kończący się sygnał tłumiał wszelkie ludzkie głosy aż po dachy domów. I zawsze całkiem nagle – trudno w to było uwierzyć – przerywali go, a wówczas widocznie wyćwiczony w tym tłum na ulicy w chwili ogólnej ciszy zaczynał ryczeć swoją pieśń – w świetle automobilowych latarni widać było szeroko otwarte usta pojedynczych ludzi – dopóki znowu przeciwnicy, którzy tymczasem opamiętywali się, nie zaczynali wrzeszczeć dziesięciokrotnie głośniejszą przedtem z wszystkich balkonów i okien, doprowadzając grupę na ulicy po jej krótkotrwałym zwycięstwie do całkowitego, przynajmniej na tej wysokości, zamilknięcia.

– Jak ci się podoba, mały? – spytała Brunelda, która tuż za Karlem kręciła się to tu, to tam, żeby możliwie najszybciej zobaczyć przez

lornetkę. Karl odpowiedział tylko skinieniem głowy. Ponadto zauważył, że Robinson z ożywieniem udziela Delamarche'owi rozmaitych informacji, widocznie na temat zachowania się Karla, ale Delamarche zdawał się nie przywiązywać do nich żadnego znaczenia, gdyż lewą ręką – prawą obejmował Bruneldę – wciąż próbował odsunąć Robinsona na bok. – Chcesz popatrzeć przez lornetkę? – spytała Brunelda i poklepała Karla po piersi, dając do zrozumienia, iż jego ma na myśli.

– Widzę dosyć – odpowiedział Karl.

– Spróbuj jednak – powiedziała. – Będziesz widział lepiej.

– Mam dobre oczy – odparł Karl. – Widzę wszystko. – Przyjął to nie jako jej uprzejmość, lecz jako natręctwo, gdy zbliżyła lornetkę do jego oczu, Brunelda zaś powiedziała teraz tylko jedno słowo: – Ty! – wymówione melodyjnie, lecz z pogrózką. I Karl miał już lornetkę przy oczach, i rzeczywiście teraz nic nie widział.

– Nic nie widzę – powiedział i chciał odsunąć lornetkę, ale ona trzymała ją mocno, a on nie mógł ani cofnąć, ani usunąć na bok głowy, wciśniętej w jej piersi.

– Ale teraz już widzisz – powiedziała i pokręciła śrubką lornetki.

– Nie, wciąż jeszcze nic nie widzę – powiedział Karl i pomyślał przy tym, że mimo woli rzeczywiście odciążył Robinsona, gdyż nieznośne humory Bruneldy wyładowały się teraz na nim.

– Kiedyż w końcu zaczniesz widzieć? – powiedziała i jeszcze raz – całą twarz Karla obejmował jej ciężki oddech – pokręciła śrubką. – Teraz? – spytała.

– Nie, nie, nie! – krzyknął Karl, choć teraz istotnie mógł, jakkolwiek bardzo niewyraźnie, rozróżnić wszystko.

Ale Brunelda zwróciła się właśnie z czymś do Delamarche'a i odsunęła lornetkę od twarzy Karla, tak że mógł on, nie zwracając tym jej uwagi, patrzeć na ulicę pod lornetką. Później Brunelda nie upierała się

dłużej i sama patrzyła przez lornetkę.

Z gospody wyszedł kelner i biegając od progu w tę i tamtą stronę przyjmował zamówienia przywódców. Widać było, jak wyciągał głowę, żeby zajrzeć do wnętrza lokalu i przywołać możliwie najwięcej służby. Podczas tych przygotowań, mających widocznie na celu wielki poczęstunek trunkami, kandydat nie przerywał swej mowy. Niosący go ogromny, tylko jemu służący mężczyzna zawsze po kilku zdaniach wykonywał mały obrót, aby mowa kandydata dotarła do wszystkich grup tłumu. Kandydat był przeważnie zupełnie poskręcany i usiłował gwałtownymi ruchami wolnej ręki i cylindra trzymanego drugą ręką nadać swoim słowom możliwie największą dobitność. Niestety jednak, niemal w regularnych odstępach czasu coś go podrywało, unosił się z rozpostartymi ramionami, nie przemawiał już do jednej grupy, lecz do ogółu, zwracał się do mieszkańców domów aż po najwyższe piętra, a przecież było zupełnie jasne, że już na najniższych piętrach nikt nie mógł go słyszeć; ba, że nawet gdyby to było możliwe, nikt by go nie chciał słuchać, ponieważ każde okno i każdy balkon były obsadzone co najmniej przez jednego wrzeszczącego mówcę. Tymczasem kilku kelnerów wyniosło z gospody tacę rozmiarów stołu bilardowego, zastawioną pełnymi, błyszczącymi szklankami. Przywódcy zorganizowali poczęstunek, który odbywał się podczas przemarszu przed drzwiami gospody. Ale chociaż szklanki na tacy napełniane były wciąż na nowo, nie wystarczyło ich dla tłumu i dwa szeregi chłopców zza szyn kwasu musiały prześlizgiwać się na prawo i na lewo od tacy i wciąż zaopatrywać dalej idących. Kandydat naturalnie przerwał mowę i wykorzystał tę pauzę, aby nabrać nowych sił. Jego tragarz nosił go powoli tam i z powrotem z dala od tłumu i od jaskrawości światła i tylko kilku jego najbliższych zwolenników towarzyszyło mu, i rozmawiało z nim, zadzierając głowy.

– Spójrz no na małego – powiedziała Brunelda. – Tak się wpatruje, że

zapomina, gdzie jest.

I zaskoczyła Karla, obracając obydwoma rękami ku sobie jego twarz, tak że zjrzała mu w oczy. Ale trwało to tylko chwilkę, bo Karl zaraz otrząsnął jej ręce i ze złości, że ani na chwilę nie zostawiają go w spokoju, a równocześnie mając wielką ochotę zbiec na ulicę i przypatrzeć się wszystkiemu z bliska, próbował z całej siły uwolnić się od nacisku Bruneldy. Powiedział:

– Proszę, niech mnie pani puści.

– Zostaniesz u nas – powiedział Delamarche nie odwracając wzroku od ulicy i tylko wyciągnął rękę, żeby zatrzymać Karla.

– Daj spokój – powiedziała Brunelda i odsunęła rękę Delamarche. – On i tak zostanie. – I przycisnęła Karla jeszcze silniej do poręczy, musiałby z nią walczyć, żeby się od niej uwolnić. A gdyby mu się to nawet udało, cóż by przez to osiągnął! Na lewo od niego stał Delamarche, na prawo zajął stanowisko Robinson, Karl znajdował się w prawdziwej niewoli.

– Ciesz się, że się ciebie stąd nie wyrzucą – powiedział Robinson i poklepał Karla dłonią przesuniętą pod ramieniem Bruneldy.

– Wyrzucą? – powiedział Delamarche. – Zbiegłego złodzieja nie wyrzucą się, tylko oddaje w ręce policji. I może go to spotkać już jutro rano, jeśli nie będzie się zachowywał spokojnie.

Od tej chwili widowisko odbywające się na ulicy nie sprawiało już Karlowi przyjemności. Zmuszony do tego, ponieważ Brunelda nie pozwalała mu się wyprostować, wychylił się nieco za poręcz. Przepelniony własnymi troskami, patrzył roztargnionym wzrokiem na ludzi w dole, którzy grupami po jakieś dwadzieścia osób podchodzili do drzwi gospody, chwyтали szklanki, odwracali się i wymachiwali nimi ku zajętemu teraz samym sobą kandydatowi, wykrzykiwali pozdrowienia, opróżniali szklanki i z głośnym, lecz na tej wysokości niedosłyszalnym stuknięciem stawiali je z powrotem na tacy, aby zrobić miejsce nowej,

hałasującej z niecierpliwości grupie. Na polecenie przywódców kapela, która dotychczas grała w gospodzie, wyszła na ulicę, jej wielkie dęte instrumenty błyszczały w ciemnym tłumie, ale gra ginęła niemal w ogólnej wrzawie. Ulica była teraz, przynajmniej po tej stronie, gdzie znajdowała się gospoda, wypełniona ludźmi, jak daleko wzrok sięgał. Napływali oni z jednego końca, skąd Karl rano przyjechał samochodem, nadbiegali z drugiego, od strony mostu, a nawet ludzie z okolicznych domów nie mogli oprzeć się pokusie, aby osobiście wziąć udział w wydarzeniach, na balkonach i w oknach pozostały teraz prawie same kobiety i dzieci, podczas gdy mężczyźni wysypywali się na dole z bram. Lecz teraz muzyka i poczęstunek osiągnęły swój cel, zgromadzenie było dostatecznie liczne, jeden z przywódców, oświetlony dwiema samochodowymi latarniami, skinieniem odesłał muzykę, wydał głośny gwizd i zaraz ukazał się nieco usunięty na bok tragarz z kandydatem, podążający śpiesznie przejściem utworowanym przez zwolenników.

Zaledwie znalazł się pod drzwiami gospody, kandydat w blasku samochodowych latarni, trzymany wokół niego zwartym kręgiem, rozpoczął nowe przemówienie. Ale teraz wszystko szło o wiele trudniej niż przedtem, tragarz nie miał najmniejszej swobody ruchów, ścisk był zbyt wielki. Najbliżsi zwolennicy, którzy przedtem wszelkimi możliwymi sposobami próbowali wzmocnić efekt mowy kandydata, mieli trudności z pozostaniem w jego pobliżu, chyba że dwudziestu trzymało się z całej siły tragarza. Ale nawet ten silny mężczyzna nie mógł zrobić ani kroku według własnej woli, nie można już było myśleć o wpływaniu na tłum odwracaniem się w określonych kierunkach, odpowiednim posuwaniem się naprzód czy cofaniem. Tłum ludzi płynął bez planu, jeden leżał na drugim, nikt nie stał o własnych siłach, zdawało się, że wśród nowej publiczności przybyło wielu przeciwników, tragarz trzymał się długo w pobliżu drzwi gospody, teraz jednak, pozornie bez oporu, pozwolił się

wodzić ulicą tam i z powrotem, kandydat wciąż mówił, lecz nie było zbyt jasne, czy wykląda swój program, czy też wzywa pomocy; jeśli pozory nie myliły, znalazł się także kontrkandydat albo nawet paru, gdyż tu i ówdzie w nagle rozbłyskującym świetle ukazywał się podniesiony z tłumu człowiek o bladej twarzy i zaciśniętych pięściach i wygłaszał przemówienie, witane chóralnymi okrzykami.

– Co tam się dzieje? – zapytał Karl i nie mogąc złapać tchu z oszołomienia, zwrócił się do swych strażników.

– Jak to małego podnieca! – powiedziała Brunelda do Delamarche i ujęła Karla za podbródek, żeby przyciągnąć ku sobie jego twarz. Ale Karl tego nie chciał, a ponieważ zajścia na ulicy uczyniły go po prostu bezwzględny, otrząsnął się tak silnie, że Brunelda nie tylko go puściła, lecz cofnęła się, przywracając mu pełną swobodę. – Teraz widziałeś już dość – powiedziała, wyraźnie rozgniewana zachowaniem Karla. – Idź do pokoju, przygotuj pościel i wszystko na noc. – Wyciągnęła rękę w stronę pokoju. Właśnie w tym kierunku Karl pragnął udać się już od kilku godzin, nie sprzeciwił się więc ani słowem. Wtedy z ulicy dał się słyszeć brzęk wielkiej ilości tłuczonego szkła. Karl nie mógł się opanować i skoczył szybko ku poręczy, aby raz jeszcze przelotnie spojrzeć w dół. Atak przeciwników – i to może decydujący – powiódł się, latarnie automobilowe, których silne światło sprawiało, że przynajmniej główne wydarzenia rozgrywały się jawnie i wskutek tego wszystko utrzymywało się w pewnych granicach, zostały co do jednej równocześnie rozbite, kandydat i jego tragarz znaleźli się teraz w powszechnym, niepewnym oświetleniu, które, nagle rozprzestrzenione, wywoływało ten sam efekt, co zupełna ciemność. Nawet w przybliżeniu nie można by określić miejsca, w którym znajdował się kandydat, a zamęt spowodowany ciemnością powiększył się jeszcze, ponieważ dał się słyszeć rozwlekły, jednolity śpiew, dobiegający z dołu, od strony mostu.

– Czy nie mówiłam ci, co masz teraz robić! – powiedziała Brunelda.
– Pośpiesz się. Jestem zmęczona – dodała i wyciągnęła ręce w górę, tak że jej piersi uwypukliły się bardziej niż zwykle. Delamarche, który wciąż jeszcze obejmował Bruneldę, pociągnął ją za sobą w kąt balkonu. Robinson poszedł za nimi, żeby usunąć resztki swojego jedzenia, które tam leżały.

Karl musiał wyzyskać tę sprzyjającą sposobność, teraz nie było czasu na patrzenie w dół, wydarzenia na ulicy zobaczy na dole, i to dokładniej, niż stąd, z góry. W dwóch skokach przebył czerwono oświetlony pokój, ale drzwi były zamknięte, a klucz wyjęty. Musiał go teraz znaleźć, ale ktoś znalazłby klucz w tym rozgardiaszu, i to w dodatku w tak krótkiej, cennej chwili, jaką Karl miał przed sobą! Teraz powinien być już na schodach, biec i biec. I oto musiał szukać klucza!

Szukał go we wszystkich dostępnych szufladach, szperał wśród rozrzuconych na stole naczyń, serwetek i rozpoczętych haftów, zwabił go fotel, na którym leżał skłębiony stos starych ubrań, a wśród nich mógł się znajdować klucz, ale nigdy nie można by go tam znaleźć, w końcu rzucił się na rzeczywiście cuchnącą kanapę, aby obmacać wszystkie jej kąty i zagłębienia. Wreszcie zaprzestał szukania i stanął na środku pokoju. „Z pewnością Brunelda przymocowała klucz do paska – pomyślał. – Wisiało przy nim przecież tyle rzeczy, wszelkie szukanie jest daremne”.

Karl chwycił na oślep dwa noże i wsadził je pomiędzy skrzydła drzwi, jeden u góry, drugi u dołu, aby otrzymać dwa odległe od siebie punkty podważenia. Ledwie pociągnął za noże, naturalnie ostrza się złamały. Tylko tego sobie życzył, ułamane noże, które mógł teraz mocniej wcisnąć, powinny trzymać tym lepiej. Pociągnął je z całej siły, szeroko rozwarłszy ramiona, zapałszy się rozstawionymi nogami, stękając i bacznie przy tym obserwując drzwi. Drzwi nie mogły długo stawiać oporu, rozpoznał to z radością po wyraźnie dosłyszalnym obluźnianiu się rygli, ale im wolniej

to szło, tym lepiej, nie powinien był raptownie wyłamać zamka, bo zwróciłoby to uwagę na balkonie, chodziło o to, żeby zamek odrywał się powoli, i nad tym pracował Karl z największą ostrożnością, coraz bardziej zbliżając oczy do zamka.

– Patrzcie no – usłyszał nagle głos Delamarche’a.

Wszyscy troje stali w pokoju, kotara za nimi była już zaciągnięta, Karl widać nie dosłyszał ich wejścia, ręce mu opadły, gdy spojrzął na noże. Ale nie zdążył nawet powiedzieć słowa wyjaśnienia czy usprawiedliwienia, gdyż Delamarche, w niewspółmiernym z okazją ataku wściekłości – rozwiązany pasek szlafroka opisał wielką figurę w powietrzu – runął na niego. Karl jeszcze w ostatnim momencie uchylił się przed atakiem, mógłby wyciągnąć noże z drzwi i użyć ich do obrony, ale nie uczynił tego, natomiast pochyliwszy się, a potem prostując nagle plecy, chwycił szeroki kołnierz szlafroka Delamarche, poderwał go w górę, podciągnął jeszcze wyżej – szlafrok był przecież na Delamarche’a o wiele za duży – i udało mu się złapać teraz Delamarche’a za głowę, a ten, zupełnie zaskoczony, z początku na oślep wymachiwał rękami i dopiero po chwili, lecz jeszcze niezupełnie skutecznie, zaczął bić Karla pięściami po plecach, a Karl, aby ochronić twarz, rzucił się na pierś Delamarche. Karl zniósł coraz silniejsze ciosy pięści, choć zwiżał się z bólu, ale jakżeby nie miał ich znieść, skoro przed sobą widział zwycięstwo. Nie puszczając głowy Delamarche’a, z wielkimi palcami przy jego oczach, prowadził go przed sobą w najgorszy rozgardiasz mebli, a ponadto próbował stopami omotać pasek od szlafroka wokół nóg Delamarche’a, aby go w ten sposób przewrócić.

Ale całkowicie zajęty Delamarchem, zwłaszcza że czuł, iż jego opór wciąż wzrasta i że to wrogie ciało coraz silniej na niego napiera, zapomniał, że nie jest z nim sam. Aż za szybko mu o tym przypomniano, gdyż nagle odmówiły mu posłuszeństwa nogi, które Robinson, rzuciwszy się za nim na podłogę, rozsunał mu z krzykiem. Karl, dysząc, puścił Delamarche, który

cofnął się jeszcze o krok. Brunelda, z szeroko rozstawionymi nogami, na ugiętych kolanach, stała w całej swej okazałości pośrodku pokoju i śledziła wydarzenia błyszczącymi oczyma. Jak gdyby rzeczywiście brała udział w walce, oddychała głęboko, toczyła wzrokiem i z wolna wysuwała naprzód pięści. Delamarche odrzucił kołnierz w dół, teraz mógł patrzeć swobodnie i nie było już oczywiście dalszej walki, a tylko wymierzanie kary. Chwycił Karla z przodu za koszulę, uniósł go prawie z podłogi i z pogardą, nawet na niego nie patrząc, cisnął go tak gwałtownie na skrzynię oddaloną o parę kroków, że Karl w pewnej chwili pomyślał, iż kłujące bóle w plecach i w głowie, których powodem było uderzenie o skrzynię, pochodziły bezpośrednio z ręki Delamarche.

– Ty łajdaku! – usłyszał jeszcze okrzyk Delamarche w ciemności, która zapadła przed jego drżącymi oczami. I w pierwszym omdleniu, w którym padł na podłogę przed skrzynią, zabrzmiały mu jeszcze słabo w uszach słowa: – Poczekaj tylko!

Gdy wrócił do przytomności, wokół niego było całkiem ciemno, mogła to być jeszcze późna noc, z balkonu przeciskał się pod kotarą do pokoju lekki blask księżyca. Słysząc było spokojne oddechy trojga śpiących, najgłośniejsz oddychała Brunelda, sapała we śnie, tak jak to czasem robiła mówiąc; niełatwo było ustalić, gdzie leży które z nich, cały pokój był pełen szumu ich oddechów. Dopiero gdy Karl zbadał nieco swoje otoczenie, pomyślał o sobie i bardzo się przestraszył, bo chociaż czuł się zupełnie połamany i zeszywniały z bólu, to nie przyszło mu do głowy, że mógł odnieść ciężką, krwawiącą ranę. Lecz teraz czuł jakiś ciężar na głowie, a cała twarz, szyja i pierś pod koszulą były wilgotne jakby od krwi. Musiał dostać się do światła, żeby dokładniej zbadać swój stan, może zrobiono z niego kalekę, wtedy Delamarche na pewno chętnie by go zwolnił, ale cóż by on ze sobą począł, w takim wypadku naprawdę nie było już dla niego żadnych widoków. Pomyślał o chłopaku z wyżartym nosem, którego

widział w bramie, i na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

Mimo woli zwrócił się potem ku drzwiom i podpełzł ku nim po omacku na czworakach. Wkrótce końcami palców namacał but, a potem nogę. To był Robinson, któż poza nim spałby w butach? Kazano mu położyć się w poprzek przed drzwiami, żeby uniemożliwić Karlowi ucieczkę. Ale czyż nie wiedziano, w jakim Karl jest stanie? Na razie nie chciał nawet uciekać, chciał tylko dostać się do światła. Więc jeśli drogę do drzwi miał zamkniętą, to musiał wyjść na balkon.

Stół jadalny zastał na zupełnie innym miejscu niż wieczorem, kanapa, do której Karl naturalnie zbliżał się bardzo ostrożnie, była zaskakująco pusta, natomiast na środku pokoju natknął się na wysoko spiętrzone, choć silnie sprasowane ubrania, kołdry, firanki, poduszki i dywany. Z początku myślał, że jest to tylko niewielki stos, podobny do tego, który wieczorem znalazł na sofie i który może stoczył się na podłogę, ale ku swemu zdumieniu zauważył, czolgając się dalej, że leży tu chyba cały wagon takich rzeczy, które prawdopodobnie na noc wyjęto ze skrzyń, gdzie były przechowywane podczas dnia. Przeczolgał się naokoło stosu i zorientował się wkrótce, że jest to coś w rodzaju legowiska, na którym wysoko w górze, jak o tym przekonał się ostrożnie macając rękami, spoczywają Delamarche i Brunelda.

Teraz wiedział już, gdzie śpią wszyscy, i dołożył starań, aby jak najprędzej znaleźć się na balkonie. To był zupełnie inny świat, w którym tutaj po drugiej stronie kotary, szybko powrócił do siebie. W świeżym nocnym powietrzu, w pełnym blasku księżyca przeszedł się kilka razy po balkonie tam i z powrotem. Popatrzył na ulicę, była całkiem spokojna, z gospody dźwięczała jeszcze muzyka, ale już stłumiona, przed bramą jakiś człowiek zamiatał chodnik, z ulicy, na której wieczorem, wśród ogólnej dzikiej wrzawy, nie można było odróżnić wykrzykiwania kandydata wyborczego od tysiąca innych głosów, słychać było wyraźnie szelest

miotły na bruku.

Przesunięcie stołu na sąsiednim balkonie zwróciło uwagę Karla na to, że ktoś siedzi i studiuje. Był to młody człowiek z małą, spiczastą bródką i przy czytaniu, któremu towarzyszył szybki ruch warg, bezustannie ją skubał. Siedział z twarzą zwróconą do Karla przy małym stole zarzuconym książkami, zdjętą z muru żarówkę wcisnął między dwie wielkie książki i cały był teraz oświetlony jej jaskrawym światłem.

– Dobry wieczór – powiedział Karl, bo zdawało mu się, że młody człowiek spojrzął w jego stronę.

Ale widocznie się mylił, bo młody człowiek sprawiał wrażenie, jakby w ogóle go jeszcze nie zauważył, przyłożył dłoń do oczu, żeby przesłonić je od światła i sprawdzić, kto go tak nagle pozdrowił, a potem, ponieważ wciąż jeszcze nic nie widział, podniósł żarówkę, żeby oświetlić nią trochę także sąsiedni balkon.

– Dobry wieczór – odpowiedział, popatrzył przez chwilę ostro, a potem dorzucił: – I co dalej?

– Przeszkadzam panu? – spytał Karl.

– Zapewne, zapewne – powiedział mężczyzna i przeniósł żarówkę z powrotem na poprzednie miejsce.

Wprawdzie tymi słowami odmówił nawiązania znajomości, ale mimo to Karl nie opuszczał kąta balkonu, w którym był najbliżej tego człowieka. Popatrzył w milczeniu, jak ów człowiek czyta książkę, przewraca kartki, od czasu do czasu zagląda do innej książki, którą zawsze błyskawicznie chwycił, i często robi notatki w zeszytach, nad którym zdumiewająco nisko pochyła twarz.

Może ten człowiek był Studentem? Wyglądało na to, że coś studiuje. Podobnie – teraz było to już dawno temu – siadywał Karl w domu przy stole rodziców i odrabiał zadania, podczas gdy ojciec czytał gazetę albo wciągał pozycje do ksiąg i załatwiał korespondencję jakiegoś

stowarzyszenia, a matka zajęta była szyciem i wysoko wyciągała nitkę z materiału. Żeby nie przeszkadzać ojcu, Karl kładł na stole tylko zeszyt i przybory do pisania, a potrzebne książki rozkładał na prawo i lewo od siebie na krzesłach. Jak tam było spokojnie! Jak rzadko przychodzili do tego pokoju obcy ludzie! Już jako małe dziecko Karl chętnie przyglądał się, jak matka wieczorem zamykała na klucz drzwi od mieszkania. Nie przeczuwała nawet, jak daleko Karl zaszedł i że teraz usiłował wyłamać nożem cudze drzwi.

I jakież cel miała cała jego nauka! Wszystko zapomniał; gdyby doszło do tego, że miały ją tutaj kontynuować, byłoby mu bardzo ciężko. Przypomniawszy sobie, jak to raz w domu chorował przez miesiąc; ileż trudu kosztowało go wtedy ponowne wciągnięcie się do przerwanej nauki! A teraz oprócz podręcznika angielskiej korespondencji handlowej tak dawno już nie czytał żadnej książki.

Młody człowieku – Karl usłyszał nagle, że się do niego zwrócono – nie mógłby pan stanąć sobie gdzie indziej? Pańskie gapienie się na mnie strasznie mi przeszkadza. O drugiej w nocy można chyba wymagać spokoju do pracy na balkonie. Życzy pan sobie czegoś ode mnie?

– Pan studiuje? – zapytał Karl.

– Tak, tak – powiedział mężczyzna i wykorzystał tę straconą dla nauki chwilkę, żeby na nowo uporządkować swoje książki.

– W takim razie nie chcę panu przeszkadzać – powiedział Karl. – W ogóle wracam już do pokoju. Dobranoc.

Mężczyzna nawet nie odpowiedział, w nagłym postanowieniu, po usunięciu tej przeszkody, zabrał się znów do studiowania i ciężko oparł czoło na prawej dłoni.

Wtedy Karl, tuż przed kotarą, przypomniał sobie, dlaczego właściwie wyszedł na zewnątrz, nie wiedział przecież nawet jeszcze, co z nim jest. Co tak ciąży mu na głowie? Sięgnął ręką i zdumiał się, bo nie była to

krwawiąca rana, jak się tego w ciemności pokoju obawiał, lecz wciąż jeszcze wilgotny opatrunek w kształcie turbanu. Był to, sądząc po zwisających tu i ówdzie resztkach koronek, gałgan oderwany z jakiejś starej sztuki bielizny Bruneldy i Robinson z pewnością naprędce owinął nim głowę Karla. Zapomniał go tylko wyjąć i dlatego, podczas gdy Karl był nieprzytomny, tak dużo wody spłynęło mu z twarzy pod koszulę i napędziło tyle strachu.

Pan wciąż jeszcze tutaj? – spytał mężczyzna, spoglądając w jego stronę.

Ale teraz naprawdę już idę – powiedział Karl. – Chciałem tu tylko coś zobaczyć, w pokoju jest zupełnie ciemno.

– Kto pan właściwie jest? – zapytał mężczyzna, położył pióro na otwartej przed sobą książce i podszedł do poręczy balkonu. – Jak pan się nazywa? Skąd pan się wziął u tych ludzi? Dawno jest pan tutaj? Co pan chce zobaczyć? Niechże pan dokręci swoją żarówkę, żebym mógł pana zobaczyć.

Karl uczynił to, lecz zanim odpowiedział, zaciągnął szczelniej kotarę na drzwiach, żeby wewnątrz nic nie zauważono.

Proszę wybaczyć – powiedział potem szeptem – że mówię tak cicho. Gdyby mnie usłyszeli ci tam, wewnątrz, miałbym znowu awanturę.

– Znowu? – spytał mężczyzna.

– Tak – powiedział Karl. – Wczorajem wybuchła między nami wielka kłótnia. Muszę mieć jeszcze straszego guza. – I dotknął tyłu głowy.

– Cóż to była za kłótnia? – spytał mężczyzna, a gdy Karl zaraz nie odpowiedział, dorzucił: – Mnie może się pan spokojnie zwierzyć ze wszystkiego, co pan ma przeciw tym państwu. Bo ja nienawidzę ich wszystkich trojga, a szczególnie tej damy. Dziwiłbym się zresztą, gdyby już pana przeciwko mnie nie podjudzili. Nazywam się Józef Mendel i jestem studentem.

Tak – rzekł Karl – opowiadano mi już o panu, ale nic złego. Pan kurował raz panią Brunelbę, prawda?

– Zgadza się – powiedział Student i roześmiał się. – Czy kanapa jeszcze cuchnie?

– O, tak – powiedział Karl.

– To mnie cieszy – powiedział Student i przeciągnął ręką po włosach. – A dlaczego nabito panu guza?

– To była kłótnia – powiedział Karl i zamyślił się, jak ma to Studentowi wyjaśnić. Ale potem przerwał sobie i rzekł: – Więc nie przeszkadzam panu?

Po pierwsze – powiedział Student – już mi pan przeszkodził, a ja, niestety, jestem tak nerwowy, że potrzebuję wiele czasu, aby znowu się skupić. Od chwili, kiedy pan zaczął swoje spacerować po balkonie, nie posunąłem się naprzód w studiach. A po drugie, o trzeciej zawsze robię przerwę. Więc niech pan spokojnie opowiada. To mnie zresztą interesuje.

To całkiem proste – powiedział Karl. – Delamarche chce, żebym został u niego służącym. A ja nie chcę. Najchętniej byłbym odszedł jeszcze wieczorem. On nie chciał mnie puścić, zamknął drzwi na klucz, ja chciałem je wyłamać i tak doszło do bijatyki. Czuję się nieszczęśliwy, że jeszcze tu jestem.

– Ma pan jakąś inną posadę? – zapytał Student.

– Nie – powiedział Karl – ale nie zależy mi na tym, bylebym tylko mógł stąd odejść.

– Niech pan posłucha – powiedział Student. – Nie zależy panu na tym? – I obaj przez chwilę milczeli. – Dlaczegoż nie chce pan zostać u tych ludzi? – zapytał potem Student.

– Delamarche jest złym człowiekiem – powiedział Karl. – Znałem go już wcześniej. Maszerowaliśmy kiedyś razem cały dzień i cieszyłem się, gdy mogłem się z nim rozstać. A teraz mam być u niego służącym?

– Gdyby wszyscy służący przy wyborze swoich państwa byli tacy wybredni jak pan! – powiedział Student i zdawało się, że się uśmiecha. – Wie pan, ja w ciągu dnia jestem sprzedawcą, sprzedawcą najniższej kategorii, raczej już gońcem w domu towarowym Montly’ego. Ten Montly jest bez wątpienia łajdakiem, ale to mi zupełnie nie przeszkadza, jestem tylko wściekły, że mam tak nędzną płacę. Więc niech pan bierze ze mnie przykład.

– Jak to? – powiedział Karl. – W ciągu dnia jest pan sprzedawcą, a w nocy pan studiuje?

– Tak – powiedział Student – inaczej się nie da. Próbowałem już wszystkiego, czego tylko było można, ale ten tryb życia jest jeszcze najlepszy. Kilka lat temu byłem studentem, w dzień i w nocy, ale przy tym niemal się zagłodziłem, spałem w brudnej, starej dziurze i w moim ówczesnym ubraniu nie miałem odwagi wejść do sali wykładowej. Ale to już minęło.

– A kiedy pan sypia? – spytał Karl i popatrzył na Studenta ze zdumieniem.

– Tak, kiedy sypiam! – powiedział Student. – Sypiać będę wtedy, kiedy skończę studia. Na razie piję czarną kawę. – Odwrócił się, wyciągnął spod stołu wielką butelkę, nalał z niej czarnej kawy do małej filiżanki i wlał ją w siebie tak szybko, jak łyka się lekarstwo, żeby poczuć możliwie najmniej jego smak.

– Doskonała rzecz czarna kawa – powiedział Student. – Szkoda, że jest pan tak daleko i nie mogę pana poczęstować.

– Mnie czarna kawa nie smakuje – powiedział Karl.

– Mnie też nie – powiedział Student i roześmiał się. – Ale cóż bym bez niej począł! Bez czarnej kawy Montly nietrzymałby mnie ani przez chwilę. Zawsze mówię o nim: Montly, choć on naturalnie nie ma pojęcia o tym, że w ogóle jestem na świecie. Naprawdę nie wiem, jakbym się

zachowywał w firmie, gdybym nie miał tam przygotowanej w pulpicie takiej samej dużej butelki jak ta, bo nigdy jeszcze nie odważyłem się obyć bez picia kawy, ale niech mi pan wierzy, że wkrótce leżałbym za pulpitem i spał. Oni to, niestety, przeczuwają, nazywają mnie tam: „Czarna kawa”, to jest idiotyczny dowcip i na pewno zaszkodził mi już w awansie.

– A kiedy pan skończy studia? – zapytał Karl.

– To idzie powoli – powiedział Student ze zwieszoną głową. Odszedł od poręczy i usiadł znowu przy stole; oparłszy łokcie na otwartej książce, przesuując dłońmi po włosach, powiedział potem: – Może jeszcze potrwać rok lub dwa.

– Ja także chciałem studiować – powiedział Karl, jak gdyby ta okoliczność dawała mu prawo do jeszcze większego zaufania niż to, jakie milczący teraz Student już mu okazał.

– Tak? – powiedział Student i było niezupełnie pewne, czy już znowu czyta książkę, czy tylko patrzy na nią z roztargnieniem. – To niech się pan cieszy, że pan porzucił studia. Ja już od lat studiuje właściwie tylko dla konsekwencji. Mało mam z tego zadowolenia, a jeszcze mniej widoków na przyszłość. Jakież miałbym mieć widoki! W Ameryce jest pełno doktorów szarlatanów.

– Ja chciałem być inżynierem – szybko powiedział jeszcze Karl do pozornie już zupełnie obojętnego Studenta.

– A teraz ma pan zostać służącym u tych ludzi – powiedział Student i rzucił mu przelotne spojrzenie – i to naturalnie sprawia panu ból.

Ten wniosek Studenta był zresztą nieporozumieniem, ale mógł się Karlowi przydać. Dlatego Karl spytał:

– A może ja także mógłbym dostać posadę w domu towarowym?

To pytanie zupełnie oderwało Studenta od książki; w ogóle nie przyszło mu na myśl, że mógłby Karlowi pomóc w jego staraniach o pracę.

– Niech pan spróbuje – powiedział – albo lepiej niech pan nie próbuje.

To że ja dostałem posadę u Montly’ego, jest dotychczas największym osiągnięciem mojego życia. Gdybym miał wybierać pomiędzy studiami a posadą, wybrałbym naturalnie posadę. Mój wysiłek zmierza tylko ku temu, żeby nie dopuścić do konieczności takiego wyboru.

– Tak trudno jest tam dostać posadę – powiedział Karl raczej do siebie.

– Ach, cóż pan myśli – rzekł Student. – Łatwiej jest zostać tutaj sędzią okręgowym niż odźwiernym u Montly’go.

Karl milczał. Ten Student, o tyle bardziej doświadczony od niego i z jakichś nie znanych jeszcze Karlowi powodów nienawidzący Delamarche, a z pewnością nie życzący Karlowi nic złego, nie znalazł dla niego ani słowa zachęty do opuszczenia Delamarche. A przecież nie wiedział jeszcze nawet o niebezpieczeństwie, które groziło Karlowi ze strony policji i przed którym tylko u Delamarche był jako tako bezpieczny.

– Widział pan wieczorem tę demonstrację na dole? Nieprawdaz? Gdyby ktoś nie znał tutejszych stosunków, mógłby pomyśleć, że ów kandydat, nazywa się Lobter, będzie miał jakieś widoki albo przynajmniej będzie brany w rachubę, prawda?

– Nie znam się zupełnie na polityce – powiedział Karl.

– To błąd – powiedział Student. – Ale niezależnie od tego ma pan przecież oczy i uszy. Ten człowiek miał bez wątpienia przyjaciół i wrogów, nie mogło to przecież ujść pańskiej uwagi. I teraz niech pan się zastanowi, ten człowiek moim zdaniem nie ma najmniejszych widoków, żeby zostać wybranym. Przypadkowo wiem o nim wszystko, mieszka u nas ktoś, kto go zna. To nie jest człowiek niezdolny i biorąc pod uwagę jego polityczne poglądy i polityczną przeszłość właśnie on byłby odpowiednim sędzią dla naszej dzielnicy. Ale nikt nawet nie myśli o tym, żeby on mógł zostać wybrany, przypadnie tak wspaniale, jak tylko można przepaść, wyrzuci na tę kampanię wyborczą trochę dolarów i to będzie wszystko.

Karl i Student patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Student z

uśmiechem kiwnął głową i przycisnął dłonią zmęczone oczy.

– No, nie pójdzie pan jeszcze spać? – spytał potem. – Ja muszę dalej studiować. Widzi pan, ile mam jeszcze do zrobienia. – I szybko przekartkował połowę książki, żeby dać Karlowi pojęcie o pracy, która jeszcze na niego czeka.

– Wobec tego dobrej nocy – powiedział Karl i uklonił się.

Niechże pan kiedyś do nas przyjdzie – powiedział Student, który już znowu siedział przy swym stole. – Naturalnie, jeśli pan ma na to ochotę. Zawsze pan tutaj znajdzie duże towarzystwo. Od dziewiątej do dziesiątej wieczorem będę miał także czas dla pana.

– A więc radzi mi pan zostać u Delamarche? – spytał Karl.

– Bezwarunkowo – powiedział Student i pochylił już głowę nad książkami. Zdawało się nawet, jakby nie on powiedział to słowo; brzmiało ono jeszcze potem w uszach Karla, jakby wypowiedziane głosem głębszym niż głos Studenta. Karl wolno poszedł ku kotarze, spojrzał jeszcze na Studenta, który teraz, zupełnie już nieporuszony, otoczony wielką ciemnością, siedział w blasku swego światełka. Potem wśliznął się do pokoju. Otoczyły go połączone oddechy trojga śpiących. Macając wzdłuż ściany poszukał kanapy, a kiedy ją znalazł, wyciągnął się na niej spokojnie, jakby była jego zwykłym legowiskiem. Ponieważ Student, który dokładnie znał Delamarche i tutejsze stosunki, a ponadto był człowiekiem wykształconym, poradził mu, żeby tu zostać, na razie wcale się nad tym nie zastanawiał. Nie miał tak wielkich celów jak Student, kto wie, czy nawet w domu udałoby mu się doprowadzić studia do końca, a jeśli w domu wydawało to się ledwie możliwe, to nikt nie mógł wymagać, żeby ukończył je tutaj, w obcym kraju. Ale z pewnością mógł mieć większą nadzieję na znalezienie posady, na której mógłby coś osiągnąć i zyskać uznanie za swoje osiągnięcia, gdyby tymczasem przyjął miejsce służącego u Delamarche» a i na tej pewnej podstawie

oczekiwał dogodnej sposobności. Zdaje się, że na tej ulicy znajdowało się wiele biur średniej i niższej rangi, które, być może, w razie potrzeby nie byłyby zbyt wybredne w doborze personelu. Gdyby tak być musiało, chętnie zostałby posługaczem w biurze, ale ostatecznie wcale nie było przecież wykluczone, że mógłby też zostać przyjęty do prawdziwych prac biurowych i w przyszłości siedzieć jak urzędnik przy biurku i beztrudnie patrzeć chwilami przez otwarte okno, jak ów urzędnik, którego widział dziś rano, gdy przechodził przez podwórko. Zamknął oczy, pomyślał uspokajająco, że przecież jest jeszcze młody i że przecież kiedyś Delamarche go zwolni; to gospodarstwo naprawdę nie wyglądało tak, jakby miało trwać wiecznie. Ale gdyby Karl kiedyś otrzymał taką posesję w biurze, wtedy nie zajmowałby się niczym innym poza swymi pracami biurowymi i nie rozpraszałby siłą, tak jak Student. Gdyby było trzeba, poświęcałby dla biura także noce, czego z początku, przy jego marnym kupieckim przygotowaniu, i tak by od niego wymagano. Myślałby tylko o interesach firmy, której miałby służyć, i podejmowałby się wszystkich prac, nawet tych, które inni urzędnicy odrzucaliby jako ich niegodne. Dobre postanowienia tłoczyły mu się w głowie, jak gdyby jego przyszły szef stał przed kanapą i czytał je z jego twarzy.

Z takimi myślami Karl zasnął i jeszcze tylko w pierwszym półśnie trochę mu przeszkadzało gwałtowne sapanie Bruneldy, która widocznie trapiąca ciężkimi snami przewracała się na swym posłaniu.

Teatr z Oklahomy

Na rogu ulicy Karl zobaczył plakat z następującym napisem: „Dzisiaj od szóstej rano do północy, na torze wyścigowym w Clayton, będzie przyjmowany personel do Teatru z Oklahomy! Wielki Teatr z Oklahomy

wzywa was! Wzywa was tylko dzisiaj, tylko ten jeden raz! Kto teraz straci okazję, straci ją na zawsze! Kto myśli o swojej przyszłości, należy do nas! Każdy jest mile widziany! Kto chce zostać artystą, niech się zgłosi! Jesteśmy teatrem, w którym każdy jest potrzebny, każdy na właściwym miejscu! Gratulujemy z góry każdemu, kto zdecyduje się do nas wstąpić! Ale pośpieszcie się, żebyście się dostali przed północą! O dwunastej wejścia zostaną zamknięte i już ich nie otworzymy! Niech będzie przeklęty, kto nam nie wierzy! W drogę do Clayton!”

Wprawdzie wielu ludzi stało przed plakatem, ale wydawało się, że nie budzi on zbyt wielkiego entuzjazmu. Tak wiele było plakatów, nikt już plakatom nie wierzył. A ten był jeszcze bardziej nieprawdopodobny niż inne. Przede wszystkim miał jeden wielki błąd: nie było w nim ani słówka o zapłacie. Gdyby była choć trochę godna wzmianki, plakat na pewno by o niej wspomniał; nie pominąłby tego, co najbardziej kusi. Nikt nie pragnął zostać artystą, ale z pewnością każdy chciał, żeby mu zapłacono za jego pracę.

A przecież dla Karla plakat zawierał wielką pokusę. Brzmiała ona:

„Każdy jest mile widziany”. Każdy, a więc i Karl. Wszystko, co dotychczas uczynił, poszło w zapomnienie, nikt nie będzie mu robił z tego powodu wyrzutów. Mógł się zgłosić do pracy, nie będącej żadną hańbą, do której nawet publicznie zapraszano! I równie publicznie obiecywano, że i on także zostanie przyjęty. Nie pragnął niczego więcej, chciał wreszcie zacząć przyzwoite życie i może właśnie tutaj mu je wskazywano. Cała chępliwość plakatu mogła być kłamstwem, wielki Teatr z Oklahomy mógł sobie być małym, wędrownym cyrkiem, chciał jednak przyjąć ludzi, to wystarczało. Karl nie czytał plakatu po raz drugi, lecz raz jeszcze odszukał zdanie: „Każdy jest mile widziany”. Z początku myślał o tym, żeby iść pieszo do Clayton, ale byłyby to trzy godziny bardzo wyczerpującego marszu i mógłby przyjść tylko po to,

aby się dowiedzieć, że wszystkie miejsca zostały już zajęte. Wprawdzie według plakatu liczba tych, których miano przyjąć, była nieograniczona, ale ogłoszenia o pracy zawsze redagowano w ten sposób. Karl zrozumiał, że albo musi zrezygnować z miejsca, albo pojechać. Przeliczył pieniądze, które bez tej podróży wystarczyłyby mu na tydzień, przesuwał tam i z powrotem drobne monety na otwartej dłoni. Jakiś pan, który go obserwował, poklepał go po ramieniu i powiedział: Szczęśliwej drogi do Clayton! – Karl w milczeniu kiwnął głową i liczył dalej. Ale wkrótce się zdecydował, odłożył pieniądze potrzebne na przejazd i pobiegł do kolei podziemnej. Kiedy wysiadł w Clayton, usłyszał od razu dźwięk wielu trąb. Był to bezładny hałas, trąby nie brzmiały zgodnie, dęto w nie bez ładu i składu. Ale Karlowi to nie przeszkadzało, potwierdzało raczej, że Teatr z Oklahomy jest wielkim przedsięwzięciem. Lecz gdy wyszedł z budynku stacji i rzucił okiem na całość urządzenia, zobaczył, że wszystko jest jeszcze większe, niż kiedykolwiek mógłby był pomyśleć, i nie pojmował, jak przedsięwzięcie może ponosić takie wydatki tylko w tym celu, żeby zdobyć personel. Przed wejściem na tor wyścigowy zbudowano długie, niskie podium, na którym setki kobiet przebranych za anioły, w białych szatach, z wielkimi skrzydłami u ramion, dęto w długie, błyszczące złotem trąby. Nie stały one bezpośrednio na podium, lecz każda z nich miała oddzielny postument, którego jednak nie było widać, gdyż zupełnie zasłaniały go długie, powiewne woale anielskiego stroju. A ponieważ owe postumenty były bardzo wysokie, chyba na dwa metry, postacie kobiet wyglądały na ogromne, tylko ich małe głowy psuły nieco wrażenie wielkości, a także ich rozpuszczone włosy zwisały zbyt krótkie i niemal śmieszne pomiędzy wielkimi skrzydłami i po bokach. Aby uniknąć jednostajności, użyto postumentów rozmaitych rozmiarów: były kobiety całkiem niskie, niewiele wyższe ponad normalny wzrost, lecz obok nich inne kobiety wznosiły się na wielkiej wysokości i można się było lękać,

iz najłżejszy podmuch wiatru będzie dla nich niebezpieczny. I wszystkie kobiety dęły w trąby.

Nie było wielu widzów. Może dziesięciu chłopców, małych w porównaniu z wielkimi postaciami, chodziło przed podium tam i z powrotem i spoglądało w górę ku kobietom. Pokazywali sobie nawzajem tę lub tamtą, nie wydawało się jednak, aby mieli zamiar wejść i dać się zaangażować. Widać było tylko jednego starszego mężczyznę, stojącego trochę na uboczu. Przyprowadził z sobą od razu żonę i dziecko w wózku. Żona trzymała jedną ręką wózek, drugą opierała się na ramieniu męża. Podziwiali wprawdzie widowisko, ale znać było po nich, że są rozczarowani. Oni z pewnością także spodziewali się, że znajdą tu jakąś pracę, lecz owo trąbienie zbijało ich z tropu. Karl był w tym samym położeniu. Podszedł do mężczyzny, przysłuchiwał się przez chwilę trąbieniu, a potem powiedział:

– To tutaj przyjmują do Teatru z Oklahomy?

– Ja też tak myślałem – odpowiedział mężczyzna – ale czekamy tu już od godziny i tylko słuchamy trąbienia. Nigdzie nie ma żadnego plakatu, nigdzie nie ma wywoływacza ani nikogo, kto mógłby nas poinformować.

Karl powiedział:

– Może czekają, aż zbierze się więcej ludzi. Doprawdy jest ich tu jeszcze bardzo mało.

– Możliwe – powiedział mężczyzna i znowu umilkli. Zresztą w zgiełku trąb trudno było coś zrozumieć. Lecz potem kobieta szepnęła coś mężowi, ten kiwnął głową, a ona zaraz zawołała do Karla:

– Nie mógłby pan pójść na tor wyścigowy i zapytać, gdzie się odbywa przyjmowanie?

– Owszem – odparł Karl – ale musiałbym wejść na podium i przejść między aniołami.

– Czy to takie trudne? – spytała kobieta.

Uważała, że dla Karla droga jest łatwa, ale męża nie chciała wysłać.

– No, dobrze – powiedział Karl. – Pójdę.

– Pan jest bardzo uprzejmy – powiedziała kobieta i zarówno ona, jak jej mąż uścisnęli Karlowi rękę.

Chłopcy zbiegli się, żeby zobaczyć z bliska, jak Karl będzie wchodził na podium. Zdawało się, że kobiety zatrąbiły mocniej, żeby powitać pierwszego starającego się o miejsce. Ale te, koło których Karl przechodził, odjęły nawet trąby od ust i pochyliły się na bok, aby patrzeć za nim. Na drugim końcu podium Karl ujrzał człowieka niespokojnie chodzącego tam i z powrotem i widocznie czekającego tylko na ludzi, którym mógłby służyć wszelkimi informacjami, jakich by sobie tylko życzyli. Karl chciał już podejść do niego, gdy ponad sobą usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

– Karl! – zawołał anioł. Karl spojrzał w górę i zaczął się śmiać, radośnie zaskoczony. Była to Fanny.

– Fanny! – zawołał i pozdrowił ją ruchem ręki.

– Podejdźże tutaj! – wołała Fanny. – Nie chcesz chyba przebiec koło mnie! I rozchyliła woal, tak że odsłonił się postument i wąskie schodki, wiodące na górę.

– Czy wolno wejść na górę? – spytał Karl.

– Któż mógłby nam zabronić, abyśmy sobie uścisnęli ręce! – zawołała Fanny i rozejrzała się gniewnie, czy nie nadchodzi ktoś z zakazem. Ale Karl biegł już po schodkach.

– Wolniej! – wołała Fanny. – Przewrócimy się oboje razem z postumentem! – Ale nic się nie stało, Karl doszedł szczęśliwie do ostatniego stopnia. – Popatrz tylko – powiedziała Fanny, kiedy się przywitani. – Popatrz tylko, jaką pracę dostałam.

– Naprawdę piękną – powiedział Karl i rozejrzał się dokoła. Wszystkie kobiety stojące w pobliżu zauważyły już Karla i zaczęły chichotać. – Ty

jesteś chyba najwyższa – powiedział Karl i wyciągnął rękę, żeby zmierzyć wysokość innych.

– Zaraz cię zobaczyłam – powiedziała Fanny – jak tylko wyszedłeś ze stacji, ale stoję tutaj, niestety, w ostatnim rzędzie, trudno mnie dojrzeć, a wołać także nie mogłam. Trąbiłam wprawdzie umyślnie głośno, ale nie poznałeś mnie.

– Wy wszystkie źle trąbicie – powiedział Karl. – Pozwól mi raz zatrąbić.

– Ależ oczywiście – powiedziała Fanny i podała mu trąbę. – Tylko nie zepsuj chóru, bo mnie zwolnią.

Karl zaczął trąbić; myślał, że to prymitywna trąba, przeznaczona tylko do robienia hałasu, okazało się jednak, że był to instrument, który mógł oddać każdą niemal subtelność dźwięku. Jeśli wszystkie instrumenty były równie dobre, to robiono z nich tutaj bardzo zły użytek. Nie przejmując się zgiełkiem robionym przez innych, Karl z pełnych płuc trąbił pieśń, którą słyszał kiedyś w jakiejś knajpie. Cieszył się, że spotkał starą przyjaciółkę i że może, wyróżniony spośród wszystkich, trąbić tutaj, a zapewne wkrótce otrzyma też dobrą posadę. Wiele kobiet przestało trąbić i przysłuchiwało się; gdy nagle urwał, zaledwie połowa trąb grała. Stopniowo dopiero powracano do pierwotnego zgiełku.

– Ty naprawdę jesteś artystą – powiedziała Fanny, gdy Karl oddał jej trąbę. – Zaangażuj się jako trębacz.

– Czy mężczyźni także będą przyjmować? – spytał Karl.

– Tak – powiedziała Fanny. – My mamy trąbić dwie godziny. Potem zluzują nas mężczyźni przebrani za diabły. Połowa trąbi, połowa bębni. To bardzo piękne i w ogóle cała wystawa jest bardzo kosztowna. Prawda, jaki nasz strój jest piękny? I skrzydła? – spojrzała po sobie.

– Myślisz – zapytał Karl – że ja także dostanę tu jakieś zajęcie?

– Z całą pewnością – powiedziała Fanny. To jest przecież największy

teatr świata. Jak dobrze się składa, że znowu będziemy razem! Co prawda zależy to od zajęcia, jakie dostaniesz. Bo możliwe jest, że choć będziemy tutaj razem pracować, nie będziemy się widywali.

– Czy ten teatr jest naprawdę taki wielki? – spytał Karl.

– To jest największy teatr świata – powtórzyła Fanny. – Ja sama go zresztą jeszcze nie widziałam, ale niektóre moje koleżanki, które już były w Oklahomie, mówią, że jest prawie bez granic.

– Ale mało ludzi się zgłasza – powiedział Karl i pokazał w dół na chłopców i na małą rodzinę.

– To prawda – powiedziała Fanny. – Ale pamiętaj, że przyjmujemy ludzi we wszystkich miastach, że nasza grupa werbunkowa wciąż podróżuje i że jest jeszcze wiele takich grup.

– Czyżby teatr nie był jeszcze otwarty? – spytał Karl.

– Ach, owszem – powiedziała Fanny. – To stary teatr, ale wciąż się go powiększa.

– Dziwię się – powiedział Karl – że nie pcha się do niego więcej ludzi.

– Tak – powiedziała Fanny – to dziwne.

– Może – powiedział Karl – ten kosztowny pokaz aniołów i diabłów bardziej odstrasza niż przyciąga.

– Jak tyś na to wpadł! – powiedziała Fanny. – Ale możliwe, że tak jest. Powiedz to naszemu przywódcy, może mu się tym przysłużysz.

– Gdzie on jest? – spytał Karl.

– Na torze wyścigowym – powiedziała Fanny. – Na trybunie sędziowskiej.

– To mnie także dziwi – powiedział Karl. – Dlaczego przyjmowanie odbywa się na torze wyścigowym?

– Bo – powiedziała Fanny – my robimy wszędzie największe przygotowania do największego napływu ludzi. Właśnie na torze wyścigowym jest dużo miejsca i we wszystkich miastach, w których

zazwyczaj przyjmowane są zakłady, znajdują się odpowiednie kancelarie. Podobno jest dwieście rozmaitych kancelarii.

– Ależ – zawołał Karl – czy Teatr z Oklahomy ma tak wielkie dochody, że może utrzymać tego rodzaju grupy werbunkowe?

– A cóż nas to obchodzi? – powiedziała Fanny. – Ale teraz idź. Karl, żebyś nie przepuścił okazji, ja też muszę już zacząć trąbić. W każdym razie Staraj się dostać posadę w tej grupie i zaraz przyjdź mi o tym powiedzieć. Pamiętaj, że będę czekała na wiadomość z wielkim niepokojem.

Uścisnęła mu rękę, napomniała, żeby ostrożnie schodził z postumentu, przytknęła znowu trąbę do warg, ale nie zatrąbiła, dopóki Karl bezpiecznie nie stanął na dole. Karl ułożył z powrotem woale na schodach tak, jak leżały przedtem, Fanny podziękowała mu skinieniem głowy i Karl, z rozmaitych stron rozważając to, co usłyszał, podszedł do człowieka, który go już przedtem widział na górze u Fanny i zbliżył się do postumentu, żeby go tam oczekiwać.

– Chce pan do nas wstąpić? – zapytał ów człowiek. – Jestem szefem personalnym tej grupy i witam pana z radością. – Stał wciąż nieco pochylony, jakby z uprzejmości, podrygiwał, chociaż nie ruszał się z miejsca, i bawił się łańcuszkiem od zegarka.

– Dziękuję – powiedział Karl. – Przeczytałem plakat pańskiego towarzystwa i zgłaszam się, jak tego wymagano.

– Bardzo dobrze – powiedział mężczyzna z uznaniem. – Nie każdy, niestety, zachowuje się tu tak właściwie.

Karl pomyślał, że teraz mógłby mu zwrócić uwagę, iż być może sposób werbowania stosowany przez tę grupę zawodzi właśnie z powodu zbytnej wspaniałości. Ale nie powiedział tego, bo człowiek ten nie był przywódcą grupy, a poza tym byłoby to może niekorzystne, gdyby on, nawet jeszcze nie przyjęty, zaraz na wstępie wysuwał propozycje ulepszeń. Dlatego powiedział tylko:

– Tam czeka jeszcze ktoś, kto też chce się zgłosić i mnie tylko wysłał naprzód. Czy mogę go teraz przyprowadzić?

– Naturalnie – powiedział mężczyzna. – Im więcej ludzi przychodzi, tym lepiej.

– On ma z sobą żonę i małe dziecko w wózku. Czy oni też mają przyjść?

– Naturalnie – powiedział człowiek i zdawało się, że się uśmiecha z powodu wątpliwości Karla. – Każdy jest nam potrzebny.

– Zaraz będę z powrotem – powiedział Karl i pobiegł znowu do krawędzi podium. Kiwnął ręką ku małżeństwu i zawołał, że wszyscy mogą przyjść. Pomógł wnieść wózek na podium i poszli teraz razem. Chłopcy, którzy na to patrzyli, naradzili się między sobą, potem powoli, z rękami w kieszeniach, wahając się jeszcze do ostatniej chwili, weszli na podium i w końcu poszli za Karlem i za ową rodziną. Z budynku stacji kolei podziemnej wyszli właśnie nowi pasażerowie, którzy na widok podium z aniołami w zdumieniu unieśli ręce. Bądź co bądź zdawało się, że ruch starających się o pracę trochę się teraz ożywił. Karl cieszył się bardzo, że przyszedł tak wcześniej, może nawet pierwszy. Para małżeńska była bojaźliwa i na rozmaite sposoby wypytywała, czy będą stawiane duże wymagania. Karl powiedział, że nie wie jeszcze nic pewnego, ale że naprawdę doznał wrażenia, iż każdy bez wyjątku zostanie przyjęty. Sądził, że można być dobrej myśli. Szeff personalny szedł już naprzeciw nich, był bardzo zadowolony, że przyszło tylu kandydatów, zacierał ręce, pozdrawiał każdego z osobna lekkim ukłonem i ustawiał ich wszystkich w szeregu. Karl był pierwszy, potem małżeństwo, a dopiero potem inni. Kiedy wszyscy się ustawili – chłopcy z początku tłoczyli się jeden przez drugiego i chwilę trwało, zanim zapanował wśród nich spokój – trąby zamilkły, a szef personalny powiedział:

– Witam was w imieniu Teatru z Oklahomy. Przyszliście wcześniej

(było już jednak około południa), nie ma jeszcze ścisku, toteż formalności związane z waszym przyjęciem zostaną szybko załatwione. Wszyscy macie naturalnie przy sobie swoje dokumenty.

Chłopcy zaraz wyciągnęli z kieszeni jakieś papiery i pomachali nimi w stronę szefa personalnego, mąż szturchnął żonę, która spod becika w wózek wyciągnęła całą paczkę papierów. Karl nie miał żadnych. Czyżby to miało być przeszkodą w jego przyjęciu? Karl wiedział jednak z doświadczenia, że jeśli tylko jest się zdecydowanym, to takie przepisy można łatwo ominąć. Nie było to nieprawdopodobne. Szef personalny rzucił okiem na szereg, upewnił się, że wszyscy mają papiery, a ponieważ Karl podniósł rękę, co prawda pustą, przyjął, że także z nim jest wszystko w porządku.

– To dobrze – powiedział szef personalny i skinieniem powstrzymał chłopców, którzy chcieli, żeby zaraz sprawdził ich dokumenty. – Papiery zostaną teraz sprawdzone w kancelariach werbunkowych. Jak dowiedzieliście się już z naszego plakatu, każdy jest nam potrzebny. Ale musimy naturalnie wiedzieć, kto jaki zawód dotychczas wykonywał, żebyśmy go mogli ustawić na odpowiednim miejscu, na którym mógłby wykorzystać swoje wiadomości.

„Przecież to jest teatr” pomyślał Karl ogarnięty wątpliwościami i przysłuchiwał się bardzo uważnie.

Dlatego – ciągnął personalny – urządziliśmy w budach bookmakerów kancelarie werbunkowe, po jednej dla każdej grupy zawodowej. Każdy z was poda mi zatem teraz swój zawód, rodzina należy na ogół do kancelarii werbunkowej męża. Potem zaprowadzę was do kancelarii, gdzie najpierw zostaną sprawdzone wasze dokumenty, a potem – przez fachowców – wasze wiadomości, będzie to tylko króciutki egzamin, nikt nie powinien się go obawiać. Tam zostanieie także zaraz przyjęci i otrzymacie dalsze wskazówki. A więc zaczynamy. Ta tutaj pierwsza kancelaria jest, jak

wskazuje napis, przeznaczona dla inżynierów. Czy jest może wśród was inżynier?

Karl zgłosił się. Właśnie dlatego, że nie miał żadnych papierów, sądził, iż musi postarać się przebrnąć możliwie najszybciej przez wszystkie formalności, miał też pewne niewielkie prawo do zgłoszenia się, gdyż chciał przecież zostać inżynierem. Ale kiedy chłopcy zobaczyli, że Karl się zgłosił, wzięła ich zazdrość i wszyscy też się zgłosili; zgłosili się wszyscy. Szef personalny wspiął się na palce i powiedział do chłopców: – Jesteście inżynierami? – Wtedy wszyscy powoli opuścili ręce, natomiast Karl pozostał przy swoim pierwotnym zgłoszeniu. Szef personalny przyjrzał mu się z niedowierzaniem, bo Karl wydawał mu się zbyt nędznie ubrany, a także za młody na to, żeby być inżynierem, jednak nic nie powiedział, może z wdzięczności, gdyż Karl, przynajmniej jego zdaniem, przyprowadził mu kandydatów. Wskazał więc tylko zapraszającym gestem na kancelarię, i Karl wszedł do niej, podczas gdy szef personalny zwrócił się do innych.

W kancelarii dla inżynierów po dwóch stronach prostokątnego pulpitu siedzieli dwaj panowie i porównywali leżące przed nimi dwa wielkie spisy. Jeden czytał, a drugi podkreślał w swoim spisie przeczytane nazwiska. Gdy Karl z ukłonem stanął przed nimi, odłożyli natychmiast spisy i wzięli inne wielkie księgi, które otwarli.

Jeden z nich, widocznie tylko sekretarz, powiedział:

– Proszę o pańskie dokumenty.

– Niestety, nie mam ich przy sobie – powiedział Karl.

– On ich nie ma przy sobie – powiedział sekretarz do drugiego pana i zaraz wpisał tę odpowiedź do swojej księgi.

– Pan jest inżynierem? – spytał wtedy drugi, który wyglądał na kierownika kancelarii.

– Jeszcze nim nie jestem – powiedział Karl szybko – ale...

– Dość – powiedział ów pan jeszcze prędeej. – Wobec tego nie należy pan do nas. Proszę zwrócić uwagę na napis.

Karl zagryzł wargi, a pan musiał to zauważyć, bo powiedział:

– Nie ma powodu do niepokoju. Każdy jest nam potrzebny. – i skinął na jednego ze służących, którzy beczynn timer chodzili między barierkami: – Proszę zaprowadzić tego pana do kancelarii dla ludzi z wykształceniem technicznym.

Służący zrozumiał rozkaz dosłownie i ujął Karla za rękę. Szli między licznymi budami, w jednej z nich Karl zobaczył chłopca, który został już przyjęty i dziękując ścisnął teraz panom ręce. W kancelarii, do której Karla teraz przyprowadzono, sprawa miała, Karl to zresztą przewidywał, podobny przebieg jak w pierwszej. Tylko że gdy usłyszano, że uczęszczał do szkoły średniej, odesłano go do kancelarii dla byłych uczniów szkół średnich. Ale gdy tam Karl powiedział, że uczęszczał do europejskiej szkoły średniej, oświadczone, że i ta kancelaria nie jest właściwa, i kazano go zaprowadzić do kancelarii dla uczniów europejskich szkół średnich. Była to buda na samym krańcu, nic tylko mniejsza, lecz nawet niższa od innych. Służący, który go tu przyprowadził, był wściekły z powodu tej długiej wędrówki i licznych odmów, za które, jego zdaniem, tylko Karl ponosił winę. Nie czekał już na pytania, lecz zaraz się oddalił. Ta kancelaria była z pewnością ostatnim ratunkiem. Gdy Karl spojrzął na kierownika kancelarii, przestraszył się niemal jego podobieństwa do pewnego profesora, który prawdopodobnie jeszcze teraz nauczał w szkole realnej w ojczyźnie. Podobieństwo to polegało zresztą, jak zaraz się okazało, tylko na szczegółach; lecz okulary nasadzone na szeroki nos, blond broda, wypiełgnowana jak jakiś okaz, łagodnie pochylone plecy i zawsze zniecka się rozlegający donośny głos nie pozwalały Karlowi jeszcze przez chwilę wyjść ze zdumienia. Na szczęście nie musiał też zbyt uważać, gdyż tutaj wszystko szło w prostszy sposób niż w

innych kancelariach. Wprawdzie i tutaj zanotowano, że Karl nie posiada papierów, i kierownik kancelarii nazwał to niepojętym niedbalstwem, ale sekretarz, który odgrywał tu ważniejszą rolę, przeszedł nad tym szybko do porządku i po kilku krótkich pytaniach kierownika oświadczył, podczas gdy kierownik gotował się właśnie do jakiegoś dalszego pytania, że Karl został przyjęty. Kierownik z otwartymi ustami zwrócił się do sekretarza, lecz ten wykonał ręką ruch kończący sprawę, powiedział: – Przyjęty – i wpisał też zaraz tę decyzję do książki. Widocznie sekretarz mniemał, że być uczniem europejskiej szkoły średniej jest czymś dostatecznie haniebnym i każdemu, kto się do tego przyznaje, można już wierzyć bez zastrzeżeń. Karl ze swej strony nie miał nic przeciw temu, podszedł do niego i chciał mu podziękować. Wyniknęła jednak jeszcze mała zwłoka, gdy go teraz zapytano o nazwisko. Nie odpowiedział zaraz, czuł lęk przed podaniem swego prawdziwego nazwiska i zapisaniem go w księdze. Jeśli otrzyma tu bodaj najskromniejszą pracę i wykona ją ku zadowoleniu, wtedy będą mogli poznać jego nazwisko, lecz nie teraz; zbyt długo już je przemilczał, żeby miał je teraz zdradzić. Dlatego, ponieważ w tym momencie żadne inne nazwisko nie przyszło mu do głowy, wymienił przezwisko ze swoich ostatnich posad: „Negro”.

– Negro? – spytał kierownik, pokręcił głową i zrobił taki grymas, jak gdyby Karl osiągnął teraz szczyt niewiarygodności. Także sekretarz patrzył na Karla przez chwilę badawczo, lecz potem powtórzył: – Negro – i zapisał to nazwisko.

– Nie wpisał pan przecież „Negro”? – krzyknął na niego kierownik.

– Owszem, Negro – odpowiedział sekretarz spokojnie i machnął ręką, jakby pozostawiał kierownikowi załatwienie dalszych czynności. Kierownik przemógł się, wstał i powiedział:

– Został pan zatem... – ale nie skończył, nie mógł postąpić wbrew swemu sumieniu, usiadł i powiedział: – On się nie nazywa Negro.

Sekretarz uniósł brwi, wstał i powiedział:

– A zatem zawiadamiam pana, że został pan przyjęty do Teatru z Oklahomy i że teraz zostanie pan przedstawiony naszemu przywódcy.

Znowu zawołano służącego, który zaprowadził Karla do trybuny sędziowskiej.

U stóp schodów Karl zobaczył wózek dzieciny i schodzącą właśnie z trybuny parę małżeńską, kobieta trzymała dziecko na ręku.

– Jest pan przyjęty? – zapytał mąż, był znacznie bardziej ożywiony niż przedtem, także żona z uśmiechem spoglądała zza jego ramienia. Gdy Karl odpowiedział, że właśnie został przyjęty i idzie się przedstawić, mąż rzekł:

– Wobec tego gratuluję. My także zostaliśmy przyjęci. Zdaje się, że to jest dobre przedsięwzięcie, co prawda nie można się od razu we wszystkim zorientować, ale tak jest wszędzie. – Powiedzieli sobie jeszcze nawzajem: – Do widzenia – i Karl wszedł na trybunę. Szedł powoli, gdyż zdawało mu się, że mała platforma na górze jest przepełniona ludźmi, a nie chciał się przepychać. Przystanął nawet i rzucił okiem na wielkie pole wyścigowe, które we wszystkich kierunkach sięgało aż do odległych lasów. Ogarnęła go chęć zobaczenia choć raz wyścigów konnych, w Ameryce nie miał jeszcze sposobności po temu. W Europie, kiedy był jeszcze dzieckiem, zabrano go raz na wyścigi, nie mógł sobie jednak przypomnieć nic poza tym, że matka ciągnęła go przez tłum ludzi, którzy nie chcieli się rozstąpić. Nie widział więc właściwie nigdy wyścigów. Jakaś maszyna za nim zaczęła terkotać, obejrzał się i zobaczył, że na aparacie, na którym podczas wyścigów ogłasza się nazwiska zwycięzców, ukazuje się teraz następujący napis: „Kupiec Kalla z żoną i dzieckiem”. W ten sposób więc podawano kancelariom nazwiska przyjętych.

Właśnie kilku panów z ożywieniem z sobą rozmawiających, z ołówkami i notesami w rękach, zbiegło po schodach, Karl przycisnął się

do poręczy, żeby ich przepuścić, a ponieważ teraz na górze zrobiło się luźniej, poszedł tam. W jednym kącie platformy opatrzonej drewnianymi poręczami – całość wyglądała jak płaski dach spiczastej wieży – siedział, wyciągnąwszy ramiona na poręczach, pan, który miał założoną ukośnie przez pierś szeroką, białą jedwabną wstęgą z napisem: „Przywódca dziesiątej grupy werbunkowej Teatru z Oklahomy”. Obok niego na małym stolyczku stał używany też zapewne na wyścigach aparat telefoniczny, przez który przywódca dowiadywał się widocznie wszystkich potrzebnych danych o kandydatach jeszcze przed ich przedstawieniem się, gdyż teraz nie stawiał Karlowi żadnych pytań, lecz powiedział do pana stojącego obok niego przy poręczy ze skrzyżowanymi nogami i brodą wspartą na dłoni:

– Negro, uczeń europejskiej szkoły średniej. – I jak gdyby tym samym załatwił już pochylonego w głębokim ukłonie Karla, spojrział w dół schodów, czy jeszcze ktoś nadchodzi. Ale ponieważ nikt nie nadchodził, przysłuchiwał się od czasu do czasu rozmowie, którą drugi pan prowadził z Karlem, przeważnie jednak patrzył na pole wyścigowe i stukał palcami o poręcz. Te delikatne, a jednak silne, długie i szybko poruszające się palce przyciągały chwilami uwagę Karla, jakkolwiek drugi pan zajmował go w dostatecznym stopniu.

– Został pan bez pracy? – spytał ów pan przede wszystkim. To pytanie, tak jak prawie wszystkie pytania, które zadawał, było bardzo proste, zupełnie naturalne, a odpowiedzi nie badał za pomocą dodatkowych pytań; mimo to, obserwując sposób, w jaki je Karl wypowiadał z szeroko otwartymi oczami, jak sprawdzał ich efekt, pochylając górną część ciała, jak przyjmował odpowiedzi z głową opuszczoną na piersi, a od czasu do czasu głośno je powtarzał, ów pan umiał nadać odpowiedziom Karla szczególne znaczenie, którego się wprawdzie nie rozumiało, lecz którego domyślanie się wywoływało ostrożność i onieśmielenie. Często

Karla kusilo, aby daną już odpowiedź odwołać i zastąpić inną, która znalazłaby może więcej uznania, lecz za każdym razem powstrzymywał się od tego, gdyż wiedział, jak złe wrażenie musiałaby wyrzucić tego rodzaju chwiejność, a ponadto, jak nieobliczalny jest przeważnie skutek odpowiedzi. Zresztą jego przyjęcie zdawało się już być postanowione i ta świadomość dawała mu oparcie.

Na pytanie, czy został bez pracy, odpowiedział po prostu:

– Tak.

– Gdzie pan był ostatnio zatrudniony? – spytał potem ów pan. Karl chciał już odpowiedzieć, gdy pan podniósł palec wskazujący i raz jeszcze powiedział: – Ostatnio!

Karl zrozumiał właściwie już pierwsze pytanie, mimo woli więc ruchem głowy odrzucił ostatnią uwagę jako rozpraszącą go i odpowiedział:

– W biurze.

To jeszcze była prawda, ale gdyby pan zażądał bliższej informacji o rodzaju owego biura, wtedy Karl musiałby skłamać. Lecz pan tego nie uczynił, natomiast zadał pytanie, na które niezmiernie łatwo było odpowiedzieć zgodnie z prawdą:

– Czy był pan zadowolony z tej pracy?

– Nie! – zawołał Karl, niemal wpadając mu w słowo. Spojrzawszy w bok, zauważył, że przywódca lekko się uśmiechnął. Karl pożałował nieprzemyślanego sposobu, w jaki odpowiedział, lecz zbyt go kusilo, żeby wykrzyknąć to: „Nie!”, gdyż przez cały czas swojej ostatniej służby najbardziej zyczył sobie tego, żeby wszedł kiedyś jakiś obcy pracodawca i zadał mu to pytanie. Ale jego odpowiedź mogła przynieść jeszcze jedną szkodę, gdyż pan mógł teraz spytać, dlaczego Karl nie był zadowolony. Zamiast tego jednak spytał:

– Jaką pracę uważa pan za odpowiednią dla siebie?

To pytanie kryło, być może, naprawdę jakąś pułapkę, bo po cóż je

zadano, skoro Karl został już przyjęty jako aktor? Lecz mimo że zdawał sobie z tego sprawę, nie mógł przemóc się i oświadczyć, że czuje się szczególnie powołany do zawodu aktorskiego. Uchylił się zatem od odpowiedzi i ryzykując, że wyda się uparty, rzekł:

– Przeczytałem w mieście plakat, a ponieważ było na nim napisane, że każdy jest potrzebny, więc się zgłosiłem.

– To wiemy – powiedział pan i zamilkł, co wyraźnie świadczyło, że obstaje przy swym poprzednim pytaniu.

– Zostałem przyjęty jako aktor – powiedział Karl z wahaniem, żeby dać owemu panu do zrozumienia trudność, jaką sprawiała mu odpowiedź na jego ostatnie pytanie.

– Słusznie – powiedział pan i znów zamilkł.

– Nie – powiedział Karl i zachwiała się cała jego nadzieja na znalezienie posady – nie wiem, czy nadaję się do grania w teatrze. Ale dołożę starań i będę usiłował wykonywać wszystkie polecenia.

Pan zwrócił się do kierownika, obaj kiwnęli głowami, zdawało się, że Karl odpowiedział dobrze, nabrał więc znowu odwagi i w dobrym nastroju oczekiwał następnego pytania. Brzmiało ono:

– Co chciał pan pierwotnie studiować? – Aby dokładniej sformułować pytanie – na dokładnym sformułowaniu temu panu zawsze bardzo zależało – dorzucił: – Mam na myśli: w Europie.

Odjął przy tym rękę od podbródka i wykonał nią lekki ruch, jak gdyby równocześnie chciał w ten sposób zaznaczyć, jak daleko leży Europa i jak nieważne są podjęte tam niegdyś plany.

Karl powiedział:

– Chciałem być inżynierem.

Ta odpowiedź wprawdzie wzbudzała w nim opór, wydało mu się śmieszne, w pełni świadomości swego dotychczasowego życia w Ameryce odświeżyć stare wspomnienie, że niegdyś chciał zostać inżynierem –

czyżby doszło do tego kiedyś nawet w Europie? – ale nie znalazł w tej chwili innej odpowiedzi i dlatego dał właśnie tę.

Jednakże pan przyjął to poważnie, tak jak poważnie przyjmował wszystko.

– No, inżynierem – powiedział – nie może pan zostać od razu, ale czy tymczasem nie odpowiadałoby panu wykonywanie jakichś mniej ważnych prac technicznych?

– Oczywiście – powiedział Karl. Był bardzo zadowolony, bo wprawdzie, jeśli przyjmie ofertę, zostanie przesunięty ze stanowiska aktora między pracowników technicznych, lecz rzeczywiście sądził, że w tej pracy okaże bardziej pożyteczny. A zresztą wciąż sobie to powtarzał, chodzi nie tyle o rodzaj pracy, ile raczej o to, żeby w ogóle gdzieś zaczepić się na stałe.

– Czy jest pan dość silny do ciężkiej pracy? – spytał pan.

– O, tak – powiedział Karl.

Na to pan kazał Karlowi podejść bliżej i obmacał jego ramię.

– To silny chłopak – powiedział potem, przyciągając Karla za ramię do przywódcy. Ten z uśmiechem kiwnął głową, podał Karlowi rękę, nie zmieniając zresztą swej wypoczynkowej pozycji, i powiedział:

– No, to jesteśmy gotowi. W Oklahomie wszystko jeszcze zostanie sprawdzone. Niechże pan przyniesie zaszczyt naszej grupie!

Karl ukłonił się na pożegnanie, chciał potem także pożegnać się z drugim panem, lecz ten jak gdyby zakończył już swą pracę, spacerował tam i z powrotem po platformie z twarzą wzniesioną w górę.

Kiedy Karl schodził na dół, obok schodów wciągnięto na tablicę obwieszceń napis: „Negro, pracownik techniczny”.

Ponieważ wszystko tutaj przybrało należyty obrót, Karl nie ubolewałby nawet tak bardzo, gdyby na tablicy ukazało się jego prawdziwe nazwisko. Wszystko bało nawet niezwykle starannie zorganizowane, gdyż u stóp

schodów oczekiwał już Karla służący, który założył mu opaskę na ramię. Gdy Karl podniósł ramię, żeby zobaczyć, co jest napisane na opasce, znalazł tam zupełnie wyraźny nadruk: „Pracownik techniczny”.

Dokądkolwiek miano by jednak teraz Karla zaprowadzić, chciał przedtem zawiadomić Fanny, jak szczęśliwie wszystko się odbyło. Ku swemu ubolewaniu dowiedział się jednak od służącego, że zarówno anioły, jak i diabły odjechały już do następnego miejsca postoju grupy werbunkowej, aby obwieścić tam jej przyjazd w dniu następnym.

– Szkoda – powiedział Karl, było to pierwsze rozczarowanie, jakie przeżył w tym przedsiębiorstwie. – Jednym z aniołów była moja znajoma.

– Zobaczy pan ją znowu w Oklahomie – powiedział służący. Ale teraz proszę iść ze mną, pan jest ostatni.

Poprowadził Karla wzdłuż tylnej krawędzi podium, na którym przedtem stały anioły; teraz były tam tylko puste postumenty. Ale przypuszczenie Karla, że bez muzyki aniołów przyszłoby więcej szukających pracy, okazało się niesłusznie, gdyż przed podium nie było teraz w ogóle dorosłych, tylko kilkoro dzieci walczyło o długie, białe pióro, które prawdopodobnie wypadło z anielskiego skrzydła. Jeden chłopak trzymał je w górze, podczas gdy inne dzieci jedną ręką próbowały ugiąć mu głowę, a drugą sięgały po pióro.

Karl wskazywał na dzieci, ale służący, nie spojrzawszy na nie, powiedział:

– Proszę iść szybciej, bardzo długo trwało, zanim pana przyjęto. Pewno były jakieś wątpliwości?

– Nie wiem – powiedział Karl ze zdziwieniem, lecz nie sądził, żeby tak było. Zawsze, nawet w najprostszych okolicznościach, znajdował się ktoś, kto pragnął bliźniemu przyczynić kłopotu. Ale na miły widok wielkiej trybuny dla widzów, do której teraz doszli, Karl zapomniał wkrótce o uwadze służącego. Na tej trybunie bowiem stała wielka, długa

ława, nakryta białym obrusem, wszyscy przyjęci siedzieli plecami do toru kolejowego na drugiej niższej ławce i brali udział w poczęstunku. Wszyscy byli weseli i podnieceni; właśnie kiedy Karl usiadł niepostrzeżenie jako ostatni na ławce, wielu ludzi wstało z podniesionymi kielichami, a jeden wygłosił toast na cześć przywódcy dziesiątej grupy werbunkowej, którego nazwał „ojcem poszukujących pracy”. Wówczas ktoś zwrócił uwagę, że można go stąd zobaczyć, i rzeczywiście w niewielkim oddaleniu widać było trybunę sędziowską z dwoma panami. Teraz wszyscy wyciągnęli kielichy w tym kierunku, Karl także ujął kielich stojący przed nim, ale choć głośno krzyczano i starano się zwrócić na siebie uwagę, na trybunie sędziowskiej nic nie wskazywało na to, że owację zauważono albo przynajmniej chciano zauważyć. Przywódca jak przedtem opierał się w kącie o barierkę, a drugi pan stał obok niego, z brodą wspartą na dłoni. Z pewnym rozczarowaniem ludzie znów usiedli, od czasu do czasu ktoś jeszcze odwracał się ku trybunie sędziowskiej, ale wkrótce zajęli się tylko obfitym jedzeniem; obnoszono wielką sztukę drobiu, jakiego Karl nigdy jeszcze nie widział, z licznymi widelcami, wetkniętymi w chrupiące, pieczone mięso, służący wciąż dolewali wina – ledwie to zauważano, uczujący pochylali się nad talerzami, a do kielicha spływał strumień czerwonego wina – kto nie chciał brać udziału w ogólnej rozmowie, mógł oglądać zdjęcia Teatru z Oklahomy, które piętrzyły się na końcu stołu i miały przechodzić z rąk do rąk. Ale nie bardzo troszczono się o zdjęcia, więc tak się stało, że do Karla, który był ostatni, dotarło tylko jedno. Sądząc po tym zdjęciu, wszystkie musiały być bardzo godne obejrzenia. To zdjęcie przedstawiało łożę prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że to nie łoża, lecz scena, tak daleko naprzód wysuwała się jej bariera. Wszystkie jej części były ze złota. Pomiędzy kolumnienkami, jak gdyby wyciętymi najdelikatniejszymi nożyczkami, umieszczono obok siebie medaliony z podobiznami

poprzednich prezydentów, jeden miał uderzająco prosty nos, wywinięte wargi, a pod wypukłymi powiekami nieruchomo opuszczone oczy. Wokół łoży, z boku i z góry, padały promienie światła; biała, a mimo to łagodna jasność wypełniała przód łoży, podczas gdy część położona w głębi niej za czerwonym, mieniącym się wielu tonami aksamitem, opadającym w fałdach wokół całego wgłębienia i podtrzymywanym sznurami, sprawiała wrażenie ciemnej, czerwono-lśniącej pustki. Trudno było wyobrazić sobie w tej łoży ludzi, tak wspaniale wyglądała sama w sobie. Karl nie zapominał o jedzeniu, ale często spoglądał na zdjęcie, które położył obok talerza.

Chętnie obejrzałby jeszcze choć jedno z pozostałych zdjęć, ale sam nie chciał pójść po nie, gdyż jeden ze służących trzymał na zdjęciach rękę i na pewno trzeba było przestrzegać kolejności; spoglądał więc tylko na stół, aby sprawdzić, czy jakieś zdjęcie się nie zbliża. Wtedy ze zdumieniem zauważył – z początku nie mógł w to uwierzyć – wśród twarzy najniżej pochylonych nad jedzeniem jedną dobrze mu znaną: twarz Giacoma. Zaraz do niego podbiegł:

– Giacomo! – zawołał.

Ten, bojaźliwy jak zawsze, kiedy go coś zaskoczyło, podniósł się od stołu, odwrócił się w wąskiej przestrzeni między ławkami, otarł usta ręką, lecz potem bardzo się ucieszył na widok Karla, prosił go, żeby usiadł obok niego, zaofiarował się też, że on przesiądzie się do Karla; opowiedzą sobie wszystko nawzajem i zawsze już będą razem. Karl nie chciał przeszkadzać innym, uważał więc, że każdy z nich powinien pozostać na swoim miejscu, na posiłek wkrótce się skończy, a potem naturalnie zejdą się razem. Lecz Karl zatrzymał się jeszcze przy Giacomie tylko po to, żeby mu się przypatrzeć. Cóż za wspomnienia z minionych czasów! Gdzie jest Starsza Kucharka? Co robi Teresa? Giacomo prawie zupełnie się nie zmienił, przepowiednia Starszej Kucharki, że za pół roku

zrobi się z niego kościsty Amerykanin, nie sprawdziła się, był wąty jak dawniej, policzki miał zapadnięte jak dawniej, w tej chwili zresztą były zaokrąglone, ponieważ miał w ustach zbyt duży kawałek mięsa, z którego powoli wyciągał kostki i rzucał je na talerz. Jak Karl mógł odczytać z jego opaski. Giacomo także nie został przyjęty jako aktor, lecz jako chłopiec od windy, w Teatrze z Oklahomy rzeczywiście wszyscy byli potrzebni! Pograżony w oglądaniu Giacom, Karl został jednak zbyt długo z dala od swego miejsca. Właśnie chciał na nie wrócić, gdy nadszedł szef personalny, stanął na jednej z wyżej położonych ławek, klasnął w ręce i wygłosił krótkie przemówienie, podczas którego większość ludzi stała, a ci, co siedzieli w dalszym ciągu nie mogąc oderwać się od jedzenia, w końcu także zostali zmuszeni do wstania szturchnięciami innych.

– Mam nadzieję – mówił szef personalny, Karl tymczasem na palcach przebiegł z powrotem na swoje miejsce – że jesteście zadowoleni z naszej powitalnej uczy. Na ogół wszyscy chwalą jedzenie w naszej grupie werbunkowej. Niestety, teraz muszę prosić was o powstanie od stołu, gdyż za pięć minut odjeżdża pociąg, który ma was zawieźć do Oklahomy. Jest to wprawdzie długa podróż, ale zobaczycie, jaką opieką będziecie otoczeni. Przedstawiam wam tutaj pana, który pokieruje waszym transportem i któremu powinniście być posłuszni.

Chudy, niski pan wdrapał się na ławkę, na której stał szef personalny, złożył przelotny ukłon i natychmiast zaczął pokazywać wyciągniętymi, nerwowymi rękami, jak wszyscy powinni się zgromadzić, ustawić i wyruszyć. Z początku jednak nie słuchano go, gdyż człowiek, który już przedtem wygłosił przemówienie, uderzył dłonią w stół i rozpoczął dłuższą mowę dziękczynną, chociaż – Karl był już bardzo niespokojny – powiedziano mu przecież, że pociąg wkrótce odjeżdża. Mówca nie zwracał uwagi nawet na to, że szef personalny go nie słucha, lecz udzielał rozmaitych wskazówek kierownikowi transportu, szeroko zakroił swą

moję, wyliczał wszystkie potrawy, które zostały podane, o każdej z nich wyrażał swą opinię, a potem, podsumowując, zakończył okrzykiem: – Szanowni panowie, tak się nas pozyskuje! – Wszyscy poza tymi, do których się zwracał, śmiali się, choć było w tym więcej prawdy niż żartu.

Tę mowę odpokutowali ponadto w ten sposób, że drogę na dworzec musieli teraz odbyć biegiem. To także zresztą nie było zbyt uciążliwe, gdyż – Karl zauważył to dopiero teraz – nikt nie miał ze sobą bagażu: jedynym bagażem był właściwie wózek dziecinny, który teraz, na czele grupy, pchany przez ojca, skakał w górę i w dół jak opętany. Cóż za ludzie zeszli się tutaj, nic nie posiadający i podejrzani, a jednak doznali tak dobrego przyjęcia i takiej opieki! A kierownikowi transportu ich dobro musiało wprost leżeć na sercu. Już to sam jedną ręką chwycił drążek dziecinnego wózka, a drugą podnosił w górę, aby grupie dodać otuchy, już to zjawiał się za ostatnim szeregiem, aby go popędzić, już to biegł z boku, wypatrywał wewnątrz grupy opóźniających się i wymachując rękami usiłował dać im do zrozumienia, że muszą biec.

Kiedy dotarli do dworca, pociąg już na nich czekał. Ludzie na peronie pokazywali sobie nawzajem grupę, słyhać było okrzyki: – Ci wszyscy należą do Teatru z Oklahomy! – miało się wrażenie, że teatr jest o wiele bardziej znany, niż to się Karlowi zdawało, co prawda nigdy nie interesował się sprawami teatru. Dla grupy przeznaczono cały wagon, a kierownik transportu naglił do wsiadania jeszcze bardziej niż konduktor. Zajrzał najpierw do każdego przedziału, tu i ówdzie coś doprowadził do porządku, a dopiero potem wsiadł sam. Karl przypadkowo dostał miejsce przy oknie i pociągnął Giacomę za sobą. Siedzieli więc ściśnięci jeden przy drugim i w gruncie rzeczy obydwaj cieszyli się na tę podróż. W tak beztróskim nastroju nie odbywali jeszcze żadnej podróży w Ameryce. Kiedy pociąg ruszył, machali rękami z okna, podczas gdy chłopcy siedzący naprzeciw szturchali się i uważali ich zachowanie za śmieszne.

Jechali dwa dni i dwie noce. Dopiero teraz Karl uprzytomnił sobie wielkość Ameryki. Niemordowanie wyglądał przez okno, a Giacomo tak długo przepychał się, aby patrzeć razem z nim, aż chłopcy z przeciwległej ławki, którzy grali w karty, znudzili się tym i dobrowolnie ustąpili mu miejsca przy oknie. Karl podziękował im – angielszczyzna Giacoma nie dla każdego była zrozumiała – i z biegiem czasu, jak to wśród towarzyszy podróży zwykle bywa, zaprzyjaźnili się z nimi, jednak przyjaźń tamtych była też często uciążliwa, na przykład, kiedy karta upadła im na podłogę i pochylali się, aby ją podnieść, z całej siły szczypali Karla lub Giacoma w nogę. Wtedy Giacomo krzyczał, za każdym razem zaskoczony, i podciągał nogę w górę, Karl zaś spróbował raz odpowiedzieć kopnięciem, ale na ogół znosił wszystko w milczeniu. Wszystko, co działo się w tym małym, nawet przy otwartym oknie przepełnionym dymem przedziale, mało wobec tego, co było do oglądania na zewnątrz.

Pierwszego dnia jechali przez wysokie góry. Niebieskawoczarne masy kamienia sięgały spiczastymi klinami aż do pociągu, wychylając się z okna na próżno szukało się ich szczytów, otwierały się widoki na ciemne, wąskie, poszarpane doliny, można było wskazać palcem kierunek, w którym ginęły, pojawiały się szerokie górskie strumienie, płynące wielkimi falami po pagórkowatym podłożu i pędzące tysiącem małych, spienionych falek, wpadały pod mosty, po których pociąg przejeżdżał, i były tak bliskie, że tchnienie ich chłodu wywoływało drżenie na twarzach.

Fragmenty

– Wstawać! Wstawać! – zawołał Robinson, zaledwie Karl otworzył oczy. Kotara na drzwiach nie była jeszcze odsunięta, ale po równomiernym świetle słońca, wpadającym przez szpary, widać było, że jest już późne

przedpołudnie. Robinson biegał skwapliwie tam i z powrotem rzucając zatroskane spojrzenia, to niósł ręcznik, to wiadro z wodą, to znów bieliznę i ubranie, a za każdym razem, gdy przechodził obok Karla, próbował ruchami głowy zachęcić go do wstania i podnosząc w górę to, co właśnie trzymał w ręce, dawał mu do zrozumienia, że dziś po raz ostatni męczy się za niego, ponieważ Karl naturalnie pierwszego ranka nie może znać szczegółów służby.

Wkrótce jednak Karl zobaczył, kogo właściwie Robinson obsługuje. W pomieszczeniu, oddzielnym od reszty pokoju dwiema skrzyniami, którego Karl jeszcze dotychczas nie widział, odbywało się wielkie mycie. Spod skrzyń wystawała głowa Bruneldy, goła szyja – włosy właśnie spadły jej na twarz – i nasada grzbietu, a coraz to ukazująca się podniesiona ręka Delamarche trzymała rozpryskującą mydliny gąbkę kąpielową, którą mył i nacierał Bruneldę. Słyszał było krótkie rozkazy Delamarche’a wydawane Robinsonowi, który nie podawał żądanych przedmiotów przez zastawione teraz dojście, lecz przez małą lukę między skrzyniami i parawanem, przy czym musiał daleko wyciągać rękę i odwracać głowę.

– Ręcznik! Ręcznik! – wołał Delamarche. A zaledwie Robinson, szukający właśnie pod stołem czegoś innego i przestraszony tym poleceniem, wyciągał głowę spod stołu, rozlegało się już: – Gdzie jest woda, do diabła! – i ponad skrzynią pojawiała się wściekła twarz Delamarche’a. Wszystkiego, co – zdaniem Karla – było raz tylko potrzebne do umycia i ubrania się, żądano tu i podawano wielokrotnie i we wszelkiej możliwej kolejności. Na małym elektrycznym piecyku ciągle stało wiadro z wodą do podgrzania i Robinson wciąż dźwigał je między szeroko rozstawionymi nogami do miejsca kąpieli. Wobec tego nawału pracy było zrozumiałe, że nie zawsze dokładnie trzymał się rozkazów i raz, gdy znowu żądano ręcznika, chwycił po prostu z legowiska, znajdującego się pośrodku pokoju, koszulę i zwiniętą w wielki

kłębek rzucił ponad skrzyniami.

Lecz Delamarche także miał ciężką pracę i może tylko dlatego tak się irtypował na Robinsona – w swej irytacji po prostu zapomniał o Karlu – że sam nie potrafił zadowolić Bruneldy.

– Ach! – wykrzyknęła i nawet Karl, całkiem w tym nie zainteresowany, drgnął. – Jaki ból mi sprawiasz! Odejdź! Wolę umyć się sama niż tak cierpieć! Teraz już znowu nie mogę podnieść ręki. Słabo mi się robi, kiedy mnie tak przyciskasz. Na plecach mam na pewno moc sińców. Naturalnie ty mi tego nie powiesz! Poczekaj, każę się obejrzeć Robinsonowi albo naszemu małemu. Nie, nie zrobię tego, ale bądźże trochę delikatniejszy. Miej dla mnie względy, Delamarche, aleja co rano mogę to powtarzać, a ty nigdy nie masz dla mnie względów. – Robinson! – zawołała nagle, wywijając nad głową koronkowymi majteczkami. – Chodź na pomoc, patrz, jak cierpię, on nazywa tę torturę myciem, ach, ten Delamarche! Robinson, Robinson, gdzie się podziewasz, czy ty też jesteś bez serca? – Karl w milczeniu dał Robinsonowi znak palcem, żeby przecież poszedł, ale Robinson, nie podnosząc oczu, z namysłem potrząsnął głową, on wiedział lepiej.

– Co ci przychodzi do głowy? – powiedział, nachylony do ucha Karla. – Ona tego wcale nie myśli. Raz tylko poszedłem i nigdy już tego nie zrobię. Wtedy oni chwycili mnie i zanurzyli w wannie, tak że o mało się nie utopiłem. A Brunelda długi czas mi zarzucała, że jestem bezwstydny, i wciąż mówiła: „Dawno już nie byłeś ze mną w kąpieli” albo: „Kiedy znowu przyjdiesz obejrzeć mnie w kąpieli?” Dopiero gdy kilka razy przeprosiłem ją na klęczkach, wtedy przestała. Nigdy tego nie zapomnę.

A podczas gdy Robinson to opowiadał, Brunelda wciąż wołała:

– Robinson! Robinson! Gdzie jest ten Robinson?!

Ale choć nikt nie przychodził jej na pomoc, a nawet nie odpowiadał Robinson przysiadł obok Karla i obaj w milczeniu patrzyli ku skrzyniom,

ponad którymi od czasu do czasu pojawiały się głowy Bruneldy lub Delamarche – Brunelda nie przestawała głośno uzalać się na Delamarche’a.

– Ależ, Delamarche! – wołała. – Teraz znowu w ogóle nie czuję, że mnie myjesz. Gdzie masz gąbkę? Weźże ją do ręki! Gdybym się tylko mogła schylić, gdybym się tylko mogła ruszać! Pokazałabym ci, jak się powinno myć. Gdzież są moje dziewczęce lata, kiedy w dobrach moich rodziców każdego ranka pływałam w Colorado i byłam ruchliwsza od wszystkich moich przyjaciółek. A teraz! Kiedyż ty nauczysz się mnie myć, Delamarche; wywijasz tą gąbką, wysilasz się, a ja nic nie czuję. Kiedy mówiłam, żebyś mnie nie przyciskał aż do bólu, to przecież nie miałam na myśli tego, że chcę tu stać i przeziębic się. Zobaczysz, wyskoczę z wanny i ucieknę, tak jak stoję!

Nie wykonała jednak tej groźby – w ogóle nie byłaby w stanie tego zrobić – widocznie Delamarche ze strachu, iż mogłaby się przeziębic, chwycił ją za ramiona i zanurzył w wannie, gdyż woda głośno plusnęła.

– To ty umiesz, Delamarche – powiedziała Brunelda nieco ciszej. – Przymilać się i przymilać, kiedy coś źle zrobiłeś. – Potem przez chwilę było cicho.

– Teraz on ją całuje – powiedział Robinson i uniósł brwi.

– Co potem będzie do roboty? – spytał Karl. Skoro już raz zdecydował się tu zostać, chciał zaraz zacząć pełnić służbę. Zostawił Robinsona, który mu nie odpowiedział, samego na kanapie i zaczął rozrzucać wielkie legowisko, wciąż jeszcze sprasowane od ciężaru śpiących w ciągu całej nocy, żeby każdą sztukę z tej zbitej masy porządnie złożyć, co z pewnością nie zdarzyło się już od wielu tygodni.

– Spójrz no, Delamarche – powiedziała Brunelda – zdaje się, że oni rozrzucają nasze łóżko. Człowiek o wszystkim musi myśleć, nigdy nie ma spokoju. Musisz być surowszy dla nich obu, inaczej będą robić, co chcą.

– To z pewnością ten mały ze swoim przeklętym zapalem do pracy! –

zawołał Delamarche i prawdopodobnie chciał wybiec z miejsca kąpeli – Karl wypuścił już wszystko z rąk – ale na szczęście Brunelda powiedziała:

– Nie odchodź, Delamarche, nie odchodź. Ach, jakaż ta woda gorąca, człowieka ogarnia takie znużenie. Zostań przy mnie, Delamarche.

Dopiero teraz Karl zauważył, że sponad skrzyń bez przerwy unoszą się kłęby pary.

Robinson przestraszony przyłożył dłoń do policzka, jakby Karl zrobił coś złego.

– Wszystko ma zostać w takim stanie, w jakim było! – zabrzmiał głos Delamarche. – Czy nie wiecie, że Brunelda po kąpeli zawsze jeszcze przez godzinę odpoczywa? Co za haniebna gospodarka! Poczekajcie, niech no ja się do was dobiore! Robinson, pewnie znowu toniesz w marzeniach! Ty, tylko ty jesteś odpowiedzialny za wszystko, co się tu dzieje. Masz trzymać chłopaka w ryzach, tu nie będzie się gospodarowało według jego widzimisię. Kiedy się czegoś potrzebuje, nigdy nie można tego z was wycisnąć; a kiedy nie ma nic do roboty, wtedy jesteście pilni. Wlećcie w jakiś kąt i czekajcie, aż będziecie potrzebni!

Ale natychmiast wszystko poszło w zapomnienie, bo Brunelda szepnęła omdlewającym głosem, jak gdyby zalewała ją gorąca woda:

– Perfumy! Przynieście perfumy!

– Perfumy! – krzyknął Delamarche. – Ruszcie się!

Dobrze, ale gdzie były perfumy? Karl spojrzął na Robinsona. Robinson spojrzął na Karla. Karl zorientował się, że sam musi działać, Robinson nie miał pojęcia, gdzie są perfumy, położył się na podłodze, wodził rękami pod kanapą, ale nie wyciągał stamtąd nic poza zbitymi kłębami kurzu i kobiecych włosów. Karl pośpieszył najpierw do umywalni, która stała tuż przy drzwiach, ale w jej szufladach znajdowały się tylko stare angielskie powieści, czasopisma i nuty, a wszystkiego było tak dużo, że nie można było zasunąć szuflad, kiedy raz zostały wyciągnięte.

– Perfumy! – wzdychała tymczasem Brunelda. – Jak to długo trwa! Czy dostanę jeszcze dziś moje perfumy?

Wobec tej niecierpliwości Bruneldy Karl naturalnie nigdzie nie mógł szukać gruntownie, musiał się zdać na pierwsze, powierzchowne wrażenie. W umywalni flaszeczki nie było, na umywalni stały tylko stare flaszeczki z lekarstwami i maściami, wszystko inne zostało już zaniesione do miejsca kąpiei. Może flaszeczka była w szufladzie stołu jadalnego. Ale idąc ku stołowi – Karl myślał tylko o perfumach, o niczym więcej – zderzył się mocno z Robinsonem, który wreszcie zaprzestał szukania pod kanapą i ze świtającą mu myślą o miejscu, w którym znajdują się perfumy, jak ślepy biegi naprzeciw Karla. Dało się wyraźnie słyszeć stuknięcie obu głów o siebie, Karl stanął oniemiały. Robinson nie zatrzymał się wprawdzie w biegu, lecz aby ulżyć sobie w bólu, zaczął wrzeszczeć długo i przesadnie głośno.

Biją się zamiast szukać perfum powiedziała Brunelda. Ta gospodarka doprowadzi mnie do choroby. Delamarche, i na pewno umrę w twoich ramionach. – Muszę mieć perfumy! – zawołała potem z przyływem energii – bezwarunkowo muszę je mieć! Nie wyjdę z wanny, dopóki mi ich nie przyniosą, nawet gdybym tu miała zostać do wieczora. – i uderzyła pięścią w wodę, która głośno plusnęła. Ale w szufladzie stołu jadalnego także nie było perfum, znajdowały się tam wprawdzie wyłącznie przybory toaletowe Bruneldy, jak stary puszek do pudru, słoiczki z różem, szczotki do włosów, loczki i dużo obrośniętych kurzem, zbitych razem drobiazgów, lecz perfum nie było. Także i Robinson, który wciąż jeszcze krzycząc otwierał w jakimś kącie kolejno chyba ze sto spiętrzonych tam pudełek i kasetek i grzebał w nich, przy czym zwykle połowa zawartości, przeważnie przyborów do szycia i listów, spadała na podłogę i zostawała na niej, nic nie mógł znaleźć, o czym od czasu do czasu zawiadamiał Karla, potrząsając głową i wzruszając ramionami.

Wtedy Delamarche w białej bieliźnie wyskoczył z miejsca kąpeli, podczas gdy Brunelda spazmatycznie płakała. Karl i Robinson przestali szukać i spojrzeli na Delamarche, który na wskroś przemoczony – nawet z twarzy i z włosów ściekała mu woda – wykrzyknął: A więc teraz może zaczniecie łaskawie szukać! Tutaj! – rozkazał najpierw Karlowi, a potem: – Tam! – Robinsonowi. Karl szukał naprawdę i sprawdzał także miejsca, do których Robinson został poprzednio odkomenderowany, lecz nie mógł znaleźć perfum, podobnie jak Robinson, który szukał jeszcze gorliwiej niż on, zerkając z boku na Delamarche; ten ciężkim krokiem chodził tam i z powrotem po pokoju, na ile mu wystarczyło miejsca, i z pewnością najchętniej obiłby i Karla, i Robinsona.

– Delamarche! – zawołała Brunelda. – Chodź mnie przynajmniej wytrzeć! Oni w ogóle nie znajdą perfum i zrobią tylko wszędzie nieporządek. Mają natychmiast przestać szukać. Ale już! I wszystko zostawić tak jak jest! I niczego już nie dotykać! Chcieliby z mieszkania zrobić chlew. Weź ich za kark, Delamarche, jeśli nie przestaną! Ale oni wciąż jeszcze coś robią, właśnie upadło jakieś pudełko. Niech go nie ruszają, niech wszystko zostawią i wynoszą się z pokoju! Zamknij za nimi drzwi na klucz i przyjdź do mnie. Już o wiele za długo leżę w wodzie, nogi mam całkiem zimne.

– Zaraz, Bruneldo, zaraz! – zawołał Delamarche i pośpieszył z Karlem i Robinsonem ku drzwiom. Ale zanim ich wypuścił, polecił im przynieść śniadanie, i jeśli to będzie możliwe, pożyczyć od kogoś dobrych perfum dla Bruneldy.

– Ależ u was panuje nieporządek i brud – powiedział Karl na korytarzu. – Jak tylko wrócimy ze śniadaniem, musimy zabrać się do sprzątanania.

– Gdybym tylko nie był taki cierpiący! – powiedział Robinson. – I to traktowanie!

Robinsonowi z pewnością sprawiało przykrość, że Brunelda nie

robiła najmniejszej różnicy pomiędzy nim, który obsługiwał ją już od tyłu miesięcy, a Karlem, który dopiero wczoraj wstąpił na służbę. Ale Robinson nie zasługiwał na nic lepszego i Karl powiedział:

– Musisz się trochę wziąć w karby. – Żeby go jednak nie pogrążyć w zupełnej rozpacz, dorzucił: – To będzie przecież tylko jednorazowa praca. Przygotuję ci za skrzyniami legowisko i skoro raz zrobi się trochę porządku, będziesz tam mógł leżeć cały dzień, o nic się nie martwiąc, i bardzo szybko powrócisz do zdrowia.

– Teraz sam widzisz, jak ze mną jest – powiedział Robinson i odwrócił twarz do Karla, żeby zostać sam na sam ze swym cierpieniem. – Ale czy oni pozwolą mi kiedykolwiek spokojnie poleżeć?

– Jeśli chcesz, sam pomówię o tym z Delamarche’em i z Bruneldą.

– Czyż Brunelda ma jakiegokolwiek względy? – wykrzyknął Robinson i nie przygotowawszy Karla na to, uderzył pięścią w drzwi, do których się właśnie zbliżyli.

Weszli do kuchni. Z pieca, najwidoczniej wymagającego naprawy, unosiły się wprost czarne chmury. Przed drzwiczkami paleniska klęczała jedna z kobiet, które Karl wczoraj widział na korytarzu, i gołymi rękami wkładała wielkie kawałki węgla do ognia, ogarniając go ze wszystkich stron. Wzdychała przy tym w tej niewygodnej dla starszej kobiety, klęczącej pozycji.

– Naturalnie, jeszcze i ta plaga spada – powiedziała na widok Robinsona, podniosła się z trudem, oparłszy rękę na skrzyni z węglem, i zamknęła drzwiczki pieca, których uchwyt owinęła fartuchem – Teraz, o czwartej po południu – Karl ze zdumieniem spojrzął na kuchenny zegar – musicie jeść śniadanie? Banda! – Siadajcie powiedziała potem – i czekajcie, aż będę miała dla was czas.

Robinson pociągnął Karla na ławeczkę w pobliżu drzwi i szepnął mu:

– Musimy jej słuchać. Jesteśmy od niej zależni. Wynajęliśmy od

tej kobiety nasz pokój i ona naturalnie ma prawo nam w każdej chwili wymówić. A nie możemy przecież zamieniać mieszkania, jak byśmy zdołali usunąć wszystkie rzeczy, a przede wszystkim Brunelda jest nieprzenośna.

– A tutaj nie można dostać innego pokoju z tego samego korytarza?
– spytał Karl.

– Nikt nas nie przyjmie – odpowiedział Robinson. – W całym domu nikt nas nie przyjmie.

Tak więc siedzieli cicho na swej ławeczce i czekali. Kobieta ciągle biegała tam i z powrotem pomiędzy dwoma stołami, zlewem i paleniskiem. Z wydawanych przez nią okrzyków można było zrozumieć, że jej córka zachorowała i dlatego ona sama musi wykonywać całą pracę, a mianowicie obsługiwać i żywić trzydziestu lokatorów. W dodatku piec się zepsuł i jedzenie nie chce dojść; w dwóch ogromnych garnkach gotowała się gęsta zupa i choć kobieta często nabierała ją chochlą i wylewała z powrotem, zupa nie chciała się udać, winien był temu z pewnością kiepski ogień, kobieta siadała więc niemal na podłodze przed drzwiczkami pieca i grzebała w żarze pogrzebaczem. Dym wypełniający kuchnię doprowadzał ją do kaszlu, który czasami tak przybierał na sile, że chwytiała za krzesło i przez wiele minut nie robiła nic, tylko kaszłała. Często oświadczała, że dziś w ogóle nie wyda już śniadania, bo nie ma na to ani czasu, ani ochoty. Ponieważ Karl i Robinson z jednej strony mieli rozkaz przyniesienia śniadania, z drugiej zaś strony nie mieli możliwości wymuszenia go od kobiety, nie odpowiadał na te uwagi, lecz siedzieli cicho jak przedtem.

Dokoła, na krzesłach i stołeczkach, na stołach i pod stołami, a nawet na podłodze, zepchnięte w jeden kąt, stały nie zmyte jeszcze naczynia po śniadaniu lokatorów. Były tam dzbanuszki, w których znalazłoby się jeszcze trochę kawy lub mleka, na niektórych talerzykach zostały resztki masła, z dużej przewróconej puszką daleko potoczyły się keksy. Dałoby

się z tego wszystkiego przygotować śniadanie, któremu Brunelda, gdyby nie wiedziała o jego pochodzeniu, nic by nie mogła zarzucić. Gdy Karl zastanawiał się nad tym, a spojrzenie rzucone na zegar powiedziało mu, że czekają już tutaj pół godziny i Brunelda pewnie wścieka się i podjudza Delamarche! przeciw służbie, wtedy właśnie kobieta zawołała pomiędzy atakami kaszlu, podczas których wpatrywała się w Karla:

– Możecie tutaj siedzieć, ale śniadania nie dostaniecie. Za dwie godziny będzie kolacja.

– Chodź, Robinson – powiedział Karl – sami sobie zrobimy śniadanie.

– Co? – zawołała kobieta z pochyłą głową.

– Niechże pani będzie rozsądna – powiedział Karl. – Dlaczego właściwie nie chce nam pani dać śniadania? Czekamy już tutaj pół godziny, to dość długo. Płaci się pani przecież za wszystko i na pewno płacimy wyższe ceny niż inni. To, że tak późno jemy śniadanie, jest dla pani z pewnością uciążliwe, ale jesteśmy pani lokatorami, mamy zwyczaj jeść śniadanie późno i pani musi się do nas trochę dostosować. Dzisiaj jest to dla pani naturalnie z powodu choroby córki szczególnie niedogodne, ale dlatego jesteśmy gotowi przygotować sobie śniadanie z tych resztek, jeśli nie można inaczej i jeśli nie da nam pani świeżego jedzenia.

Kobieta nie chciała jednak wdawać się z nikim w przyjacielską rozmowę, dla tych lokatorów nawet resztki ogólnego śniadania wydawały jej się zbyt dobre; z drugiej strony miała już dość natręctwa obydwóch służących, dlatego chwyciła tacę i przycisnęła ją do brzucha Robinsona, który dopiero po chwili, ze zboląłą miną, pojął, że ma tacę potrzymać i wziąć na niej jedzenie, które kobieta zamierzała wyszukać. Teraz z największym pośpiechem obładowała wprawdzie tacę mnóstwem rzeczy, lecz całość wyglądała raczej jak stos brudnego naczyń niż jak gotowe do podania śniadanie. Jeszcze gdy wypychała ich z kuchni, a oni pochyleni, jakby obawiając się wymyślań czy uderzeń, śpieszyli ku drzwiom, Karl

odebrał Robinsonowi tacę, gdyż w jego rękach nie wydawała mu się ona zbyt bezpieczna.

W korytarzu, gdy oddalili się już dostatecznie od drzwi gospodyni, Karl usiadł z tacą na podłodze, żeby przede wszystkim tacę doprowadzić do porządku, połączyć rzeczy należące do siebie, a więc zlać razem mleko, resztki masła zeszkrobać na jeden talerz, potem usunąć wszelkie oznaki konsumpcji, a więc oczyścić noże i łyżki, obciąć równo nadgryzione bułki i w ten sposób nadać całości lepszy wygląd. Robinson uważał tę pracę za niepotrzebną i utrzymywał, że śniadanie często wyglądało o wiele gorzej, lecz Karl nie dał sobie przeszkodzić i cieszył się jeszcze, że Robinson swymi brudnymi rękami nie bierze udziału w tej pracy. Żeby go utrzymać w spokoju, Karl przydzielił mu od razu, zresztą tylko tyle i nic więcej, jak mu przy tym zapowiedział, kilka keksów i gruby osad z dna garnuszka napełnionego przedtem czekoladą.

Kiedy przyszli przed drzwi mieszkania i Robinson bez ceremonii położył rękę na klamce, Karl powstrzymał go, bo przecież nie był pewien, czy mogą wejść.

– Ależ tak – powiedział Robinson. – On teraz tylko fryzuje jej włosy. – i rzeczywiście, we wciąż jeszcze nic przewietrzonym pokoju z zasłoniętymi oknami Brunelda z szeroko rozstawionymi nogami siedziała w fotelu, a Delamarche, stojący za nią, z nisko pochyloną twarzą, czesał jej krótkie, zapewne bardzo skołtunione włosy. Brunelda miała na sobie znowu luźną suknię, tym razem bladoróżową i może nieco krótszą niż wczoraj, w każdym razie widać było niemal aż do kolan białe, grubo dziane pończochy. Zniecierpliwiona długotrwałym czesaniem, Brunelda przesuwiała gruby, czerwony język tam i z powrotem między wargami, czasami nawet z okrzykiem:

– Ależ, Delamarche! – wrywając się Delamarche’owi, który z podniesionym grzebieniem czekał spokojnie, aż znowu odchyli głowę w

tył.

Długo to trwało – powiedziała Brunelda ogólnie, a do Karla rzekła: – Musisz być trochę żwawszy, jeśli chcesz, żebyśmy byli z ciebie zadowoleni. Nie powinienes brać przykładu z leniwego i żarłocznego Robinsona. Wy już tymczasem na pewno zjedliście gdzieś śniadanie; uprzedzam was, że następnym razem tego nie ścierpię.

Było to bardzo niesprawiedliwe i nawet Robinson potrząsnął głową i poruszył, co prawda bezgłośnie, wargami, jednakże Karl wiedział, że na państwa można wpływać tylko wykazując się rzetelną pracą. Dlatego wyciągnął z kąta mały japoński stoliczek, nakrył go obrusem i ustawił na nim przyniesione rzeczy. Ten, kto widział to śniadanie w pierwotnym stanie, mógł być teraz zadowolony z całości, ale zasadniczo, jak to Karl musiał przyznać w duchu, niejedno jej można było jeszcze zarzucić.

Na szczęście Brunelda była głodna. Łaskawie kiwnęła głową Karłowi, podczas gdy wszystko przygotowywał, i często mu przeszkadzała, przedwcześnie wyciągając dla siebie jakiś kąsek swymi miękkimi, tłustymi, wszystko zaraz rozgniatającymi palcami.

– On to dobrze zrobił – powiedziała mlaskając i przyciągnęła na sąsiednie krzesło Delamarche, który zostawił wetknięty w jej włosy grzebień, aby nim później na nowo podjąć pracę. Delamarche na widok jedzenia stał się także uprzejmy, oboje byli bardzo głodni, ich ręce migały krzyżując się nad stoliczkiem. Karl zrozumiał, że aby ich zadowolić, trzeba było tylko zawsze przynosić możliwie najwięcej, i na wspomnienie tego, że na podłodze w kuchni zostawił jeszcze rozmaite użyteczne wiktuały, powiedział:

– Za pierwszym razem nie wiedziałem, jak wszystko powinno być podane, ale w przyszłości zrobię to lepiej.

Lecz jeszcze mówiąc to, uprzytomnił sobie, do kogo mówi, zbyt go zajęła sama sprawa. Brunelda z zadowoleniem kiwnęła głową do

Delamarche i wręczyła Karlowi w nagrodę garść keksów.

Wyjazd Bruneldy

Pewnego ranka Karl wysunął z bramy domu wózek dla chorych w którym siedziała Brunelda. Nie było już tak wcześniej, jak się tego spodziewał. Umówili się, że wyprawę złączą jeszcze w nocy, żeby nie wywoływać sensacji na ulicach, co za dnia byłoby nie do uniknięcia, chociaż Brunelda chciała się skromnie przykryć wielką, szarą chustą. Ale transport ze schodów trwał zbyt długo, pomimo gorliwej pomocy Studenta, który jak się przy tym okazało, był o wiele słabszy od Karla. Brunelda trzymała się bardzo dzielnie, rzadko wzdychała i na wszelkie sposoby starała się ułatwić pracę swym tragarzom. A jednak nie udało się zrobić inaczej, co pięć schodów trzeba było sadzać ją na stopniu, żeby sobie i jej dać czas na konieczny wypoczynek. Był chłodny poranek, na korytarzach panował zimny przeciąg jak w piwnicach, lecz Karl i Student byli tak spoceni, że podczas odpoczynku każdy z nich chustą Bruneldy, której im zresztą uprzejmie użyczyła, ocierał sobie twarz. Tak więc dopiero po dwóch godzinach dotarli na dół, gdzie już od wieczora stał wózek. Usadowienie w nim Bruneldy przysporzyło również nieco pracy, ale potem można już było wszystko uważać za udane, bo pchanie wózka, dzięki jego wysokim kołom, nie było trudne, i pozostawała tylko obawa, że wózek rozpadnie się pod ciężarem Bruneldy. To niebezpieczeństwo trzeba było jednak zaryzykować, nie mogli bowiem brać ze sobą zapasowego wózka, do którego przygotowania i pchania Student zaoferował się na pół żartem. Nastąpiło teraz pożegnanie ze Studentem, nawet bardzo serdeczne. Wszystkie nieporozumienia między Bruneldą a Studentem wydawały się zapomniane, on przeprosił ją nawet

za dawną obrazę, której dopuścił się podczas jej choroby, lecz Brunelda powiedziała, że wszystko dawno poszło w niepamięć i zostało aż nadto wynagrodzone. W końcu poprosiła Studenta, żeby na pamiątkę po niej był łaskaw przyjąć dolara, którego z trudem wygrzebała spośród swych licznych spódnic. Ten podarunek był przy znanym skąpstwie Bruneldy bardzo znamienity. Student też naprawdę ogromnie się nim ucieszył i podrzucił monetę wysoko w powietrze. Potem co prawda szukał jej na podłodze, a Karl musiał mu pomóc, w końcu też on właśnie znalazł ją pod wózkem Bruneldy. Pożegnanie między Studentem a Karlem było naturalnie o wiele prostsze, podali sobie tylko ręce i wyrazili przekonanie, że zapewne jeszcze się kiedyś zobaczą i że do tego czasu przynajmniej jeden z nich – Student utrzymywał to o Karlu, Karl o Studencie – osiągnie sławę, co niestety dotychczas nie nastąpiło. Potem Karl w dobrym nastroju ujął drążek wózka i wysunął go z bramy. Student patrzył za nimi dopóty, dopóki jeszcze było ich widać i powiewał chusteczką. Karl często odpowiadał na pozdrowienia kiwnięciem głowy, Brunelda także chętnie by się odwróciła, ale takie ruchy wymagały od niej zbyt wielkiego wysiłku. Żeby jej jednak umożliwić jeszcze ostatnie pożegnanie, Karl na końcu ulicy zatoczył wózkem koło, tak że Brunelda też mogła zobaczyć Studenta, który wykorzystał tę okazję, żeby ze szczególnym zapalem pomachać chusteczką.

Potem jednak Karl powiedział, że teraz nie mogą już sobie pozwolić na żaden postój, że droga jest długa, a wyjechali o wiele później, niż zamierzali. Rzeczywiście widać było już tu i ówdzie wozy, a także pojedynczych jeszcze ludzi, idących do pracy. Karl nie chciał swoją uwagą wyrazić nic więcej, niż rzeczywiście powiedział, lecz Brunelda w swej delikatności zrozumiała to inaczej i całkowicie zakryła się szarą chustą. Karl nie miał nic przeciwko temu; wprawdzie ręczny wózek, nakryty szarą chustą, bardzo zwracał uwagę, lecz nieporównanie większą uwagę

zwracałoby nie przykryta Brunelda. Pchał wózek bardzo ostrożnie; zanim skręcił za jakiś róg, obserwował następną ulicę, zostawiał nawet wózek, jeśli to mu się wydawało potrzebne, i sam szedł kilka kroków naprzód, a jeśli przewidywał jakieś, być może niemiłe, spotkanie, czekał, do póki nie udało się go uniknąć, albo nawet wybierał zupełnie inną ulicę. Ponieważ wcześniej dokładnie przestudiował wszelkie możliwe drogi, nawet wtedy nie groziło mu niebezpieczeństwo dalekiego objazdu. Pojawiały się jednak przeszkody, których wprawdzie można się było obawiać, lecz których nie dało się dokładnie przewidzieć, i tak na pewnej ulicy, wznoszącej się lekko, dzięki czemu była łatwa do ogarnięcia wzrokiem, i na szczęście zupełnie pustej – korzystna okoliczność, wykorzystywana przez Karla szczególnie śpieszną jazdą z ciemnego kąta jakiejś bramy wyszedł policjant i spytał Karla, co też wiezie w tak troskliwie zakrytym wózku. Lecz mimo że surowo patrzył na Karla, musiał się uśmiechnąć, gdy uchylił chusty i zobaczył rozpaloną, trwożliwą twarz Bruneldy.

– Co? – powiedział. – Myślałem, że wiesz tutaj dziesięć worków kartofli, a to tylko jedna kobieta? Dokąd jedziecie? Kim jesteście?

Brunelda nie odważyła się nawet spojrzeć na policjanta, lecz wciąż tylko patrzyła na Karla z wyraźną obawą, że nawet on nie będzie mógł jej uratować. Lecz Karl miał już za sobą doświadczenia z policjantami, jemu wszystko to nic wydawało się zbyt niebezpieczne.

– Niechże panienka pokaże – powiedział – to pismo, które pani otrzymała.

– Ach, tak – powiedziała Brunelda i zaczęła szukać w sposób tak beznadziejny, że to naprawdę musiało wydać się podejrzane.

– Panienka – powiedział policjant z niewątpliwą ironią – nie znajdzie pisma.

– O, owszem – powiedział Karl spokojnie. – Na pewno je ma, tylko je gdzieś zapodziała.

Zaczął teraz sam szukać i rzeczywiście wyciągnął pismo spoza pleców Bruneldy. Policjant spojrział na nie tylko przelotnie.

– A, więc to tak – powiedział z uśmiechem. – To taką panienką jest panienka? A pan, mój mały, zajmuje się pośrednictwem i transportem? Naprawdę nie umie pan znaleźć lepszego zajęcia?

Karl wzruszył tylko ramionami, to było znowu znane mu wtrącanie się policji.

– No, szczęśliwej drogi – powiedział policjant, nie otrzymawszy odpowiedzi. W słowach policjanta tkwiła prawdopodobnie pogarda, toteż Karl pojechał dalej bez pozdrowienia, pogarda policji była lepsza niż jej zainteresowanie.

Wkrótce potem miał chyba jeszcze nieprzyjemniejsze spotkanie. Mianowicie przyczepił się do niego człowiek, który pchał przed sobą wózek z dużymi bańkami mleka, i zaczął się dopytywać, co znajduje się pod szarą chustą na wózku Karla. Nie można było przypuścić, żeby wypadła mu ta sama droga co Karlowi, lecz mimo to pozostawał u jego boku, choć Karl niespodziewanie skręcał. Najpierw zadawał się okrzykami, jak na przykład: – Musisz wieźć duży ciężar! – albo: – Źle załadowałeś wózek, coś ci spadnie z góry! – Ale później zapytał wprost: – Co masz pod tą chustą?

Karl odparł:

– Co cię to obchodzi?

Ale gdy to jeszcze bardziej zaciekawiło tamtego, Karl powiedział w końcu:

– To są jabłka.

– Tyle jabłek! – wykrzyknął człowiek ze zdumieniem i kilka razy powtórzył ten okrzyk. – To chyba cały zbiór – powiedział potem.

– No, tak – odparł Karl.

Ale czy człowiek ten mu nie uwierzył, czy też chciał go drażnić, szedł

z nim dalej, zaczął – wciąż idąc – jakby żartem wyciągać rękę w stronę chusty i w końcu odważył się nawet szarpnąć jej róg. Jakże Brunelda musiała cierpieć! Ze względu na nią Karl nie chciał wdawać się w kłótnię z tym człowiekiem i wjechał do najbliższej bramy, jak gdyby ona była jego celem.

– Tutaj mieszkam – powiedział. – Dziękuję za towarzystwo.

Człowiek stanął zdumiony przed bramą i patrzył za Karlem, który spokojnie, skoro tak być musiało, pchał wózek przez pierwsze podwórze. Człowiek nie mógł już dłużej wątpić, ale żeby po raz ostatni zaspokoić swoją złośliwość, zostawił swój wózek, pobiegł za Karlem na palcach i tak silnie szarpnął chustę, że prawie odsłonił twarz Bruneldy.

– Żeby twoje jabłka miały dostęp powietrza – powiedział i odbiegł z powrotem.

Karl zniósł także i to, gdyż w ten sposób uwalniał się od tego człowieka. Zaprowadził potem wózek w kąt podwórza, gdzie stało kilka dużych, pustych skrzyń, pod których osłoną chciał podnieść chustę i powiedzieć Bruneldzie kilka uspokajających słów. Ale musiał długo do niej przemawiać, gdyż zalewała się łzami i błagała go zupełnie poważnie, żeby pozostali tutaj, za skrzyniami, przez cały dzień i dopiero w nocy pojechali dalej. Może nawet jemu samemu nie udało się jej przekonać, że taka decyzja byłaby niesłuszna, ale gdy ktoś z drugiego końca stosu rzucił na ziemię pustą skrzynię z potwornym hałasem, rozlegającym się echem na pustym podwórzu, Brunelda przestraszyła się tak bardzo, że nie odważywszy się już powiedzieć ani słowa naciągnęła na siebie chustę i prawdopodobnie była szczęśliwa, gdy Karl, nie namyślając się długo, natychmiast ruszył w drogę.

Ulice ożywiały się teraz coraz bardziej, ale zainteresowanie jakie wzbudzał wózek, nie było tak wielkie, jak Karl się tego obawiał. Może w ogóle byłoby mądrzej wybrać na przewóz inną porę. Gdyby taka wyprawa

miała być znowu potrzebna, Karl odważyłby się urządzić ją w południe. Nie będąc już szczególnie niepokojony, skręcił w końcu w wąską, ciemną ulicę, w której znajdowało się Przedsiębiorstwo Numer 25. Przed bramą stał zezowaty zarządca z zegarkiem w ręce.

– Zawsze jesteś taki niepunktualny? – zapytał.

– Były rozmaite przeszkody – powiedział Karl.

– Przeszkody, jak wiadomo, zdarzają się zawsze – powiedział zarządca. – Ale tutaj nie wchodzi one w rachubę. Zapamiętaj to sobie!

Takich napomnień Karl w ogóle już nie słuchał, każdy wykorzystywał swoją władzę i beształ stojącego niżej od siebie. Jeśli człowiek raz się do niego przyzwyczał, nie brzmiało to dla niego inaczej niż regularne bicie zegara. Ale gdy teraz wsunął wózek do sieni, naprawdę przestraszył go brud, który tu panował i którego zresztą oczekiwał. Był to, jeśli się bliżej przyjrzało, jakiś nieuchwytny brud. Kamienna posadzka w sieni była prawie czysto zamieciona, ściany nie tak dawno pomalowane, sztuczne palmy tylko trochę zakurzone, a jednak wszystko było załuszczone i odpychające, robiło wrażenie, jak gdyby ze wszystkiego zrobiono tu zły użytek i nawet największa schludność nie mogła już tego naprawić. Karl, gdy przychodził dokądkolwiek, chętnie myślał o tym, co by tu można było poprawić i jaka by to była radość móc się natychmiast do tego zabrać, bez względu na nie kończącą się, być może, pracę, jaką by to spowodowało. Ale tutaj nie wiedzieliby co robić. Powoli zdjął chustę z Bruneldy.

– Witamy, panienko! – powiedział zarządca krygując się, bez wątpienia Brunelda wywarła na nim dobre wrażenie. Skoro tylko Brunelda to spostrzegła, potrafiła natychmiast, ku zadowoleniu Karla, wykorzystać tę okoliczność. Zniknęła trwoga ostatnich godzin.

Posłowie do pierwszego wydania

Rękopis Franza Kafki nie ma tytułu. W rozmowach Kafka zwykł był nazywać tę książkę swoją „amerykańską powieścią”, a później – po odrębnym opublikowaniu (1913) pierwszego rozdziału po prostu *Palaczem*. Pracował nad tym dziełem z wielkim upodobaniem, przeważnie wieczorami i do późna w nocy, a na stronach rękopisu widnieje zdumiewająco mała ilość poprawek i skreśleń. Kafka zdawał sobie sprawę – i często wspominał o tym w rozmowach – że to powieść jest radośniejsza i „jaśniejsza” niż wszystko, co kiedykolwiek napisał. – W związku z tym niech mi wolno będzie napomknąć, że Franz Kafka bardzo chętnie czytywał książki podróżnicze i pamiętniki, że biografia Franklina była jedną z jego ulubionych książek, której fragmenty chętnie też czytywał na głos, że zawsze odczuwał tęsknotę do swobody i do dalekich krajów. Nie odbył jednak żadnej większej podróży (oprócz do Francji i do północnych Włoch), toteż poranna zorza jego fantazji nadaje tej przygodowej książce szczególne zabarwienie.

Zupełnie nieoczekiwanie Kafka przerwał nagle pracę nad powieścią. Książka pozostała nie ukończona. Z rozmów wiem, że zamieszczony tu nie dokończony rozdział o Teatrze z Oklahomy, rozdział, którego wstęp Kafka szczególnie lubił i wzruszająco pięknie odczytywał na głos, miał być rozdziałem końcowym i brzmieć pojednawczo. Kalla, uśmiechając się, w zagadkowych słowach dawał do zrozumienia, że jego młody bohater w owym teatrze „nie mającym prawie granic” odnajdzie – jakby dzięki rajskiemu cudowi zawód, wolność, oparcie, ba, nawet ojczyznę i rodziców.

Przed rozdziałem końcowym brak również części opowiadania. Istnieją dwa większe fragmenty, dotyczące służby u Bruneldy, ale one nie

wypełniają tej luki. Zostały odłożone do późniejszego, uzupełniającego tomu, gdyż chodziło mi o główną linię opowiadania, nie zaś o pracę filologiczną, która już przypadnie potomnym. Podział i nazwy ustalił Kafka tylko dla pierwszych sześciu rozdziałów.

Jasne jest, że powieść ta wiąże się ściśle z *Procesem* i *Zamkiem*, których cykl (chronologicznie) otwiera. Jest to pozostawiona przez Kafkę trylogia samotności. Jej zasadniczym tematem jest obcość, izolacja pośród ludzi. Sytuacja oskarżonego w *Procesie*, stan, w jakim znajduje się nie zaproszony i obcy w okolicy człowiek w *Zamku*, bezradność niedoświadczonego dziecka w huczącej życiem Ameryce – oto trzy takty podstawowe, których tajemnicza wspólnota uwydatnia się poprzez sztukę Kalli jasno i symbolicznie, choć oddana językiem zwykłym i w najprostszy sposób wyrażającym rzeczywistość. W ten sposób te trzy powieści wyjaśniają się nawzajem, wskazują na jedno i to samo serce. We wszystkich trzech powieściach chodzi o miejsce jednostki w społeczności ludzkiej i – ponieważ chodzi przy tym o najwyższą sprawiedliwość – równocześnie o miejsce jednostki w królestwie niebieskim. Ukazane tu są potworne przeszkody, jakie przy tym właśnie napotyka do gruntu dobry i prawy człowiek. W *Procesie* i *Zamku* przeszkody przeważają i to czyni te książki tragicznym dokumentem. Natomiast w powieści *Ameryka* dziecięca niewinność i wzruszająco naiwna czystość bohatera z trudem trzymają jeszcze zło w szachu. Czujemy, że ów dobry chłopiec, Karl Rossmann, który szybko zyskuje naszą miłość, na przekór wszystkim fałszywym przyjaźniom i perfidnym wrogom osiągnie swój cel, a więc dowiedzie, że jest przyzwoitym człowiekiem, i pojedna się z rodzicami. Jednakże droga wiodąca do tego celu jest wypełniona ogromnymi cierpieniami i trudnościami. „Nie można się bronić, jeśli druga strona nie ma dobrej woli” – myśli bohater ze smutkiem i żalem podczas owego przesłuchania przez Starszego Kelnera, które ma tak wiele wspólnego

demonizmu z postępowaniem sądowym ukazanym w Procesie. Tylko że tu walka o prawo prowadzona jest ze spokojniejszym sumieniem i z młodzieńczą nieugiętością. Nadaremne, jakże często ironicznie przedstawione poszukiwanie pracy wskazuje na pokrewne wydarzenia w Zamku, z tym wyjątkiem, że tutaj, w Ameryce, rozbrzmiewa na końcu zbawcze, choć nawet wskutek pewnych ubocznych okoliczności niezupełnie zadowolające: „Przyjęty”.

Kafka nie oszczędza Karla Rossmanna bardziej niż dwóch innych bohaterów, których inicjały stanowi litera K (= Ja). Gdyż także w tamtych obu powieściach za kryształowo czystym i nie upiększanym sposobem wyrażania się nie kryje się chłód poety, jak przypuszczano w niektórych analizach, lecz nieskończona surowość, nierozłącznie związana z najdelikatniejszymi uczuciami, z uznawaniem najbardziej skomplikowanych momentów odciążających i z bezgranicznym współczuciem. Niemniej można odnieść wrażenie, że Kafka w tej powieści o Ameryce odnosi się z nieco większą swobodą do dzielnego, uczciwego i pogodnego chłopaka. Mniej ukrywa swoje współczucie, bierze ono nad nim górę. Serce się w nim odzywa i krwawi, gdy stworzonej przez niego bezbronnej, niewinnej istocie dzieje się krzywda. Są w tej książce sceny (a mianowicie rozgrywające się na przedmieściu, nazwane przeze mnie „Azylem”) nieodparcie przypominające filmy Chaplina, piękne filmy Chaplina, które, co prawda, nie zostały jeszcze stworzone – przy czym nie należy zapominać, że w czasie gdy książka ta powstała (przed wojną!), Chaplin był nieznany lub może w ogóle jeszcze nie występował.

Możliwe, że właśnie ta powieść wskaże nową drogę do zrozumienia Kafki – drogę pełnego prostoty, ludzkiego współczucia – i dzięki temu także opublikowane dzieła, a mianowicie dwie duże powieści z puścizny autora, zaczną oddziaływać same z siebie, bez jakiegokolwiek interpretacji. Coraz obficie nadchodzące do mnie listy i eseje krytyczne

świadczą o tym, że dzieło życiowe Kafki w swojej niepowtarzalności i budzącej szacunek wielkości jest coraz bardziej poznawane i miłowane. – Spuścizna Kafki zawiera jeszcze dwie większe, nie ukończone nowele, których zarysy są wyraźne, szkic dramatyczny stanowiący zamkniętą całość, cykl aforyzmów na temat grzechu i zbawienia, liczne fragmenty i bardzo obszerny Dziennik, w którym wiele partii wznosi się na szczyty formy. Kiedy wszystko to zostanie opublikowane, okaże się, jak wielkim pisarzem był Franz Kafka.

Max Brod

